KSIĘGARNIA

S. BUKOWIECKIEGO

Marszałkowska 100, w Warszawie.

NAKŁADEM KSIĘGARNI WYSZŁY NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

		Rb.	k.
Gliński.	„Dramaty“, cena	1	20
„	„Elementarz dla pilnych dzieci“, cena .	—	2
Mickiewicz.	„Pan Tadeusz“, cena	—	20
	kartonowany . . .	—	30
	w ozdobnej oprawie .	—	50
„	„Grażyna“, cena	—	4
„	„Konrad Wallenrod“, cena . . .	—	6
„	„Sonety Krymskie“, cena . . .	—	2
„	„Balady i Romanse“, cena . . .	—	7
„	„Bajki“, cena	—	2
„	„Powiastki“, cena	—	2
„	„Dziady“, cena	—	10
„	„Farys“, cena	—	2
Brodziński.	„Wiesław“, cena	—	5
	w ozdobnej oprawie	—	20
„Zbiór deklamacji“, w ozdobnej oprawie. . .		—	30
Jadwiga S. i Janina M. „Kanarek i jego hodowla“		—	20
Wernic. „Arytmetyka“ cena		—	20
Wolski Z. „Jan Guttenberg“, cena		—	10
Grabowski J. „Busko“, cena		—	20
Malczewski. „Marya“ cena		—	6
Syrokomla. „Janko cmentarnik“, cena . . .		—	5
Zieliński. „Kirgiz“, cena		—	5
Wiktor Hugo. „Nędznicy“, 10 tomów razem . .		1	80
pojedyńczy tom		—	25
Iturjel. „Bratki“, Nowele		1	20

W DRUKU:

Wiktor Hugo. Kościół Panny Maryi w Paryżu (Notre dame de Paris), 6 tomów.

„ Pracownicy morza, 3 tomy.

„ Rok dziewięćdziesiąty trzeci, 4 tomy.

I 43.149

NĘDZNICY.

I.

Druk W. Dunina, Warszawa, Nowy Świat 35.

Wiktor Hugo.

NĘDZNICY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

FANTINA.

I.

WARSZAWA.
Nakład Księgarni S. Bukowieckiego
Marszałkowska № 100.
1900.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Февраля 1899 года.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

FANTINA

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002734566

BIBLIOTEKA NARODOWA

I 43.149

[t.] 1-2

A

1963 K 319/a

KSIĘGA PIERWSZA.

SPRAWIEDLIWY.

PRZEDMOWA.

Dopóki prawa i obyczaje pozwolą sobie kłaść na ludzi piętno skazańców, wytwarzając tym sposobem sztuczne piekło w pełnym wykwicie cywilizacyi i stawiając fatalność ludzką przeciwko wyrokom boskim; dopóki nie zostaną rozwiązane trzy zagadnienia tego wieku, a mianowicie: poniżenie człowieka przez nędzę, upadek kobiety przez głód i wyniszczenie, dzieci przez ciemnotę; dopóki w pewnych sferach możebne będzie odrętwienie społeczne; jednem słowem, dopóki na ziemi istnieć będą ciemnota i nędza — dopóty takie książki, jak ta, mogą zawsze się przydać.

Houtville-Housse 1862.

W. Hugo.

I.

Pan Myriel.

W roku 1815 pan Karol Franciszek Benvenuto Myriel zajmował stolicę biskupią w Digne. Był to starzec siedemdziesięcioletni, piastujący tę godność od roku 1806.

Chociaż szczegół ten nie dotyczy w żadnym względzie treści samej naszego opowiadania, może jednak ení będzie zbytecznem, choćby dla zachowania dokładności we wszystkiem, spisać tu pogłoski i zdania, jakie o nim krążyły w chwili, gdy przybył do swej djecezji. Fałsz czy prawda, plotka o człowieku, to, co o nim mówią, często w jego życiu, zwłaszcza w losie, ma tyle wagi, co jego własne czyny. Pan Myriel należał do arystokracji prawniczej, jako syn radcy parlamentu w Aix. Mówiono, że ojciec, przeznaczając go na swego następcę, ożenił go zawczasu, w osiemnastu czy dwudziestu leciech, wedle zwyczaju dość upowszechnionego w rodzinach swego stanu. Mówiono, że Karol Myriel, postępowaniem swojem, odnośnie do tego małżeństwa, wywołał sporo gadaniny o sobie. Był przystojny, chociaż wielkiego wzrostu, lubiący wytworność, powabny, dowcipny: przez pierwsze lata życia był oddany cały światu i jego powabom. Nadeszła rewolucja, wybuchły niespodziane wypadki: rodziny członków parlamentu

wydziesiętkowane, rozpędzone, ścigane, rozsypały się po świecie. Pan Karol Myriel w pierwszych dniach rewolucji emigrował do Włoch. Tu żona mu umarła na piersiową chorobę, która oddawna ją trapiła, dzieci nie mieli wcale. Jakie później były losy pana Myriel? Czy rozsypująca się w gruzy dawna społeczność francuzka, tragiczne widowiska 93 roku, okropniejsze może dla emigrantów, którzy na nie patrzyli zdaleka przez powiększające szkła strachu — zasiały w nim myśl zaparcia się świata i osamotnienia? Czy wśród rozrywek i serdecznych węzłów, całe jego zajmujących życie, uderzył weń jeden z tych ciosów tajemniczych a okrutnych, co, trafiając w serce, obalają nieraz człowieka, którego nie wzruszyły klęski publiczne, utrata znaczenia i majątku? Nikt powiedzieć nie mógł; wiedziano tylko, że z Włoch powrócił już księdzem.

W roku 1804 pan Myriel był proboszczem w Brignolles. W latach już podeszłych żył zupełnie odosobniony.

W czasach koronacji jakiś interes probostwa, zapomniano już jaki, zmusił go udać się do Paryża. Między innemi osobami znaczącemi, poszedł w interesie parafjan swoich do kardynała Fech'a. Pewnego razu, gdy Cesarz odwiedzał wuja, zacny proboszcz, oczekujący w przedpokoju, wpadł w oczy N. Panu. Napoleon, na którego starzec patrzył z pewną ciekawością, odwrócił się i rzekł żywo:

— Cóż to za poczciwiec tak mi się przygląda?

— N. Panie — rzekł pan Myriel — W. C. Mość na poczciwca, a ja patrzę na wielkiego człowieka. Obu nam może wyjść to na pożytek.

Cesarz tegoż wieczora spytał kardynała o nazwisko proboszcza, a wkrótce potem p. Myriel wielce się zdziwił dowiadując, że go mianowano biskupem Digne.

Ile było prawdy w pogłoskach o pierwszej części życia jego? nikt dobrze oznaczyć nie umiał. Nie wiele osób znało przed rewolucją rodzinę Myrielów.

P. Myriel uległ losowi wszystkich nowych przybyszów w małych miasteczkach, w których wiele jest gęb otwartych, a mało głów myślących. Uległ mu, chociaż był biskupem i że nim był właśnie. Ale gawędy, w których imię jego się spotykało, były zresztą gawędami tylko, plotkami, pogłoską, słowy, mniej niż słowy, *paplaniem* raczej, wedle energicznego wyrażenia ludowego.

Jakkolwiekbądź, po dziewięciu latach rezydencji na biskupstwie w D. wszystkie te bałamuctwa, przedmioty rozmów, które zajmowały w pierwszej chwili małą mieścinę i drobnych ludzi, zupełnie zostały zapomniane. Nikt nie śmiał ich powtarzać, nikt nie śmiał nawet przypominać ich sobie.

Pan Myriel przybył do D., wioząc z sobą starą pannę Baptystę, siostrę o dziesięć lat od niego młodszą.

Cały ich dwór składał się ze starej służącej, w wieku panny Baptysty, zwanej panią Maglorą, która zajmowała wprzód miejsce proboszczowskiej sługi, a teraz otrzymała dwoisty tytuł: garderobianej panny i klucznicy księdza biskupa.

Panna Baptysta była osobą słuszną, bladą, chudą, łagodną: wcielała w sobie ideał tego, co zowią zwykle *szanowną*, zdaje się bowiem, że do tytułu „czcigodnej“ mają mieć prawo tylko kobiety matki. Nigdy nie była piękną; życie jej całe snuło się pasmem uczynków miłosiernych i oblekło ją w końcu rodzajem bieli i światłości; na starość więc zdobiło ją to, co można nazwać „pięknością dobroci“. Szczupła w młodości, stawała się coraz przezroczystszą z czasem, a z po za tej przejrzystości przeglądał anioł. Była raczej duszą niż dziewicą. Postać jej zdawała się cieniem; zaledwie tyle miała ciała, ile go potrzeba, aby płeć jej uwydatnić; w odrobinie duszy iskierka światłości; wielkie oczy zawsze spuszczone: pretekst dla duszy do pozostawania na ziemi.

Pani Maglora była małą staruszką, białą, dość otyłą, zażywną, zakłopotaną, wiecznie zadyszaną, naj-

BIBLIOTEKA NARODOWA

przód z powodu nieustannego zajęcia, a trochę z przyczyny astmy, na którą cierpiała.

Wprowadzono p. Myriel za jego przybyciem do pałacu biskupiego ze wszelkiemi honorami, jakie przepisywały dekrety cesarskie, stawiające biskupów w stopniu tuż po feldmarszałkach. Mer i prezydent pierwsi pośpieszyli go odwiedzić; on ze swej strony także odwiedził jenerała i prefekta.

Po instalacji miasto oczekiwało, co pocznie biskup, aby go sądzić z dzieł jego.

II.

Pan Myriel zostaje monsignorem Benvenuto.

Około pałacu biskupiego był szpital. Pałac biskupi był to piękny i rozległy gmach, zbudowany na początku zeszłego stulecia przez monsignora Henryka Puget, doktora teologji fakultetu paryzkiego, opata w Simore i biskupa w D. 1712 r. Pałac ten był prawdziwie pańskiem mieszkaniem. Wszystko było świetne, wspaniałe, pokoje biskupie, salony, izby gościnne, wielka sala do przyjęcia z galerjami na arkadach, według dawnej mody florenckiej, ogrody zasadzone przepysznemi drzewami. W sali jadalnej, długiej i rozległej galerji na dole, z drzwiami na ogrody, monsignor Henryk Puget wyprawił ceremonjalną ucztę 29 lipca 1714 r. dla monsignorów Karola Brûlart de Genlis, arcybiskupa księcia d'Embrun, Antoniego Mesgrigny kapucyna, biskupa Grasse, Filipa Vendônie, wielkiego przeora Francji, opata z St. Honoré de Lerins, Franciszka de Berton de Grillon, biskupa barona Vence, Cezara Sabrau de Forcalquier, biskupa pana w Glandève i Jana Soanen, kapłana Oratorji, kaznodziei królewskiego, biskupa pana w Senez; portrety tych siedmiu szanownych osób ozdabiały salę, a pamiętna data *23 lipca 1714 r.* wyrytą była złotemi literami na białej tablicy marmurowej.

Szpital był domem wązkim i nizkim, o jednem piętrze, z małym ogródkiem.

We trzy dni po przyjeździe biskup zwiedził szpital. Po skończonej wizycie kazał prosić nadzorcę, aby raczył przyjść do niego.

— Panie dyrektorze szpitala, — zapytał — ilu w tej chwili macie chorych?

— Dwudziestu sześciu, Eminencjo.

— Tylu właśnie naliczyłem — zauważył biskup.

— Łóżka — dodał nadzorca — stoją bardzo blizko jedne przy drugich.

— To właśnie mnie uderzyło.

— Sale są właściwie izbami, i bardzo trudno odświeża się w nich powietrze.

— Tak właśnie i mnie się zdaje.

— A przytem, gdy cieplejszy promyk słońca zaświeci, ogród jest zamały dla rekonwalescentów.

— To właśnie sobie mówiłem.

— Z chorób epidemicznych mieliśmy w tym roku tyfus, a przed dwoma laty petocie; zdarza się po stu chorych i nie wiedzieć, co z niemi robić.

— Ta właśnie myśl mi przyszła.

— Cóż robić Eminencjo: trzeba się poddać losowi.

Rozmowa toczyła się w wielkiej sali jadalnej, owej wspaniałej galerji na dole.

Biskup milczał przez chwilę, potem nagle obrócił się do nadzorcy szpitala:

— A jak pan sądzisz, — rzekł—ile pomieściłoby się łóżek choćby tylko w tej sali?

— W sali jadalnej waszej Eminencji! — zawołał osłupiały nadzorca.

Biskup rzucił oczyma po sali i zdawał się mierzyć i rachować.

— Pomieściłoby się najmniej dwadzieścia łóżek!— rzekł zcicha, jakby do siebie mówił i, podnosząc głos, dodał:

— Wiesz co, panie dyrektorze: widocznie zaszła pomyłka. Macie dwadzieścia sześć osób w pięciu czy sze-

ściu izdebkach. Nas tu jest troje, a mamy miejsca na sześćdziesiąt; widoczna pomyłka, powiadam panu; zabierz to mieszkanie, a ja zajmę wasze. Oddaj mi pan mój dom, to właściwie jest wasze mieszkanie.

Nazajutrz dwudziestu sześciu biednych chorych przeniosło się do biskupiego pałacu, a biskup zamieszkał w szpitalu.

P. Myriel nie miał majątku; rodzina jego wszystko straciła podczas rewolucji. Siostra miała dożywocia pięćset franków rocznie, co wystarczało na jej osobiste wydatki. P. Myriel brał ze skarbu, jako biskup, piętnaście tysięcy franków rocznej pensji. Tegoż dnia, w którym zajął mieszkanie w szpitalu, p. Myriel oznaczył raz na zawsze, w jaki sposób używaną być ma ta suma. Przepisujemy tu jego własnoręczną notę.

Nota urządzająca wydatki mojego domu:

Na szkółkę duchowną	tysiąc pięćset fr.
Dla Kongregacji misji	sto fr.
Dla Misjonarzy w Montdider . . .	sto fr.
Dla Seminarjum misji zagranicznych w Paryżu	dwieście fr.
Dla Kongregacji St. Ducha	sto pięćdziesiąt fr.
Dla Zakładów religijnych w Ziemi Św.	sto fr.
Dla Towarzystwa miłosierdzia macierzyńskiego	trzysta fr.
Dla Towarzystwa takiegoż miłosierdzia w Arles	pięćdziesiąt fr.
Na ulepszenia więzień	czterysta fr.
Dla ulgi i wyswobodzenia więźniów .	pięćset fr.
Dla wyswobodzenia ojców rodzin uwięzionych za długi	tysiąc fr.
Na dodatek do pensji biednych bakałarzy djecezjalnych	dwa tysiące fr.
Na śpichrze zapasowe w górnych Alpach	sto fr.
Dla stowarzyszenia dam w D. w Monosque i Sisteron, nanczających bezpłatnie ubogie dziewczęta . .	tysiąc pięćset fr.
Dla biednych	sześć tysięcy fr.
Na moje wydatki osobiste. . . .	tysiąc fr.
Razem . .	piętnaście tysięcy fr.

Przez cały czas zajmowania stolicy biskupiej w D., p. Myriel w niczem nie zmienił tego rozporządzenia. Nazywał je, jak widzimy, *urządzeniem wydatków swojego domu*.

Urządzenie to przyjęła z bezwarunkową uległością panna Baptysta. Dla tej świętej dziewicy, monsignor w D. był zarazem jej bratem i jej biskupem, jej przyjacielem z prawa natury i zwierzchnikiem według kościoła. Kochała go i czciła z całą prostotą. Gdy mówił, schylała głowę, gdy co czynił, przystawała bezwzględnie. Tylko służąca, pani Maglora, szemrała nieco. Ksiądz biskup zostawił sobie tylko tysiąc franków, co wraz z pensją panny Baptysty wynosiło razem tysiąc pięćset franków rocznie. Z tych tysiąca pięciuset franków utrzymywały się dwie stare kobiety i jeden starzec.

A gdy który proboszcz przyjechał do D., ksiądz biskup mógł go jeszcze ugościć, dzięki oszczędności pani Maglory i rozumnemu zarządowi panny Baptysty.

Pewnego dnia — po trzechmiesięcznym pobycie w D. — rzekł biskup:

— Z tem wszystkiem czuję nieco niedostatek!

— Spodziewam się! — zawołała pani Maglora — Wasza Eminencja nie upominał się nawet w departamencie o pensję na koszta utrzymania powozu w mieście i na objazdy po dyecezji.

— Doprawdy, masz słuszność, pani Magloro — rzekł biskup.

I niebawem wysłał żądanie.

Wkrótce potem rada główna, wziąwszy pod rozwagę to żądanie, zagłosowała dla biskupa roczną sumę trzy tysiące franków pod taką rubryką: *Dodatek dla Księdza Biskupa na koszta powozu, poczty i objazdów pasterskich.*

Narobiło to hałasu między mieszczaństwem okolicznem, a pewien senator cesarstwa, były członek Rady Pięciuset, za sprzyjanie 18-mu Brumaire uposażony intratnem senatorstwem w mieście D., napisał z tego powodu do ministra wyznań p. Bigot de Préameneu liścik

poufny a gniewny, z którego przytaczamy następujący autentyczny wyjątek: — „Koszta na powóz? na co powóz w mieście, nie mającem czterech tysięcy mieszkańców? Koszta objazdów? a najprzód po co te objazdy? dalej, jak można jeździć pocztą w kraju górzystym? Niema dróg. Jeżdżą tylko konno. Nawet most z Durance do Chateau-Arnoux ledwie unieść może wozy, zaprzężone wołami. Ci księża wszyscy są tacy: chciwi i skąpi. Ten np. z początku udawał „dobrego pasterza“; teraz zrobił się jak inni. Zachciało mu się powozów i poczty, zachciało mu się przepychu jak dawnym biskupom. Ach, te klechy! Panie hrabio, dopóty nie będzie dobrze, aż cesarz nie uwolni nas od nich. Precz z Papieżem! (Wówczas wikłały się sprawy z Rzymem). Co do mnie, jestem za samym Cezarem i t. d. i t. d.“.

Za to pani Malgora wielce się uradowała.—„No— rzekła do panny Babtysty — jego Eminencya zaczął od innych, słusznie, żeby skończył na sobie. Urządził wszystkie swoje uczynki miłosierne. Teraz trzy tysiące franków dla nas. Przecie!“

Tegoż wieczora biskup napisał i oddał swej siostrze następującą notę:

Koszta powozu i objazdów.

Na rosół i mięso dla chorych szpitala .	tysiąc pięćset fr.
Dla towarzystwa miłosierdzia macierzyńskiego w Aix	dwieście pięćdziesiąt fr.
Dla towarzystwa miłosierdzia macierzyńskiego w Draguignan	dwieście pięćdziesiąt fr.
Na podrzutków	pięćset fr.
Dla sierot	pięćset fr.
Razem . . .	trzy tysiące fr.

Taki był budżet pana Myriel.

Co do dochodów kościelnych, indultów, dyspens, chrztów, kazań, błogosławieństw kościołów i kaplic, ślubów i t. p. biskup tem skwapliwiej brał dary od bogatych, że wszystko oddawał biednym.

Wkrótce obficie zaczęły wpływać ofiary pieniężne. Wszyscy, i ci co mieli, i ci co nie mieli, stukali do drzwi

p. Myriel, jedni złożyć datek, drudzy wziąć wsparcie. Nie upłynęło roku, a biskup stał się skarbnikiem wszystkich dobrodziejstw i kasjerem wszystkich nieszczęśliwych. Znaczne sumy przechodziły przez jego ręce, nic jednak nie skłoniło go do zmiany sposobu życia i dodania nieco zbytku do potrzeb koniecznych.

Owszem, ponieważ zawsze więcej jest nędzy na dole niż braterstwa w górze, wszystko się rozchodziło wprzód prawie, nim otrzymane zostało; była to jakby woda wylana na suchą ziemię; chociaż ciągle brał pieniądze, nigdy ich nie miał. Wówczas odejmował sobie.

Jest we zwyczaju, że biskupi podpisują chrzestnem imieniem swe listy pasterskie: biedni mieszkańcy kraju, wiedzeni instynktem serdecznym, wybrali z imion biskupa to, którego zrozumieli znaczenie i nie inaczej go nazywali, jak monsignorem Benvenuto. Pójdziemy za ich przykładem i przy sposobności tak samo go nazywać będziemy. Zresztą imię to i jemu się podobało. — Lubię to imię, mawiał: Benvenuto wynagradza za monsignora.

Nie myślimy utrzymywać, że portret przez nas skreślony jest prawdopodobnym; zapewniamy tylko, że jest podobny do oryginału.

III.

Dobremu biskupowi ciężkie biskupstwo.

Chociaż ksiądz Biskup zamienił powóz na jałmużny, niemniej jednak odbywał objazdy. Uciążliwa ta djecezja w D. Mało równin, wiele gór, dróg prawie żadnych; trzydzieści dwa probostwa, czterdzieści jeden wikarjatów i dwieście ośmdziesiąt pięć filij i kaplic. Zwiedzić to wszystko—niełatwa sprawa. Ksiądz biskup sobie poradził. Szedł piechotą, jeśli probostwo było w sąsiedztwie, jechał na wózku, gdy było na równinie, na grzbiecie muła –jeśli w górach. Dwie stare kobiety towarzyszyły mu. Gdy droga zbyt je nużyła, szedł sam.

Pewnego dnia wjechał na osiołku do Senez, dawnego miasta biskupiego. W kieszeni nie miał ani grosza i nie mógł sobie pozwolić wygodniejszej jazdy. Mer miasta przyjął go u drzwi biskupstwa, zgorszony wielce, że siedział na ośle. Kilku mieszczan śmiało mu się w oczy. —Panie merze—rzekł biskup—i panowie mieszczanie, widzę co was gorszy; wydaje się wam wielką pychą w biednym księdzu, że siedzi na bydlątku, na którem jeździł sam Jezus Chrystus. Uspokójcie się; nie z próżności, ale z koniecznej potrzeby to czynię.

Zwiedzając djecezję, był pobłażliwy i łagodny, więcej rozmawiał niż prawił kazania. Rozumowań i przy-

kładów nie szukał daleko. Mieszkańcom jednego kraju stawiał za wzór kraj sąsiedni. W kantonach, gdzie byli nieużyci dla ubogich, mawiał: — Spójrzcie na ludzi w Briançon. Pozwolili ubogim, wdowom i sierotom kosić swe łąki trzy dni wcześniej niż inni. Bezpłatnie naprawiają im walące się domostwa. Bóg też błogosławi temu krajowi. Przez całe sto lat nie było tam ani jednego zabójcy.

Tam, gdzie byli chciwi zysków i zbiorów, mawiał: — Patrzcie na mieszkańców Embrun. Jeżeli ojciec rodziny, w czasie żniwa, ma synów na służbie w armji, a córki na służbie w mieście, a przytem jest chory, proboszcz na kazaniu poleca go pamięci parafjan; i zaraz w niedzielę po mszy wszyscy mieszkańcy wioski, mężowie, kobiety, dzieci biegną na pole biedaka, żną jego zboże i znoszą ziarno i słomę do jego stodoły.

Do rodzin, kłócących się o pieniądze i spadki, mawiał: — Patrzcie na górali Devolny, kraju tak dzikiego, że przez pięćdziesiąt lat nie usłyszysz tam ani razu słowika. A jednak, kiedy ojciec umiera w rodzinie, chłopcy rozchodzą się po świecie szukać zarobku, a dziewczętom zostawiają mienie, żeby mogły znaleźć mężów.

W kantonach, gdzie lubią pieniąć się i tracić pieniądze na stemple, mawiał: — Przypatrzcie się poczciwym wieśniakom doliny Queyras. Jest ich tam ze trzy tysiące. Miły Boże! a to jakby mała rzeczpospolita. Nie znają ani sędziego, ani woźnego. Mer załatwia wszystko. Rozdziela podatki według sumienia, bezpłatnie rozstrzyga spory, bez honorarjum dzieli ojcowizny, wydaje wyroki bez kosztów—i każdy go słucha, bo to człowiek sprawiedliwy między ludźmi prostymi.

W wioskach, gdzie nie było nauczyciela, przytaczał także przykład mieszkańców Queyras:—Czy wiecie jak sobie radzą? mówił. Ponieważ kraik o dwunastu lub piętnastu dymach, nie ma z czego stale utrzymać profesora, mają nauczycieli zapłaconych dla całej doliny; ci przebiegają wioski: tu zabawią tydzień, tam

dwa tygodnie, i uczą. Nauczyciele tacy chodzą na jarmarki, i tam ich widziałem. Poznacie ich po piórach gęsich, zatkniętych za taśmą kapelusza. Ci, co uczą czytać, mają jedno pióro; którzy uczą czytać i rachować, mają dwa pióra; którzy uczą czytać, rachować i łaciny, mają trzy pióra. Ostatni są wielce uczeni. Ale też co za wstyd być nieukiem! Czyńcież jak mieszkańcy Queyras.

Tak mówił poważnie, po ojcowsku, w braku przykładów zmyślał przypowieści, które w kilku słowach a wielu obrazach zmierzały prosto do celu: taką to wymową sam Chrystus Pan przekonywał i pociągał.

IV.

Czyny zgodne ze słowami.

W rozmowie był przystępny i wesoły. Stosował się do pojęcia starych kobiet, które przy nim żyły; a gdy się śmiał, był to śmiech szczery i serdeczny.

Pani Maglora zwykle nazywała go *Waszą wysokością*. Pewnego razu, powstawszy z krzesła, szedł do bibljoteki szukać książki. Książka leżała na jednej z wyższych półek. Biskup, nizkiego wzrostu, nie mógł do niej dostać.—Pani Maglora—rzekł—podaj mi krzesło z łaski swojej. Moja wysokość nie sięga do tej deski.

Jedna z dalekich jego krewnych, hrabina Lô, lubiła w obecności jego wyliczać to, co nazywała *nadziejami* swoich trzech synów. Miała wielu blizkich krewnych podeszłego wieku, których spadkobiercami byli jej synowie. Najmłodszy miał odziedziczyć po babce sto okrągłych tysięcy franków rocznego dochodu; drugi po stryju otrzymywał tytuł księcia; najstarszy miał być parem po swym dziadzie. Biskup zwykle w milczeniu słuchał tych niewinnych przechwałek macierzyńskich. Ale jednego razu zdawał się bardziej zamyślonym niż zwykle, podczas gdy pani Lô rozpowia-

dała mu szeroko o tych sukcesjach i swoich *nadziejach*. Spostrzegłszy jego roztargnienie, zapytała zniecierpliwiona: — Ależ, mój kuzynie, o czem tak myślisz? —Myślę, odpowiedział biskup—o pewnej osobliwej rzeczy, którą, jeśli się nie mylę, znajdziesz w Świętym Augustynie: „Nadzieje swoje pokładajcie w tym, po którym nikt nie jest spadkobiercą“.

Innym razem, gdy był zaproszony na pogrzeb jednego szlachcica, patrząc na wystawę, prócz godności nieboszczyka, wszelkich tytułów feudalnych i szlacheckich jego krewniaków, zawołał: — Ależ to potężny tłomok kładą na grzbiet śmierci! Każą jej wesoło dźwigać taki ciężar tytułów. Doprawdy, trzeba mieć wiele dowcipu, aby tak zużytkować grób dla próżności!

Lubił przy sposobności łagodnie żartować, ale żart jego prawie zawsze ukrywał myśl poważną. W czasie postu, pewien młody wikary przyjechał do D. i miewał kazania w katedrze. Był dość wymowny. Zwykle kazał o uczynkach miłosiernych. Upominał bogatych, aby pomagali biednym, jeśli chcą uniknąć piekła, które wystawiał okropnie, i dostać się do nieba, którego rozkosze ponętnie malował. Między słuchaczami był pewien kupiec bogaty, nieco lichwiarz, nazwiskiem Geborand, który zarobił kilka milionów na wyrabianiu grubych sukien, samodziałów i sukman wieśniaczych. Przez całe życie swoje p. Geborand nie dał jałmużny żadnemu biedakowi. Ale po owem kazaniu zauważono, że co niedziela dawał trzy grosze starym żebraczkom, siedzącym u drzwi katedralnego kościoła. Było ich sześć do podziału. Razu jednego biskup zobaczył, jak p. Geborand dawał jałmużnę i rzekł do siostry z uśmiechem:—Patrzaj, p. Geborand kupuje sobie trochę nieba za trzy grosze.

Gdy chodziło o uczynki miłosierne, nie zrażała go żadna odmowa. Przemawiał wówczas słowy, które niejednego wprawiały w głęboką zadumę. Razu pewnego kwestował na biednych w salonie bogatego mieszczanina; był tam wówczas margrabia Champter-

cier, stary, bogaty, skąpy, zarazem ultra-rojalista i ultra-wolterjanin. Takie sprzeczności zdarzały się. Biskup uderzył go po ramieniu i rzekł:—Panie margrabio, musisz mi dać cokolwiek.

Margrabia odwrócił się i sucho odpowiedział: — Nie, Eminencjo, mam swoich biednych.—Daj mi ich — rzekł biskup.

Innego dnia miał takie kazanie w kościele katedralnym:

„Kochani bracia moi i przyjaciele, jest we Francji miljon trzykroć sto dwadzieścia tysięcy domów włościańskich, które mają tylko po trzy otwory; jest miljon ośmset siedmnaście tysięcy takich, które mają po dwa otwory, to jest okno jedno i drzwi, i wreszcie trzysta czterdzieści sześć tysięcy chałup, w których jest tylko jeden otwór, to jest drzwi. A to z powodu pewnej okoliczności, którą nazywają podatkiem od drzwi i okien. Osadźcie w takich chatach biedne rodziny, stare kobiety i drobne dziatki, — ileż to będzie gorączek i chorób! Niestety! Bóg daje ludziom powietrze, prawo je sprzedaje. Nie oskarżam prawa, ale błogosławię Bogu. W Isère, w Var, w Alpach górnych i dolnych, wieśniacy nie mają nawet taczek: nawóz przenoszą na własnych plecach, nie mają świec, palą łuczywa i postronki, umoczone w żywicy. Toż samo jest w całym Delfinacie górzystym. Pieką chleb na pół roku na ogniu z wysuszonego gnoju krowiego. W zimie rąbią siekierą ten chleb i przez dwadzieścia cztery godzin moczą w wodzie, aby jeść mogli. Bracia, miejcie litość! patrzcie, jak cierpią dokoła was!“

Prowensalczyk rodem, łatwo przyswoił sobie wszystkie narzecza południowe. Często wtrącał do swych mów wyrażenia, używane w dolnym Langwedoku, to w górnym Delfinacie, to u stóp gór alpejskich. Podobało się to ludowi i nie mało ułatwiło mu przystęp do prostych umysłów. W górach, czy w chacie, zawsze był jak w swoim domu. Umiał najwznioślejsze

rzeczy wyrażać najpospolitszem narzeczem. Znając wszystkie języki, przenikał do dusz wszystkich.

Zresztą jednaki był dla bogaczów i ubogich, dla ludzi światowych i prostaczków.

Nie potępiał niczego pośpiesznie, bez uwzględnienia okoliczności. Mawiał: trzeba zobaczyć, którędy błąd się wcisnął.

Sam będąc, jak z uśmiechem tytułował się, *ex-grzesznikiem*, zbyteczną surowością dla drugich się nie odznaczał, i, choć marszczyli się srodze świętoszki, głośno wyznawał zasady, które dadzą się streścić w tych słowach:

„Człowiek ma na sobie ciało, które jest zarazem jego ciężarem i pokusą. Ciągnie je, ale mu i ustępuje.

„Musi nad niem czuwać, powściągać je, trzymać na wodzy, i nie być mu posłusznym, chyba w ostateczności. Może i w posłuszeństwie tem być błąd, ale taki grzech jest powszedni. Jest to upadek, ale upadek na kolana, dokonać się mogący modlitwą.

„Być świętym, rzecz wyjątkowa; być sprawiedliwym, prawidło: Błądźcie, upadajcie, grzeszcie, lecz bądźcie sprawiedliwymi.

„Jaknajmniej grzechu, to prawo człowieka. Żadnego zgoła grzechu, to marzenie anioła. Cokolwiek jest ziemskiego, podlega grzechowi. Grzech jest ciążeniem ku ziemi".

Zdarzało się, że wszyscy na coś krzyczeli głośno i oburzali się prędko: — Oh! oh! — mawiał wtedy z uśmiechem—widać że to nielada grzech, którego się wszyscy dopuszczają. Patrzajcie, jak przestraszone obłudy zawczasu protestują, żeby się zasłonić od podejrzeń!

Był pobłażający dla kobiet i ubogich, na których cięży brzemię społeczeństwa ludzkiego. Mówił:—Błędy kobiet, dzieci, sług, słabych, biednych, prostaczków i ciemnych, są błędami mężów, ojców, panów, możnych bogaczów i uczonych.

Mówił jeszcze:—Nauczajcie ciemnych, jak możecie najwięcej; społeczeństwo grzeszy, że nie daje nauki bezpłatnie: odpowiedzialne jest za ciemność, którą szerzy. Dusza ta pełna jest cieniu, grzech łatwo się w niej rodzi. Winnym nie ten, kto grzeszy, lecz kto ciemność roztacza.

Jak widzimy, miał on dziwny i sobie właściwy sposób sądzenia o rzeczach. Mam podejrzenie, że go brał z Ewangelji.

Pewnego dnia opowiadano w salonie o procesie kryminalnym, który wkrótce miał być sądzonym. Jakiś nędzny człowiek, z miłości dla kobiety i dziecięcia, które miał z niej, przygnieciony niedostatkiem, wziął się do fałszowania monety. W owym czasie karano śmiercią za fałszowanie pieniędzy. Kobietę uwięziono, gdy wydawała pierwszą sztukę, sfabrykowaną przez tego człowieka. Trzymano ją w areszcie, lecz nie miano przeciw niej dowodów. Ona jedna mogła obwinić kochanka i zgubić go wyznaniem. Zaprzeczała. Nalegano. Uporczywie przeczyła. Prokurator królewski wpadł wówczas na pomysł. Udał, jakoby dowiedział się o niewierności kochanka, i zręcznie a uczenie podstawiając kawałki różnych listów, wmówił w nieszczęśliwą, że miała rywalkę i że ten człowiek ją zwodził. Wówczas, zazdrością przywiedziona do rozpaczy, oskarżyła swego kochanka, wyznała wszystko i dowiodła. Człowiek był zgubiony. Wkrótce sądzony być miał w Aix wraz ze swą wspólniczką. Opowiadano ten wypadek i każdy podziwiał przebiegłość urzędnika sądowego. Z pomocą obudzonej zazdrości i zemsty wydobył sprawiedliwość, zniewolił do wypowiedzenia prawdy w gniewie. Biskup słuchał w milczeniu. Gdy skończono, zapytał:

— Gdzie będą sądzić tego człowieka i tę kobietę?

— W sądzie kryminalnym.

— A gdzie będą sądzić pana prokuratora królewskiego?

Zdarzył się w D. tragiczny wypadek. Pewien człowiek skazany został na śmierć za zabójstwo. Był to ani dość ukształcony, ani zupełnie ciemny biedak, który zajmował się kuglarstwem na jarmarkach i pisaniem próśb dla włościan. Proces żywo zajmował miasto. W wilją tracenia skazanego zachorował kapelan więzienia. Szukano księdza, któryby dysponował na śmierć, i dał pociechę religijną delikwentowi w ostatnich chwilach. Udano się do proboszcza. Ten, jak się zdaje, odmówił, powiadając: — To się mnie nie tyczy. Nie moja rzecz zajmować się tym skoczkiem i jego wyprawą na tamten świat; i ja także jestem chory, a zresztą nie moje miejsce na rusztowaniu. Powtórzono tę odpowiedź biskupowi, który rzekł: — *Ksiądz proboszcz ma słuszność. To nie jego miejsce, lecz moje.*

I natychmiast udał się do więzienia, zszedł do lochu kuglarza, zawołał go po imieniu, wziął go pod rękę i rozmawiał z nim. Cały dzień przy nim przepędził, zapominając o pokarmie i śnie, modląc się do Boga za duszę skazanego, i prosząc biedaka, aby się modlił za niego. Przypomniał mu największe prawdy, które są najprostsze. Był ojcem, bratem, przyjacielem,—biskupem, aby błogosławić tylko. Nauczał go, pocieszał, umacniał. Człowiek ten byłby umarł z rozpaczy. Śmierć była dla niego jakby przepaścią. Stojąc drżący nad złowrogim brzegiem, cofał się ze zgrozą. Nie był dość ciemnym, aby był zupełnie obojętnym. Wyrok śmierci, jak uderzenie piorunu, wstrząsnął głęboko i przerwał tu i owdzie do koła niego zagrodę, dzielącą nas od tajemnicy wszechrzeczy, którą zowiemy życiem. Nieustannie spoglądał przez wyłomy fatalne nazewnątrz tego świata, i widział tylko ciemności. Biskup ukazał mu światło.

Nazajutrz, gdy przyszli po nieszczęśliwego, zastali przy nim biskupa. Pośpieszył za nim; i zdumione tłumy patrzyły, jak w fioletowej sukni, z krzyżem bi-

skupim na szyi, szedł tuż obok nędznika, skrępowanego postronkami.

Wsiadł z nim na wóz, wstąpił z nim na rusztowanie. Delikwent, znękany i ponury wczoraj, jaśniał pogodą. Czuł, że jego dusza pogodziła się z Bogiem i miał nadzieję. Biskup ucałował go i w chwili, gdy miecz miał spaść na jego głowę, rzekł doń: — „Kogo człowiek zabija, tego Bóg wskrzesza; kogo bracia wyganiają, ten znajduje ojca. Módl się, wierz, wejdź do życia! Ojciec tam“. Gdy zstępował z rusztowania, miał coś takiego w spojrzeniu, że lud mimowolnie usuwał się. Tak były blade jego lica, tak cudownie pogodne czoło. Powróciwszy do skromnego domku, który żartobliwie nazywał *swym pałacem*, rzekł do siostry: *Celebrowałem pontyfikalnie*.

Najwznioślejsze rzeczy są często najmniej zrozumiałe dla półmędrków, znaleźli się też w mieście ludzie, którzy nazwali ten postępek biskupa *przesadą*, afektacją. Zresztą mówiono tak tylko w salonach. Lud, który nie umie być złośliwym, gdy chodzi o święte czyny, był rozczulony i podziwiał.

Co do biskupa, widok gilotyny był dla niego strasznym ciosem, i długo nie mógł się po nim uspokoić.

W istocie rusztowanie, gdy staje gotowe przyjąć ofiarę, ma coś uderzającego. Można z pewną obojętnością mówić o karze śmierci, oświadczać się za nią lub przeciw niej, dopóki się nie widzi własnemi oczyma gilotyny: ale jeśli ją spotkasz, wstrząsa cię gwałtownie i musisz się zdecydować, oświadczyć za lub przeciw. Jedni ją podziwiają, jak de Maistre; inni przeklinają Beccaria. Gilotyna jest uświęceniem prawa; nazywa się *pomstą;* nie jest neutralną, i nie pozwala ci być neutralnym. Na jej widok przenika cię dreszcz tajemniczy. Wszystkie kwestje społeczne stawiają około tego fatalnego noża znaki zapytania. Rusztowanie nie jest ciesielką, rusztowanie nie jest machiną, rusztowanie nie jest bezwładnem wiązaniem z drzewa, żelaza i postronków. Jest to, zda się, isto-

ta żyjąca, obdarzona złowrogą inicjatywą; zda się, że ta ciesielka widzi, że ta machina słyszy, że to wiązanie rozumie, że to drzewo, to żelazo i te postronki pragną. W okropnem marzeniu, w które wtrąca duszę widok rusztowania, zda ci się, że potwór ten dobrowolnie, chętnie wykonywa swą robotę. Rusztowanie jest wspólnikiem kata; pożera; je ciało, pije krew. Potwora tego spłodzili sędzia i cieśla: jest to widmo, żyjące strasznem życiem, karmiące się tysiącem śmierci.

To też wrażenie było straszne i głębokie; nazajutrz po traceniu i w kilka dni później, biskup wydawał się znękany, zgnębiony. Pogoda, prawie gwałtowna w żałobnej chwili znikła; widmo sprawiedliwości społecznej trapiło go nieustanie. On, co zwykle od wszystkich czynnosci wracał z promieniejącem zadowoleniem, tym razem zdawał się szynić sobie wyrzuty. Chwilami mówił do siebie samego, i szeptał półgłosem ponure monologi. Siostra jego podsłuchała z nich jeden i zanotowała:—Nie sądziłem, żeby to było tak potworne. Wada to zagłębić się w prawie boskiem tak dalece, że się nie dostrzega już prawa ludzkiego. Śmierć należy tylko do Boga. Jakim prawem ludzie dotykają tej rzeczy nieznanej?

Z czasem wrażenia te osłabły, a może i zatarły się. Wszelako zauważono, że biskup odtąd starannie unikał placu, na którym odbywało się tracenie.

Każdej chwili można było wezwać p. Myriel do łoża chorych i umierających. Wiedział, że to jest jedną z najważniejszych prac jego i największych obowiązków. Wdowy i sieroty nie potrzebowały go prosić, sam do nich przychodził. Umiał usiąść i milczeć długie godziny przy mężu, który utracił ukochaną żonę, przy matce, która straciła dziecię. Jak umiał milczeć, tak wiedział stosowną porę do przemówienia. O przedziwny pocieszycielu! Nie starał się zatrzeć boleści zapomnieniem, ale ją uzacnić, udostojnić nadzieją! Mówił:—„Zważ dobrze, jak się zwracasz

do umarłych. Nie myśl o tem, co butwieje i niknie. Patrz w górę. Ujrzysz tam w głębi nieba żyjące światło ukochanego nieboszczyka". Starał się uspokoić człowieka zrozpaczonego, ukazując mu palcem człowieka, z poddaniem znoszącego ogrom boleści: starał się złagodzić boleść patrzącą w grób, ukazując boleść patrzącą na gwiazdę.

V.

Monsignor Benvenuto za długo nosi swoje sutanny.

W życiu prywatnem p. Myriel przebijała się ta sama myśl, co i w życiu publicznem. Kto miał sposobność przypatrzeć mu się zbliska, podziwiał i wielbił dobrowolne ubóstwo, w którem żył ksiądz biskup D.

Jak wszyscy starcy i wielu myślicieli, sypiał mało. Krótki ten sen był głęboki. Rano rozmyślał z godzinę, następnie odprawiał mszę w katedralnym kościele lub domu. Po mszy jadł śniadanie, składające się z chleba żytniego i mleka od własnych krów. Później pracował.

Biskup ma wiele zajęcia; codziennie przyjmować musi sekretarza djecezji, zwykle kanonika i prawie codziennie wikarjuszy jeneralnych. Kontroluje zgromadzenia, daje przywileje, przegląda całą księgarnię duchowną, parafjalną, katechizmy djecezjalne, książki do nabożeństwa i t. p.; pisze listy pasterskie, upoważnia do kazań i słuchania spowiedzi, godzi proboszczów z merami, prowadzi korespondencję kościelną, korespondencję admistracyjną, to z rządem, to ze Stolicą Apostolską: tysiące spraw.

Czas pozostały od tych tysiąca spraw, od brewiarza i obrządków kościelnych, poświęcał najprzód

ubogim, chorym i zasmuconym; czas, który mu zostawili ubodzy, zasmuceni i chorzy, oddawał pracy. To kopał w ogrodzie, to czytał i pisał. Dwa te rodzaje pracy nazywał jednym wyrazem: mówił, iż *bawi się ogrodem*. „Umysł jest ogrodem“ — dodawał.

Około południa, gdy czas był piękny, wychodził na przechadzkę w pole, lub do miasta, często zachodząc do lepianek. Zwykle szedł sam, zamyślony, ze spuszczonemi oczyma, wsparty na długiej lasce, odziany ciepłym paledranem watowanym fioletowego koloru, w fioletowych pończochach, grubych trzewikach i w płaskim kapeluszu trójgraniastym z trzema sutemi kutasami. Radość była wielka wszędy, gdzie się ukazał. Rzekłbyś, że jego przejście miało w sobie coś rozgrzewającego i oświecającego. Dzieci i chorzy wychodzili przed progi domów do biskupa jak do słońca. Błogosławił i jemu błogosławiono. Wskazywano jego dom, gdy ktokolwiek potrzebował czego.

Tu i owdzie zatrzymał się, mówił do chłopców i dzieweczek, uśmiechał się do matek. Nawiedzał biednych, dopóki miał pieniądze, gdy mu ich zbrakło, odwiedzał bogatych.

Ponieważ nosił sutanny przez czas bardzo długi, a nie chciał, żeby to było widoczne, wychodząc na miasto zwykle kładł na wierzch fioletowy paledran. Podczas lata było mu trochę niewygodnie.

Powróciwszy, jadł obiad. Obiad podobny był do śniadania.

Wieczorem o wpół do dziewiątej wieczerzał z siostrą, pani Maglora usługiwała do stołu. Nic skromniejszego nad ten posiłek. Jeżeli jednak biskup miał na kolacji którego z proboszczów, pani Maglora nie omieszkała postawić na stole Jego Eminencji wyborną rybę jeziora, lub delikatną zwierzynę gór. Kiedy proboszcz był dobrym pozorem do wybornej wieczerzy, biskup pozwalał na wszystko. Wyjąwszy jednak takie nadzwyczajne wypadki, na kolację dawano zwykle same arzyny na wodzie, lub zupę na oliwie. Mówiono też

na mieście: — *Kiedy biskup nie je po proboszczowsku, jada jak trapista.*

Po wieczerzy rozmawiał z pół godziny z panną Baptystą i panią Maglorą; później wracał do pokoju swojego i zasiadał do pisania, to na ćwiartkach, to na marginesie jakiego voluminu. Był wszechstronnie ukształconym i trochę uczonym. Pozostawił pięć czy sześć rękopismów dość ciekawych; między innemi rozprawę nad wierszem Genezy: *Na początku duch Boży unosił się nad wodami.* Porównywa z tym wierszem trzy teksty: wiersz arabski mówiący: *Wiatry Boże wiały;* wersję Józefa Flawjusza: *Wiatr z góry rzucał się na ziemię* i nakoniec parafrazę chaldejską Onkelos: *Wiatr pochodzący od Boga wiał na powierzchnię wód.*

W innej rozprawie rozbiera dzieła teologiczne Huga, biskupa Ptolemaidy, pradziada autora tej książki, i utrzymuje, że temu biskupowi należy przypisać różne dziełka, ogłoszone w zeszłym wieku pod pseudonymem Barlezcourta.

Niekiedy, czytając jaką książkę, wpadał nagle w głęboką zadumę i ocknąwszy się, pisał kilka wierszy na kartach. Wiersze te często nie miały żadnego związku z treścią książki. Mamy przed sobą notę, którą napisał na marginesie książki in quarto pod tytułem: *Korespondencja lorda Germain z jenerałami Clinton, Cornwalis i admirałami stacji amerykańskiej. Wersal u Poinsot księgarza i Paryż u Pissot księgarza, ulica Augustjańska.*

Oto jest ta nota:

„O ty, który jesteś!

„Ekklezjastes nazywa Cię Wszechmocą, księgi Machabeuszów nazywają Cię Stwórcą, list do Efezów nazywa Cię Wolnością, Baruch nazywa Cię Nieskończonością, Psalmy nazywają Cię Mądrością i Prawdą, Jan nazywa Światłością, Księgi Królów Panem, Księga Wyjścia Opatrznością, Księga Kapłańska Świętością, Esdrasz Sprawiedliwością, stworzenie nazywa Cię Bogiem, człowiek nazywa Cię Ojcem, ale Salomon nazywa

Cię Miłosierdziem, i to jest najpiękniejsze ze wszystkich nazwisk Twoich".

Około dziewiątej wieczór dwie kobiety odchodziły do swoich pokojów na pierwszem piętrze i zostawiały go samego na dole.

Tu wypada nam dać dokładne wyobrażenie o mieszkaniu księdza biskupa D.

VI.

Kto strzegł domu biskupa?

Dom jego, jak powiedzieliśmy, był o jednem piętrze z poddaszem. W tyle domu ogród, ćwierć morgi rozległy. Dwie kobiety zajmowały pierwsze piętro. Biskup mieszkał na dole. Pierwszy pokój od ulicy był salą jadalną, drugi sypialnią, trzeci kapliczką. Żeby wyjść z kapliczki, trzeba było przechodzić przez sypialnię, a z sypialni nie można było wyjść, nie przechodząc przez pokój jadalny. W głębi kapliczki był alkierzyk zamknięty, z łóżkiem dla gościa. Ksiądz biskup zwykł był zapraszać do siebie na nocleg proboszczów ze wsi, których pilne sprawy, lub interesy parafji sprowadzały do D.

Apteka szpitalna, mały budynek przyległy do domu od strony ogrodu, zamieniony został na kuchnię i spiżarnię.

Prócz tego była w ogrodzie obora, niegdyś kuchnia szpitalna i tu biskup pomieścił dwie krowy. Jakąkolwiek dały ilość mleka, ksiądz biskup niezmiennie każdego poranku wysyłał połowę dla chorych szpitala. — *Płacę moją dziesięcinę* — mawiał.

Jego pokój był dość obszerny i dość trudno ogrzewający się w ostrej porze roku. Ponieważ drzewo jest bardzo drogie w D., wpadł na myśl urządzenia pokoi-

ku w obórce, przedzielając ją przepierzeniem z desek. W tym pokoiku przepędzał wieczory w czasie mrozów. Nazywał go swym *salonem zimowym*.

W tym salonie zimowym, podobnie jak w pokoju jadalnym, jedynemi meblami był stół biały kwadratowy i cztery krzesła wyplatane słomą. Prócz tego w pokoju jadalnym stał stary kredens klejowo malowany na czerwono. Z drugiego podobnego kredensu, przyzwoicie nakrytego ręcznikami i obrusami, obszytemi fałszywą koronką, biskup zrobił ołtarz, ozdabiający kapliczkę.

Jego bogate penitentki i pobożne kobiety z D. często zbierały między sobą składkę na nowy ołtarz do kaplicy J. Eminencji; biskup zawsze, odebrawszy składkowe pieniądze, oddawał je ubogim. — Najpiękniejszym ołtarzem, mawiał, jest dusza biedaka pocieszonego i dziękującego Bogu.

W kapliczce stały dwa krzesła do modlenia się, wyplatane słomą, a w pokoju sypialnym taki sam fotel z poręczami. Gdy przypadkiem przyjmował u siebie na raz siedm, lub ośm osób, prefekta, lub jenerała, lub kilku uczniów ze szkółki duchownej, musiano szukać krzeseł w oborze z salonu zimowego, w pokoju sypialnym, w kaplicy, i w ten sposób zebrano z jedenaście siedzeń dla gości. Za przybyciem nowych gości, ogołacano z mebli jeden pokój.

Niekiedy zeszło się dwadzieścia osób; wówczas biskup ukrywał kłopoty położenia, stojąc przed kominkiem, jeśli była zima, lub przechadzając się po ogrodzie, jeśli było lato.

W zamkniętym alkierzu było także krzesło, ale z plecionką na wpół podartą i o trzech nogach, służyć więc mogło tylko oparte o ścianę. Panna Baptysta miała w swoim pokoju szeroką kanapę z drzewa niegdyś złoconego, okrytą jedwabną materją w kwiaty, ale że schody były za wązkie, musiano ją wciągnąć na górę przez okno, nie liczono więc na nią w razie przenoszenia siedzeń dla gości.

Panna Baptysta marzyła dawniej o sprawieniu kanapy i krzeseł mahoniowych, obitych półaksamitem żółtym. Ale to kosztowałoby najmniej pięćset franków; zobaczywszy przeto, że po pięciu latach udało jej się zaoszczędzić zaledwie czterdzieści dwa franki i dziesięć centymów, wyrzekła się na zawsze tej ambicji. Zresztą, któż na świecie urzeczywistnił swój ideał?

Trudno sobie wyobrazić coś skromniejszego i prostszego nad pokój sypialny biskupa. Drzwi szklane wychodziły na ogród; naprzeciw nich łóżko szpitalne żelazne, osłonione zieloną kotarą z grubej flaneli; w głębi łóżka za firanką toaletka z różnemi potrzebami, zdradzającemi dawne eleganckie zwyczaje człowieka światowego; dwoje drzwi: jedne przy kominku prowadziły do kapliczki, drugie przy bibljotece do sali jadalnej. Bibljoteka, wielka szafa oszklona, pełna była książek; kominek z drzewa koloru marmurkowego, zwykle bez ognia; przy kominku eleganckie cęgi żelazne, ozdobione girlandami i prążkami, nabijanemi srebrem, co było rodzajem zbytku biskupiego; nad kominkiem krucyfiks miedziany, niegdyś posrebrzany, wisiał na wypłowiałym aksamicie czarnym, w ramkach drewnianych z wytartą pozłotą; blisko drzwi wielki stół, na nim kałamarz i pióra, pliki rozrzuconych papierów i grube księgi. Przed stołem fotel wyplatany słomą. Przed łóżkiem klęcznik, pożyczony z kaplicy.

Dwa obrazy w owalnych ramach wisiały po obydwóch stronach łóżka. Złocone napisy na tle obrazu obok postaci wskazywały, że portrety wyobrażały jeden księdza Chaliot, biskupa St. Claude, drugi księdza Tourteau, wikarjusza jeneralnego z Agde, opata Grand Champs. Biskup zajmując pokój po chorych szpitala, zastał te portrety i zostawił. Wyobrażały kapłanów i prawdopodobnie dobrodziejów szpitala; z obydwóch tytułów je szanował. O kapłanach tych tyle tylko wiedział, że król mianował współcześnie dnia 27 kwietnia 1785 r. jednego biskupem, drugiego opatem. Gdy, pani Maglora zdjęła obrazy, żeby je otrzepać z kurzu

biskup znalazł ten szczegół zapisany wyblakłym atramentem na kawałku zżółkłego papieru, w czterech końcach przylepionego lakiem na odwrotnej stronie portretu opata Grand Champs.

Na oknie miał staroświecką firankę z grubej wełnianej materji, która z czasem tak się zestarzała, iż pani Maglora, unikając wydatku na nową, wstawiła w samym środku ogromną łatę. Łata miała kształt krzyża. Podobało się to biskupowi i nieraz mówił: — Jak to ślicznie odbija!

Wszystkie bez wyjątku pokoje, na dole i na górze, wybielone były wapnem, stosownie do mody, przyjętej w koszarach i szpitalach.

W ostatnich przecież latach pani Maglora, jak później zobaczymy, odkryła pod zabielonym papierem malowidło, zdobiące apartament panny Baptysty. Dom ten nim został szpitalem, był salą posiedzeń mieszczaństwa. Ztąd te malowidła. Posadzki izb były z czerwonej cegły, którą myto co tydzień. Przed łóżkami leżały słomianki. Zresztą mieszkanie pod zarządem dwóch kobiet, było wytwornej czystości. Na ten jeden zbytek biskup pozwalał, mówiąc: *To nie odbiera nic ubogim.*

Przyznać jednakże trzeba, że z dawnych czasów pozostało mu sześć nakryć srebrnych i łyżka wazowa, która ku pociesze pani Maglory błyszczała codziennie na grubym obrusie płóciennym. A że malujemy tu biskupa D., jakim był w istocie, powinniśmy dodać, iż nieraz zdarzyło mu się przyznać: „z trudnością odzwyczaiłbym się od jedzenia na srebrze“.

Do tych sreber dołączyć należy dwa grube świeczniki, które odziedziczył po babce. Świeczniki te ze świecami woskowemi zwykle stały na kominku biskupa. Gdy miał kogo na obiedzie, pani Maglora zapalała obydwie świece i stawiała świeczniki na stole.

W pokoju biskupa nad łóżkiem była w murze szafka, do której co wieczór pani Maglora chowała

sześć nakryć srebrnych i wielką łyżkę. Rozumie się, iż nigdy nie wyjmowano klucza.

Ogród, nieco oszpecony budynkami, o których mówiliśmy, składał się z czterech alei, krzyżujących się pod kątem prostym przy studzience; inna aleja dokoła ogrodu szła wzdłuż białego muru, którym był otoczony. Między alejami były cztery kwatery, obsadzone bukszpanem. W trzech pani Maglora miała warzywa; w czwartej biskup sadził kwiaty; tu i owdzie rosły drzewa owocowe. Razu jednego pani Maglora rzekła do niego, uśmiechając się z dziecinną złośliwością: — Wasza wysokość ze wszystkiego umie wyciągnąć pożytek, a oto ta kwatera jest nieużyteczna. Lepiej byłoby zasadzić ją sałatą, niż kwiatami.

— Mylisz się, pani Magloro, — odpowiedział biskup. — Rzecz piękna równie jest potrzebną, jak rzecz użyteczna. — I dodał po chwili milczenia: — A może więcej.

Kwatera ta, złożona z trzech czy czterech klombów, zajmowała księdza biskupa prawie tyle, co książki. Chętnie przepędzał tam parę godzin, obcinając, pieląc, robiąc tu i owdzie dołki, w które sypał ziarna. Nie był takim nieprzyjacielem owadów, jakby tego chciał ogrodnik z rzemiosła. Nie miał też żadnej pretensji do botaniki. Obojętne były dlań systemy uczone, nie studjował roślin, kochał tylko kwiaty. Szanował bardzo uczonych, bardziej jeszcze szanował ciemnych i prostaczków i nie ubliżając ani jednym, ani drugim, co wieczór w lecie podlewał klomby konewką blaszaną, malowaną na zielono.

W całym domu nie było drzwi na klucz zamkniętych. Drzwi jadalnego pokoju, wychodzące wprost na plac katedralny, dawniej ozdobione były ryglami i zamkami, jak wrota więzienia. Biskup kazał wyrzucić te żelaztwa i drzwi dniem i nocą zamykać tylko na klamkę. O którejkolwiek godzinie pierwszy lepszy mógł wejść do biskupa. W początkach niepokoiło dwie kobiety, że drzwi nigdy nie były zamknięte, ale biskup

im mówił: jeżeli chcecie, każcie zaryglować swoje pokoje. W końcu podzielały jego zaufanie, a przynajmniej tak postępowały, jakby w istocie podzielały. Tylko panią Maglorę niekiedy strach zdejmował. Co do biskupa, myśl jego odgadnąć można z trzech wierszy, które napisał na marginesie Biblji: „Ta zachodzi różnica: drzwi lekarza nie powinny nigdy być zamknięte, drzwi kapłana powinny być zawsze otwarte".

Na innej książce p. t. *Filozofia nauki lekarskiej* napisał taką notę: „Czyż nie jestem lekarzem jak oni? ja także mam swoich chorych; najprzód mam ich chorych, których oni nazywają pacjentami, a dalej mam swoich, których nazywam nieszczęśliwymi".

Na innej znowu książce napisał: „Nie pytajcie o nazwisko człowieka, który was prosi o nocleg. Ten mianowicie potrzebuje schronienia, co się własnego nazwiska lęka..."

Jeden zacny proboszcz, nie pamiętamy z jakiej parafji, z Couloubroux czy z Pompierry, zapytał pewnego dnia Jego Eminencji (prawdopodobnie za namową pani Maglory), czy w istocie był pewnym, że nie jest nieopatrznością zostawiać dniem i nocą drzwi otwarte dla każdego i czy nie obawia się jakiego nieszczęścia w domu tak mało strzeżonym. Biskup poważnie położył rękę na jego ramieniu i rzekł: *Nisi Dominus custodierit domum in vanum vigilant, qui custodiunt eam.* [1])

I zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

Chętnie mawiał: „Kapłan musi być równie odważny, jak pułkownik dragonów". „Ale, dodawał, nasza odwaga powinna być spokojną".

---

[1]) „Jeżeli Pan Bóg nie ustrzeże domu, napróżno czuwają ci, co go strzegą".

VII.

Cravatte.

Tu miejsce wspomnieć o zdarzeniu, którego pominąć nie możemy — jest bowiem jednem z tych, co najlepiej malują, jakim człowiekiem był biskup D.

Po wytępieniu bandy Kacpra Bès, który rozbijał w wąwozach Ollioules, jeden z jego podkomendnych, nazwiskiem Cravatte, schronił się w góry z oddziałem rozbójników. Pewien czas tułał się w hrabstwie Nicejskiem, później przedarł się do Piemontu, i nagle ukazał się we Francyi od strony Barcellonetty. Widziano go najprzód w Jauziers, potem w Tuilach. Ukrywał się w pieczarach, zwanych *Jarzmem orlem*, zkąd przez parowy Ubaye i Ubayetty spuszczał się do wiosek i napadał na dwory.

Zagony swe posunął do miasta Embrun, nocą wdarł się do kościoła katedralnego i okradł zakrystję. Rozboje jego trapiły okolicę. Wysyłano w trop za nim żandarmów, ale napróżno. Zawsze zmylał pogonie, niekiedy ucierał się z żandarmami. Był to zuchwały nędznik. W czasie ogólnej trwogi przybył biskup. Odbywał objazd djecezjalny w Chastelar. Mer wyszedł na jego spotkanie i namawiał, aby się zawrócił. Cravatte zajmował górę aż do Arche i dalej. Niebezpiecznie było iść tam nawet z eskortą. Daremnie tylko narażałoby się życie trzech lub czterech biednych żandarmów.

— To też—rzekł biskup—myślę iść bez eskorty.

— Wasza Eminencja myśli o tem serjo — zawołał mer.

— Tak dalece na serjo, że stanowczo nie przyjmuję straży żandarmów i za godzinę ruszam w drogę.

— W drogę?

— W drogę.

— Sam?

— Sam.

— Eminencjo! nie zrobisz tego.

— Na górze—odparł biskup—jest biedna gmina, której od trzech lat nie odwiedzałem. Są to moi dobrzy przyjaciele. Pasterze uczciwi i cisi. Mają jedną własną kozę na trzydzieści strzeżonych, wyrabiają piękne sznureczki wełniane rozmaitych kolorów i wygrywają piosenki góralskie na małych fujarkach. Trzeba im czasami mówić o Panu Bogu. Coby powiedzieli o bojaźliwym biskupie? Coby powiedzieli, gdybym do nich nie poszedł?

— Eminencjo, a rozbójnicy?

— Ach—rzekł biskup—dobrze żeś mi przypomniał. Masz pan słuszność. Mogę ich spotkać. Im także trzeba mówić o Panu Bogu.

— Eminencjo, to banda zbójów! to gromada wilków!

— Panie merze, kto wie, czy Jezus Chrystus nie przeznaczył mnie na pasterza tej właśnie gromady: — kto zna drogi Opatrzności?

— Eminencjo, obedrą cię.

— Nic nie mam.

— Zabiją.

— Starego poczciwego księdza, co idzie, szepcąc pacierze? Ba, a to na co?

— O mój Boże! Jeżeli monsignor ich spotkasz!

— To poproszę o jałmużnę dla moich ubogich.

— Eminencjo nie chodź. Na miłość Boską! nie narażaj swego życia.

— Panie merze, czy o to tylko ci chodzi? *Nie po to jestem na świecie, żeby strzedz życia, ale żeby pilnować dusz.*

Nie było rady, musiano go puścić. Wyruszył w towarzystwie pacholęcia, które ofiarowało się być jego przewodnikiem. Upór biskupa narobił hałasu w okolicy i srodze przestraszył parafjan.

Nie chciał brać z sobą ani siostry, ani pani Maglory. Przejechał górę na mule, nie spotkał nikogo i przybył cały i zdrów do swoich przyjaciół—pasterzy. Bawił dwa tygodnie, każąc, administrując sakramenty, nauczając, pocieszając. Przed odjazdem postanowił był zaśpiewać pontyfikalnie „Te Deum“. Mówił o tem proboszczowi. Ale co począć? Brakowało kościelnego stroju biskupiego. W ubogiej zakrystyi wiejskiej było tylko kilka starych ornatów z wypłowiałego adamaszku, lamowanych szychem.

— Ba—rzekł biskup—księże proboszczu, nic to nie znaczy; zapowiedzmy z kazalnicy nasze „Te Deum“. Jakoś się urządzi.

Szukano w okolicznych kościołach. Wszystkie zebrane razem wspaniałości tych ubogich parafij ledwie mogły przyzwoicie ubrać kantora katedralnego.

Kiedy tak kłopotano się, przybywają do plebanji dwaj nieznajomi jeźdźcy i złożywszy wielką skrzynię dla księdza biskupa, odjeżdżają natychmiast. Otwarto skrzynię. Zawierała kapę złotolitą, mitrę ozdobioną brylantami, krzyż arcybiskupi, wspaniały pastorał i wszystkie szaty pontyfikalne, przed miesiącem skradzione ze skarbca kościoła Najświętszej Panny w Embrun. W skrzyni był także papier, na którym stały te słowa: *Cravatte dla Monsignora Benvenuto.*

— Nie mówiłem, że się jakoś urządzi!—rzekł biskup. I dodał z uśmiechem:—Kto przestaje na komeżce proboszcza, temu Bóg przysyła kapę arcybiskupią.

— Eminencjo—szeptał proboszcz, kiwając głową, Bóg, a może djabeł.

Biskup bystro spojrzał na proboszcza i odparł z powagą:—Bóg.

Gdy wrócił do Chastelar przez całą drogę przypatrywano mu się ciekawie. Na plebanji czekały go panna Babtysta i pani Maglora; biskup rzekł do siostry: „A co! nie miałem racji? ubogi kapłan poszedł do biednych górali z próżnemi rękami, a wrócił od nich z pełnemi. Wyjeżdżając ztąd, brałem z sobą tylko ufność w Bogu, a oto przywożę skarb katedralnego kościoła“.

Wieczorem przed pójściem na spoczynek powiedział jeszcze:—Nie lękajmy się nigdy złodziejów i zbójców. Są to niebezpieczeństwa małe. Ale lękajmy się nas samych. Przesądy — to złodzieje; występki — to zbójcy. Wielkie niebezpieczeństwa są wewnątrz nas. Nie dbajmy o to, co zagraża naszej głowie lub kieszeni. Myślmy tylko o tem, co grozi naszej duszy.

Później, obracając się do siostry:—Siostro, rzekł, kapłan nigdy się nie strzeże, ani obawia bliźniego. Co czyni bliźni, Bóg dopuszcza. Dość nam modlić się, gdy sądzimy, że niebezpieczeństwo zagraża. Módlmy się do Boga nie za nas, ale za brata, co z naszej okazyi w grzech wpada. Zresztą wypadki były rzadkie w jego życiu. Opowiadamy te, o których wiemy; ale zwyczajnie dni upływały mu na wypełnianiu jednakich czynności w jednakich chwilach. Miesiąc jego roku podobny był do godziny jego dnia.

Bylibyśmy w kłopocie, gdyby nas zapytano, co się stało ze „skarbem“ kościoła katedralnego w Embrun. Były to rzeczy bardzo piękne, bardzo ponętne, i bardzo dobre do skradzenia dla ubogich. Zresztą skradzione już raz były. Zła połowa przygody już się spełniła; pozostawało tylko zmienić kierunek kradzieży i pchnąć ją na ścieżkę w stronę ubogich. Z tem wszystkiem, nie twierdzimy niczego w tym przedmiocie. Ale znaleziono w papierach notę dość ciemną, zapewne w związku z tą sprawą; brzmi ona tak: *Zachodzi pytanie, czy ma to powrócić do kościoła katedralnego, czy iść do szpitala.*

VIII.

Filozofja po kieliszku.

Senator, o którym mówiliśmy wyżej (1), był to człek roztargnięty, co szedł prosto przed siebie, nie oglądając się, ani zważając na napotykane przeszkody, zwane sumieniem, zaprzysiężoną wiarą, sprawiedliwością, obowiązkiem; szedł tedy prosto do celu, nie potknąwszy się ani razu na drodze do godności i majątku. Dawniejszy prokurator królewski, rozpieszczony powodzeniem, nie był wcale złym człowiekiem, świadczył drobne przysługi swym synom, zięciom, krewnym, nawet przyjaciołom; brał rozumnie z życia tylko dobre jego strony, dobre sposobności i dobre gratki. Reszta wydawała mu się dość głupią. Był dowcipny i tyle ukształcony, że zdawało mu się, iż jest uczniem Epikura, a rzeczywiście był tylko dzieckiem Pigault-Lebruna. Chętnie a przyjemnie żartował z rzeczy nieskończonych i wiecznych i z „mrzonek poczciwca biskupa". Niekiedy nawet z uprzejmą powagą żartował wobec samego p. Myriel, który cierpliwie słuchał.

Nie pamiętam już na jakiej półurzędowej ceremonji hrabia *** (ów senator) i p. Myriel byli na obiedzie u prefekta. Przy wetach rozochocony, ale zawsze godności swej pomny senator, zawołał:

---

(1) Patrz Rozdział II.

— Dalibóg, księże biskupie, gawędźmy. Senator i biskup z trudnością patrzą na się, nie mrugnąwszy oczyma. Jesteśmy jak dwaj augurowie. Zrobię jegomości wyznanie. Mam swoją filozofję.

— I słusznie—odpowiedział biskup.—Jak sobie kto filozofuje, tak się wysypia. Ty, panie senatorze, spoczywasz na purpurowem łożu.

Zachęcony senator dodał:

— Bądźmy dobremi dziećmi.

— Choćby djabłami, byle dobremi, rzekł biskup.

— Oświadczam tedy jegomości, prawił senator, że margrabia d'Argens, Pyrron, Hobbes i Naigeon wcale nie są osły. Mam w bibljotece wszystkich moich filozofów ze złoconemi brzegami.

— Zupełnie jak ty, panie hrabio—wtrącił biskup.

Senator mówił dalej:

— Nie cierpię Diderota; to ideolog, deklamator i rewolucjonista; w gruncie wierzy w Boga i jest większym bigotem od Voltaire'a. Voltaire niesłusznie żartował z Needhama, bo węgorze Needhama dowodzą, że Bóg jest nieużyteczny (1). Kropla octu w łyżce ciasta wygodnie zastąpi *fiat lux*. Wyobraź sobie grubszą kroplę i większą łyżkę, a będziesz miał świat. Człowiek, to węgorz. A więc na co się przydał ojciec przedwieczny? Księże biskupie, hypoteza Jehowy nudzi mię, nuży. Człek tylko od niej chudnie i majaczy. Precz z wszechpotęgą, która mnie dręczy! Niech żyje Nicość, co mię zostawia w błogim spokoju. Mówiąc między nami otwarcie, i jak przystoi, spowiadając się przed moim pasterzem, wyznam jegomości, że mam zdrowy rozsądek. Nie jestem zakochany w waszym Bogu, który prawi na wsze strony o zrzeczeniu się i poświęceniu. Rada skąpca, dana nędzarzom. Zrzeczenie się: po co? Poświęcenie: dla kogo? Nie wi-

(1) Needham z mikroskopowych obserwacji nad powstawaniem istot organicznych i ze spostrzeżeń o wylęganiu się węgorzy, wnioskował o samorodności stworzenia.

działem, żeby kiedy wilk zarzynał się dla szczęścia drugiego wilka. Pozostańmy więc w granicach przyrody. Stoimy na szczycie; miejmyż filozofję wyższą. Na co się zda stać na górze, jeżeli widzimy tylko koniec nosa drugich? Żyjmy wesoło. Życie, to wszystko. Że człowiek ma drugą przyszłość gdzieindziej, w górze, na dole, gdziekolwiek, nie wierzę ani odrobiny. Ach! zalecają mi poświęcenie i zaparcie, mam czuwać nad wszystkiem, co czynię, mam sobie łamać głowę nad tem, co jest dobre, a co złe, sprawiedliwe a niesprawiedliwe, godziwe a niegodziwe. I po co? bo muszę zdać rachunek z mych czynności. Kiedy? Po mojej śmierci. Śliczne marzenia! Po śmierci, mądry kto mnie zdybie. Proszę mi ręką z cienia schwytać garść popiołu. Mówmy prawdę, my, co jesteśmy wtajemniczeni i podnieśliśmy zasłonę Izydy; nie ma ani dobra, ani zła; jest tylko wegetacja. Szukajmy rzeczywistości, szperajmy, kopmy, sięgajmy do głębi; co u licha! trzeba grzebać pod ziemią, zwąchać prawdę i schwytać. A dopiero da ci wytworne rozkosze. Wtedy stajesz się silny, i żartujesz sobie. O, mnie nie łatwo z nóg zetniesz. Księże biskupie, nieśmiertelność duszy, to bajeczka dla dzieci. O, przedziwna obietnica! Zaufaj jej, jeśli masz ochotę. Śliczny los dostał się Adamowi! jest duszą, będzie aniołem, będzie miał białe skrzydła na łopatkach. Dopomóż jegomość mej pamięci: Wszak to Tertuljan powiedział, że błogosławieni przechodzić będą z jednej gwiazdy na drugą? Będziemy tedy szarańczą gwiazd. A potem zobaczymy Boga. Ta, ta, ta. Brednie wszystkie te raje. Bóg jest potworną mrzonką. Dalibóg nie ogłoszę tego w *Monitorze*: mówi się to między przyjaciołmi. *Inter poculą*. Poświęcać ziemię dla nieba jest to wypuszczać z rąk tłusty kąsek dla cienia. Marzyć o nieskończoności! nie głupim. Jestem nicestwem. Nazywam się hrabia Nicość, senator. Czy byłem przed urodzeniem? Nie. Czy będę po śmierci? Nie. Cóż jestem? Garstka prochu, zlepiona w organizm. Co mi

wypada czynić na tej ziemi? mam do wyboru: cierpieć lub używać. Dokąd mnie zaprowadzi cierpienie? do nicestwa. Alem cierpiał. Dokąd mnie zaprowadzi używanie? do nicestwa. Alem używał. Więc wybór uczyniony. Trzeba albo jeść, albo być zjedzonym. Wolę jeść. Lepiej być zębem niż strawą. Taka moja filozofja. W końcu czeka nas grabarz, czeka nas ziemia, Panteon dla wybranych, wszystko wpada do wielkiego dołu. Koniec. *Finis*. Likwidacja ogólna. Śmierć jest rzeczywiście śmiercią, wierzaj mi jegomość. Śmieszy mnie myśl sama, że tam jest ktoś, z którym będę miał do czynienia. Wymysły piastunek. Czem są strachy dla dzieci, tem Jehowa dla ludzi. Nie, naszem jutrem jest noc. Za grobem są tylko równe nicestwa. Czyś był Sardanapalem, czyś był Wincentym à Paulo — jednakże będziesz nicością. Oto istotna prawda. A więc przedewszystkiem żyj. Używaj życia póki je masz. Doprawdy powiadam księdzu biskupowi, że mam filozofję i swoich filozofów. Lądа brednia nie wywiedzie mnie w pole. Z tem wszystkiem trzeba coś dla chołoty, dla bosaków, dla nędzarzy. Rzucają więc w paszczę zgłodniałej tłuszczy legendy, chimery, duszę, nieśmiertelność, raj i gwiazdy. Niebożęta żują jak mogą te przysmaki: służy to im za masło do suchego chleba. Kto nic nie ma, dają mu Pana Boga. I owszem, niech go biorą, ale dla siebie chowam pana Naigeon (1). Pan Bóg dobry jest tylko dla ludu.

Biskup zaklaskał w dłonie.

— To mi się zowie pięknie mówić! Wyborna, prawdziwie cudowna rzecz ten materjalizm. Nie każdy go ma, kto zechce, ale kto go ma, tego nie wywiedziesz już w pole: nie da się głupio wysyłać na wygnanie jak Katon, ani kamienować jak Szczepan, ani palić żywcem jak Joanna d'Arc. Ci, którym się udało posiąść ten przedziwny materjalizm, mają szczęście i uciechę uważać się za nieodpowiedzialnych i myśleć, że bez troski mogą pożerać wszystko: posady, synekury, godności, władzę, dobrze

(1) Ateusz francuzki, uczeń i przyjaciel Diderota.

lub źle nabytą, przeniewierstwa zyskowne, zdrady użyteczne, smakowite szacherki z sumieniem — i że zstąpią do grobu, skończywszy trawienie. Jak to przyjemnie— nie mówię tego do ciebie, panie senatorze. Wszelako muszę ci powinszować. Wy, wielcy panowie, jak sam powiadasz, macie filozofję własną, dla siebie, wytworną, wyrafinowaną, doskonałą do wszystkich sosów, dziwnie przyprawiającą rozkosze życia. Głęboką tę filozofję wygrzebują tylko uprzywilejowani szperacze. Ale jako panowie łaskawi, pozwalacie, żeby wiara w Pana Boga była filozofją biednego ludu, prawie tak samo, jak gęś, nadziana kasztanami, zastępuje indyka z truflami.

IX.

Siostra o bracie.

Żeby dać wyobrażenie o życiu domowem księdza biskupa w D. o tem, jak dwie zacne kobiety chętnie stosowały swe czyny, myśli, nawet trwożliwe instynkta niewieście do zwyczajów i zamiarów biskupa, choć ich nie starał się dać poznać, podobno dokażemy tego najlepiej, przepisując tu list panny Baptysty do wicehrabiny de Boischevron, przyjaciółki z lat dziecinnych. List ten mamy w ręku.

D.—16 grudnia 18...

„Dobra, kochana pani, nie masz dnia, żebyśmy o tobie nie mówiły. Jest to już w naszym zwyczaju, a teraz przybył nowy powód. Wyobraź sobie, że pani Maglora, myjąc i oczyszczając z kurzu sufit i mury, zrobiła odkrycia; dziś dwa nasze pokoje, obite starym papierem pobielanym wapnem, nie oszpeciłyby pałacu choćby takiego, jak twój. Pani Maglora zdarła wszystek papier. Pod obiciem znalazły się śliczne rzeczy. Salon mój bez mebli, w którym zwykle suszymy bieliznę, jest piętnaście stóp wysoki, a ośmnaście szeroki i tyleż długi; sufit malowany po staroświecku ze złoceniami, belki jak u ciebie. Kiedy tu był szpital, wszystko to okrywało obicie. Nakoniec piękne futrowania jak za czasów naszych prababek. Ale najciekawszy jest mój pokój. Pani Maglora, zdarłszy z jakie dziesięć naklejonych papierów, odkryła wcale

niezgorsze malowidła. Tu Telemaka pasuje na rycerza Minerwa, tam Telemak w ogrodach, których nazwiska zapomniałam, gdzie to damy rzymskie udawały się jednej nocy. Słowem mam Rzymian, Rzymianki *(tu wyraz nieczytelny)* z całym orszakiem. Pani Maglora oczyściła wszystko, tego lata naprawi małe uszkodzenia, obciągnie lakierem, i mój pokój będzie prawdziwem muzeum. Znalazła także na strychu dwa stoliki staroświeckiej roboty. Żądano dwa talary za odzłocenie, lepiej jednak dać je ubogim; zresztą stoliki są brzydkie i wolałabym stół okrągły mahoniowy.

„Zawsze jestem bardzo szczęśliwa. Brat mój taki dobry. Oddaje wszystko ubogim i chorym. Okolica tutejsza jest bardzo biedną. Zima bywa ostra, i trzeba coś czynić dla cierpiących niedostatek. My przynajmniej mamy światło i opał. Jak widzisz, są to wielkie wygody.

„Mój brat ma swój właściwy sposób życia. Powiada, że biskup takim być powinien. Wystaw sobie, że drzwi domu nigdy nie są zamknięte. Kto chce, wchodzi i zaraz jest u brata. Nie boi się niczego, nawet w nocy. Rodzaj to odwagi jemu właściwej, jak mówi.

„Nie życzy sobie, abyśmy z panią Maglorą lękały się o niego. Naraża się na wszelkie niebezpieczeństwa, i nie chce nawet, żebyśmy pokazywały po sobie, że to widzimy. Trzeba umieć go zrozumieć.

„Wychodzi podczas deszczu, broczy w wodzie, podróżuje w zimie. Nie lęka się nocy, dróg niebezpiecznych, ani napaści.

„Przeszłego roku sam jeden poszedł do kraju rozbójników. Nie chciał nawet nas z sobą zabrać. Dwa tygodnie go nie było. Myślano, że zginął, a on wrócił najzdrowszy i rzekł: Patrzcie, jak mię okradziono! I otworzył kufer pełen skarbów kościoła katedralnego w Embrum, które mu rozbójnicy ofiarowali.

„Tym razem wracając do domu, nie mogłam wytrzymać, żeby go trochę nie złajać, ale by nikt nie

słyszał, mówiłam podczas jazdy, gdy turkot powozu słowa zagłuszał.

„Z początku myślałam sobie: żadne niebezpieczeństwo go nie powstrzyma, to człowiek straszny.

„Teraz się przyzwyczaiłam. Panią Maglorę upominam, żeby mu się nie sprzeciwiała. Naraża się, kiedy chce. Ja zabieram panią Maglorę, wracam do swojego pokoju, modlę się za niego i usypiam. Jestem spokojna, gdyż wiem, że gdyby go spotkało nieszczęście, byłby to mój wyrok śmierci. Poszłabym do Pana Boga za moim bratem i biskupem. Pani Maglora trudniej przywykła do tych, jak mawiała, jego nieroztropności; ale dziś uległa. Modlimy się obydwie, lękamy obydwie i usypiamy. Choćby zły duch wszedł do mieszkania, nikt mu nie przeszkodzi. A zresztą, czego się mamy lękać w tym domu? Zawsze przebywa z nami ktoś, co jest najmocniejszy. Djabeł może wejść, ale Pan Bóg mieszka.

„To mi wystarcza. Brat nie ma dziś potrzeby mówić mi ani słowa. Odgaduję jego myśli i polecamy się Opatrzności.

„Tak należy żyć z człowiekiem, który jest duchem wielki.

„Prosiłam brata o dotyczące rodziny Faux objaśnienia, których żądasz odemnie. Wiadomo ci, że on wie wszystko i troskliwie przechowuje wspomnienia, bo zawsze jest dobrym rojalistą. Rzeczywiście jest to bardzo starożytna rodzina normandzka w okręgu skarbowym Caeńskim. Przed pięciuset laty Raul Faux, Jan Faux i Tomasz Faux, byli szlachtą, a jeden z nich panem Rochefortu. Ostatni z nich Stefan Aleksander był jakimś oficerem w lekkiej jeździe Bretańskiej. Jego córka Marja Ludwika zaślubiła Adrjana Karola Gramont, syna Ludwika księcia Gramont, para Francyi, pułkownika gwardji francuzkiej i jenerała porucznika armji. Piszą się Faux, Fauq i Faouq.

„Dobra pani, poleć nas modlitwom swego czcigodnego krewnego, księdza kardynała. Kochana twoja Sylwanja dobrze robi, że nie traci na pisaniu do mnie

krótkich chwil swego pobytu u ciebie. Jest zdrową, pracuje, kocha mnie zawsze. Więcej mi nie potrzeba. I to mnie zadowala, że jak donosisz, pamięta o mnie. Zdrowie moje niezgorsze, ale codzień bardziej chudnę. Bądź zdrowa, chciałabym więcej pisać, ale otóż zabrakło papieru. Wszelkiego szczęścia i pomyślności życzę.

Baptysta".

P. S. „Twój wnuczek jest zachwycający. Wiesz, że wkrótce pięć lat skończy? Wczoraj, widząc konia, któremu włożono nadkolanka, zapytał: co go boli w kolanach? Miła dziecina. Jego młodszy braciszek ciągnie po pokoju starą miotłę, jak powóz i woła: wio!"

Jak widzimy z tego listu, dwie kobiety umiały się zastosować do sposobu życia biskupa, z tym właściwym kobietom genjuszem, co lepiej rozumie mężczyznę, niż on sam siebie. Biskup D. zawsze łagodny, szczery, otwarty, nieraz, nie domyślając się tego, był w czynach wielki, śmiały, wzniosły. Kobiety drżały o niego, ale nie śmiały mu się sprzeciwić. Niekiedy pani Maglora wystąpiła z jaką uwagą, gdy przedsiębrał coś ważnego i jak jej się zdawało, niebezpiecznego — nigdy jednak w czasie czynności i po jej dokonaniu. Nigdy mu się nie mieszały ani słówkiem, ani najmniejszym znakiem, gdy czynność rozpoczął. Były chwile, że chociaż im nie mówił, bo może sam nie miał świadomości, tak doskonałą była jego prostota—czuły instynktowo, że czynił jak przystało na biskupa, a wtedy nie słychać ich było w domu: rzekłbyś dwa jego cienie. Służyły mu biernie, a gdy do posłuszeństwa potrzeba było zniknąć, znikały. Przedziwną delikatnością instynktu wiedzione, rozumiały, że niekiedy troskliwość jest natrętną. To też ilekroć sądziły, że mu grozi niebezpieczeństwo, odgadując nie powiem myśl jego, lecz naturę, przestawały zupełnie czuwać nad nim i polecały go Bogu.

Zresztą, Baptysta, jak wyczytaliście z listu, mówiła, że śmierć jej brata byłaby jej śmiercią. Pani Maglora nie mówiąc, toż samo czuła.

X.

Biskup wobec nieznanej światłości.

W epoce nieco późniejszej od daty listu, któryśmy na poprzedzających przywiedli stronicach, biskup dokonał sprawy, która w przekonaniu miasta, była niebezpieczniejszą daleko od wycieczki w góry, zajęte przez rozbójników.

Niedaleko od D... na wsi żył sobie jeden człowiek w odosobnieniu wielkiem. Był on, powiedzmy śmiało odrazu, członkiem dawnym konwencji. Nazywał się G...

Mówiono o konwencjoniście G... w małym światku miasteczka ze zgrozą i oburzeniem: konwencjonista! możnaż sobie wyobrazić coś straszniejszego? Była to postać z tych czasów, kiedy się wszyscy tykali i mówili do siebie—obywatelu. Człowiek ten musiał być mniej więcej potworem. Wprawdzie nie głosował on, skazując na śmierć Ludwika XVI, ale o niewiele chodziło.

Był to więc niemal królobójca. Musiał być okrutnym. Dlaczego po powrocie rodziny prawych panów Francyi, nie pozwano go przed sąd? Niechby mu byli głowy nie ścięli, jeśli chcecie, boć trzeba być miłosiernym; mniejsza o to, ale na wygnanie wiekuiste przynajmniej zasłużył. Byłby to dobry przykład i t. p.

Wszak to był ateusz, jak oni wszyscy... Słowem, plotki gęsi o jastrzębiu.

Ale G... byłże jastrzębiem w istocie? Zapewne, jeżeli z dzikiego odosobnienia godziło się wnosić. Ponieważ nie głosował przeciw Ludwikowi XVI, nie objęto go wyrokiem wygnania i pozostał we Francji.

Mieszkał o trzy ćwierci mili od miasteczka, zdala od wszelkiej osady, od gościńca, w jakimś wąwozie ukrytym dzikiej doliny. Miał tam rodzaj pola, dziurę, łożysko. Nie było sąsiadów, nikt nawet nie przechodził tamtędy.

Od kiedy mieszkał w tej dolinie, drożynę, wiodącą do niej, trawy porosły. Mówiono o tem miejscu, jak o domu kata—ze zgrozą.

Biskup wszakże myślał i kiedy niekiedyś poglądał w tę stronę, gdzie kupka drzew oznaczała dolinę, w której mieszkał stary konwencjonista, i szeptał sobie: Tam dusza osamotniona.

A w głębi myśli dodawał: — Winienbym ją odwiedzić.

Ale, przyznajmy co prawda, ta myśl, z razu naturalna, po chwili rozwagi zdawała mu się dziką, niepodobną, prawie oburzającą. Bo w gruncie podzielał wrażenie ogólne, a konwencjonista budził w nim, choć sobie z tego sprawy nie zdawał jasno, uczucie, graniczące z nienawiścią, które się najlepiej wyraża wstrętem.

Przecież czy parszywa owca ma odpychać pasterza? nie—ale taka owca!

Dobry biskup był w wielkiej niepewności, chodził czasem w tę stronę i zawracał się.

Dnia jednego wreszcie rozeszły się słuchy, że rodzaj pastucha, chłopak, który posługiwał konwencjoniście G... w jego jamie, przyszedł do doktora i że stary zbrodzień umierał, że go paraliż ruszył, i że nocy nie przeżyje. Chwała Bogu! dodawali, słysząc to niektórzy.

Biskup wziął kij, włożył na wierzch watówkę z powodu wytartej sutanny, jakeśmy już mówili, nadziewaną, a trochę z przyczyny wieczornego wiatru chłodnego, który zaczął powiewać, i poszedł.

Słońce schylało się na zachód i już prawie dotykało widnokręgu, gdy biskup przybył do wyklętego miejsca. Nie bez bicia serca spostrzegł, że zbliżył się do nory. Przelazł przez rów, potem przez płot, podniósł drabinkę, zapierającą drogę, dostał się do opuszczonego podwórka, postąpił kilka kroków dosyć odważnie, i nagle wśród tej nowiny, z za wysokich zarośli, ujrzał jaskinię.

Była to chata nizka, biedna, mała ale czysta, z plecionką obwieszoną winną latoroślą na przodzie.

Przed drzwiami u wchodu, w starem krześle na kółkach, prostej roboty wiejskiej, siedział człowiek białowłosy, uśmiechający się do słońca.

U boku starca siedzącego stał młody chłopak, pastuszek. Podawał właśnie staremu miskę mleka.

Gdy biskup mu się przypatrywał, starzec głos podniósł: — Dziękuję — rzekł — już mi nic nie potrzeba. I uśmiech jego od słońca zwrócił się ku dziecięciu.

Biskup się zbliżył. Słysząc go przybliżającego się, starzec siedzący odwrócił głowę, na twarzy jego wyraziło się tyle zdziwienia, ile oblicze ludzkie po długiem życiu wydać go jeszcze może.

— Od kiedy tu jestem, pierwszy to raz ktoś do mnie wchodzi. Któż pan jesteś?

Biskup odpowiedział:

— Zowię się Benvenuto Myriel.

— Benvenuto Myriel, gdzieś słyszałem to imię. Czy to WPana lud zowie Monsiniorem Benvenuto?

— Tak, mnie.

Starzec mówił dalej z pół-uśmiechem.

— A no, to jesteś moim pasterzem.

— Trochę.

— Proszę wnijść.

Konwencjonista podał rękę biskupowi, ale biskup jej nie wziął i rzekł tylko:

— Miło mi się przekonać, że mnie zwiedziono, jak się zdaje. Pan nie wydajesz mi się tak chory?

— Wkrótce — odparł stary — spodziewam się być zupełnie uleczonym.

A po przestanku, dodał:

— Za trzy godziny umrę.

I mówił dalej:

— Jestem trochę lekarzem: wiem, jak ostatnia godzina przychodzi. Wczoraj tylko nogi miałem zastygłe, dziś chłód i odrętwienie doszły do kolan, teraz je czuję postępujące do pasa: gdy dojdą do serca, będzie koniec. Słońce świeci pięknie, nieprawdaż? Kazałem się wytoczyć przed chatę, aby jeszcze raz na świat spojrzeć. Możecie mówić, to mnie nie zmęczy wcale. Dobrzeście uczynili, żeście przyszli popatrzeć na umierającego człowieka. Godzi się, by ta uroczysta godzina miała świadków. Są czasem manje śmieszne, chciałbym dociągnąć do ranka. Ale wiem pewnie, że dalej trzech godzin nie pociągnę. Będzie właśnie noc. Zresztą — co mi tam! skończyć, rzecz bardzo prosta. Na to niekoniecznie potrzeba poranku. Niech i tak będzie. Umrę przy gwiazdach.

Starzec obrócił się do pastuszka.

— Ty idź spać. Siedziałeś całą noc przeszłą, musisz być zmęczony.

Dziecię weszło do chaty.

Stary pociągnął za niem wzrokiem i dodał, jakby sam do siebie:

— Będzie spał, gdy umrę. Dwa sny mogą się obok siebie wygodnie pomieścić.

Biskup nie był wcale wzruszony, choć się zdawało, że mógł doznać wrażenia. Zdawało mu się, że w tej śmierci nie czuł jeszcze Boga; powiedzmy prawdę, bo drobne sprzeczności, mieszcząc się w sercach wielkich, starannie oznaczać należy, jak wszelkie inne okoliczności: on, co zawsze uśmiechał się chętnie, gdy go nazywano Jego Wysokością, trochę się czuł dotknięty tem, że starzec nie zwał go Monsiniorem, chciało mu się odpowiedzieć — Obywatelu. Przychodziła mu chętka jakaś obejścia się z nim poufale, a trochę ostro, którą często miewają lekarze i księża, ale do niej nie był wcale przywykły. Zresztą ten człowiek, ten konwencjonista, ten

reprezentant ludu, był niegdyś potęgą ziemską; pierwszy raz w życiu biskup poczuł się w usposobieniu do surowości.

Konwencjonista tymczasem przypatrywał mu się ze skromną serdecznością jakąś, w której badacz mógłby był poczuć pokorę, jaka przystała człowiekowi, mającemu za chwilę w proch się rozsypać.

Biskup ze swej strony, chociaż się wystrzegał ciekawości, która wedle niego mogła się stać prawie obrażającą, nie mógł się powstrzymać od rozpatrywania się w tym człowieku z uwagą, która nie płynęła wcale z miłości i współczucia, i byłoby mu pewnie względem każdego innego wyrzucało ją sumienie: konwencjonista wydawał mu się trochę istotą, wyłączoną z praw ogólnych, nawet z prawa miłosierdzia.

G... spokojny, prawie wyprostowany, miał głos silny jeszcze i dźwięczny, przedstawiał typ osiemdziesięcioletniego człowieka, któryby zadziwił fizjologa. Rewolucja wielu wydała takich ludzi dorosłych do miary tej epoki. Czuć w nim było męża, który przetrwał wszystkie próby. Blizki śmierci, miał jeszcze ruchy i postawę zdrowia... W jego wejrzeniu jasnem, w mowie wyraźnej, w silnem dźwiganiu ramion, było tyle życia, że się go śmierć ulęknąć i cofnąć przed nim mogła. Azrael, mahometański anioł grobów, byłby przed nim ustąpił i sądził, że się omylił, nie do tych drzwi pukając, gdzie nań czekano. G... zdawał się umierać dlatego tylko, że tego żądał; w jego skonaniu była jakaś swoboda: nogi tylko miał nieruchome. Ciemności szły i postępowały nań od dołu. Nogi były już zimne i umarłe, a głowa jeszcze żyła całą potęgą życia pełnego i zdawała się jaśnieć światłem. G... w tej chwili poważny, podobny był temu królowi wschodniej powieści, który był u góry ciałem, od dołu marmurem.

Leżał kamień niedaleko. Biskup siadł na nim i począł rozmowę *ex abrupto*.

— Winszuję panu — rzekł — zawsześ waćpan przynajmniej nie głosował przeciwko Ludwikowi XVI i nie skazał go?

Konwencjonista nie zdawał się uważać na gorzką myśl, ukrytą w tem słówku *zawsze*, i odparł ze zmienioną twarzą, na której już cienia uśmiechu nie było.

— Nie winszuj mi pan zbytecznie — głosowałem przeciwko tyranji.

Głos jego był surowy i odpowiadał surowo na ostre pytanie biskupa.

— Co pan przez to rozumiesz? — spytał biskup.

— Mówię, że tyranja, od której najwięcej cierpi człowiek, to ciemnota jego. Przeciwko tej tyranji jam głosował. Z tego to tyrana zrodziła się samowola, która jest władzą sfałszowaną, tak jak nauka i światło są władzą w blasku prawdy. Człowiekiem winna tylko rządzić nauka.

— A sumienie? — spytał biskup.

— To wszystko jedno. Sumienie jest pewną ilością nauki wrodzonej, którą z sobą na świat przynosimy.

Monsinior Benvenuto słuchał, trochę zdziwiony, nowej zupełnie dla siebie mowy.

— Co do Ludwika XVI, tegom nie skazywał, wyrzekłem — nie. Nie przyznaję sobie prawa skazywania człowieka na śmierć, ale czuję obowiązek wytępienia złego. Więc głosowałem przeciwko tyranji, to jest przeciw prostytucji niewiasty, przeciw niewoli mężczyzny, przeciw ciemnościom dziecięcia, chciałem by się to wszystko skończyło. Głosując za rzeczpospolitą, głosowałem za nimi. Głosowałem za zgodą, za braterstwem, za świtem dni nowych, przyłożyłem się do obalenia przesądów i błędu. Ruina błędów i przesądów musi być światłem. My w gruzy rozbiliśmy świat stary, a świat ów, naczynie nieprawości, wylewając się na rodzaj ludzki, stał się urną wesela...

— Wesela zmieszanego z wielą...

— Mógłbyś pan rzec: wesela przerwanego, a dziś, po tym nieszczęsnym powrocie przeszłości, który zowią 1815 r., wesela utraconego. Niestety, dzieło było niepełne, niedokończone, wyznaję, obaliliśmy dawny porządek w faktach, nie mogliśmy skruszyć go w ideach. Zniszczyć nadużycia nie dosyć, trzeba zmienić obyczaje. Młyna nie ma, ale wieje wiatr, co go obracał.

— Niszczyliście; i niszczenie może być użytecznem, ale wstręt czuję do zniszczenia, któremu gniew i namiętność towarzyszą.

— Prawo ma także swe gniewy, księże biskupie, a gniew prawa jest żywiołem postępu. Mniejsza o to; bądź co bądź, ta epoka przecie jest krokiem najszerszym, jaki ludzkość od przyjścia Chrystusa uczyniła ku postępowi. Nie zupełny to krok, ale wielki. Z niego się wywiązały wszystkie cyfry, które ludzkość dotąd przez X znaczyła. Epoka ta złagodziła umysły, uspokoiła, uśmierzyła, oświeciła, spłynęły z niej rzeki orzeźwiające cywilizacji na świat. Była dobrą — była namaszczeniem ludzkości.

Biskup nie mógł się wstrzymać, by nie dodał:

— Tak! a 93.

Konwencjonista ruszył się na krześle z uroczystą, prawie grobową powagą i o ile umierający krzyknąć może, zawołał:

— Ach! ach! doszliście doń przecie! 93. Czekałem tego tylko! Chmura zbierała się przez półtora tysiąca lat, w końcu lat tysiąca pięciuset pękła, lunęła — wytaczacie sprawę piorunowi, który z niej uderzył.

Biskup uczuł, choć się sam do tego nie przyznawał przed sobą, że w nim coś się poruszyło, że był przejęty. Jednakże nie tracił pewności, nie zmienił postawy i odrzekł:

— Sędzia mówi w imię sprawiedliwości, kapłan odzywa się w imię miłosierdzia, które jest także sprawiedliwością, ale wznioślejszą tylko. Piorun nie powinien się był omylić.

I dodał, wpatrując się bacznie w konwencjonistę:
— A Ludwik XVII?

Konwencjonista wyciągnął rękę i pochwycił nią za ramię biskupa.

— Ludwik XVII! obaczmyż, po kim płaczecie? czy po dziecięciu niewinnem? bardzo dobrze, ja zarówno płaczę z wami. Czy po dziecku królewskiem? zastanówmy się tylko: dla mnie brat Kartusza, dziecko niewinne, powieszone za ręce na placu Grève i umęczone na śmierć, za to, że było bratem zbrodniarza, jest obrazem równie bolesnym, jak wnuk Ludwika XV, dziecię niewinne także, zamęczone w wieżycy Temple za to tylko, że było wnukiem Ludwika XV.

— To zbliżenie wcale mi się nie podoba — rzekł biskup.

— Nie rozumiem, o kogo się pan upominasz? Czy o Ludwika XV?

Była chwila milczenia. Biskup żałował prawie, że przyszedł, a jednak czuł się w głębi jakoś dziwnie poruszony i wstrząśnięty.

Konwencjonista mówił dalej:

— A! mości księże, nie lubicie surowej prawdy — ale Chrystus ją miłował. Brał rózgę w rękę i oczyszczał świątynię. Jego bicz, błyskawic pełen, był ostrym głosicielem prawdy. Gdy wołał — *Sinite parvulos*, nie rozróżniał pochodzenia dzieciątek. Nie byłby pewnie robił różnicy między spadkobiercą Barabasza i dziedzicem Heroda. Panie mój, niewinność sama jest najpiękniejszą skroni koroną; niewinności tytułów żadnych nie trzeba. Ona jest równie wspaniałą w łachmanach i purpurze.

— To prawda — rzekł biskup po cichu.

— Nalegam na to — mówił dalej konwencjonista G. — Wyrzekłeś pan imię Ludwika XVII. Porozumiejmy się. Mamy płakać nad wszystkimi niewinnymi, nad wszystkimi męczennikami, nad wszystkiemi dziećmi, wysoko czy nisko urodzonemi? ja płaczę z wami. Ale jeżeli tak, mówiłem już, sięgnijmy wyżej niż 93; daleko

wprzód nim Ludwik XVII zginął męczennikiem, łzy rozpocząć się powinny. Będę z wami płakał chętnie nad dziećmi królewskiemi, ale zapłaczcie ze mną nad ludu niemowlętami.

— Ja płaczę nad wszystkimi zarówno — rzekł biskup.

— Tak! równo — zawołał G. — a jeżeli się ma szala przechylić, to dla słabszych, co od tak dawna już cierpią.

I była chwila milczenia. Konwencjonista ją przerwał. Podźwignął się na łokciu, wziął w dwa palce ręki policzek, jak się machinalnie czyni, zastanawiając i sądząc rozważnie i począł badać biskupa, przeszywając go wzrokiem, pełnym energicznego wysiłku ostatniej życia godziny. Był to wybuch prawie.

— Tak, panie, lud cierpi od bardzo dawna. Zresztą nie wszystko to jeszcze, dla czego mnie badacie i mówicie mi o Ludwiku XVII? Ja was nie znam. Odkąd żyję w tej okolicy, byłem zamknięty w tym kącie, sam, nogą nie wyszedłem nigdzie, nie widziałem żywej duszy prócz tego dziecięcia, które mi posługiwało. Imię wasze, przyznaję, dochodziło zdaleka uszu moich i to w sposób dlań dosyć, zgadzam się na to, przychylny, ale cóż to znaczy? Zręczni ludzie tak dobrze umieją ten poczciwy lud uwodzić. Ale, cożem nie słyszał turkotu waszego powozu? musieliście go porzucić za laskiem, zapewne u rozstajnej drogi. Ja was nie znam, powtarzam. Powiedzieliście mi, że jesteście biskupem, ale mnie to o moralnem znaczeniu waszem nie objaśnia. Koniec końcem, powtarzam moje pytanie: — Kto wy jesteście? Jesteście biskupem, to jest książęciem kościoła, jednym z tych wielkich ludzi ozłoconych, uherbowanych, pensjonowanych, którzy mają tłuste dochody. Biskupstwo D... piętnaście tysięcy przychodu przypadkowego, w ogóle dwadzieścia i pięć tysięcy franków; jesteście z tych, co mają kuchnie paradne, liberje, stół wyśmienity, którzy w piątek zajadają kurki wodne i paradują z lokajami na przodzie, z lokajami z tyłu, w karetach galowych, sie-

dzą w pałacach i jeżdżą powozami w imię Jezusa Chrystusa, który chodził boso. Jesteście prałatem; dochody, pałace, konie, stół dobry, wszystkie życia wytwory, macie to jak i drudzy, jak drudzy ich używacie, bardzo pięknie: ale to za mało jeszcze, albo za wiele; nie mogę z tego dojść wartości osobistej, istotnej człowieka, który do mnie przychodzi, myśląc, że z sobą mądrość przynosi. Z kim mówię? powtarzam: Kto pan jesteś?

Biskup schylił głowę i rzekł po cichu:

— *Vermis sum* [1]).

— Ho! ho! robak ziemi, który sobie jeździ karetą! — zamruczał konwencjonista.

Z kolei konwencjonista poczynał z góry, a biskup stawał się pokornym.

I odparł łagodnie:

— No tak, mój panie; ale mi racz wytłumaczyć, dla czego moja kareta, która tam stoi o dwa kroki ztąd za drzewami, mój dobry stół i owe kurki wodne, które zjadam w piątek, czem moje dwadzieścia pięć tysięcy fr. dochodu, mój pałac i moi lokaje dowodzą, że litość nie jest cnotą, że miłosierdzie nie jest obowiązkiem, że 93-ci rok nie miał litości i miłosierdzia?

— Konwencjonista przesunął ręką po czole, jakby zeń chciał zetrzeć mgłę, która je osnuła.

— Nim odpowiem — rzekł — proszę was, przebaczcie mi. Zbłądziłem, wyznaję szczerze. Jesteście u mnie, moim gościem; winienem wam uprzejmość. Roztrząsacie idee moje; słusznem jest, bym się ograniczył zbijaniem rozumowań waszych. Wasze bogactwo i mienie są to korzyści położenia, z którychbym mógł coś wyciągnąć za sobą; ale nieprzyzwoitem jest, żebym tego środka używał: przyrzekam wam, że go już nie tknę.

— Dziękuję — rzekł biskup.

G. mówił dalej:

---

[1]) Robakiem jestem.

— Wróćmy do tłumaczenia, któregoście odemnie żądali. Na czemżeśmy stanęli, coście mi mówili? że 93 rok był bez litości? nieubłagany?

— Tak, nieubłagany! — powtórzył biskup. — Cóż powiecie na Marat'a, przyklaskującego gilotynie?

— Co myślicie o wielkim Bossuecie, śpiewającym Te Deum po dragonadach przeciwko protestantom?

Odpowiedź była ostra, ale uderzała w cel, jak żelazne ostrze miecza. Biskup wzdrygnął się, nie przyszła mu na myśl odpowiedź, uczuł się obrażony takiem brutalnem wymienieniem Bossuet'a. Najpiękniejsze umysły dopuszczają się czasem bałwochwalstwa i czują się zranione brakiem poszanowania ze strony logiki.

Konwencjonista poczynał dyszeć, astma konania, która z ostatnim tchem się miesza, odbierała mu głos; lecz w oczach jego promieniała dusza jasna. Mówił dalej:

— Powiedzmy jeszcze sobie słów kilka . . . służę chętnie. Odłożywszy na bok tę erę, która wzięta w całości jest uznaniem się ludzkości całej, 93, niestety, był tylko odpowiedzią na pytanie. . . Znajdujesz go pan nieubłaganym, a przeszłość byłaż litościwą?

Carrier był rozbójnikiem, zgoda, a jakże nazwiemy Montrevela? Fouquier-Tainville łajdak, ale cóż powiecie o Lamoignon-Bâville? Máillard okrutnik, no a Saulx-Tavannes jak się podoba? Ojciec Duchesne srogi jest, ale jakież imię dacie ojcu Letellier? Jourdan Coupe-Tète poczwara, ale może nie tak monstrualna jak margrabia Louvois. A! a! mości panie, żal mi szczerze Marji Antoanety, arcyksiężniczki i królowej, ale równie lituję się nad tą biedną niewiastą hugonotką, która w r. 1685, za Ludwika Wielkiego, karmiąca dziecię, przywiązana została naga przez pas do słupa, a dziecię jej trzymano zdaleka... Pierś jej podnosiła się pokarmem, serce wypełniało boleścią; niemowlę zgłodniałe, blade, patrzyło na pierś macierzyńską i konając krzyczało . . . a kat wołał na kobietę, matkę-karmicielkę:

— Wyrzecz się! Dając jej do wyboru między śmiercią dziecięcia i zabiciem sumienia. — Co pan mó-

wisz o tej męczarni Tantala, zastosowanej przeciw biednej matce? Pamiętaj pan o tem dobrze, epoka ta miała powody bytu; gniewy jej i namiętność uniewinni przyszłość — jej skutkiem — poprawa świata. Z jej najdzikszych ciosów rosną dla ludzkości pieszczoty. Skracam, kończę, bo mam zbyt wiele za sobą — a zresztą . . . umieram.

I odwróciwszy oczy od biskupa, konwencjonista dokończył myśli swej w kilku słowach spokojnych.

— Tak, tak: postęp w swym chodzie nieubłaganym zowie się przewrotem. Gdy ten ustanie, uznają później, że ludzkość cierpiała, lecz szła.

Konwencjonista nie wiedział, nie domyślał się, że mówiąc, zbijał wszystkie argumenta, jakie biskup w duchu przeciwko niemu stawił; pozostał wszakże jeden jeszcze i z za okopów monsinior Benvenuto, opierając się jeszcze, strzelił nim, a w słowie jego znowu cała surowość początku rozmowy się ozwała.

— Postęp powinien mieć wiarę w Boga. Bezbożny sługa nie może ku dobremu służyć, złym przewodnikiem dla ludzkości jest ateizm.

Stary reprezentant ludu nic nie odpowiedział, począł drżeć, spojrzał w niebo i łza powoli napełniła mu źrenice — gdy te wezbrały, pociekła po twarzy wybladłej, a starzec odezwał się jąkając, cicho i jakby do siebie, spoglądając w głębiny niebios:

— O Ty! o ideale! Ty, co sam jesteś istnością!!

Biskup doznał niedającego się opisać wzruszenia.

Po chwili milczenia, starzec podniósł palec w niebo i rzekł:

— Jest nieskończoność... tam! tam! Gdyby nieskończoność nie miała swojego *ja*, *ja* byłoby jej granicą, nie byłoby nieskończoności... jaśniej mówiąc: nie istniałaby... A ona jest! więc ma swe *ja*... Tem *ja* nieskończoności, jest Bóg.

Umierający wyrzekł te wyrazy ostatnie głosem donośnym, ze drżeniem zachwytu wewnętrznego, jak

gdyby wpatrywał się w kogoś. A gdy dokończył, zamknęły mu się powieki. Wysiłek go wyczerpał. Widocznem było, że w chwili jednej wyżył kilka godzin, które mu jeszcze pozostawały. To, co wyrzekł, zbliżyło go do tego, który jest wpośród śmierci. Chwila ostateczna zbliżyła się.

Biskup dorozumiał się tego, pilno było, przybył tu jako kapłan; z zupełnej oziębłości przeszedł stopniami do niezmiernego wzruszenia, spojrzał na te oczy przymknięte, ujął tę dłoń pomarszczoną i skostniałą, pochylił się ku konającemu.

— Jest to godzina Boża! Nie znajdujesz bracie, że żalby było, gdybyśmy na tej ziemi spotkali się napróżno?

Konwencjonista podniósł powieki. Powaga, pokryta cieniem jakimś, rozpostarła się na jego twarzy.

— Księże biskupie, — rzekł z powolnością — która znamionowała raczej uczucie godności duszy, niż osłabienie ciała — spędziłem życie na rozmyślaniu, badaniu, rozpatrywaniu się w świecie. Miałem lat sześćdziesiąt, gdy kraj mój powołał mnie i rozkazał się wmieszać w sprawy swoje. Były nadużycia, walczyłem z niemi, były wielkie, niszczyłem; były prawa i zasady, te głosiłem i wyznawałem... Ziemia nasza była napadniętą, broniłem jej: Francja zagrożoną, nastawiłem piersi. Nie byłem bogaty, dziś jestem ubogi. Byłem jednym z tych, którzy trzymali władzę w ręku; piwnice banku były przepełnione kruszczem tak, że je podpierać musiano, aby ich nie rozsadził ciężar srebra i złota: jadałem w garkuchni pod Suchem Drzewem za dwadzieścia dwa su od osoby. Wspierałem uciśnionych, pomagałem cierpiącym. Może rozdarłem pokrycie ołtarza, prawda; alem niem obwiązał rany tych, co boleli za ojczyznę. Wspierałem zawsze pochód ludzkości ku światłu, czasem opierałem się postępowi, gdy postęp był bez litości. Często przy zdarzonej okoliczności opiekowałem się nieprzyjaciołmi mymi, wami. Jest w Peteghem we Flandrji miejsce to, gdzie królowie

merowingscy mieli letnie pałace; stoi tam klasztór Urbanistów, opactwo Św. Klary z Beaulieu, które ocaliłem w r. 1793. Dopełniłem obowiązków moich, o ile sił stało, robiłem dobrze, jakiem mógł i umiał. Potem zostałem wygnany, ścigany, prześladowany, oczerniony, wyśmiany, spotwarzony, przeklęty, wywołany. Od wielu już lat, z memi białemi włosami, czuję, że wielu ludzi myśli, iż są w prawie mną pogardzać; dla biednego ślepego tłumu mam oblicze potępieńca i przyjmuję, nie przeklinając nikogo, odosobnienie nienawiści.

Teraz doszedłem osiemdziesięciu sześciu lat, mam umrzeć: czego, powiedz mi, chcesz odemnie?

— Chcę... twojego błogosławieństwa!—rzekł biskup.

I ukląkł przed nim.

Gdy podniósł głowę, oblicze konwencjonisty przybrało wyraz majestatyczny. Starzec skonał.

Biskup powrócił do domu głęboko przejęty i pogrążony, nie wiem w jakich myślach. Całą noc spędził na modlitwach. Nazajutrz kilku śmielszych ciekawych próbowało go zaczepić o konwencjonistę G. — wskazał im tylko na niebo.

Od tej chwili czułość jego i braterska miłość dla ubogich i cierpiących podwoiła się jeszcze.

Wszelkie przypomnienie tego starego zbrodniarza G... w dziwne go jakieś wpędzało zadumy.

Nikt zaręczyć nie może, iż przejście tego ducha przed jego obliczem i odblask tego wielkiego sumienia nań rzucony, nie przyłożył się do zbliżenia go jeszcze ku doskonałości, do której dążył.

Te odwiedziny pasterskie spowodowały naturalnie rozmaite paplaniny w małych koteryjkach miejscowych.

Czy to miejsce było dla biskupa u łoża takiego umierającego? Widoczną rzeczą, że tam się nie było można spodziewać nawrócenia. Wszyscy ci rewolucjoniści są niepoprawni. Więc pocóż było chodzić? co się tam mógł dopatrzeć? Trzeba było koniecznie przekonać się, jak djabli biorą duszę!

Jednego dnia pewna wdowa, z tego rodzaju, który udając dowcip, wierzy w impertynencję, odezwała się do niego:

— Monsiniorze! pytają kiedy Wasza Wysokość dostanie czerwone na głowę pokrycie.

— O! o! kolor to bardzo wyrazisty! — odparł biskup. — Szczęściem, że ci, co się tak wzdragają czapki czerwonej, szanują czerwony kapelusz.

XI.

Zastrzeżenie.

Gruboby się mylono, wnosząc z wyżej opisanego zdarzenia, że monsinior Benvenuto był *biskupem filozofem*, lub *proboszczem patryotą*. Jego spotkanie, rzekłbym prawie, połączenie z konwencjonistą G., zdziwiło go tylko i uczyniło jeszcze łagodniejszym, nic więcej.

Chociaż monsinior Benvenuto wcale nie był człowiekiem politycznym, nie od rzeczy będzie wskazać tu w kilku słowach, jaką zachowywał postawę względem wypadków ówczesnych, przypuszczając, że monsinior Benvenuto myślał kiedy o postawie.

Cofnijmy się wstecz o lat kilka.

W trzy lata po wyniesieniu p. Myriel na biskupstwo, cesarz mianował go baronem państwa, podobnie jak wielu innych biskupów. W nocy z dnia 5 na 6 lipca 1809 r., uwięziono Papieża i z tego powodu Napoleon powołał p. Myriel do Paryża na synod biskupów francuskich i włoskich. Zgromadzenie zebrało się w kościele Najświętszej Panny i poraz pierwszy odbyło posiedzenie 15 czerwca 1811 r. pod prezydencją kardynała Fesch. P. Myriel należał do dziewięćdziesięciu pięciu obradujących. Obecnym był jednak tylko na jednem posiedzeniu i na trzech czy czterech konferencjach prywatnych. Biskup, żyjący w górach, zbliżony

do przyrody, z ubóstwem wieśniaczem, zda się wniósł pomiędzy dostojne osoby inne idee, które zmieniły temperaturę zgromadzenia. Prędko też wrócił do D. Zapytany, dlaczego śpiesznie opuścił stolicę, odpowiedział: *Byłem im na zawadzie. Przezemnie wiało na nich świeże powietrze z podwórza. Sprawiałem skutek drzwi otwartych.*

Innym razem mówił: *Co chcecie? ci panowie są książęta. A ja jestem tylko biednym biskupem wieśniaczym.*

W istocie nie podobał się. Między wielu dziwnemi rzeczami, pewnego wieczora, gdy był u jednego z najdostojniejszych swych kolegów, wyrwały mu się takie słowa: Piękne zegary! pyszne kobierce! służba galonowa! Jakie to uciążliwe! O, nie chciałbym mieć tych zbytków i nieustannie słyszeć wołanie: tylu cierpi głód! tylu cierpi chłód! tylu ubogich! tylu ubogich!

Powiedzmy mimochodem, nienawiść przepychu nie jest nienawiścią rozumną, bo obejmuje zarazem nienawiść sztuk pięknych. A jednak w osobach duchownych, jeśli wyłączymy obrządki kościelne, przepych jest wadą. Zdradzać się zdaje skłonności i zwyczaje nie bardzo zgodne z miłosierdziem chrześcjańskiem. Kapłan bogaty — to sprzeczność z jego świętym charakterem. Kapłan winien stać blisko ubogich. Któż, dotykając dniem i nocą wszystkich nieszczęść, nędz i niedoli, nie pokryje się źdźbłem świętego ubóstwa, niby kurzem znojnej pracy? Wyobraźcie sobie człowieka, co stoi nieustannie przy żarze, a nie gorąco mu? Wyobraźcie robotnika, co nieustannie pracuje przy rozpalonem ognisku, a nie ma ani włosa osmalonego, ani palców poczernionych, ani kropli potu, ani odrobiny popiołu na twarzy! Pierwszy dowód miłosierdzia w kapłanie, zwłaszcza w biskupie, jest ubóstwo dobrowolne.

Tak zapewne myślał ksiądz biskup D.

Zresztą nie trzeba sądzić, że w wielu rzeczach drażliwych podzielał to, cobyśmy nazwali *ideami wieku*. Mało się wdawał w ówczesne spory teologiczne i mil-

czał o kwestjach, w których Kościół ściera się z Państwem; gdyby jednakże bardzo nań nalegano, pokazałoby się, że jest raczej ultramontanem niż gallikanem.

Ponieważ kreślimy portret i nie chcemy ukrywać niczego, zmuszeni jesteśmy dodać, że z lodowatą obojętnością patrzył na upadek Napoleona. Od roku 1813 dzielił lub pochwalał wszystkie nieprzyjazne manifestacje. Nie chciał widzieć Napoleona, gdy powracał z Elby; podczas stu dni rządów cesarskich zakazał w swej djecezji modłów publicznych za niego.

Oprócz siostry, panny Baptysty, miał dwóch braci: jeden był jenerałem, drugi prefektem. Dosyć często pisywał do obu. Z pierwszym przez pewien czas był oziębłym za to, że gdy dowodził w Prowancji, w czasie wylądowania w Cannes, jenerał na czele tysiąca dwustu ludzi tak ścigał cesarza, jakby umyślnie chciał go z rąk wypuścić. Serdeczniejszym w korespondencjach był z drugim bratem, dawnym prefektem, poczciwym i zacnym człowiekiem, który mieszkał w Paryżu przy ulicy Cassette.

Tak więc i monsinior Benvenuto nie był czasem wolny od ducha stronnictwa, miał te chwile goryczy, chwile pochmurne. Cień namiętności politycznych przemknął przez ten umysł łagodny i wielki, zajęty sprawami wiecznemi. Zaiste, człowiek taki godzien był nie mieć opinij politycznych. Prosimy tu, żeby źle nie rozumiano naszej myśli: nie bierzemy za jedno tego, co się zowie *opinjami politycznemi*, z wielką miłością postępu, ze szczytną wiarą ojczystą, ludową i ludzką, która za dni naszych winna być gruntem każdego umysłu szlachetnego. Nie zapuszczając się w kwestje, nie będące w pośrednim związku z tą książką, powiemy poprostu: pięknieby zaiste było, gdyby monsinior Benvenuto nie był rojalistą i gdyby wzrok jego ani na chwilę nie odrywał się od pogodnego, jasnego widzenia, w którem po nad złudzeniami i nienawiściami świata, po nad burzliwemi korowodami rzeczy ludzkich, promienieją trzy przeczyste światłości: Prawda, Sprawiedliwość i Miłość.

Przyznając zupełnie, że Bóg nie stworzył monsiniora Benvenuto do spraw politycznych, zrozumielibyśmy i podziwiali protestację w imię prawa i swobody, dumną opozycję, opór niebezpieczny a sprawiedliwy przeciw wszechpotężnemu Napoleonowi. Ale co nam się podoba w postępowaniu względem wznoszących się do szczytu, mniej to chwalimy względem chylących się do upadku. Lubimy walkę dopóki łączy się z niebezpieczeństwem; a w każdym razie tylko walczący w pierwszej godzinie mają prawo być nieubłaganymi w ostatniej. Kto nie był uporczywym oskarżycielem w czasach pomyślności, winien umilknąć wobec ruiny. Ten tylko słusznie karcić może upadek, kto ciskał rękawicę powodzeniu. Co do nas, skoro sama Opatrzność uderza, cofamy rękę. Rok 1812 zaczyna nas rozbrajać. W roku 1813 nikczemne przerwanie milczenia przez to ciało prawodawcze, co dotychczas nie miało słów w ustach, a nagle ogrom nieszczęścia bohatera je uzuchwalił, — postępek tego ciała mógł tylko oburzyć, i nie godziło mu się przyklasnąć; w r. 1814 wobec tych marszałków zdradzających, wobec tego senatu, co z jednej kałuży brnął w drugą, znieważając, co przed chwilą ubóstwiał, wobec tego bałwochwalstwa, liżącego stopy i plwającego na bożyszcze, powinnością było odwrócić głowę; w roku 1815, gdy zanosiło się na największe klęski, gdy Francja z dreszczem przeczuwała ich złowrogie zbliżanie się, gdy już widać było otchłań Waterloo, otwartą przed Napoleonem; bolesne wołania ludu i armii do potępieńca losu, zaiste nie miały nic śmiesznego, i serce takie jak biskupa D. powinno było zrozumieć szczytny i rozczulający widok, jak nad brzegiem przepaści ściśle spaja się wielki naród z wielkim człowiekiem.

Wyjąwszy to jedno, biskup był we wszystkiem sprawiedliwy, szczery, wyrozumiały, rozumny, pokorny i godny, dobroczynny i uprzejmy, co jest podwójną dobroczynnością. Był kapłanem, mędrcem i człowiekiem. Nawet wyznać trzeba, że w tej opinji politycz-

nej, którą mu przed chwilą zarzucaliśmy i którą surowo sądzić jesteśmy gotowi, był wyrozumiały i względny, bardziej może od nas, co to opowiadamy. Odźwierny przy ratuszu otrzymał miejsce od cesarza. Był to stary podoficer starej gwardji, legionista Austerlicki, bonapartysta jak orzeł cesarskich chorągwi. Biedakowi wyrywały się czasami słówka nieroztropne, które ówczesne prawo nazywało buntowniczemi. Od czasu jak portret cesarski znikł z krzyża legji honorowej, nigdy nie ubierał się w mundur, aby nie być zmuszonym do noszenia krzyża. Sam z czcią religijną zdjął wizerunek cesarski z krzyża, który mu przypiął do piersi Napoleon, i nic nie chciał na to miejsce położyć.—Raczej umrzeć—mówił — niż nosić na sercu trzy ropuchy! Chętnie głośno szydził z Ludwika XVIII. „Stary pedogryk w kamaszach angielskich! niech rusza do Prus z kartoflami“. Szczęśliwy był wielce, że jedną klątwą udało mu się objąć dwie najnienawistniejsze dlań rzeczy: Prusy i Anglję. Gadał póty, aż stracił miejsce. Został tedy bez chleba na bruku, z żoną i dziećmi. Biskup kazał go przywołać, upomniał łagodnie, i mianował szwajcarem w kościele katedralnym.

W ciągu lat dziewięciu monsinior Benvenuto świętością czynów, słodyczą obejścia obudził w mieszkańcach D. cześć czułą i synowską. Nawet jego postępowanie względem Napoleona przebaczył mu w duchu lud poczciwy, który ubóstwiał cesarza, ale kochał biskupa.

XII.

Samotność monsignora Benvenuto.

Prawie zawsze otacza biskupa gromadka młodych księży, jak jenerała stadko młodych oficerów. Miły pisarz, Święty Franciszek Salezy, nazywa ich w jednej z swych książek „księżmi młokosami“. Każdy zawód ma aspirantów, którzy tworzą orszak przy doszłych do znaczenia. Nie masz potęgi bez ścisku, ani fortuny bez dworu. Poszukiwacze przyszłości kręcą się około jaśniejącej teraźniejszości. Każda stolica ma swój sztab główny. Każdy biskup nieco wpływowy ma patrol z cherubinów seminaryjskich, którzy odbywają rond, utrzymują porządek w pałacu biskupim i zaciągają wartę około uśmiechu Jego Ekscelencji. Znaleść wstęp do biskupa, jest dosięgnąć stopą wozu fortuny. Trzebaż bo robić karjerę; apostolstwo nie gardzi kanonickim tytułem.

Jak są matadory świeckie, tak w kościele są przyciągające infuły. Takimi mecenasami są biskupi dobrze widziani u dworu, bogaci, suto uposażeni, zręczni, wzięci w świecie, umiejący się modlić, zapewne, ale i umiejący starać się i prosić, bez skrupułu wycierający przedpokoje, łatwo łączący zakrystję z dyplomacją, raczej opaci niż kapłani, raczej prałaci niż biskupi. Szczęśliwy, kto zbliży się do nich! Mając wzięcie i wpływy, sypią z rogu obfitości na usłużnych

ulubieńców, na młodzież, umiejącą się przypodobać: tłuste probostwa, prebendy, archidjakonaty, kapelanje, urzędy katedralne—a wdali ukazują godności biskupie. Posuwając się w górę sami, pociągają satelity; cały to system słoneczny w ruchu. Ich promienie ozłacają orszak. Ich pomyślność dostaje się w cząsteczkach otoczeniu. Im większa djecezja dla patrona, tem tłuste probostwo dla ulubieńca. A dalej, w perspektywie, Rzym. Biskup, umiejący zostać arcybiskupem, arcybiskup umiejący zostać kardynałem, zabiera cię jako konklawistę, wchodzisz do roty, dostajesz paljusz, zostajesz audytorem, szambelanem papieskim, monsignorem; od Wysokości do Eminencji krok jeden cię dzieli, a od Eminencji do Świątobliwości tylko głosowanie. Każda piuska może marzyć o tiarze. Za dni naszych z pospolitego człowieka tylko ksiądz może legalnie zostać królem; i jakim królem! najwyższym. To też ile ambicji rośnie w zaciszu seminaryjnem! Ilu młodych księży nosi na głowie dzban z mlekiem pani Maciejowej! jak łatwo wyniosłość przybiera nazwę powołania! kto wie zresztą? Ta wyniosłość tak ma dobrą wiarę, tak chętnie sama się zwodzi—tak jest błogosławioną!

Monsinior Benvenuto, pokorny, ubogi, cichy, nie liczył się do przyciągających infuły. Poznać to było można po zupełnym braku młodych księży około niego. Już w Paryżu się nie podobał. Nikt nie myślał szczepić swej przyszłości na tym starcu samotnym. Żadna kiełkująca wyniosłość lekkomyślnie nie zieleniała pod jego cieniem. Kanonicy jego i wikarjusze jeneralni byli jak on poczciwi starcy, jak on zbliżeni do ludu, dojrzali jak on w djecezji, bez nadziei otrzymania czerwonego kapelusza. Tak dobrze wiedziano, że przy monsiniorze Benvenuto nie można obrość w pierze, iż zaledwie wyświęceni przez niego, młodzi seminarzyści, prosili o rekomendacje do arcybiskupów w Aix i Auch i co żywo uciekali. Bo wreszcie, powtarzamy,

trzeba robić karjerę. Święty, żyjący w zbytecznem zaparciu się, jest niebezpiecznem sąsiedztwem; mógłby się zarazić nieuleczonem ubóstwem, udzielić odrętwienia w członkach, stworzonych do posuwania się naprzód i skłonić do zaparcia większego, niżbyś pragnął: więc uciekasz od tej cnoty zaraźliwej. To nam tłumaczy osamotnienie monsiniora Benvenuto. Żyjemy w ponurem społeczeństwie. Mieć powodzenie: oto nauka, która jak kroplę zepsucia pada nieustannie na walący się budynek.

Mimochodem mówiąc, ohydna to rzecz powodzenie. Fałszywe jego podobieństwo do zasługi oszukuje ludzi. W oczach tłumu powodzenie wygląda tak samo prawie, jak rzeczywista wyższość. Powodzenie, rzekomy sobowtór talentu, oszukuje nawet historję. Juvenalis tylko i Tacyt na nie szemrzą. Za dni naszych historja przyswoiła sobie prawie urzędową filozofję, nosi liberję powodzenia i służy w jego przedpokoju. Miej powodzenie: to cała jego teorja. Pomyślność jest probierzem zdolności. Wygraj wielki los na loterji, jesteś znakomitym człowiekiem. Tryumfuj, będziesz czczony. Urodź się w czepcu, cała mądrość. Miej powodzenie, reszta ci będzie przydaną; bądź szczęśliwy, a zrobią cię wielkim. Z wyjątkiem pięciu czy sześciu olbrzymich wyjątków, będących blaskiem i chwałą wieku, zresztą podziw współczesnych zakrawa na ślepotę. Pozłota wydaje się złotem. Bądź pierwszym lepszym, mniejsza, byleś był szczęśliwym dorobkiewiczem. Pospólstwo jak Narcyz starożytnych rozmiłowany w samym sobie, przyklaskuje mierności. Niezmierną tę moc, którą posiadali: Mojżesz, Eschyles, Dante, Michał Anioł lub Napoleon, tłum od razu i bez namysłu przyznaje każdemu, co dopiął w czemkolwiek swego celu. Niech notarjusz zostaje deputowanym; niech rzezaniec przyjdzie do posiadania haremu; niech tchórzliwy żołnierz przypadkiem wygra stanowczą bitwę; niech aptekarz wynajdzie tekturowe podeszwy dla armji i za sprzedaną tekturę zamiast skóry zyska mi-

ljon rocznego dochodu niech kramarz ożeni się z lichwą i spłodzi z niej siedm do ośmiu miljonów; niech kaznodzieja, mówiący przez nos, zostanie biskupem; niech rządca zamożnego domu opuści służbę tak bogaty, że go zrobią ministrem skarbu, — ludzie nazwą to genjuszem. Dla nich wszystko równe, i konstelacje przestworzy niebieskich, i gwiazdki, które nogą wyciska kaczor na gęstem błocie kałuży.

XIII.

W co wierzył.

Nie myślimy badać księdza biskupa D. ze stanowiska ortodoksji. Przed tak piękną i czystą duszą pragniemy tylko schylić głowę z uszanowaniem. Trzeba na słowo wierzyć sumieniu sprawiedliwego. A zresztą, ponieważ wszędzie znajdują się dusze wzniosłe, chętnie wierzymy w najwyższy rozwój wszystkich piękności cnoty ludzkiej, choćby w różnem od naszego wyznaniu.

Co sądził o tym dogmacie lub owej tajemnicy? skrytości te zna jedynie grób, przyjmujący nagie dusze. Jednego tylko jesteśmy pewni, że nigdy zawiłe kwestje wiary nie doprowadziły go w rozwiązywaniu do obłudy. Djament nie zna zgnilizny. Wierzył, jak mógł najmocniej. — *Credo in Patrem* — często wołał. Zresztą czerpał w dobrych uczynkach spokój i zadowolenie sumienia, szepczące z cicha: Bóg z tobą!

Zaznaczyć tu wszakże powinniśmy, że na zewnątrz, iż tak rzekę, wiary, biskup miał zbytek miłości. Za to właśnie *quia multum amavit* (1) ganili go *ludzie porządni*, *osoby poważne*, *ludzie rozsądni*, uprzywilejowane istoty na tym smutnym świecie, gdzie samolubstwo

(1) Ponieważ wiele kochała. (Słowa Ewangelji o Świętej Magdalenie).

czerpie światło z pedantyzmu. Cóż to jest zbytek miłości? Jest to życzliwość pogodna, obejmująca wszystkich bez wyjątku ludzi, i przy sposobności, jak to już raz wskazaliśmy, rozlewająca się na inne stworzenia. Nie lekceważył nikogo i niczego. Był pobłażający dla wszelkiego stworzenia boskiego. Każdy człowiek, nawet najlepszy, ma trochę nierozważnej nieczułości, zwłaszcza względem zwierzęcia. Biskup nie znał tej wady, tak pospolitej w wielu kapłanach. Nie posuwał się do braminizmu, ale też zdawał się długo rozmyślać nad tem wyrażeniem Ekklezjasty: „Któż wie, dokąd idzie dusza zwierząt?“ Brzydka powierzchowność, niekształtność potworna, nie budziły w nim wstrętu. Owszem, wzruszały go, rozczulały prawie. Zamyślony, zdawał się szukać zewnątrz pozornego życia przyczyny jego, wytłumaczenia lub wymówki. Były chwile, w których jakby błagał Boga o przemianę. Okiem filologa, odcyfrującego cierpliwie nieczytelny rękopism, badał bez gniewu chaos, którego tyle jest jeszcze w przyrodzie. W tych marzeniach wyrywały mu się niekiedy dziwne słowa. Pewnego poranku myślał, że jest sam w ogrodzie, ale siostra niepostrzeżona postępowała za nim; nagle zatrzymał się, spojrzał na coś na ziemi: był to ogromny pająk, czarny, kosmaty, ohydny. Siostra usłyszała te słowa biskupa:

— Biedne zwierzę! nie twoja to wina.

Czemuż nie mielibyśmy wspomnieć o tych boskich prawie dzieciństwach dobroci? Mogą to być dzieciństwa: ale te zaszczytne dzieciństwa właściwe były także Świętemu Franciszkowi z Assyżu i Markowi Aureljuszowi. Pewnego dnia, nie chcąc nadeptać mrówki, o mało nie zwichnął nogi.

Tak żył ten człowiek sprawiedliwy. Niekiedy zasypiał w ogrodzie i wówczas postać jego miała coś niewysłowienie czcigodnego.

Sądząc z opowiadań o jego młodości i męzkim nawet wieku, monsinior Benvenuto był niegdyś człowiekiem namiętnym, może gwałtownym. Jego później-

sza słodycz i łagodność nie płynęły więc z usposobienia wrodzonego, z instynktu natury, ale były wypadkiem głębokiego przekonania, które przeniknęło w serce i powoli odbiło się we wszystkich jego myślach i czynach: bo na charakterze ludzkim, jak na skale, myśli, niby krople wody, wyciskają dołki. Takie wydrążenia nie dadzą się zatrzeć, takie kształty przetrwają wieki.

W roku 1815, zdaje się już to powiedzieliśmy, skończył siedmdziesiąt pięć lat życia, a wyglądał zaledwie na sześćdziesiąt. Nie był wysokiego wzrostu, miał trochę tuszy, i zapobiegając jej powiększeniu, lubił długie wycieczki pieszo. Chód miał pewny, postać mało pochyloną; z tego jednak szczegółu niczego nie wnosimy: Grzegorz XVI w osiemdziesięciu leciech trzymał się prosto i uśmiechał, a nie był jednak tak dobrym biskupem. Monsinior Benvenuto miał, jak lud mówił, „piękną głowę“, ale tak miłą, iż zapominałeś, że jest piękną.

Kiedy rozmawiał z wesołością dziecinną, wdzięczną i ujmującą, zdawało się, że z całej jego osoby tryska radość. Cera świeża i rumiana, zęby śnieżnej białości, które gdy śmiał się, widziałeś wszystkie doskonale zachowane, nadawały mu tę postać otwartą, przystępną i miłą, na którą patrząc zwykliśmy mówić o mężczyźnie: dobry chłopiec, o starcu: poczciwiec. Takie też, jak sobie przypominacie, sprawił wrażenie na Napoleonie. Z pierwszego wejrzenia i dla każdego, co go po raz pierwszy widział, w istocie był tylko poczciwcem. Ale gdyś posiedział z nim kilka godzin i wpatrzył się w jego myślące oczy, powoli poczciwiec przemieniał się w posągową, cześć nakazującą postać. Jego czoło szerokie, poważne, dostojne białym włosem, stawało się jeszcze dostojniejsze rozmyślaniem; majestat promieniał z tej dobroci, chociaż i dobroć nie przestawała jaśnieć: i doznawałeś wzruszenia, jakbyś widział uśmiechniętego anioła, co powoli rozwija skrzydła, nie przestając się uśmiechać. Uszanowanie,

cześć niewymowna przejmowała cię stopniowo, przenikając do serca; czułeś, że stoi przed tobą jedna z tych dusz silnych, wypróbowanych a pobłażliwych, których myśl stała się tak wielką, że już jedynie dobrą być mogła.

Jak widzieliśmy, modlitwa, odprawianie nabożeństw, jałmużna, pocieszanie zasmuconych, uprawa kawałka ziemi, braterstwo, skromny posiłek, gościnność, zrzecenie się, ufność, nauka, praca—wypełniały każdy dzień jego życia. *Wypełniały:* trafny wyraz, bo, zaiste, każdy dzień biskupa był aż do brzegów pełen dobrych myśli, dobrych słów i dobrych czynów. Wszelako dzień nie był zupełny, jeżeli czas chłodny lub dżdżysty nie pozwalał mu wieczorem, gdy odeszły dwie kobiety, przepędzić godzinę lub dwie w ogrodzie, przed pójściem na spoczynek. Rzekłbyś, było dlań rodzajem obrządku przygotować się do snu rozmyślaniem wobec wspaniałego widoku nieba nocnego. Niekiedy dość późno w nocy, gdy dwie stare panny nie spały, słyszały jak zwolna przechadzał się po alejach. Sam z sobą, skupiony w duchu, spokojny, modlący się, porównywał pogodę swego serca z pogodą przestworzy, wzruszony patrzał w ciemnościach na widome blaski Boże i otwierał swą duszę myślom, spływającym od Nieznajomego. W tych chwilach uroczystych, w godzinie, gdy kwiaty nocne ofiarują swe wonie, on ofiarując swe serce, płonące jak lampa wśród nocy gwiaździstej, i łącząc się w uwielbieniu z harmonją wszechstworzeń, zaiste, sam nie zdałby sobie sprawy z tego, co się działo w jego duszy; czuł tylko, że coś z niej odlatuje i coś na nią spływa. Tajemnicze wymiany otchłani duszy z przepaściami wszechświata!

Myślał o wielkości i obecności Boga; o wieczności przyszłej, dziwnej tajemnicy; o wieczności minionej, tajemnicy jeszcze dziwniejszej; o wszystkich nieskończonościach pod jego oczyma zanurzających się w przeróżnych kierunkach: i nie usiłując pojąć rzeczy niepojętych, patrzył na nie. Nie badał Boga: olśnie-

wał się Jego blaskiem. Patrzył na wspaniałe śluby atomów, nadające postacie materji, siłę i trwałość, tworzące osobistości w jednocie, stosunki w przestrzeni, niezliczoność w nieskończoności, płodzące światło, a przez nie—piękność. Te śluby sprzęgają się i rozprzęgają nieustannie; ztąd życie i śmierć.

Siadał na ławce drewnianej, opartej o starą altankę, i przez wątłe cienie gałęzi drzew owocowych spoglądał na gwiazdy. Ćwierć morgi biednie zasadzonej, zabudowanej walącem się domostwem i szopami, była mu drogą i wystarczała zupełnie.

Czego więcej było potrzeba dla starca, co dzielił spoczynek życia, spoczynek tak rzadki, na zabawę ogrodem we dnie i rozmyślania w nocy? Azaliż nie było dosyć wązkiego ogródka ze stropem gwiaździstym dla wielbienia Boga, to w jego dziełach najpiękniejszych, to w jego najszczytniejszych tworach? Ogródek dla przechadzki, nieskończoność przestworzy dla marzeń. U stóp kawał ziemi do uprawy i zbioru; nad głową przedmiot badań i rozmyślań; kilka kwiatów na ziemi i wszystkie gwiazdy na niebie.

XIV.

Co myślał.

Słówko jeszcze.

Ponieważ tego rodzaju szczegóły mogłyby, w teraźniejszych zwłaszcza czasach, że użyjemy modnego dziś wyrażenia—naprowadzić na domysł, że biskup D. był *panteistą*, i obudzić podejrzenie, na jego naganę czy pochwałę, iż miał jedną z tych filozofij osobistych, właściwych naszemu wiekowi, co niekiedy kiełkują w umysłach samotnych, umacniają się i rozrastają, aż w końcu zastępują religję: pośpieszamy najuroczyściej zapewnić, że nikt zgoła z tych, którzy znali monsiniora Benvenuto, nie czuł się upoważnionym do przypuszczania czegoś podobnego. Światłem tego człowieka było serce. Światło, ztąd pochodzące, stanowiło jego mądrość.

Żadnych systemów, dużo uczynków. Oderwane spekulacje nabawiają zawrotu; nic nie wskazuje, żeby umysł jego puszczał się na te niebezpieczne harce. Apostoł może być śmiałym, biskup winien być lękliwym. Prawdopodobnie miałby skrupuł zbytecznie zagłębiać się w pewnych zagadkach, będących niejako dziedziną umysłów wielkich, strasznych. Ze świętą grozą staje się w przysionkach tajemnicy: posępne jej wrota

stoją otworem, ale coś cię przestrzega, abyś tam nie wstępował. Biada temu, kto wnijdzie!

Genjusze, zapuszczając się w niesłychane głębie oderwania i abstrakcji, stojącej, że tak rzekę, po nad dogmatami, przedstawiają swe myśli Bogu. Ich modlitwa zuchwale wyzywa do rozpraw; ich uwielbienie wypytuje, badą: jest to religja bezpośrednia, pełna niebezpieczeństw i odpowiedzialności dla tego, co wdziera się na jej strome wyżyny.

Rozmyślaniu ludzkiemu nie masz granic. Bądź co bądź rozbiera, śledzi, szpera swe własne olśnienia. Powiedziałbym prawie, że pewnym rodzajem świetnego odziaływania olśniewa tą pracą naturę; tajemniczy świat, nas otaczający, wraca co otrzymuje i prawdopodobnie wpatrujący się w nieskończoność, są przez nią rozważani. Jakkolwiekbądź, są na ziemi ludzie — sąż to ludzie? — którzy dostrzegają wyraźnie w głębiach widnokręgu marzeń szczyty prawdy bezwzględnej — i mają straszne widzenie Góry nieskończonej. Monsinior Benvenuto wcale nie należał do tych ludzi; monsinior Benvenuto nie był genjuszem. Z przerażeniem cofnąłby się na widok tych szczytów, z których kilku, nawet bardzo wielkich, jak Szwedenborg i Pascal, ześliznęli się w przepaść obłąkania. Zaiste, potężne te marzenia nie są bez moralnego pożytku; przez te strome drożyny zbliżamy się do doskonałości idealnej. Ale on obierał ścieżkę najkrótszą: Ewangelję.

Nie probował wązkiego ornatu swego łatać Eljaszowym płaszczem, nie ciskał żadnego promienia przyszłości na burzliwe fale wypadków, ani światła rzeczy zgęszczać w płomień usiłował; nie miał w sobie nic z charakteru proroka lub czarodzieja. Pokorna ta dusza kochała: oto wszystko.

Że w modlitwie wznosił się do natchnień nadludzkich, to prawdopodobne; ale nie można nazbyt modlić się, jak nie można nazbyt kochać: i gdyby było herezją modlić się inaczej, niż według przepisanego

tekstu, święta Teresa i święty Hieronim byliby heretykami.

Chętnie skłaniał się ku tym, co jęczą i pokutują za błędy. Świat przedstawiał mu się jak niezmierna choroba; wszędy czuł gorączkę, wszędy podsłuchiwał cierpienia, i nie usiłując rozwiązać zagadki, starał się zabliźniać ranę. Straszny widok rzeczy stworzonych budził w nim rozczulenie; całem jego zajęciem było — wyszukiwać dla siebie i tchnąć w drugich najlepszy sposób współubolewania i niesienia ulgi; cokolwiek istnieje, było dla tego zacnego kapłana nieustannym przedmiotem smutku, szukającego pociechy.

Są ludzie, pracujący nad odkopywaniem złota; on pracował nad odkopywaniem miłosierdzia: ogólna nędza była jego kopalnią. Wszędy i zawszę boleść była dlań sposobnością do okazania dobroci. *Kochajcie się wzajem*—oto cała jego nauka, cała mądrość: więcej nie pragnął. Pewnego dnia ten człowiek, co się mienił *filozofem*, ów senator już wspomniony, rzekł do biskupa: — Ależ spójrz jegomość na widownię świata: wojna wszystkich przeciw wszystkim, najmocniejszy ma najwięcej rozumu. Twoje *kochajcie się wzajem* jest głupstwem. — *A więc* — odpowiedział monsinior Benvenuto nie spierając się—*jeżeli to jest głupstwem, dusza powinna się w niem zamknąć, jak perła w muszli.* I zamykał się w niem, żył; był zupełnie zadowolony, pozostawiając na stronie olbrzymie kwestje, które nęcą i straszą, niezgłębione widoki abstrakcji, przepaście metafizyki, wszystkie owe głębie, co w myśli apostoła ciążą ku Bogu, a w myśli ateusza—ku nicestwu; przeznaczenie dobre i złe, walkę jestestwa z jestestwem, sumienie człowieka, myślącą senność zwierzęcia, przemianę w śmierci, odrodzenie bytu w grobie, niepojęte szczepienie miłości kolejnych na jaźni wiecznie istniejącej, treść, rozłogę, *Nil et Ens*, nicestwo i byt, duszę, przyrodę, wolność, konieczność; przepaściste zagadki, posępne otchłanie, ku którym chylą się olbrzymie archanioły umysłu ludzkiego: straszne przepaście,

na które Lukrecjusz, Manu, święty Paweł i Dante patrzyli tym wzrokiem błyskawicznym, co utkwiwszy w nieskończoności, zdawał się z niej płodzić gwiazdy.

Monsinior Benvenuto był po prostu człowiekiem, który wiedział wprawdzie o istnieniu kwestji tajemniczych, ale ich nie przenikał, nie badał, nie poruszał, i tylko niby cień szedł za niemi z głębokiem uszanowaniem w duszy.

KSIĘGA DRUGA.

UPADEK.

I.

Wieczór po dniu wędrówki.

W pierwszych dniach października 1815 r., na godzinę przed zachodem słońca, jakiś człowiek, podróżujący pieszo, wszedł do miasteczka D. Tu i owdzie kilku mieszkańców siedzących przy oknach lub na progu domów, z pewnym niepokojem patrzyli na wędrowca. Trudno było spotkać przechodnia nędzniejszej postaci. Był to mężczyzna średniego wzrostu, krępy, w sile wieku; mógł mieć czterdzieści sześć do czterdziestu ośmiu lat. Czapka z daszkiem, naciśniętym na oczy, osłaniała część twarzy ogorzałej na słońcu, wywiędłej i spoconej; koszula z grubego płótna żółtego, spięta u szyi srebrną kotwiczką, nie zakrywała piersi obrośniętej; chusteczka zawiązana na węzeł, stare spodnie z niebieskiego drelichu, rozdarte na jednem kolanie, załatane na drugiem; stara bluza obszarpana, na jednym łokciu naprawiona zielonym suknem, grubą nicią przeszytem; na plecach tłumoczek żołnierski pełny, dobrze opięty i prawie nowy; w ręku gruby kij sękaty, na nogach bez pończoch trzewiki podkute, głowa ostrzyżona, długa broda.

Pot, spieka, podróż piesza, kurzawa oszpecały tę postać odartą.

Włosy były ogolone, a jednak jeżyły się, zaczynały bowiem odrastać, a musiały od pewnego czasu nie być strzyżone.

Nikt go nie znał: widocznie był przechodniem. Zkąd szedł? Z południa, zapewne od brzegów morza; wchodził bowiem do D. tą samą ulicą, którą przed siedmiu miesiącami przejeżdżał cesarz Napoleon, udając się z Cannes do Paryża. Człowiek ten musiał wędrować dzień cały, zdawał się być bardzo znużonym. Kobiety ze starego miasta, dolnej dzielnicy D., widziały, jak zatrzymał się pod drzewami bulwaru Gassendi i pił ze studni, stojącej przy końcu alei spacerowej. Musiał mieć wielkie pragnienie, bo dzieci, które szły za nim, widziały jeszcze jak się zatrzymał i pił o dwieście kroków dalej ze studni na rynku.

Doszedłszy do rogu ulicy Poichevert, zawrócił na lewo, zmierzając do ratusza. Wszedł i w kwadrans potem był znowu na ulicy. Żandarm siedział przed bramą na ławce kamiennej, z której 4 marca jenerał Drouot czytał zdumionemu tłumowi proklamację zatoki Juan. Człowiek zdjął czapkę i pokornie ukłonił się żandarmowi.

Żandarm, nie odpowiedziawszy na ukłon, patrzył nań z uwagą, czas pewien wiódł za nim oczyma i wrócił do ratusza.

Była wówczas w D. piękna austerja pod *Krzyżem Kolbasa*. Gospodarz jej nazywał się Jakób Labarre, człek poważany w mieście z powodu pokrewieństwa z innym Labarrem, który miał austerję w Grenobli pod *Trzema Delfinami* i dawniej służył w gidach. W czasie wylądowania cesarza krążyły w kraju różne pogłoski o tej austerji pod *Trzema Delfinami*. Opowiadano, że jenerał Bertrand, przebrany za furmana, często do niej zajeżdżał w styczniu i rozdawał krzyże honorowe żołnierzom, a napoleony mieszczanom. To jedno jest prawdą, że cesarz, wszedłszy do Grenobli, nie chciał zająć mieszkania w pałacu prefektury i dziękując merowi powiedział: *Pójdę do poczciwego człeka*,

mego znajomego, i udał się pod *Trzy Delfiny*. Blask tej chwały Labarra z pod *Trzech Delfinów* oświecał przez przestrzeń dwudziestu pięciu mil i Labarra pod *Krzyżem Kolbasa*. Mówiono o nim w mieście: *To krewny tego z Grenobli*.

Podróżny skierował kroki ku tej austerji najlepszej w okolicy. Wszedł do kuchni, wychodzącej wprost na ulicę. Paliło się na wszystkich piecykach: w kominie wielki ogień wił się wesołym płomieniem. Gospodarz, zarazem wielki kuchmistrz, zaglądał do rądli, to na ognisko, troskliwie pilnując doskonałego obiadu dla furmanów, których śmiechy i wesołe krzyki dochodziły z sąsiedniej izby. Ktokolwiek podróżował, wie, że nikt lepiej nie jada od furmanów. Tłusty świszcz, obok białe kuropatwy i cietrzewie kręciły się na długim rożnie przy ogniu; na piecykach smażyły się w patelniach dwa duże karpie z jeziora Lauzet i pstrąg z jeziora Alloz.

Gospodarz, słysząc, że się drzwi otwierają i ktoś nowy wchodzi, rzekł, nie podnosząc oczu od piecyków:

— Czego pan sobie życzy?

— Juści spać—odpowiedział podróżny.

— Nic nadto łatwiejszego—mówił gospodarz. — W tej chwili odwrócił głowę, jednym rzutem oka obejrzał podróżnego, i dodał: za pieniądze?

Człowiek wyjął z kieszeni bluzy gruby worek skórzany i odpowiedział:

— Mam pieniądze.

— W takim razie służę—rzekł gospodarz.

Człowiek schował sakiewkę do kieszeni, zdjął z siebie tłumoczek, położył na ziemi przy drzwiach i z kijem w ręku usiadł na ławeczce przed ogniem. Miasto D. leży w górach. Wieczory październikowe bywają chłodne.

Tymczasem gospodarz, krzątając się przy kominie, bacznie przypatrywał się podróżnemu.

— Prędko dadzą obiad?—zapytał nieznajomy.

— Natychmiast—odrzekł gospodarz.

Kiedy nowoprzybyły grzał się przy ogniu, obrócony plecami do drzwi, zacny oberżysta Jan Labarre wyjął z kieszeni ołówek, oderwał kawałek papieru ze starej gazety, leżącej na stole przy oknie, na marginesie białym napisał dwa czy trzy wiersze, złożył, nie zapieczętował i oddał świstek chłopcu, który, jak się zdaje, służył razem za kuchcika i lokaja. Oberżysta szepnął mu coś do ucha i chłopak pobiegł ku ratuszowi.

Podróżny nic nie widział.

Zapytał raz jeszcze:—Prędko dadzą obiad?

— Natychmiast—rzekł gospodarz.

Chłopiec powrócił z papierem. Gospodarz porwał świstek z pośpiechem, jakby oczekiwał odpowiedzi. Zdawał się czytać z uwagą, potem kiwał głową i zamyślił się; nakoniec postąpił ku podróżnemu, pogrążonemu w jakichś smutnych dumaniach.

— Panie,—rzekł—nie mogę cię przenocować.

Człowiek wyprostował się na siedzeniu.

— Co? czy się pan lękasz, żebym nie zapłacił? Chcesz, abym zapłacił z góry? Mam pieniądze, powiadam panu.

— Nie o to chodzi.

— O cóż więc?

— Masz pieniądze...

— Mam—rzekł człowiek.

— A ja—dodał gospodarz—nie mam izby.

— Człowiek odpowiedział spokojnie:—umieść mię w stajni.

— Nie mogę.

— Dla czego?

— Konie zajmują wszystkie miejsca.

— No—rzekł nieznajomy—to jaki kącik na strychu; wiązkę słomy: zobaczymy to po obiedzie.

— Nie mogę dać wam obiadu.

To oświadczenie, wyrzeczone tonem umiarkowanym lecz mocnym, wydało się bardzo ważnem nieznajomemu. Powstał.

— A ba! ależ ja umieram z głodu; szedłem od świtu; zrobiłem dwanaście mil. Płacę: chcę jeść.

— Nic nie mam—rzekł gospodarz.

Człowiek parsknął śmiechem i pokazał na komin i piecyki:—Nic! a toż co?

— To zamówione.

— Przez kogo?

— Przez panów furmanów.

— Ilu ich?

— Dwunastu.

— Tu jest jedzenia dla dwudziestu.

— Zamówili wszystko i zapłacili z góry.

Człowiek usiadł i rzekł, nie podnosząc głosu:

— Jestem w austerji, głodny, więc zostanę.

Wówczas gospodarz nachylił się do jego ucha i rzekł tonem, który go dreszczem przejął:—Wynoście się ztąd.

Podróżny, który spokojnie poprawiał w piecu ogień żelaznym końcem kija, obrócił się żywo i gdy otwierał usta do odpowiedzi, gospodarz bystro nań spojrzał i dodał zawsze pocichu: — No, dość próżnych słów. Chcesz, abym ci powiedział twoje nazwisko? Nazywasz się Jan Valjean. A teraz chcesz, bym ci powiedział, kto jesteś? Zobaczywszy cię wchodzącego, domyśliłem się czegoś, i posłałem do ratusza: patrz, co mi odpowiedziano. Umiesz czytać?

Mówiąc to rozwinął przed oczyma wędrowca papier, który odbył drogę z austerji do ratusza i napowrót. Człowiek spojrzał na kartkę. Oberżysta mówił dalej po chwili milczenia:

— Mam zwyczaj obchodzić się grzecznie ze wszystkimi. Wynoście się ztąd.

Człowiek spuścił głowę, podniósł tłumoczek złożony na ziemi i odszedł.

Zawrócił na główną ulicę. Szedł, nie wiedząc dokąd, pod samemi murami domów, jak człowiek upokorzony i smutny. Nie obrócił się ani razu. Gdyby się był obrócił, zobaczyłby, jak gospodarz austerji pod

Krzyżem Kolbasa, stojąc przed progiem, otoczony gośćmi oberży i przechodniami, żywo rozprawiał i pokazywał nań palcem; z przerażenia tłumu i spojrzeń nieufnych byłby odgadł, że wkrótce jego przybycie stanie się w całem mieście wypadkiem.

Niczego jednak nie widział. Ludzie znękani nie patrzą za siebie; aż nadto dobrze wiedzą, że zły los ich ściga.

Szedł tak czas pewien po różnych ulicach, których nie znał, zapominając o znużeniu, co przytrafia się w smutku. Nagle żywo uczuł głód. Noc się zbliżała. Spojrzał dokoła, czy nie znajdzie gdzie miejsca na nocleg.

Piękna austerja zamknęła się przed nim; szukał więc jakiej lichej karczmy, ubogiej lepianki.

Właśnie w końcu ulicy zajaśniało światło; wiecha sosnowa, zawieszona na słupie żelaznym, rysowała się na białym nieba zmroku: poszedł w tę stronę.

W istocie była to karczma. Karczma przy ulicy Chaffaut.

Podróżny zatrzymał się chwilę, spojrzał przez szybę do nizkiej izby, oświetlonej lampą na stole i wielkim ogniem na kominie. Kilku ludzi piło, gospodarz grzał się przy ogniu, na którym gotowało się coś w garnku żelaznym, wiszącym na haku.

Do karczmy, będącej także rodzajem austerji, są dwa wchody: jedne drzwi od ulicy, drugie od podwórka, zawalonego śmieciem.

Podróżny nie śmiał wejść drzwiami od ulicy: wsunął się na podwórze, zatrzymał chwilę, bojaźliwie wziął za klamkę i drzwi otworzył.

— Kto tam?—zapytał gospodarz.

— Ktoś, potrzebujący wieczerzać i przenocować.

— Prosimy: tu się wieczerza i nocuje.

Wszedł. Ludzie pijący przy stole obrócili się ku niemu; lampa oświecała go z jednej strony, ogień z drugiej: przypatrywano mu się, podczas gdy zdejmował z siebie tłumoczek.

Gospodarz rzekł do niego:—Oto ogień. Wieczerza gotuje się w garnku; pójdź, ogrzej się, przyjacielu.

Usiadł przy ognisku, wyciągnął znużone nogi, zapach przyjemny zalatywał go od garnka. Na jego twarzy, osłonionej czapką, malowały się zatarte ślady lepszego bytu, połączone z tym przejmującym wyrazem, jaki długie cierpienie nadaje. Profil jej zresztą był bardzo wydatny, męzki, smutny. Fizjognomja dziwna: z początku wydawała się pokorną, później okazywała się surową. Oko błyszczało pod brwiami, jak ogień pod krzakiem.

Jeden z siedzących przy stole, przekupień rybny, nim przyszedł do karczmy, pomieścił swego konia w stajni u Labarra. Przypadek zdarzył, że rano spotkał był tego nieznajomego ze złą miną, na drodze między Bras d'Asse i... (zapomniałem nazwy: zdaje się, że Escoublon). Otóż, spotkawszy go człowiek, który zdawał się już bardzo znużonym, prosił, aby zabrał go na konia; za całą odpowiedź przekupień zaciął szkapę i puścił się kłusem. Przed pół godziną był w gromadce, otaczającej Jakóba Labarre i sam opowiadał o nieprzyjemnem spotkaniu rano. Przekupień nieznacznie skinął na karczmarza. Gospodarz się zbliżył i zamienili kilka słów pocichu. Człowiek siedział pogrążony w dumaniach.

Karczmarz powrócił do komina, uderzył człowieka po ramieniu i rzekł:

— Wyniesiesz się ztąd.

Nieznajomy obejrzał się i odpowiedział łagodnie:

— A, więc wiecie?...

— Tak.

— Odesłano mnie z drugiej austerji.

— A z tej cię wyganiają.

— Gdzież pójdę?

— Precz.

Człowiek wziął kij, tłumok i odszedł.

Gdy wychodził, dzieciaki, które szły za nim od austerji pod *Krzyżem Kolbasa*, i jak się zdaje, czeka-

ły na niego, rzuciły nań kamieniami. Zawrócił się z gniewem i pogroził kijem: dzieciaki rozpierzchły się, jak stado ptactwa.

Przechodził około więzienia. U bramy wisiał łańcuch żelazny, przyczepiony do dzwonka; zadzwonił.

Otworzyło się okienko.

— Panie odźwierny—rzekł, zdejmując z uszanowaniem czapkę—czy nie byłbyś łaskaw otworzyć i przyjąć mię na nocleg?

Głos odpowiedział:

— Więzienie nie jest austerją; niech cię aresztują, to otworzymy.

I zamknęło się okienko.

Wszedł na uliczkę, w której jest dużo ogrodów. Niektóre oparkanione żywym płotem, co bardzo rozwesela ulicę. Pośród tych ogrodów i płotów, ujrzał domek jednopiętrowy, w oknie którego się świeciło.

Podobnie jak przed karczmą, zajrzał najprzód w szybę. Była to obszerna izba z białemi ścianami; przy jednej stało łóżko, pokryte drukowanym perkalikiem, w kącie kolebka, kilka stołków, na ścianie wisiała dubeltówka, w środku izby stół nakryty. Miedziana lampa paliła się na grubym obrusie z białego płótna, cynowy dzban, pełen wina, błyszczał jak srebrny, na środku waza z dymiącą się zupą brunatną. Przy stole siedział mężczyzna około lat czterdziestu, wesołej i otwartej twarzy, i huśtał małe dziecko na kolanach. Obok niego kobieta jeszcze młoda, karmiła drugie dziecko; ojciec się śmiał, dziecię się śmiało, matka uśmiechała.

Nieznajomy zatrzymał się na chwilę i rozmarzył na ten widok miły i uspokajający. Co się w nim działo? Sam tylko mógłby powiedzieć. Prawdopodobnie myślał, że dom, w którym radość mieszka, jest także gościnnym, i że gdzie tyle jest szczęścia, tam znajdzie się może litość.

I zlekka zastukał do drzwi.

Nie usłyszano.

Zastukał powtórnie.

Usłyszała kobieta i rzekła:—Mój mężu, zdaje się ktoś stuka.

— Nie, odpowiedział mąż.

Zapukał raz trzeci.

Mąż podniósł się, wziął lampę, poszedł do drzwi i otworzył.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, pół wieśniak, pół rzemieślnik. Miał na sobie obszerny fartuch skórzany, dochodzący do lewego ramienia, za pasem młot, chustka czerwona, rożek z prochem i inne przedmioty, które pas przytrzymywał jak kieszeń. Przechylił w tył głowę i z za otwartej koszuli widać było szyję grubą jak u wołu, białą i obnażoną. Miał gęste brwi, ogromne faworyty czarne, oczy ciemne, szczęki i brodę wydatne, naprzód wysunięte, a nadewszystko nie dający się opisać wyraz fizjognomji ludzi, co się czują u siebie w domu.

— Panie, — rzekł podróżny—przepraszam. Czy nie moglibyście, za opłatą, dać mi talerz zupy i do przespania się kącik w szopie, tam w ogrodzie. Powiedzcie, czy moglibyście? za opłatą?

— Kto jesteście?—zapytał gospodarz.

Człowiek odpowiedział:—Przybywam z Puy Moisson. Szedłem dzień cały. Zrobiłem mil dwanaście. Czy moglibyście? za opłatą?

— Nie odmówiłbym—rzekł wieśniak — przyjęcia na noc uczciwego człowieka, gdyby zapłacił. Ale dlaczego nie idziecie do oberży?

— Niema miejsca.

— Ba! to być nie może. Dziś niema ani jarmarku, ani targu. Byliście u Labarra?

— Byłem.

— I cóż?

Podróżny odpowiedział zakłopotany:—Nie wiem, nie przyjął mię.

— A chodziliście do tego przy ulicy Chaffaut?

Kłopot nieznajomego wzrastał: wybełkotał nieśmiało:—I ten mnie nie przyjął.

Twarz wieśniaka przybrała wyraz nieufności, zmierzył nowoprzybyłego od stóp do głów i nagle zawołał ze drżeniem:

— A może ty jesteś ów człowiek?...

Znowu rzucił spojrzenie na nieznajomego, cofnął się trzy kroki, postawił lampę na stole i zdjął dubeltówkę ze ściany.

Tymczasem na okrzyk wieśniaka: *może ty jesteś ów człowiek?...* kobieta się podniosła, chwyciła w objęcia dwoje dzieci, skryła się za męża i z obnażoną piersią, obłąkanemi oczyma, przerażona patrzyła na nieznajomego, szepcząc: *kajdaniarz.*

Odbyło się to wszystko w krótszym czasie, niż potrzeba do wyobrażenia sobie tej sceny. Popatrzywszy chwil kilka na człowieka wzrokiem, jakim się patrzy na żmiję, gospodarz domu przystąpił do drzwi i rzekł:

— Idź precz!

— Przez litość—błagał człowiek—szklankę wody.

— Kulą w łeb—odpowiedział wieśniak.

Zatrzasnął drzwi z łoskotem i zamknął na dwa spusty. Po chwili zamknęły się okienice i słychać było, jak przyśrubowywano sztabę żelazną.

Noc zapadała. Chłodny wiatr wiał od Alp. Przy świetle dnia konającego nieznajomy ujrzał w jednym z ogrodów od ulicy budkę, obłożoną darnią. Bez namysłu przeskoczył płot i dostał się do ogrodu. Zbliżył się do budki; zamiast drzwi miała wązki otwór, bardzo nizki i podobna była do owych szałasów, które stawiają sobie strażnicy przy drogach. Zapewne myślał, że w istocie jest to mieszkanie dróżnika; zimno i głód mu dokuczały; na głód się zdecydował, ale pragnął się schronić przed zimnem. Zwykle w nocy dróżnicy nie zajmują tego rodzaju mieszkań. Położył się krzyżem na ziemi i wsunął do budki. Było tam dość ciepło, znalazł nawet wcale niezłe posłanie ze

słomy. Przez chwilę leżał wyciągnięty na niej i nie ruszał się, tak był znużony. Później, że mu zawadzał tłumok na plecach i że zresztą miał z niego gotową poduszkę, jął odpinać rzemienie. W tej chwili rozległo się gniewne warczenie. Podniósł oczy. Łeb ogromnego brytana ukazał się u otworu budki.

Było to legowisko psa.

Sam był mocny i nieustraszony, uzbroił się kijem, tłumokiem zasłaniał się jak tarczą, i jak mógł wydostał się z legowiska, nie bez szwanku jednak opończy i tak już podartej.

Podobnie wydobył się z ogrodu, ale cofając się z twarzą obróconą do brytana i nieustannie kijem wywijając młynka.

Kiedy nie bez trudu przelazł płot i znalazł się na ulicy, sam, bez przytułku, wygnany nawet z nędznego legowiska psiego, padł raczej niż usiadł na kamieniu; a jeden z przechodzących słyszał: — Nawet psem nie jestem!!

Wkrótce podniósłszy się, szedł znowu. Wyszedł za miasto, spodziewając się napotkać drzewo lub stóg siana w polu i tam się schronić.

Szedł tak czas jakiś ze spuszczoną głową. Gdy już był daleko od mieszkań ludzkich, podniósł oczy i szukał dokoła. Był w polu, po niem rozciągały się na wzgórzu rżyska; a słoma po świeżem żniwie miała podobieństwo głów krótko strzyżonych.

Na widnokręgu zaległa ciemność, opuszczone chmury zdawały się opierać o pagórek i wznosiły powoli, zasłaniając całe niebo. Księżyc wkrótce miał wnijść nad horyzont, a u zenitu migały tu i owdzie resztki światła dziennego, tak, iż chmury tworzyły w górze niebios rodzaj białawego sklepienia, z którego odbijała się światłość na ziemię.

Ziemia więc była bardziej oświetloną niż niebo, co sprawia bardzo przykre wrażenie; wzgórze biednych zarysów bladawo i niepewnie rysowało się na ciemnym widnokręgu. Cały ten ogół był wstrętny, po-

nury, ograniczony. Na polu i na pagórku nic prócz niekształtnego drzewa, które wiło się ze drżeniem o kilka kroków od podróżnego.

Człowiek ten widocznie nie miał delikatnych zwyczajów ludzi wykształconych i rozumnych. wrażliwych na tajemnicze widoki przyrody; a jednak w tem niebie, w tem wzgórzu, w tej równinie i w tem drzewie było coś tak głęboko zasmucającego, że postawszy czas pewien nieruchomy i rozmarzony, nagle zawrócił ku miastu. Są chwile, w których przyroda wydaje się nam nieprzyjaciółką.

Zawrócił tedy ku miastu. Bramy były zamknięte. Miasto D., które podczas wojen religijnych wystawione było na oblężenia, jeszcze w roku 1815 otaczały stare mury z kwadratowemi wieżycami po bokach, które później zwalono. Przez wyłom wszedł do miasta.

Mogła być ósma godzina wieczorem. Nie znając ulic, rozpoczął znowu przechadzkę na chybi trafi.

Tak doszedł do prefektury, potem do seminarjum. Przechodząc przez plac katedralny, pogroził pięścią kościołowi.

Przy końcu tego placu jest drukarnia. Tam poraz pierwszy drukowano proklamacje cesarza i gwardji cesarskiej do armji, przywiezione z wyspy Elby, dyktowane przez samego Napoleona.

Wyczerpany znużeniem i niczego się już nie spodziewając, położył się na ławie kamiennej, stojącej u wrót drukarni.

Jakaś stara kobieta wychodziła w tej chwili z kościoła. Zobaczyła człowieka, leżącego w cieniu.

— Co tu robisz; mój przyjacielu?—zapytała.

Odpowiedział surowo i z gniewem: — A widzisz, dobra kobieto, spać się kładę.

Dobra kobieta, w istocie godna tej nazwy, była to pani margrabina R.

— Na tej ławie?—rzekła.

— Przez dziewiętnaście lat miałem materac drewniany,—odparł człowiek—dziś mam materac kamienny.

— Byłeś żołnierzem?

— Tak, dobra kobieto, żołnierzem.

— Dlaczego nie idziesz do austerji?

— Bo nie mam pieniędzy.

— Niestety — rzekła pani R.—mam w woreczku tylko cztery su.

— Daj pani i to.

Człowiek zabrał cztery su. Pani R. mówiła dalej:—Za taką drobnostkę nie dostaniesz miejsca w austerji. Ale czyś próbował? Niepodobna, żebyś tak noc przepędził. Zapewne ci zimno i głodny jesteś. Mogliby cię przyjąć z miłosierdzia.

— Stukałem do wszystkich drzwi.

— I cóż?

— Wszędzie mnie odpędzono.

„Dobra kobieta“ dotknęła ramienia człowieka i wskazała mu w drugiej stronie placu nizki dom obok pałacu biskupiego.

— Stukałeś do wszystkich drzwi?

— A tak.

— A do tych tam stukałeś?

— Nie.

— To zastukaj.

II.

Mądrości radzi roztropność.

Tego wieczora ksiądz biskup D., po zwykłej przechadzce w mieście, długo pracował w swoim pokoju. Pisał księgę o *Obowiązkach*, której na nieszczęście nie dokończył. Starannie zbierał wszystko, co Ojcowie i Doktorowie Kościoła powiedzieli w tym ważnym przedmiocie. Książka dzieliła się na dwie części: pierwsza zawierała obowiązki wszystkich, druga—obowiązki każdego według stanu. Obowiązki, wspólne wszystkim, są bardzo wielkie. Jest ich czworo. Znajdziecie je wymienione u Św. Mateusza: obowiązki względem Boga (*Matth.* VI), obowiązki względem siebie samego (*Matth.* V, 29, 30), obowiązki względem bliźnich (*Matth.* VII, 12) i obowiązki względem stworzeń (*Matth.* VI, 20, 25). Resztę obowiązków biskup znalazł wskazane i przepisane gdzieindziej: obowiązki panujących i poddanych w Liście do Rzymian; sędziów, żon, matek i młodzieńców w Liście Św. Piotra; mężów, ojców, dzieci i sług w Liście do Efezów; wiernych w Liście do Żydów; dziewic w Liście do Koryntów. Ze wszystkich tych przepisów starannie układał harmonijną całość dla pożytku dusz.

Pracował jeszcze o ósmej wieczór, pisząc dość niewygodnie na małych ćwiartkach, a na kolanach dźwigając grubą księgę otwartą, gdy weszła pani Ma-

glora według zwyczaju zabrać z szafki nad łóżkiem srebro stołowe W kilka minut potem biskup, domyślając się, że już nakryto do stołu i że siostra może czekać, zamknął księgę, wstał i poszedł do pokoju jadalnego.

Pokój jadalny była to sala podłużna z kominkiem, z drzwiami na ulicę (powiedzieliśmy to dawniej) i oknem na ogród.

Pani Maglora w istocie kończyła nakrywanie do stołu.

Krzątając się, rozmawiała z Baptystą.

Lampa stała na stole, przysuniętym do kominka, na którym palił się dobry ogień.

Łatwo wyobrazić sobie dwie kobiety, z których każda przeszła sześćdziesiątkę: pani Maglora niska, gruba, żywa; panna Baptysta łagodna, szczupła, wątła, nieco wyższa od brata, odziana w suknię jedwabną piusową, modną w r. 1806, w którym kupiła ją w Paryżu i nosiła dotychczas. Używając pospolitego wyrażenia, mającego tę zaletę, że w jednem słowie całą myśl oddaje, powiemy, że pani Maglora wyglądała na *wieśniaczkę*, a panna Baptysta na *damę*. Pani Maglora miała na głowie czepek biały rurkowany, na szyi złoty krzyżyk z sercem, wiszący na aksamitnej tasiemce, jedyny klejnot niewieści w całym domu; chusteczkę białą, wychodzącą z pod grubej wełnianej sukni czarnego koloru z rękawami krótkiemi i szerokiemi, fartuch płócienny w czerwone i zielone kraty, spięty na piersi dwoma szpilkami, na nogach grube trzewiki i żółte pończochy, jakie noszą kobiety marsylskie. Suknia panny Baptysty skrojona była według mody 1806 roku; krótki stanik, wązka spódnica, rękawy z mankietami, klapami i guzikami. Siwe włosy ukrywała pod peruką fryzowaną *à l'enfant*. Fizjognomja pani Maglory była rozumną, ożywioną, dobrą; dwa kąty jej ust nierównie podniesione, górna warga grubsza od dolnej, nadawały jej twarzy pewien wyraz opryskliwy

i gniewny. Dopóki monsinior milczał, mówiła śmiało, swobodnie, choć z uszanowaniem, ale jak tylko monsinior mówić zaczął była biernie posłuszną, jakeśmy się o tem już przekonali. Panna Baptysta nie mówiła nawet, ograniczając się posłuszeństwem i przypodobaniem bratu. Nawet w młodości nie była ładną; miała wielkie oczy ciemno-niebieskie, nos długi, spiczasty, ale cała twarz, cała jej postać, jak powiedzieliśmy na początku, wyrażała dobroć niewymowną. Urodziła się na cichą, łagodną; ale wiara, miłość i nadzieja, trzy cnoty ogrzewające duszę, powoli podniosły tę łagodność do szczytu świętości. Z przyrody była owieczką, religja przekształciła ją w anioła. Biedna święta dziewico! Słodkie wspomnienie, znikłe niestety!

Panna Baptysta tyle razy później opowiadała, co się działo tego wieczora w mieszkaniu biskupiem, że wiele osób, żyjących jeszcze, pamięta najdrobniejsze szczegóły.

W chwili, gdy ksiądz biskup wszedł do jadalnego pokoju, pani Maglora żywo rozprawiała. Mówiła *pannie* o ulubionym przedmiocie, do którego przywykł był biskup. Chodziło o zamek drzwi wchodowych.

Jak się zdaje, kupując coś na mieście do wieczerzy, pani Maglora tu i owdzie słyszała dziwne rzeczy. Mówiono o włóczędze podejrzanej miny; że wszedł do miasta i gdzieś się ukrywał, że nieprzyjemność spotkać może późno w noc powracających do domu; że zresztą policja jest bardzo niedbała, bo prefekt poróżnił się z merem i obydwaj chcieli sobie zaszkodzić, wywołując jaką nieszczęśliwą przygodę; że więc było rzeczą ludzi roztropnych samym zająć się policją, strzedz się dobrze, należycie zaryglować i zabarykadować dom i *dobrze drzwi pozamykać*.

Pani Maglora z przyciskiem wymówiła ostatnie wyrazy; ale biskup, przyszedłszy ze swego pokoju, gdzie mu było trochę zimno, usiadł przed kominkiem, grzał się i myślał o czem innem. Słowa pani Maglo-

ry nie sprawiły pożądanego skutku. Powtórzyła je raz jeszcze. Wtedy panna Baptysta, żeby zadowolić Maglorę, a nie naprzykrzać się bratu, odezwała się nieśmiało:

— Słyszysz, bracie, co mówi pani Maglora?

— Słyszałem coś, ale nie dobrze — odpowiedział biskup. I obracając się w połowie z krzesłem i kładąc obydwie ręce na kolanach, podniósł ku starej służącej oblicze serdeczne i wesołe, które ogień oświecał z dołu.—No, co takiego? co się stało? zagraża więc nam okrutne niebezpieczeństwo?

Wtedy pani Maglora rozpoczęła na nowo całą historję, bez wiedzy przesadzając trochę. Ukazał się jakiś niebezpieczny żebrak i teraz ukrywa się w mieście. Chciał przenocować u Jakóba Labarre, ale oberżysta go nie przyjął. Widziano, jak wchodził przez bulwar Gassendi i o zmroku krążył po ulicach. Rabuś i wisielec z miną okropną.

— Doprawdy?—zapytał biskup.

Zapytanie ośmieliło panią Maglorę, która wzięła je za wskazówkę, że wkrótce i biskupa zdejmie niepokój; tryumfująca mówiła dalej.

— A tak, Wasza Wysokość. Nie inaczej. Tej nocy będzie jakie nieszczęście. Wszyscy to mówią. A do tego policja tak źle jest urządzona. Mieszkać w kraju górzystym i nie mieć nawet latarni w nocy na ulicach! Wychodzisz: ciemno jak w kominie! Powiadam Waszej Wysokości i panna ze mną powiada...

— Ja nic nie powiadam—przerwała siostra.—Cokolwiek czyni mój brat, dobrze czyni.

Pani Maglora mówiła dalej, jakby nie słyszała protestacji:

— Powiadamy tedy, że ten dom wcale nie jest zabezpieczony, i jeżeli Wasza Wysokość pozwoli, pobiegnę do Pawła Musebois, ślusarza, żeby przybił stare zamki i zasuwy do drzwi; potrzebne są

koniecznie, choćby na tę noc tylko, bo powiadam, nic straszniejszego nad drzwi, które pierwszy lepszy otwiera od ulicy, zwłaszcza, że monsinior ma zwyczaj mówić zawsze: proszę wejść! i że zresztą, choćby w nocy, o mój Boże! nikt nie potrzebuje nawet prosić o pozwolenie...

W tej chwili gwałtownie zastukano do drzwi.

— Proszę wejść—rzekł biskup.

III.

Heroizm biernego posłuszeństwa.

Drzwi się otworzyły.

Otworzyły się prędko, na rozcież, widać że je pchnięto silnie, rezolutnie.

Wszedł jakiś mężczyzna.

Mężczyznę tego znamy. Jest to ów podróżny, którego widzieliśmy przed chwilą, jak błądził szukając schronienia.

Wszedł, postąpił krok naprzód i zatrzymał się, zostawiając za sobą drzwi otwarte. Miał tłumoczek na plecach, kij w ręku, wyraz oczu surowy, śmiały, gwałtowny, mimo znużenia. Oświecał go ogień z kominka. Był straszny, jak widmo złowrogie.

Pani Maglora nie miała nawet siły wykrzyknąć. Drżała, stojąc z otwartemi ustami.

Panna Babtysta obróciła się, ujrzawszy wchodzącego człowieka; przerażona wyprostowała się na poły, później zwracając zwolna głowę ku kominkowi, patrzyła na brata i twarz jej stała się najzupełniej spokojną i pogodną.

Biskup utkwił na przychodnia spojrzenie spokojne.

Gdy otwierał usta, zapewne by zapytać się nowoprzybyłego, czego sobie życzył, człowiek wsparł obydwie ręce na kiju, powiódł wzrokiem po starcu

i kobietach, i nie czekając, co powie biskup, rzekł głosem donośnym:

— Krótko powiem. Nazywam się Jan Valjean. Jestem galernik. Byłem dziewiętnaście lat w więzieniu. Przed czterema dniami uwolniono mnie i jestem w drodze do Pontarlier, miejsca mego przeznaczenia. Z Tulonu idę dni cztery. Dziś zrobiłem dwanaście mil pieszo. Wieczorem przybywszy do tego kraju, wstąpiłem do austerji; odprawiono mnie z powodu paszportu żółtego, który pokazałem w ratuszu. Tak wypadało. Byłem w innej austerji. Powiedziano mi: Idź precz! U tego, u owego. Nikt mię nie chciał. Zaszedłem do więzienia. Odźwierny nie chciał mi otworzyć. Wlazłem do legowiska psa. Pies ukąsił mnie i wygnał, jakbym był człowiskiem. Zdawało się, że wiedział, kim jestem. Poszedłem w pole spocząć pod niebem gwiaździstem. Nie było gwiazd. Myślałem, że deszcz będzie padał, że niema Pana Boga, aby nie dopuścił deszczu, i wróciłem do miasta poszukać jakiego przysionka u drzwi. Na placu położyłem się na kamieniu; jakaś dobra kobieta pokazała mi wasz dom i rzekła: zastukaj tam. Zastukałem. Co tu jest? czy oberża? Mam pieniądze, mój depozyt. Sto dziewięć franków piętnaście su, zarobionych na galerach dziewiętnastoletnią pracą. Zapłacę. Co mi to znaczy! Mam pieniądze. Jestem bardzo znużony, dwanaście mil pieszo, głód cierpię. Pozwólcie pozostać!

— Pani Magloro—rzekł biskup—dodać jedno nakrycie do stołu.

Człowiek postąpił trzy kroki naprzód i zbliżył się do lampy, stojącej na stole: — Patrzcie — mówił dalej, jakby nie dobrze zrozumiał — nie rozumiecie. Czyście mnie dobrze słyszeli? jestem galernik, kajdaniarz. Powracam z galer.—Wyjął z kieszeni wielki arkusz żółtego papieru i rozwinął.—Oto mój paszport. Żółty, jak widzicie. Służy on na to, żeby mię wypędzano zewsząd, gdzie pójdę. Przeczytacie? Umiem czytać sam. Nauczyłem się w więzieniu. Jest tam szkoła dla chcących się uczyć. Patrzcie, co stoi w paszporcie: „Jan Val-

jean, więzień uwolniony, rodem z ..."—to was nie obchodzi...—„był dziewiętnaście lat na galerach. Pięć lat za kradzież z wyłamaniem drzwi. Czternaście za czterokrotne usiłowanie ucieczki. Człowiek bardzo niebezpieczny." Słyszycie? Wszyscy mnie wyrzucają za drzwi. A wy chcecież mnie przyjąć? Czy to austerja? dacie mi co zjeść i gdzie przespać się? czy macie stajnię?

— Pani Magloro—rzekł biskup — położysz świeże prześcieradło i kołdrę na łóżku w alkierzu.

Powiedzieliśmy już, jak wielkie było posłuszeństwo dwóch kobiet.

Pani Maglora wyszła wykonać rozkazy.

Biskup obrócił się do człowieka:

— Siadaj pan i ogrzej się. Za chwilę podadzą do stołu i pościelą panu, my tymczasem będziem wieczerzać.

Tym razem zupełnie zrozumiał.

Fizjognomja jego dotychczas ponura i surowa, przybrała wyraz zdumienia, wątpliwości, wesela i stała się niezwyczajną. Zaczął gadać od rzeczy, jak warjat.

— Doprawdy? jakto? patrzycie na mnie? nie wypędzacie? kajdaniarza! tytułujecie mię *pan*, nie tykacie! Precz psie! jak mówią mi zawsze. Byłem pewny, że mnie wypędzicie. I dlatego od razu powiedziałem, kto jestem. O! poczciwa kobieta, co mi pokazała drogę! Będę wieczerzał! łóżko z materacem, prześcieradłem i kołdrą, jak wszyscy: łóżko! od dziewiętnastu lat nie spałem na łóżku! pozwalacie, żebym został! Zacni ludzie. Zresztą mam pieniądze: dobrze zapłacę. Z przeproszeniem, panie oberżysto, jak godność pańska? Zapłacę, cokolwiek zechcecie. Zacny z pana człowiek. Jesteś pan oberżystą? nieprawdaż?

— Jestem, rzekł biskup—ksiądz tu mieszkający.

— Ksiądz!—powtórzył człowiek. O! zacny księże! a więc nie żądasz pan ode mnie pieniędzy? Proboszcz; wszak tak? proboszcz tego wielkiego kościoła? Ach, prawda, jakiż ja głupi! nie widziałem pańskiej piuski.

Tak prawiąc, złożył tłumoczek i kij w kącie, schował paszport do kieszeni i usiadł. Baptysta patrzyła nań łagodnie. Mówił dalej:

— Jesteś ludzki, księże proboszczu, nie pogardzasz. Piękna to rzecz—dobry ksiądz. A więc nie potrzebujesz pan zapłaty?

— Nie—rzekł biskup,—schowaj pan pieniądze. Ile masz? mówiłeś podobno że sto dziewięć franków.

— I piętnaście su—dodał.

— Sto dziewięć franków piętnaście su. A ile czasu potrzebowałeś pan na zarobienie tej kwoty?

— Dziewiętnaście lat.

— Dziewiętnaście lat!

Biskup ciężko westchnął.

Człowiek mówił dalej: — Mam jeszcze wszystkie pieniądze. Od czterech dni wydałem tylko dwadzieścia pięć su, które zarobiłem w Grasse, pomagając w zdejmowaniu towarów z wozów. Ponieważ pan jesteś księdzem, powiem panu, że mieliśmy kapelana na galerach. Jednego dnia widziałem biskupa. Był to biskup Majora z Marsylji. Jest to proboszcz przełożony nad proboszczami. Pan wiesz, przepraszam źle mówię o tych rzeczach, ale dla mnie są one tak obce. Pojmujesz pan, my prostacy! Odprawił mszę w środku galer na ołtarzu i miał na głowie coś spiczastego ze złota. W południe na słońcu ślicznie to błyszczało. Staliśmy w szeregach z trzech stron, naprzeciw nas armaty z zapalonemi lontami. Niedobrześmy widzieli. Mówił, ale był od nas zadaleko i nie słyszeliśmy. Otóż, co to znaczy biskup.

Gdy tak prawił, biskup poszedł zamknąć drzwi, które zostały otwarte na rozcież.

Wróciła pani Maglora, niosąc nakrycie. Położyła je na stole.

— Pani Magloro—rzekł biskup—przysuń to nakrycie jak najbliżej ognia.—I obracając się do go-

ścia, dodał:—Wiatr nocny ostry w Alpach. Musi panu być zimno.

Ilekroć biskup wymówił wyraz *pan* głosem łagodnie poważnym, tonem człowieka lepszego towarzystwa, twarz człowieka jaśniała od szczęścia. Powiedzieć *panie* więźniowi z galer, to podać szklankę wody rozbitkowi Meduzy. Pozbawieni czci pragną szacunku.

— Lampa ta—dodał biskup—słabo oświeca.

Pani Maglora zrozumiała; pobiegła po świeczniki do sypialnego pokoju i postawiła je zapalone na stole.

— Księże proboszczu — rzekł człowiek — jesteś dobry, nie gardzisz mną. Przyjmujesz u siebie, zapalasz świece dla mnie. A jednak nie ukrywam przed panem zkąd przychodzę i że jestem człowiekiem nieszczęśliwym.

Biskup siadł przy nim i zlekka dotknął jego ręki:

— Mogłeś pan nie mówić mi, kim jesteś. Ten dom nie jest mój, to dom Jezusa Chrystusa. Drzwi te nie pytają wchodzącego o nazwisko, ale czy cierpi. Pan cierpisz, głodny jesteś i spragniony; witaj gościu pożądany. I nie dziękuj mi wcale, nie mów, że cię przyjmuję u siebie. Nikt tu nie jest u siebie, prócz tego, co potrzebuje schronienia. Mówię to panu, przechodniowi, że jesteś tu u siebie bardziej niż ja sam. Cokolwiek tu widzisz, jest twojem. Po co mi znać twoje nazwisko? Zresztą nim pan powiedziałeś, wiedziałem już jedno.

Człowiek otworzył oczy zdumiony:

— Doprawdy? wiedziałeś pan, jak się nazywam?

— Wiedziałem—odpowiedział biskup—nazywasz się moim bratem.

— Ach, księże proboszczu!—zawołał człowiek — byłem strasznie głodny, gdym tu przyszedł, ale pan

jesteś tak dobry, że teraz sam nie wiem, co jest głód przeminął.

Biskup spojrzał na niego i zapytał:

— Cierpiałeś dużo?

— O! kurta czerwona, kula u nogi, deska za posłanie, skwar, zimno, praca, loch, razy batogów, podwójne kajdany za byle co, więzienie za słówko, nawet chory w łóżku, kajdany. Psy, psy są szczęśliwsze! dziewiętnaście lat! mam ich czterdzieści sześć. A teraz paszport żółty. Ot!

— Tak, tak, — mówił biskup — wychodzisz pan z miejsca niedoli. Posłuchaj. Więcej radości sprawi w niebie widok zalanej łzami twarzy jednego żałującego grzesznika, niż białej szaty stu sprawiedliwych. Jeżeli to miejsce boleści opuściłeś z myślą nienawiści i gniewu na ludzi, godny pan jesteś politowania; ale jeżeli wychodzisz z myślami życzliwości, słodyczy i spokoju, więcej wart jesteś od każdego z nas.

Tymczasem pani Maglora podała do stołu; zupa na wodzie z oliwą, chlebem i solą, zrazik słoniny, kawałek baraniny, figi, ser i duży bochenek chleba żytniego. Z własnego natchnienia dołączyła do zwykłej wieczerzy księdza biskupa butelkę starego wina Mauves.

Twarz biskupa przybrała nagle wyraz wesołości, właściwej ludziom gościnnym. — Do stołu — zawołał żywo, jak zwykle, gdy miał kogo z obcych na wieczerzy; posadził człowieka przy sobie po prawej stronie. Panna Baptysta, zupełnie spokojna i naturalna, zajęła miejsce po lewej.

Biskup odmówił *Benedicite*, potem sam, według zwyczaju, nalał zupę. Człowiek skwapliwie jeść począł.

Nagle biskup się odezwał: — Ale zdaje mi się, że czegoś brakuje na stole.

W istocie pani Maglora położyła tylko trzy talerze, niezbędnie potrzebne. Było zaś zwyczajem

w domu, gdy ksiądz biskup miał kogo na wieczerzy, stawiać na obrusie sześć nakryć srebrnych; wystawa niewinna. Wdzięczny ten pozór zbytku był rodzajem miłego dzieciństwa w tym domu cichym i surowych obyczajów, gdzie ubóstwo wznosiło się do dostojeństwa.

Pani Maglora zrozumiała napomnienie, wyszła słowa nie rzekłszy, i po chwili trzy żądane talerze błyszczały na obrusie, symetrycznie postawione przed każdym z biesiadników.

IV.

Szczegóły o fabrykach serów w Pontarlier.

Aby dać teraz wyobrażenie o tem, co się działo przy stole, najlepiej podobno zrobimy, przepisując tu ustęp z listu panny Baptysty do pani Boischevron, w którym z naiwną drobiazgowością opisana jest rozmowa galernika z biskupem.

. . . . . .

„. . . . Człowiek ten nie zważał na nikogo. Jadł żarłocznie, jak wilk zgłodniały. Ale po wieczerzy powiedział:

„— Księże proboszczu boży, zapewne wszystko to jest za dobre dla mnie, wyznać jednak muszę, że furmani, którzy nie chcieli pozwolić mi wieczerzać z sobą, nierównie lepiej jedzą od pana.

„Mówiąc między nami, przykrą mi była ta uwaga. Brat odpowiedział:

„— Ciężej też odemnie pracują.

„— Nie—odparł ten człowiek—mają więcej pieniędzy. Pan jesteś ubogi, widzę to dobrze. Może nawet nie jesteś proboszczem. Co, może i proboszczem nie jesteś? Ach, doprawdy, gdyby Pan Bóg był sprawiedliwy, powinienbyś pan być proboszczem.

„— Pan Bóg jest więcej niż sprawiedliwy—odpowiedział mój brat.

„I po chwili dodał:

„— Panie Janie Valjean, wszak udajesz się do Pontarlier?

„— Z przymusową marszrutą.

„Zdaje mi się, że coś podobnego powiedział. Później mówił dalej:

„— Muszę wyruszyć w drogę jutro o świcie. Podróż nieznośna. Noce chłodne, dnie gorące.

„— Udajesz się pan — odparł mój brat — do dobrego kraju. W czasie rewolucji rodzina moja straciła wszystko, schroniłem się najprzód do Franche-Comté, gdzie się czas pewien z pracy rąk utrzymywałem. Nie brakło mi dobrej woli. Znalazłem zajęcie. Cały kłopot był w wyborze. Są tam papiernie, garbarnie, dystylarnie, olearnie, fabryki zegarów, fabryki stali, ze dwadzieścia najmniej hut żelaznych, z których cztery w Lods, Châtilons, w Audincourts i w Beure, głośne w kraju...

„Jak mi się zdaje, nie pomyliłam się w nazwiskach, wymienionych przez brata; później przerwał opowiadanie i zwrócił ku mnie rozmowę:

„— Kochana siostro — rzekł — nie przypominasz sobie, czy nie mamy krewnych w tym kraju?

„Odpowiedziałam:

„— Mieliśmy, między innymi pana de Lucenet, dowódcę straży wewnętrznej w Pontarlier za dawnego rządu.

„— A tak — mówił dalej brat — ale w r. 1795 nie miało się już krewnych, jedyną pomocą były własne ręce. Pracowałem. Około Pontarlier, dokąd się udajesz panie Veljean, zajmują się przemysłem bardzo patryarchalnym i miłym, droga siostro. Mają fabryki serów, które nazywają owocarniami.

„I brat mój, nie przestając zachęcać owego człowieka, aby jadł, wytłumaczył mu szczegółowo, co to były owocarnie Pontarlier; że rozróżniano ich dwa

rodzaje: *wielkie szopy*, należące do bogatych, liczące do pięćdziesięciu krów, które wydawały siedm do ośmiu tysięcy serów latem; *owocarnie stowarzyszenia* należą do biednych: są to wieśniacy z gór, utrzymują krowy wspólnie i dzielą się produktem. Najmują wyrabiającego sery, który bierze trzy razy dziennie mleko od stowarzyszonych i oznacza ilość podwójną miarą; pod koniec kwietnia rozpoczyna się wyrabianie serów, w połowie czerwca pachciarze prowadzą krowy w góry.

„Człowiek, w miarę jak jadł, nabierał życia. Brat dolewał mu dobrego wina Mauves, którego sam nie pija, utrzymując, że jest za drogie. Brat opowiadał te szczegóły ze znaną ci niewymuszoną wesołością, wtrącając gdzieniegdzie uprzejme do mnie słówko. Często wracał w opowiadaniu do szczęśliwego stanu wyrabiających sery, jak gdyby, nie narzucając swej rady, życzył w duchu, aby ten człowiek szukał chleba w podobnym stanie. Jedna rzecz mnie uderzyła. Człowiek ten jest takim, jak ci mówiłam. Otóż brat mój, w czasie kolacji i przez cały wieczór, z wyjątkiem kilku słów wyrzeczonych gdy przyszedł, nie powiedział mu nic takiego, coby przypominało jego stan, lub dawało mu poznać, jaką godność mój brat piastuje. Zdawało się, że nastręczała się dobra sposobność do napomnień i dania uczuć galernikowi, że ma do czynienia z biskupem, aby trwalszy pozostał ślad tego spotkania. Każdy inny możeby sądził, że mając nieszczęśliwego pod ręką, należało współcześnie nakarmić jego duszę— nietylko ciało i uczynić mu trochę wyrzutów, zaprawionych nauką moralną i radami, lub też okazać politowanie, ale zarazem upomnieć, aby się lepiej prowadził na przyszłość. Mój brat nie zapytał go nawet, zkąd pochodzi i jaka była jego przeszłość. W przeszłości bowiem tkwiły jego błędy, a brat zdawał się unikać wszystkiego, coby mu je przypominało. Tak dalece, że mówiąc o góralach Pontarlier, którzy mają *wdzięczną pracę blisko nieba* i jak mówił, *są szczęśliwi*,

bo niewinni, nagle zamilkł, jakby obawiając się wyrzeczenia słówka, któreby mogło zadrasnąć człowieka. Długo zastanawiając się nad tem, zdaje mi się, żem zrozumiała, co się działo w sercu mego brata. Niewątpliwie myślał, że człowiek ten, nazywający się Jan Veljean, nazbyt miał przytomną w umyśle swą nędzę i że lepiej było oderwać go od niej i postępując z nim jak z równym sobie, wmówić w niego, choćby na chwilę, że jest takim jak inni. W istocie, nie jestże to dobrze zrozumiane miłosierdzie? Nie maszli coś prawdziwie ewangelicznego w tej delikatności, co unika strofowań, morałów i przymówek? Nie jestże najlepszem miłosierdziem względem człowieka, co ma jaką bolesną stronę, nie dotykać jej wcale? Zdawało mi się, że taka była myśl ukryta mojego brata. W każdym razie powiedzieć mogę, że jeśli miał takie myśli, to ich wcale nawet nie dał mi poznać; przez cały czas był takim samym, jak każdego innego wieczora, i wieczerzał z Janem Valjean z równą swobodą i serdecznością, jednako obchodząc się, jak z panem Gedeonem prewotem, lub z księdzem proboszczem parafji.

„Pod koniec wieczerzy, gdyśmy jedli figi, zastukano do drzwi. Weszła matka Gerbaud z dzieckiem na ręku. Brat pocałował dziecię w czoło, pożyczył odemnie piętnaście su i dał je matce Gerbaud. Człowiek nie zwracał prawie na to uwagi. Przestał mówić i zdawał się znużony. Gdy biedna stara Gerbaud odeszła, brat zmówił modlitwę dziękczynną, potem obracając się do człowieka, rzekł: musisz pan czuć bardzo potrzebę spoczynku. Pani Maglora prędko zdjęła nakrycie. Zrozumiałam, że wypadało oddalić się, by podróżny prędzej spać się położył, i odeszłyśmy obydwie. Jednakże w chwilę potem posłałam przez panią Maglorę na łóżko tego człowieka skórę sarnią z lasu Czarnego, będącą w moim pokoju. Noce są zimne, a skóra ta utrzymuje ciepło. Szkoda, że już stara i bez włosa. Brat kupił ją mieszkając w Niemczech, w Tottlingen, przy ujściu Dunaju, wraz z nożykiem

o rączce ze słoniowej kości, którego używam przy stole.

„Pani Maglora powróciła prawie natychmiast, poszłyśmy pomodlić się w sali, gdzie suszą bieliznę, i później, nie rzekłszy słowa, każda udała się na spoczynek do swojego pokoju".

V.

Spokojność.

Powiedziawszy dobranoc siostrze, monsinior Benvenuto wziął ze stołu jeden świecznik srebrny, drugi podał gościowi i rzekł:

— Zaprowadzę pana do jego pokoju.

Człowiek szedł za nim.

Jak sobie przypominacie z tego cośmy dawniej powiedzieli, rozkład mieszkania był taki, że chcąc wejść do kaplicy, przy której był alkierzyk, lub wyjść z niej, należało przechodzić przez pokój sypialny biskupa.

Gdy przechodzili przez ten pokój, pani Maglora schowała srebra w szafce, będącej nad łóżkiem. To była ostatnia jej czynność wieczorem, przed pójściem na spoczynek.

Biskup wprowadził gościa do alkierza. Na łóżku leżało białe prześcieradło i świeżo obszyta kołdra. Człowiek postawił świecznik na stoliku.

— No — rzekł biskup — dobrej nocy. Jutro rano, przed odejściem, wypijesz pan filiżankę ciepłego mleka prosto od krowy.

— Dziękuję księdzu dobrodziejowi — odpowiedział człowiek.

Zaledwie wymówił te słowa pełne spokoju, gdy nagle stała się w nim dziwna przemiana, któraby lo-

dem ścięła krew w dwóch poczciwych pannach, gdyby były obecne tej scenie. Dziś nawet trudno nam zdać sprawę z pobudek jego postępku. Czy chciał dać przestrogę, czy miotał pogróżkę? Czy był posłuszny jakiemuś instynktownemu, nieświadomemu popędowi? Dość, że znienacka obrócił się ku starcowi, ręce skrzyżował na piersiach, utkwił dzikie spojrzenie w gospodarza, i zawołał ponurym i ochrzypłym głosem:

— Ha! bez żartów! dajecie mi nocleg w swym domu, tak blisko siebie!

Zatrzymał się i dodał z potwornym śmiechem:

— Czyście się dobrze zastanowili? Kto wam powiedział, że nie jestem mordercą?

Biskup spokojnie odpowiedział:

— O tem wie Pan Bóg.

I ruszając ustami, jakby modlił się lub mówił coś do siebie, poważnie wyciągnął dwa palce prawej ręki i pobłogosławił człowieka, który ani się schylił — i nie odwracając głowy, nie patrząc za siebie, zwolna powrócił do swego pokoju.

Gdy kto spał w alkierzu, zasłaniano ołtarz w kaplicy kotarą wełnianą. Biskup przechodząc, ukląkł i modlił się chwilę.

Powstawszy, poszedł do ogrodu, przechadzał się, marzył, myślał; dusza jego cała wybiegła ku tym wielkim tajemniczym rzeczom, które Bóg w nocy ukazuje oczom otwartym.

Co do człowieka, ten w istocie tak był znużony, że nawet nie korzystał ze świeżego prześcieradła; zdmuchnąwszy nosem świecę, jak to czynią galernicy, rzucił się w ubraniu na łóżko i natychmiast zasnął głęboko. Północ biła, gdy biskup powracał z ogrodu do swego pokoju.

W kilka minut później wszyscy spali w małym domku.

VI.

Jan Valjean.

Wśród nocy Jan Valjean się obudził.

Jan Valjean pochodził z biednej rodziny włościańskiej w La Brie. Dzieckiem nauczył się czytać, gdy doszedł lat męzkich zajmował się czyszczeniem drzew w Faverolles. Matka jego nazywała się Joanna Mathieu, ojciec Jan Valjean, albo Jan Vlajean; prawdopodobnie było to nazwisko ze skróconego wyrazu *Voila Jean*.

Jan Valjean miał charakter myślący, ale nie smutny, co jest właściwe duszom wrażliwym. Wogóle jednak ten Jan Valjean było to coś zaspanego, nieznaczącego przynajmniej z pozoru. W dzieciństwie utracił ojca i matkę. Matka umarła z zaniedbanej pokarmowej gorączki. Ojciec, jak on, ogrodnik, zabił się, spadłszy z drzewa. Janowi Valjean pozostała tylko starsza siostra, wdowa z siedmiorgiem dzieci, dziewczętami i chłopcami. Ta siostra go wychowała i dopóki żył mąż, karmiła i odziewała młodszego brata. Mąż umarł. Najstarsze z siedmiorga dzieci miało lat ośm, najmłodsze rok. Jan Valjean skończył lat dwadzieścia pięć. Zastąpił ojca, z kolei utrzymywał siostrę, która go wychowała. Jan Valjean czynił to poprostu jako powinność, chociaż z pewną opryskliwo-

ścią, Tak upływała jego młodość na pracy ciężkiej i źle płatnej. Nie słyszano w okolicy, żeby miał przyjaciółkę. Nie miał czasu się kochać.

Wieczorem wracał znużony i jadł zupę, nie mówiąc słowa. Nieraz w czasie wieczerzy siostra, matka Joanna, wyjmowała z jego misy najlepszy kąsek, kawałek mięsa, zrazik słoniny, główkę kapusty i dawała któremu z dzieci; on, jedząc pochylony na stół, z głową prawie w zupie, z włosami zwieszonemi około misy i zasłaniającemi oczy, zdawał się nic nie widzieć i pozwalał się odjadać. Niedaleko od chaty Valjeana mieszkała w Faverolles po drugiej stronie uliczki czynszownica, nazwiskiem Marja Klaudja; dzieci Valjean, zwykle zgłodniałe, pożyczały nieraz od Marji Klaudji dla swej matki garnek mleka i wypijały go za płotem lub gdzie pod drzewem, łakomie wydzierając sobie garnek, dziewczynki rozlewały mleko na fartuszki. Gdyby matka dowiedziała się o występnej psocie, pewnie surowo by ukarała winowajców. Jan Valjean, porywczy, zrzędny, płaci Marji Klaudji należność matki za mleko i dzieci nie były karane.

W porze czyszczenia drzew zarabiał ośmnaście su dziennie, później najmował się do żniwa, za parobka, do wszelkiej roboty. Robił, co mógł. Siostra jego także pracowała, ale co począć z siedmiorgiem dzieci? Smutną gromadkę ujęła w swe kleszcze nędza i dławiła powoli. Nastała zima bardzo ostra. Jan nie miał roboty, rodzina chleba. Literalnie nie było chleba. Siedmioro dzieci.

Pewnej niedzieli wieczorem Maubert Isabeau, piekarz przy placu kościelnym w Faverolles, zabierał się do snu, gdy usłyszał gwałtowne uderzenie w wystawę sklepu, okratowaną i oszkloną. Zeskoczył z łóżka i ujrzał rękę, wsuniętą przez dziurę wybitą w kratce i szybie. Ręka porwała bochenek chleba i uniosła. Isabeau wybiegł z mieszkania, złodziej co tchu uciekał. Dogonił go i przytrzymał. Złodziej rzucił chleb, ale miał jeszcze zakrwawioną rękę. Był nim Jan Valjean.

Działo się to w roku 1795. Jan Valjean stawiony został przed sądy ówczesne „za gwałtowną kradzież nocną w domu zamieszkanym“. Miał strzelbę, której lepiej używał niż ci, co strzelają do ludzi, i nieraz polował na cudzym gruncie; to mu zaszkodziło. Przeciw ukradkowym myśliwym jest słuszne uprzedzenie. Myśliwiec taki, podobnie jak przemytnik, bardzo zakrawa na rozbójnika. Jednakże, powiedzmy nawiasem, cała przepaść dzieli tego rodzaju ludzi od ohydnych zabójców miejskich. Ukradkowy myśliwiec przebywa w lasach, kontrabandzista w górach lub na morzu. Miasta tworzą ludzi okrutnych, bo zepsutych. Góra, morze, las wydają ludzi dzikich, rozwijają srogość, nie niszcząc jednak uczuć ludzkich.

Jan Valjean uznany został winnym. Artykuł kodeksu jest wyraźny. Są w cywilizacji naszej straszne godziny: gdy prawo karne wyrzeka wyrok upadku, zguby. Chwila pogrzebowa, w której społeczeństwo oddala się i nazawsze opuszcza istotę myślącą! Jan Valjean skazany został na pięć lat do galer.

Dnia 22 kwietnia 1796 r. obwoływano w Paryżu zwycięstwo pod Montenotte, odniesione przez jenerała, naczelnego wodza armji włoskiej, którego poselstwo od Dyrektorjatu do Rady Pięciuset, dnia 2 floreala IV roku nazywa Buona-Parte; tegoż dnia wielki łańcuch skuto w Bicêtre. Jan Valjean należał do niego. Stary odźwierny więzienia, dziś liczący lat dziewięćdziesiąt, doskonale przypomina sobie tego biedaka, którego przykuto do końca czwartego szeregu, w północnym rogu dziedzińca. Zdawał się nie pojmować swego położenia, czuł tylko, że jest okropne. Prawdopodobnie coś nadzwyczajnego działo się w duszy ciemnego biedaka. Gdy ciężkiemi uderzeniami młota zbijano ogniwo jego obroży, płakał, łzy go dławiły, tamowały mowę, i niekiedy tylko wyrzec był zdołał: *Byłem oczyszczaczem drzew w Faverolles.* Potem łkając, wznosił rękę prawą i stopniowo zniżał ją siedm razy, jak gdyby kolejno dotykał siedm głów coraz niższych; z tego

gestu odgadywano, że jeśli popełnił występek, to żeby przyodziać i wyżywić siedmioro drobnych dziatek.

Odjechał do Tulonu. Przybył tam po dwudziestosiedmiodniowej podróży, na wózku, z łańcuchem u szyi. W Tulonie odziano go w czerwoną opończę. Zatarło się wszystko z jego życia aż do nazwiska; przestał być Janem Valjean—był numerem 24601. Co stało się z jego siostrą? co z siedmiorgiem dziatek? Któż się tem zajmuje? W co obraca się garść liści młodego drzewa u pnia ściętego?

Zawsze jedna historja. Biedne istoty żyjące, stworzenia boskie, bez pomocy znikąd, bez opieki, bez schronienia, poszły na los szczęścia, kto wie? może każde w inną stronę, i zanurzyły się powoli w tej zimnej mgle, która pochłania losy samotne, w tych posępnych cieniach, gdzie w smutnym pochodzie rodzaju ludzkiego znika kolejno tyle głów nieszczęśliwych. Opuścili okolicę. Dzwon wioski o nich zapomniał; słup graniczny ich pól rodzinnych o nich zapomniał; po kilku latach pobytu na galerach, sam Jan Valjean o nich zapomniał. W sercu tem była rana, była i blizna. Oto cała przyczyna. Raz tylko przez cały czas przepędzony w Tulonie słyszał o swojej siostrze. Było to, jeśli się nie mylimy, pod koniec czwartego roku jego niewoli. Nie wiemy już, jaką drogą doszła go ta wiadomość. Ktoś, co znał ich w stronach rodzinnych, widział jego siostrę. Była w Paryżu. Mieszkała na biednej ulicy Geindre, blizko Św. Sulpicjusza. Miała przy sobie tylko jedno dziecię, najmłodszego chłopca. Gdzie podziało się pozostałe sześcioro? Może sama nie wiedziała. Codziennie rano chodziła do drukarni przy ulicy Sabot № 3, gdzie składała i broszurowała. Musiała tam być o szóstej rano; w zimie — przed świtem. W domu drukarni była szkoła, do której zabierała z sobą siedmioletniego chłopczyka. Ale, że do drukarni wchodziła o szóstej, a szkołę otwierano dopiero o siódmej, więc dziecię czekało godzinę na podwórzu, dopóki nie otworzą szkoły; zimą godzinę

w nocy, pod gołem niebem. Nie pozwalano dziecku wejść do drukarni, bo zawadzało, jak mówiono. Robotnicy, przechodząc rano, widzieli chłopczynę na bruku, jak padał od senności, lub skurczony spał w cieniu na swoim koszyku. Gdy deszcz padał, stara odźwierna z litości brała go do ciupy; dziecię zasypiało w kącie, przytulając się do kota, żeby mniej czuło zimna. O siódmej chłopczyna szedł do szkoły. Tak opowiadano Janowi Valjean. Słyszał o rodzeństwie raz tylko, była to jedna chwila, błyskawica, niby okno, co nagle się otwarło na los tych istot kochanych i równie prędko zamknęło; nigdy już potem o nich nie słyszał. Nigdy ich nie widział, nigdy nie spotkał i w całym ciągu tej całej historji nie spotka nigdy.

Pod koniec czwartego roku Jan Valjean probował uciec. Dopomogli mu towarzysze, jak to zwykle się dzieje w tem smutnem miejscu. Swobodny dwa dni błąkał się w polu; swobodny? możnaż nazwać swobodnym człowieka, którego ścigają, który musi się nieustannie oglądać, drżeć na lada szmer, obawiać się wszystkiego, i dymu z komina, i przechodzącego człowieka, i psa szczekającego i cwałującego konia i bijącego zegara, i dnia, bo w nim widać, i nocy, bo w niej nie widać, i drogi, i ścieżki, i krzaku, i snu. Schwytano go na drugi dzień wieczorem.

Trzydzieści sześć godzin nie jadł i nie spał. Za zbrodnię ucieczki skazał go sąd morski na przedłużenie trzyletnie kary, co czyni lat ośm. Szóstego roku znowu chciał uciec, ale mu się nie udało. Nie stanął do apelu. Strzelono z działa; żołnierze, odbywający ront, znaleźli go ukrytego pod deskami w warsztacie okrętowym; stawił zacięty opór straży. Ucieczka i bunt. Występek, przewidziany w osobnym kodeksie, ukarany został przedłużeniem więzienia do lat pięciu, z tych dwa w podwójnych kajdanach. Lat trzynaście. Dziesiątego roku nowa ochota ucieczki. I tym razem nie lepiej się udała. Trzy lata więzienia za zamiar. Lat szesnaście. Nakoniec trzynastego, jeśli się nie mylimy, roku po raz osta-

tni próbował uciec, lecz go schwytano, po czterech godzinach nieobecności. Trzy lata więzienia za te cztery godziny. Lat dziewiętnaście. W październiku 1815 r. został uwolniony; wszedł do więzienia 1796 roku za wybicie szyby i zabranie bochenka chleba.

Tu nawiasowych słów kilka. Po raz drugi badając sprawy karne i potępiając wyroki prawa, autor tej książki spotyka się z kradzieżą chleba, jako przyczyną wszystkich nieszczęść losu człowieka. Klaudjusz Nędzarz ukradł bochenek chleba; Jan Valjean ukradł bochenek chleba; statystyka angielska wykazuje, że na pięć kradzieży bezpośrednią przyczyną czterech jest — głód.

Jan Valjean drżał i płakał, wchodząc na galery; opuścił je zupełnie nieczuły. Wszedł zrozpaczony, wychodził ponury.

Co się działo w tej duszy?

VII.

Wnętrze rozpaczy.

Sprobujmy zdać z tego sprawę.

Społeczeństwo powinno przypatrzeć się tym rzeczom, bo one są jego dziełem.

Jakeśmy powiedzieli, Valjean był człekiem ciemnym wprawdzie, ale nie niedołężnym. W umyśle jego płonęła światłość przyrodzona. Nieszczęście, mające także swoją jasność, rozwidniło ten umysł. Pod batem, pod ciężarem kajdan, w więzieniu i znoju, pod gorącem niebem galer, na łożu z desek więziennych, wchodził w swoje sumienie i zastanawiał się.

Zrobił się sędzią w duchu.

Najprzód jął sądzić siebie samego.

I poznał, że nie był niewinnym, niesprawiedliwie ukaranym. Przyznał, że popełnił czyn gwałtowny i naganny; że zapewne nie odmówionoby mu chleba, gdyby prosił, że w każdym razie lepiej było czekać miłosierdzia, czy pracy; że nie jest argumentem niezbitym mówić: głodny może czekać? Że naprzód nader rzadko umiera się istotnie z głodu; że dalej, szczęściem czy nieszczęściem człowiek może cierpieć długo i wiele, moralnie i fizycznie, a jednak nie umrzeć; że więc należało uzbroić się w cierpliwość, że nawet wyszłoby to na korzyść biednych dziatek; że było szaleństwem ze strony nieszczęśliwego biedaka chwytać za kark

całe społeczeństwo i wyobrażać sobie, iż kradzieżą wydobędzie się z nędzy; że w każdym razie nie temi drzwiami wychodzi się z nędzy, któremi idzie do hańby; że nakoniec nie miał słuszności.

Następnie pytał:

Ażali w tej fatalnej historji on sam tylko nie miał słuszności? Czy najprzód nie było wielkiem nieszczęściem lub winą społeczeństwa, że on, robotnik, nie miał zajęcia, że człek pracowity nie miał chleba? Czy dalej po spełnieniu i wyznaniu błędu, kara nie była za srogą, za wielką? Czy prawo nie więcej nadużyło kary, niż winowajca błędu? Czy na szali sprawiedliwości nie przeważył ciężar pokuty za występek? Czy nadmiar kary nie niweczył występku, i w rezultacie czy nie przemieniał położenia: w miejsce błędu winowajcy, stawiając błąd skarcenia, z występnego czyniąc ofiarę, wierzyciela z dłużnika i ostatecznie kładąc prawo na stronie tego właśnie, co je pogwałcił? Czy ta kara, pomnażana kolejnem obciążeniem wskutek usiłowań ucieczki, nie była w końcu pewnym zamachem silniejszego na słabszego, występkiem społeczeństwa względem jednostki, zbrodnią popełnianą codziennie, zbrodnią, która dziewiętnaście lat trwała!

Pytał siebie, czy społeczeństwo ma prawo zarówno skazywać swych członków na znoszenie raz swej nierozumnej nieopatrzności, drugi raz swej nieubłaganej przezorności, i chwytać nazawsze biedaka w kleszcze niedostatku i nadużycia, niedostatku pracy, nadużycia kary?!

Czy nie jest potwornem, że społeczeństwo obchodzi się w ten sposób właśnie z członkami najgorzej uposażonymi od losu, a następnie najgodniejszymi pobłażania?

Zadawszy sobie te pytania i rozwiązawszy je, osądził społeczeństwo i potępił.

Skazał je na swą nienawiść.

Uczynił odpowiedzialnym za swój los okrutny i powiedział sobie, że kiedyś może zażąda od niego rachun-

ku. Powiedział sobie, że nie ma równowagi między szkodą, którą on wyrządził, i szkodą jemu wyrządzoną; wniósł w końcu, że jego kara niesprawiedliwością wprawdzie nie jest, lecz niewątpliwie jest niegodziwością.

Gniew może być szalony, niedorzeczny, można się złościć niesłusznie; ale oburzamy się wtedy tylko, gdy czujemy pewną słuszność za sobą. Jan Valjean czuł się oburzonym.

A przytem społeczeństwo ludzkie tylko mu złe wyrządzało, zawsze widział samo rozgniewane jego oblicze, które zowie swoją Sprawiedliwością i ukazuje tym, w których uderza. Ludzie zetknęli się z nim, aby go dręczyć tylko. Każde ich dotknięcie było dlań ciosem bolesnym. Nigdy od dzieciństwa, od utraty matki, od rozstania się z siostrą nie usłyszał dobrego słowa i nie spotkał życzliwego spojrzenia. Z cierpienia brnąc w cierpienie, wyrobił sobie w końcu to przekonanie, że życie jest wojną; że w tej wojnie został zwyciężony. Jedyną jego bronią była nienawiść. Postanowił wyostrzyć ją w więzieniu i zabrać z sobą wychodząc.

Była w Tulonie szkoła dla więźniów, utrzymywana przez księży zgromadzenia ś-go Jana; dawano w niej początkowe nauki nieszczęśliwym, którzy mieli ochotę się uczyć. Poszedł do szkoły w czterdziestym roku życia; nauczył się czytać, pisać i rachować. Czuł, że umacniając umysł, wzmacniał swą nienawiść. W pewnych razach ukształcenie i światło przysparzają złego.

Smutną rzecz wyznać musimy: osądziwszy społeczeństwo, od którego ucierpiał, osądził Opatrzność, która stworzyła społeczeństwo, osądził ją i potępił także.

To też przez dziewiętnaście lat męczarni i niewoli, dusza jego podnosiła się i upadała współcześnie. Jedną stroną wchodziło w nią światło, drugą ciemności.

Jan Valjean, jak widzieliśmy, nie był złym z natury. Był jeszcze dobrym wchodząc do więzienia. Na ga-

lerach potępił społeczeństwo i uczuł, że stał się złym; potępił Opatrzność i uczuł, ze stał się bezbożnym.

Tu mimowolnie nastręcza się uwaga.

Czy przyroda człowieka przeistacza się z gruntu, zupełnie? Czy człowiek, stworzony przez Boga dobrym, może się stać złym przez człowieka? Czy losy całkowicie mogą przemienić duszę i uczynić złą, gdy same są złemi? Czy serce może się stać szpetnem i dostać nieuleczonych chorób i brzydoty pod naciskiem ogromu nieszczęścia, jak kolumna pacierzowa pod zbyt niskiem sklepieniem? Nie masz w każdej duszy ludzkiej, nie było szczególniej w duszy Jana Valjeana, pierwotnej iskierki, boskiego żywiołu, nie ulegającego zepsuciu na tym, nieśmiertelnego na tamtym świecie, który dobro może rozwinąć, rozżarzyć, rozjaśnić, świetnie rozpromienić, tak, iżby złe nigdy go nie zgasiło?

Kwestje ważne i ciemne; na ostatnią z nich każdy fizjolog prawdopodobnie i bez wahania odpowiedziałby *nie*, gdyby ujrzał Jana Valjeana jak w Tulonie, w chwilach wypoczynku, w chwilach zadumy, z założonemi na krzyż rękoma, z końcem kajdan zatkniętym w kieszeni, aby się nie ciągnął po ziemi, siedział na belce jakiej windy; ten galernik nieruchomy, ponury, milczący, zamyślony, wyrzutek prawa, co patrzył na człowieka gniewnie, potępieniec cywilizacji, co patrzył na niebiosa surowo.

Zaiste, nie myślimy tego ukrywać: baczny fizjolog dostrzegłby w nim nieuleczoną nędzę; możeby żałował tego pacjenta praw, ale nie zechciał, nie probował, by go wyleczyć nawet; odwróciłby wzrok od ciemnych jaskiń tej duszy i jak Dante z bramy piekieł, starłby z tej duszy słowo, które przecież palec Boży napisał na czole każdego człowieka: *Nadzieja!*

Czy z tego stanu swej duszy, który probowaliśmy rozpoznać, Jan Valjean zdawał sobie tak dokładnie i jasno sprawę, jakeśmy się starali przedstawić

ją czytelnikowi? Czy widział wyraźnie wszystkie żywioły swej nędzy moralnej, czy je rozróżniał w miarę, jak się tworzyły? Człowiek ten szorstki, ciemny, czy zdawał sobie dokładną sprawę z ciągu wyobrażeń, któremi stopniowo wstępował i schodził w posępne głębie, co od lat tylu były wewnętrznym widnokręgiem jego umysłu? Czy pojmował dobrze wszystko, co się w nim działo, każde poruszenie? Nie śmiemy twierdzić, nie wierzymy nawet. Zbyt ciemny był umysł Jana Valjean, żeby po tylu nawet nieszczęściach nie pozostało tam wiele mroku. Były chwile, że nie wiedział nawet, czego doznawał. Ciemności go otaczały; cierpiał w ciemnościach; rzekłbym, nienawidził przed sobą. Zwykle żył w tym zmroku, macając jak ślepy lub marzyciel. Czasami tylko przychodziły nań nagle, z wnętrza duszy czy z zewnątrz, wybuchy gniewu, spotęgowane cierpienia, blade błyskawiczne blaski, które oświecały całą jego duszę, i dokoła niego, przed nim, za nim w okropnem świetle ukazywały ohydne przepaście i posępne widoki jego losu.

Błyskawica znikła, znowu noc zapadła, i gdzie był? już nie wiedział.

Kary nieubłagane, to jest znikczemniające, to mają do siebie, że powoli przemieniają człowieka w bydlę, niekiedy w okrutnego zwierza. Kilkakrotne usiłowania ucieczki Jana Valjean, już starczyłyby na dowód tego dziwnego wpływu prawa na duszę ludzką. Jan Valjean tylokrotnie ponawiałby te usiłowania, choć nieużyteczne i szalone, ile razy nastręczyłaby się sposobność, ani chwili nie myśląc o następstwach lub doświadczonych zawodach. Wyrywał się gwałtownie jak wilk, gdy znajdzie klatkę otwartą. Instynkt mówił mu: Uciekaj! Rozum powiedziałby: Zostań! Wobec silnej pokusy milczał rozum, panował tylko instynkt. Zwierzę w nim działało. Schwytany, srodze karany, wpadał w większą noc i pomieszanie.

Nie możemy pominąć jednego szczegółu: miał siłę fizyczną, której żaden z więźniów nie dorównywał. Do ciężkiej pracy, do ciągnienia liny, do dźwigania windy, Jan Valjean starczył za czterech ludzi. Podnosił i dźwigał ogromne ciężary i przy sposobności zastępował sam windę, którą Francuzi nazywali dawniej *orgeuil*, ztąd mimochodem mówiąc, powstała nazwa ulicy Montorgeuil, przy targowym placu w Paryżu.

Towarzysze też przezwali go *Janem Windą*. Razu jednego naprawiano balkon gmachu ratuszowego w Tulonie; jedna z przedziwnych karjatyd Pugeta, podpierających balkon, oderwała się i groziła upadkiem. Jan Valjean, znajdujący się tam wówczas, podtrzymywał ramieniem karjatydę, dopóki nie nadeszli robotnicy.

Większą jeszcze od siły miał zwinność. Niektórzy galernicy, wiecznie marzący o ucieczce, dochodzą w końcu do prawdziwej umiejętności, mocy i zręczności w połączeniu. Jest to umiejętność muskułów. Więźniowie ci, współzawodnicy much i ptaków, codziennie mają w użyciu tajemniczą statykę. Wdzierać się na linję pionową, znaleźć punkt oparcia tam, gdzie go prawie niema, było zabawką dla Jana Valjean. Wytężywszy grzbiet i nogi, wcisnąwszy łokcie i pięty w chropowatości muru, wdzierał się od rogu domu na górę i jak czarodziej dostawał na trzecie piętro. Niekiedy wchodził tak na dach więzienia.

Mówił mało. Nie śmiał się. Tylko w wielkiem wzruszeniu, raz lub dwa razy do roku, parskał ponurym śmiechem galernika, niby echem szatańskiego śmiechu. Zdawał się nieustannie wpatrywać w coś strasznego.

W istocie patrzył w siebie.

Przez szczeliny chorowitych pojęć umysłu słabego, znękanego, niewyraźnie widział coś potwornego

w sobie. Czołgając się w tym bladawym półcieniu, ilekroć odwrócił głowę i chciał wzrok podnieść, widział przestraszony i wściekły piętrzącą się przed nim w nieskończoność, niby rusztowanie ze strasznemi spadzistościami, okropny tłum praw, przesądów ludzi i czynów, których kształtów nie dostrzegał, ale których ogrom go przerażał: widział tę olbrzymią piramidę, którą zowiemy cywilizacją. W tej masie niekształtnej i ruchliwej odróżniał tu i owdzie, to blizko, to zdala od siebie na niedostępnych wzgórzach jaką gromadkę, jakiś szczegół jaśniejszy: tu dozorcę i bat, tam żandarma i pałasz, tam daleko arcybiskupa w infule, a tam wysoko, wysoko, niby w słońcu, cesarza jaśniejącego w koronie. Zdawało mu się, że jasności dalekie, miasto rozpraszać noc, czyniły ją czarniejszą, bardziej grobową. Wszystko: prawa, przesądy, fakta, ludzie, rzeczy, krążyły nad nim w tajemniczym i zawikłanym ruchu, jaki Bóg wycisnął na cywilizacji, następując nań, depcąc i gniotąc z jakiemś spokojnem okrucieństwem i nieubłaganą obojętnością. Dusze, wtrącone w przepaść niedoli, nieszczęśliwi, zatraceni w ostatnich kręgach piekieł, gdzie na nich już nie patrzą, potępieńcy prawa, czują jak na ich głowie cięży całem brzemieniem to społeczeństwo ludzkie, tak potężne dla stojących u góry, przeraźliwe dla leżących u dołu.

W takiem położeniu Jan Valjean rozmyślał; lecz jakaż była natura jego marzenia?

Gdyby ziarnko prosa pod młyńskim kamieniem umiało myśleć, myślałoby niewątpliwie to, co myślał Jan Valjean.

Wszystkie te rzeczy, rzeczywistości pełne widm, widziadła pełne rzeczywistości, w końcu utworzyły w nim rodzaj stanu wewnętrznego, którego opisać niepodobna.

Niekiedy przerywał pracę na galerach i myślał. Rozum jego dojrzalszy i zarazem bardziej pomieszany

niż wprzódy, burzył się. Cokolwiek go spotkało, mienił niedorzecznem; cokolwiek dokoła siebie widział, wydawało mu się niemożliwem. Mówił: to sen. Patrzył na dozorcę, stojącego o kilka kroków; dozorca zdawał mu się widmem; nagle widmo uderzyło go batem.

Widoma przyroda zaledwie istniała dla niego. Powiedzieliśmy niemal prawdę, że dla Jana Valjean nie było słońca, ani pięknych dni letnich, ani promienistego nieba, ani miłych brzasków kwietniowych. Jakieś światło więziennego lochu zwykle oświecało tę duszę.

Na zakończenie, streszczając to, co streszczonem i w wyraźnych skutkach wykazanem być może z obrazu, skreślonego wyżej, powiemy tylko, że po dziewiętnastu latach Jan Valjean, nieszkodliwy nikomu ogrodnik w Faverolles, straszny galernik tuloński, dzięki wpływom, jakie na niego więzienie wywarło, stał się zdolnym do dwojakiego rodzaju występków: naprzód do złego czynu nagle, nierozważnie, lekkomyślnie, instynktowo dokonanego jako odwet za złe wycierpiane; powtóre—do złego czynu ciężkiego, wielkiego, po dojrzałej rozwadze i namyśle przy pomocy fałszywych wyobrażeń, jakich nabył w nieszczęściu. Rozmyślania jego przechodziły trzy kolejne fazy, właściwe tylko pewnym naturom: rozumowanie, wolę i upór. Zwykłą dźwignią jego czynności było oburzenie, gorycz duszy, głębokie uczucie wycierpianych niegodziwości, dokuczanie nawet dobrym, niewinnym i sprawiedliwym, gdy ich spotykał. Punktem wyjścia wszystkich jego myśli, jak metą, u której stawały, była nienawiść ku ludzkiemu prawu; nienawiść, która jeżeli jej rozwoju nie powstrzyma jaki wypadek opatrzny, stanie się z czasem nienawiścią społeczeństwa, później nienawiścią rodu ludzkiego, nienawiścią wszelkiego stworzenia, i wyrazi się w nieustannej, bydlęcej żądzy szkodzenia komukolwiek, każdej istocie żyjącej. Jak widzimy,

nie bez ważnego powodu paszport nazwał Jana Valjean *człowiekiem bardzo niebezpiecznym*.

Rok po roku dusza ta wysychała coraz bardziej, zwolna—ale fatalnie. Suche serce, suche oko. Gdy wychodził z więzienia, upłynęło lat dziewiętnaście od czasu, gdy ostatnią łzę uronił.

VIII.

Fale i cienie.

Człowiek wpadł do morza!

Mniejsza o to! okręt się nie zatrzymuje. Dmą wiatry, posępny okręt ma przed sobą drogę, którą dalej odbywać musi. Więc pędzi.

Człowiek znika, ukazuje się znowu, zanurza i wypływa na powierzchnię, woła, wyciąga ramiona, nie słyszą. Okręt drży przed natarczywością huraganu, cały w ruchu: majtkowie i podróżni nie widzą już nawet tonącego człowieka; nędzna jego głowa jest tylko punkcikiem na niezmiernej przestrzeni bałwanów.

W głębiach wydaje krzyki rozpaczliwe. Jakież to widmo —ten oddalający się okręt! Patrzy nań, patrzy szalony. Oddala się, blednie, maleje. Przed chwilą stał na nim, należał do osady, kręcił się tu i owdzie z innymi na pomoście, i on także miał cząstkę powietrza i słońca, żył. Teraz cóż się stało? Zsunął się, upadł, rzecz skończona.

W potwornych tonie głębinach. Pod nogami samo chwianie, bezdnia, zguba. Rozdarte, pokrajane wichrem bałwany otaczają go ohydnie, prądy przepaści unoszą, wszystkie łachmany wody poruszają się około jego głowy, motłoch fal plwa mu na twarz, czeluście chaosu pożerają go na poły. Ilekroć się zanurzy, widzi przepaście nocy grobowej; chwytają go nieznane

okropne zielska, plątają nogi, ciągną ku sobie; czuje, że się staje otchłanią, częścią piany; bałwany przerzucają go sobie, pije gorycz, nikczemny ocean zażarcie go topi, potwór niezmierny igra z jego konaniem. Zda się, że wszystka woda oddycha nienawiścią.

Wszelako walczy.

Chce się bronić, chce się utrzymać na powierzchni, ostatka sił dobywa, pływa. Wątła siła natychmiast się wyczerpuje, bo walczy z niewyczerpanym.

Gdzież jest okręt? Tam w dali. Ledwie go dojrzysz na bladym zmroku widnokręgu.

Zadęły wichry od brzegów, wszystkie piany uderzyły na niego: podnosi oczy, widzi tylko mgły sine. Konając patrzy na niezmierne szaleństwo morza. Szał ten jest jego katem. Słyszy nieznane człowiekowi wrzaski, zdające się wychodzić gdzieś z za ziemi, z jakichś przerażających światów.

Są wprawdzie ptacy w obłokach, jak aniołowie unoszący się po nad ludzką niedolą; lecz cóż mu poradzą? Leci to, śpiewa, szybuje, on chrapi konając.

Zda mu się, że go naraz zagrzebały dwie nieskończoności, ocean i niebo; jedno jest całunem, drugie grobem.

Noc zapada, kilka godzin pływa, sił mu nie staje; okręt, rzecz daleka, na której byli ludzie, znikł, pozostał sam w strasznej przepaści nocy, zanurza się, drętwieje, wije konwulsyjnie, czuje pod sobą potworne fale niewidzialnego; woła:

„Nie ma już ludzi. Gdzież jest Bóg?“ Woła ciągle: „Ratujcie! ratujcie!“ Nic na widnokręgu, nic na niebie.

Błaga przestrzeni, bałwanów, porostów, skał: wszystko głuche. Błaga burzy; burza obojętna, posłuszna jest tylko nieskończoności.

Dokoła niego ciemność, mgła, samotność, gwar burzliwy, bezwiedny, nieustanne dzikich wód warczenie. W nim zgroza i znużenie. Pod nim upadek, żadnego punktu oparcia. Myśli o grobowych przygo-

dach trupa w cieniach bez granic. Mróz ścina mu krew w żyłach, Ręce konwulsyjnie ściągają się i zamykają, chwytają nicość. Wichry, chmury, prądy, gwiazdy nieużyteczne! Co począć? Zrozpaczony opuszcza ręce, znużony zgadza się na śmierć, pozwala się porwać, i pędzi nazawsze w ponure głębie otchłani.

O nieubłagany pochodzie społeczeństw ludzkich! Ileż straconych ludzi i dusz na twej drodze! Oceanie, gdzie wpada wszystko, co upuści prawo! złowrogie zniknienie pomocy! O śmierci moralna!

Morze — to nieubłagana noc społeczna, w którą prawo karne rzuca potępieńców. Morze — to ogrom nędzy.

Dusza, wtrącona do tej przepaści, stać się może trupem. Kto ją wskrzesi?

IX.

Nowe krzywdy.

Gdy nadszedł dzień opuszczenia galer, gdy Jan Valjean usłyszał dziwne słowo: *jesteś wolny!* wydało mu się niepodobieństwem, rzeczą niesłychaną; żywy blask, promień prawdziwego światła żyjących, nagle przeniknął jego duszę. Niebawem jednak zbladł ten promień. Myśl swobody olśniła Jana Valjean. Uwierzył w nowe życie. Wkrótce poznał, jaka to była swoboda, której dawano żółty paszport.

Już w chwilach uwolnienia doznawał goryczy. Obrachował, że za cały czas pobytu w więzieniu depozyt jego przyniesie mu sto siedmdziesiąt jeden franków; dodać tu trzeba, że w rachubie zapomniał wytrącić przymusowego spoczynku w niedziele i święta, co w przeciągu lat dziewiętnastu zmniejszyło sumę blisko o dwadzieścia cztery franki. Jakkolwiekbądź, wskutek różnych odtrąceń, w depozycie zostało tylko sto dziewięć franków piętnaście su, które mu wyliczono na odchodnem.

Nie zrozumiał tego, mienił się pokrzywdzonym. Powiedzmy bez ogródki: okradzionym.

Nazajutrz po uwolnieniu, przechodząc przez Grasse, zobaczył przed bramą dystylarni wody pomarańczowej ludzi, zdejmujących paki. Ofiarował swe usługi. Śpieszono się z wypakowaniem, więc przyjęto. Zabrał się

do roboty. Dał dowody zręczności, mocy i pojętności; pracował gorliwie; właściciel dystylarni zdawał się zadowolony. W czasie roboty przechodził żandarm, zauważył galernika i zapytał o papiery. Trzeba było pokazać żółty paszport. Później Jan Valjean wziął się znowu do pracy. Na krótko przedtem zapytał jednego z robotników, ile płacą im dziennie; odpowiedziano: *trzydzieści su*. Gdy nadszedł wieczór, a musiał skoro świt puścić się w dalszą drogę, poszedł do właściciela dystylarni prosić o zapłatę. Właściciel nie rzekłszy słowa, dał mu piętnaście su. Chciał więcej. Odpowiedziano: *tego aż nadto dla ciebie*. Nalegał. Gospodarz groźnie spojrzał mu w oczy i rzekł: *A do lochu!*

I tu także miał się za okradzionego.

Społeczeństwo, państwo, uszczuplając jego depozyt, okradło go hurtownie. Teraz przyszła kolej na jednostkę: okradła go na małą skalę.

Uwolnienie nie jest oswobodzeniem. Wyszedł z więzienia, lecz wyrok potępienia nie przestał na nim ciążyć.

To spotkało go w Grasse. Widzieliśmy, w jaki sposób przyjęto go w D.

X.

Człowiek rozbudzony.

Tak więc biła druga godzina po północy na zegarze katedralnym, gdy Jan Valjean się obudził.

Obudziło go za dobre posłanie. Od lat blizko dwudziestu nie spał na łóżku, a chociaż się nie rozbierał, doznawał nowego uczucia i to sen jego skróciło.

Spał przeszło cztery godziny. Znużenie przeszło. Zresztą przywykł był niedługo sypiać.

Otworzył oczy, popatrzył chwilę dokoła w ciemnościach i znowu je zamknął, by zasnąć.

Kto we dnie doświadcza wielu różnych wrażeń, gdy ma umysł czem zajęty, zasypia wprawdzie, ale obudziwszy się, powtórnie nie zaśnie. Łatwiej przychodzi sen, niż powraca. Podobnie było z Janem Valjean. Nie mógł powtórnie zasnąć i zaczął rozmyślać.

Przyszła na niego jedna z tych chwil nieładu i pomieszania w myślach, jakieś chaotyczne krążenie w głowie. Dawne wspomnienia i świeżo doznane wrażenia wikłały się nieustannie, tracąc kształty, olbrzymiejąc potwornie i nagle znikały w jakiejś wodzie błotnistej, ruchliwej. Ze wszystkich myśli, które mu się nasuwały, jedna nieustannie była obecną i odganiała inne. Tę myśl poznacie zaraz: Zauważył sześć

nakryć srebrnych i wielką łyżkę stołową, które Maglora położyła na stole.

Sześć srebrnych talerzy, jak zły duch go opętały. Były niedaleko, o kilka kroków. W chwili, gdy przechodził ościenną izbę, idąc do tej alkowy, widział, że służąca kładła je do szafki nad łóżkiem. Dobrze zapamiętał szafkę: na prawo, wychodząc z pokoju jadalnego. Łyżki z czystego srebra, staroświeckiej roboty. Wraz z łyżką wazową najmniej dwieście franków: dwa razy tyle, co zarobił przez lat dziewiętnaście. Zarobiłby wprawdzie więcej, gdyby go „*administracja*“ nie „*okradła*“.

Godzinę całą umysł jego bił się z temi myślami, nie bez pewnej wszakże walki. Wybiła trzecia. Otworzył znowu oczy, podniósł się nagle na posłaniu, wyciągnął rękę, szukał swego tłomoczka, który rzucił w kąt alkowy, zwiesił nogi, dotknął niemi podłogi i prawie nie wiedząc, jak się to stało, siedział na łóżku.

Pewien czas marzył w tej postawie, złowrogiej dla każdego, coby go ujrzał samego w ciemnościach, w domu, gdzie wszystko spało. Nagle schylił się, zdjął trzewiki, delikatnie położył je na kołdrze, i znowu marzył nieruchomy.

W ohydnem tem marzeniu myśli, powiedzieliśmy już jakie, snuły się nieustannie po głowie, wchodziły, wychodziły, wracały, ciążyły na nim; później — nie pojmując dlaczego, z jakąś mechaniczną uporczywością marzenia, stawał mu przed oczyma galernik, nazwiskiem Brevet, którego spodnie trzymały się na jednej szelce bawełnianej. Szachowy deseń tej szelki ciągle był przytomny w jego umyśle.

Tak siedział nieruchomy i zapewne posiedziałby do świtu, gdyby zegar nie wybił kwadransa, czy pół godziny. Zdawało mu się, że uderzenie to wołało: Idźmy!

Podniósł się z łóżka, zawahał chwilę i słuchał: milczenie w całym domu; postąpił na palcach ku oknu i patrzył. Noc była ciemną, świecił księżyc w pełni, wysuwając się z za obłoków, które wiatr rozpędzał. Było więc na dworze kolejno ciemno i widno, były zaćmienia i blaski, wewnątrz zmrok. Zmrok ten dostateczny do zorjentowania się, przerywany zupełną ciemnością, gdy chmury zasłoniły księżyc, podobny był do bladych cieni, wpadających do pieczary przez okienko, przed którem przesuwają się cienie przechodniów. Przyszedłszy do okna Jan Valjean przypatrzył mu się uważnie. Nie miało krat, wychodziło na ogród i według miejscowego zwyczaju zamknięte było tylko na haczyk. Otworzył je, lecz gdy zawiał wiatr zimny, przejmujący, zamknął je zaraz. Spojrzał na ogród tym bystrym wzrokiem, który raczej bada, jak patrzy. Dość nizki mur, łatwy do przeskoczenia, otaczał ogród. W dali za murem spostrzegał wierzchołki drzew równo rozstawionych, z czego wnosił, że zaraz za ogrodem idzie droga, lub uliczka, wysadzona drzewami.

Po takim przeglądzie poruszył się jak człowiek zdecydowany, wziął tłomoczek, otworzył, wyjął coś i położył na łóżku, schował trzewiki do kieszeni, zamknął i zarzucił na plecy tłomok, włożył na głowę czapkę, nacisnąwszy daszek na oczy, poszukał kija, postawił go w kącie na oknie, później powrócił do łóżka i żywo porwał przedmiot, który na niem położył. Miało to podobieństwo do krótkiej sztaby żelaznej, w jednym końcu zaostrzonej jak oszczep.

Trudno byłoby rozpoznać w ciemnościach, do jakiego użytku służył ten kawałek żelaza. Mógł to być lewar, mogła być maczuga.

Przy świetle poznanoby, że to narzędzie jest prostym lichtarzem górniczym. Wówczas używano niekiedy więźniów do wydobywania kamieni z wysokich wzgórzy, otaczających Tulon, często dawano im narzędzia górnicze. Lichtarze górników są z lanego że-

laza, zaostrzone i śpiczaste w jednym końcu, aby można było utkwić je w skale.

Wziął lichtarz w prawą rękę i powstrzymując oddech, tłumiąc odgłos stąpania, poszedł wprost do drzwi sąsiedniego pokoju, do sypialni biskupa, jak wiemy. Drzwi były nieco otwarte, biskup ich nie zamykał.

XI.

Co zrobił?

Jan Valjean słuchał. Żadnego szmeru.

Popchnął drzwi.

Popchnął palcem, lekko, delikatnie i niespokojnie, jak kot, który chce wejść.

Drzwi ustąpiły, odsunęły się nieznacznie bez szmeru i nieco rozszerzyły wejście.

Poczekał chwilę, pchnął drzwi powtórnie, śmielej.

Znowu usunęły się z cicha. Mógłby już przejść przez otwór. Ale tuż przy drzwiach stał stolik i jednym kantem zawadzał na drodze.

Jan Valjean poznał trudność. Należało jeszcze rozszerzyć otwór.

Zdecydował się i silnie drzwi popchnął. Tym razem zardzewiała zawiasa zaskrzypiała w ciemnościach dźwiękiem ostrym, przeciągłym.

Jan Valjean zadrżał. Skrzyp zawiasy zabrzmiał w jego uszach strasznie, jak trąba sądu ostatecznego.

W pierwszej chwili wyobraźni jego rozdrażnionej zdawało się, że zawiasa, niby żyjąca istota, porusza się straszliwie, szczeka jak pies, by przestrzedz wszystkich i rozbudzić uśpionych.

Zatrzymał się drżący, zmieszany i stanął na piętach.

Słyszał tętna skroni bijące, jak dwa młoty kowalskie, zdawało mu się, że oddech jego piersi świszczał

niby wicher wydobywający się z pieczary. Był pewny, że okropny krzyk rozgniewanej zawiasy wzruszył dom cały, jak trzęsienie ziemi; drzwi pchnięte wołały pomocy; starzec się podniósł, dwie stare kobiety wybiegły po ludzi, za kilka minut poruszy się miasto, przyjdą żandarmi. Przez chwilę miał się za zgubionego.

Stał kamienny jak posąg z soli, nie śmiejąc się ruszyć. Upłynęło kilka minut. Drzwi otwarte były na rozcież. Spojrzał wewnątrz pokoju. Nic się nie poruszyło. Nadstawił ucha: milczenie w całym domu. Skrzyp zardzewiałej zawiasy nie obudził nikogo.

Minęło niebezpieczeństwo — ale w głowie miał straszny chaos. Nie cofnął się przecież. Gdyby nawet sądził się zgubionym i takby się nie cofnął. Myślał o tem tylko, by skończyć jaknajprędzej. Postąpił krok naprzód i wszedł do pokoju.

W pokoju zupełna cisza. Tu i owdzie jakieś kształty dziwne, niepewne; we dnie były to papiery rozrzucone na stole, grube woluminy otwarte, księgi złożone na stołku, fotel z ubraniem, klęcznik; w nocy przedstawiały tylko ciemne kąty i bielejące miejsca.

Jan Valjean stąpał ostrożnie, aby nie trącić o meble. W głębi pokoju słyszał równy i spokojny oddech śpiącego biskupa.

Zatrzymał się nagle. Był przy łóżku. Doszedł prędzej, niż z razu sądził.

Niekiedy przyroda z jakąś ponurą trafnością i rozumem miesza swe widowiska i wrażenia z naszemi czynnościami, jakby nas zachęcała do namysłu. Od pół godziny gęste chmury zasłaniały niebo. W chwili, gdy Jan Valjean zatrzymał się naprzeciw łóżka: chmury rozdarły się jakby umyślnie i przez wysokie okno promień księżyca oświecił nagle bladą twarz biskupa. Spał spokojnie. Był prawie odziany w łóżku, z powodu chłodnych nocy w Dolnych Alpach; miał na sobie ciemny kaftanik. Głowa spoczywała na poduszce, twarzą wprost obrócona; jedna ręka, ozdobiona pierścieniem pasterskim, zwisła za łóżko; z tej ręki wyszło

tyle dobrych, tyle świętych czynów! Na całej twarzy biskupa rozlany był wyraz zadowolenia, nadziei, błogosławieństwa. Był to jakby uśmiech niebieski, rzekłbym opromienienie. Na jego czole odbijało niby wewnętrzne ognisko światła. Dusza sprawiedliwych patrzy we śnie w niebo tajemnicze.

Odblask niebios spoczywał na biskupie.

Współcześnie było to przezrocze świetlane, gdyż to niebo było w niem. Tem niebem było jego sumienie.

W chwili, gdy promień księżyca złączył się, że tak powiem, z tą jasnością wewnętrzną, śpiący biskup ukazał się w aureoli. Jakieś niewysłowione półświatło otaczało cały obraz. Księżyc na niebie, natura uśpiona, ogród milczący, dom spokojny, uroczysta cisza nocy, dodawały coś niewymownie świętego spoczynkowi starca i otaczały majestatyczną glorją białe włosy i oczy zamknięte, tę twarz tchnącą zaufaniem i nadzieją, tę głowę starca i ten sen dziecięcia.

Było coś boskiego prawie w tym człowieku, tak dostojnym bez wiedzy.

Jan Valjean stał w cieniu, z żelaznym lichtarzem w prawej ręce, nieruchomy, strwożony widokiem jaśniejącego starca. Nic podobnego w życiu nie widział. Przerażało go to zaufanie. Świat moralny nie ma większego widowiska nad to, jakie przedstawia sumienie pomieszane i niespokojne, w chwili spełnienia zbrodniczego czynu patrzące na sen sprawiedliwego.

Ten sen, odosobnienie, z takim jak on sąsiadem, miało coś szczytnego; uczuł to niewyraźnie, ale silnie.

Nikt, ani on sam, nie zdołałby powiedzieć, co się w nim działo. Żeby sobie zdać sprawę, trzeba wyobrazić coś najgwałtowniejszego wobec tego, co jest łagodniejszem. Na jego twarzy z trudnością byś co wyczytał, prócz dzikiego zdumienia. Patrzył. Nic więcej. Ale co myślał? Niepodobna odgadnąć. Widocznie był wzruszony, wstrząśnięty. Lecz jakiego rodzaju było to wzruszenie?

Nie spuszczał oka ze starca. W całej postawie

jego i fizjonomji malowała się dziwna niepewność. Rzekłbyś, wahał się między dwiema przepaściami: między zgubą i zbawieniem. Zdawał się gotowym strzaskać tę czaszkę, lub ucałować tę rękę.

Po kilku chwilach powolnie podniósł lewą rękę ku czołu, zdjął czapkę i z równą powolnością opuścił rękę, trzymając czapkę w lewej, maczugę w prawej ręce, z najeżonemi włosami na dzikiej głowie; Jan Valjean zadumał się głęboko.

Biskup spał spokojnie, głęboko pod tem strasznem spojrzeniem.

Światło księżyca pozwalało dojrzeć nad kominkiem krucyfiks, jakby wyciągający ramiona ku obu, z błogosławieństwem dla jednego, z przebaczeniem dla drugiego.

Nagle Jan Valjean nacisnął czapkę na oczy, szybko postąpił kilka kroków wzdłuż łóżka i nie patrząc na biskupa, zbliżył się do szafki nad poduszką, podniósł lichtarz żelazny, jakby dla podważenia zamka; zobaczył klucz, otworzył, pierwsza rzecz, którą ujrzał, był koszyk ze srebrem; zabrał go, przeszedł izbę wielkim krokiem, głośno, nie troszcząc się o łoskot stąpania, wrócił do kapliczki, otworzył okno, porwał kij, zsunął się za okno do ogrodu, schował srebro do tłomoczka, rzucił koszyk, pobiegł do przeciwnej ściany, jak tygrys przeskoczył mur, i uciekł.

XII.

Biskup pracuje.

Nazajutrz o wschodzie słońca monsinior Benvenuto przechadzał się po ogrodzie. Przybiegła Maglora cała zmieszana.

— Monsiniorze, monsiniorze — zawołała—nie wie Wasza Wysokość, gdzie jest koszyk od srebra?

— Wiem — odpowiedział biskup.

— Chwałaż Panu Bogu!—rzekła.—Nie wiedziałam, co się z nim stało.

Biskup podniósł koszyk z klombu i podał go Maglorze.

— Oto go masz.

— Hę? Nic we środku! a srebra?

— A! — odparł biskup — o srebra ci chodzi? Nie wiem, gdzie są.

— Wielki Boże! skradzione! człowiek wczorajszego wieczora je ukradł!

W mgnieniu oka, z żywością starej gosposi, Maglora pobiegła do kaplicy, zajrzała do alkierza i wróciła do biskupa. Biskup pochylony z westchnieniem patrzył na gałązkę warzechwi, którą złamał koszyk, padając na klomby. Podniósł się na krzyk Maglory.

— Monsiniorze, człowiek poszedł! srebra skradziono!

Tak wołając, spojrzała na róg ogrodu i dostrzegła świeże ślady ucieczki. Gzems muru był oberwany.

— Patrz Wasza Wysokość! Tamtędy przeszedł. Wyskoczył na ulicę Chochefilet! A, obmierzły człowiek! Ukradł nam srebra!

Biskup milczał przez chwilę, później podniósł pogodne oczy i rzekł łagodnie do Maglory:

— A najprzód powiedz, czy te srebra były nasze?

Maglora umilkła zawstydzona. Nowe milczenie. Biskup mówił dalej:

— Pani Magloro, niepotrzebnie tak długo miałem u siebie to srebro. Należało się ubogim. A któż był ten człowiek? Oczywiście ubogi.

— Miły Boże!—odparła Maglora—toć nie dla siebie, ani dla panny je chciałam. Nam wszystko jedno. Ale Waszej Wysokości jest potrzebne: na czem monsinior teraz jeść będzie?

Biskup spojrzał na nią zdziwiony.

— Jakto? alboż nie ma talerzy cynowych?

Maglora wzruszyła ramionami.

— Cyna ma przykry zapach.

— Więc talerze żelazne.

Maglora się skrzywiła.

— Żelazo ma brzydki smak.

— Więc—rzekł biskup—miski drewniane.

Wkrótce podano śniadanie na tym samym stole, przy którym siedział wczoraj Jan Valjean. Jedząc, monsinior Benvenuto mówił z wesołym uśmiechem do siostry milczącej i do Maglory, która mruczała pod nosem, że niekoniecznie potrzeba łyżki i widelca, nawet drewnianego, aby umaczać kawałek chleba w filiżance mleka.

— Śliczna mi myśl! — mówiła do siebie Maglora, przechadzając się sama — przyjmować takich ludzi, umieszczać przy sobie! Doprawdy, wielkie to jeszcze szczęście, że tylko okradł! A, mój Boże, drżę na myśl samą!

Brat i siostra wstawali od stołu, gdy zastukano do drzwi.

— Proszę wejść—rzekł biskup.

Drzwi cię otworzyły. Na progu ukazała się dziwna grupa. Trzech ludzi trzymało czwartego za kołnierz. Ci trzej byli zandarmami, czwartym był Jan Valjean.

Przewodniczący im wachmistrz postąpił ku biskupowi i rzekł, kłaniając się po wojskowemu:

— Wasza Ekscelencjo...

Na te słowa Jan Valjean, ponury i znękany, nagle podniósł głowę ze zdziwieniem.

— Ekscelencja!—szeptał do siebie — więc to nie proboszcz...

— Cicho! — przerwał żandarm — to JE. ksiądz biskup.

Monsinior Benvenuto, o ile mu podeszły wiek pozwolił, śpiesznie pobiegł naprzeciw galernika.

A jesteś! — zawołał patrząc na Jana Valjean.— Rad jestem, że cię widzę. Ależ, mój drogi, darowałem ci prócz łyżek i świeczniki, które są także srebrne i dostałbyś za nie najmniej sto franków. Czemuż eś ich nie zabrał ze swemi łyżkami i talerzami?

Jan Valjean wytrzeszczył oczy i patrzył na czcigodnego biskupa wzrokiem, którego żaden ludzki język nie wysłowi.

— Ekscelencjo—rzekł wachmistrz żandarmów — więc prawdą jest, co mówił ten człowiek? Spotkaliśmy go na drodze. Zdawał się uciekać. Zatrzymaliśmy go, chcąc przejrzeć jego rzeczy. Znalazły się srebra...

— I powiedział wam—przerwał z uśmiechem biskup—że mu je dał stary poczciwiec, ksiądz, u którego przenocował? Rozumiem, o co chodzi. Napró noście go tu przyprowadzili: to pomyłka.

— Jeżeli tak—odrzekł wachmistrz — Ekscelencja pozwoli go uwolnić.

— Naturalnie—odpowiedział biskup.

Żandarmi puścili Jana Valjean, który cofnął się kilka kroków.

— Czy w istocie mnie puszczają?—rzekł głosem niezrozumiałym, jakby przez sen mówił.

— A puszczają, alboż nie słyszysz? — powiedział żandarm.

— Przyjacielu, — mówił biskup—nim odejdziesz, zabierz swoje lichtarze. Oto są.

Zdjął z kominka dwa świeczniki srebrne i podał je Janowi Valjean. Kobiety patrzyły nie rzekłszy słowa, żadnem poruszeniem, spojrzeniem nawet nie przeszkadzając biskupowi.

Jan Valjean drżał jak listek. Obłąkany prawie, machinalnie wziął dwa świeczniki.

— A teraz—rzekł biskup — idź z Bogiem. Ale, przyjacielu, wracając do mnie, nie przechodź ogrodem. W każdej porze możesz wejść i wyjść drzwiami od ulicy. We dnie i w nocy zamknięte są tylko na klamkę.

I obracając się do żandarmów, dodał:

— Możecie się oddalić, panowie.

— Żandarmi odeszli.

Jan Valjean był jak człowiek blizki omdlenia.

— Biskup zbliżył się i rzekł doń pocichu:

— Nie zapominaj, nie zapominaj nigdy, żeś mi obiecał z pomocą tego srebra zostać poczciwym człowiekiem.

Jan Valjean nie przypominał sobie, żeby co podobnego obiecał, i milczał zdumiony. Biskup wymówił te słowa z przyciskiem i dodał uroczyście:

— Janie Valjean, bracie mój, odtąd nie należysz do złego, lecz do dobrego. Kupuję ci twą duszę, wydzieram ją czarnym myślom i duchowi zatracenia, a wracam Panu Bogu.

XIII.

Gerwazek.

Jan Valjean wyszedł z miasta, jakby uciekał. Szedł przez pola krokiem wielkim, przyśpieszonym, nie patrząc którędy idzie, wchodząc na pierwszą lepszą ścieżkę i nie spostrzegając, że krąży w jednem miejscu. Tak błąkał się do południa, bez posiłku, nie czując nawet głodu. Tłum nowych uczuć i wrażeń oblegał jego duszę. Gniewał się, nie wiedząc na kogo i co. Zdawał się być wzruszony lub upokorzony. Napadały go chwile dziwnego rozczulenia, z którem walczył, stawiając naprzeciw zatwardziałość dwudziestu lat ostatnich. Stan taki go męczył. Z trwogą spostrzegał, że w duszy jego zakłóconą została owa straszna cisza, która mu dawała niesprawiedliwość jego nieszczęścia. Pytał, czem ją teraz zastąpi. Niekiedy, doprawdy wolałby siedzieć w więzieniu z żandarmami, niż w taki sposób dostać się na wolność; byłby spokojniejszy. Chociaż to było w połowie jesieni, tu i owdzie na żywych płotach widział kwiatki spóźnione, których woń przypominała mu lata dziecinne. Nieznośne mu były te wspomnienia, tak dawno zatarte w jego duszy.

Cały dzień był pastwą myśli, których opisać niepodobna.

Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając cień podłużny za najmniejszym kamykiem. Jan Valjean siedział ukryty za krzakiem na pustej równinie. Przed nim na widnokręgu rysowały się Alpy. Dokoła nie widać było nawet dzwonnicy wioski dalekiej. Miejsce to odległe być mogło jakie trzy mile od D. O kilka kroków od krzaku ścieżka przerzynała równinę.

Pogrążony w ponurych dumaniach, straszniejszych od jego łachmanów, nagle usłyszał krzyki wesołe.

Obrócił głowę i ujrzał na ścieżce śpiewającego sabaudczyka, dziesięcioletnie pacholę z kobzą pod pachą i świeszczem w pudełku na plecach.

Jedno z tych miłych i wesołych dzieci, co wędrują po kraju, świecąc nagiemi kolanami przez podarte spodnie.

Śpiewając, chłopczyna czasami się zatrzymał i bawił, rzucając w górę kilka pieniążków, zapewne cały swój majątek. Między tą monetą była jedna sztuka srebrna, czterdziesto-susowa.

Chłopiec, nie widząc Jana Valjean, zatrzymał się przy krzaku i cisnął w górę garść pieniędzy, które dotychczas zręcznie wszystkie chwytał.

Tym razem wysunęła mu się z dłoni sztuka czterdziesto-susowa i potoczyła się ku krzakom Jana Valjean.

Jan Valjean nastąpił na nią nogą.

Ale chłopiec widział gdzie padł pieniądz i przybiegł.

Nie zdziwił go bynajmniej widok człowieka i zbliżył się ku niemu.

Miejsce to było zupełnie samotne. Jak daleko wzrok sięgał, nikogo nie widziałeś na równinie i ścieżce. Dochodziły tylko niewyraźne krzyki wędrownego ptactwa, gromadnie przeciągającego po niebie dalekiem. Chłopiec obrócił się plecami do słońca, które złociło mu końce włosów i rzucało krwawe światło na dziką twarz Jana Valjean.

Panie—rzekł sabaudczyk z tem zaufaniem dziecinnem, ktore daje nieświadomość i niewinność—mój pieniądz?

— Jak się nazywasz?—zapytał Jan Valjean.

— Gerwazek, panie.

— Idź precz—rzekł Jan Valjean.

— Ależ, panie—prosiło dziecię—oddaj mój pieniądz.

Jan Valjean zwiesił głowę i nie odpowiedział.

Chłopiec powtórzył prośbę.

— Mój pieniądz, panie!

Jan Valjean nie odrywał oczu od ziemi.

— Mój pieniądz — wołało dziecię — mój pieniądz srebrny.

Valjean zdawał się nie słyszeć. Chłopiec porwał go za kołnierz bluzy i szarpnął. Współcześnie usiłował zepchnąć ze swego skarbu gruby podkuty trzewik!

— Oddajcie mój pieniądz! Moje czterdzieści su!

I zapłakał. Valjean podniósł głowę, spojrzał pomieszanym i zdziwionym wzrokiem na dziecię, wyciągnął rękę po kij i zawołał strasznym głosem:

— Kto tam?

— Ja, panie — odpowiedział chłopczyna.—Ja! ja! Gerwazek, oddaj, proszę, moje czterdzieści su, podnieś pan nogę, jeśli łaska!

Później rozgniewany malec jął grozić:

— Co, nie podniesiesz pan nogi? Usuń się żywo!

— A! to jeszcze ty!—rzekł Jan Valjean i nagle podniósłszy się, dodał, nie zdejmując nogi z pieniądza:

— Uciekaj, jeśli ci życie miłe!

Chłopiec spojrzał nań z przerażeniem, zaczął drżeć cały i po chwili osłupienia co tchu uciekał, nie oglądając się, nie śmiejąc krzyczeć.

Ubiegłszy kawał drogi, zadyszany zatrzymał się, a Valjean, pogrążony w marzeniach, słyszał jego łkania.

Wkrótce dziecię znikło.

Było już po zachodzie słońca.

Ciemność zapadała dokoła Jana Valjean. Nie jadł dzień cały; prawdopodobnie miał gorączkę.

Stał w jednem miejscu; nie ruszył się od ucieczki chłopca. Oddychał ciężko, nierówno. Utkwiwszy wzrok o dziesięć lub dwanaście kroków przed sobą, zdawał się z głęboką uwagą przypatrywać formie starej niebieskiej skorupy fajansowej, leżącej w trawie. Nagle zadrżał; przejął go wskróś wiatr wieczorny.

Nacisnął czapkę na głowę; machinalnie zapiął opończę, postąpił krok naprzód i schylił się ku ziemi, żeby kij podnieść.

W tej chwili między kamykami błysnął mu w oczy pieniądz srebrny, nawpół wciśnięty w ziemię. Valjean doznał jakby galwanicznego wstrząśnienia. — Co to jest?— szeptał obłąkany. Cofnął się kilka kroków, potem zatrzymał, nie mogąc oderwać spojrzenia od punktu, który przed chwilą deptał stopą, jak gdyby ten pieniądz błyszczący był otwartem okiem, w niego utkwionem.

Po kilku chwilach konwulsyjnie rzucił się na pieniądz, podniósł i obejrzał się dokoła, drżąc jak spłoszony zwierz dziki, szukający schronienia.

Nic nie zobaczył. Noc zapadała, zimny wiatr świszczał na równinie, sine chmury przeciągały po niebie.

Krzyknął i pobiegł w kierunku, w którym zniknęło dziecię. Zrobiwszy kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się, spojrzał, nic nie widział.

Wtedy zakrzyczał z całej siły:—Gerwazek! Gerwazek!

Umilkł i słuchał.

Nikt nie odpowiadał.

Na polu pusto, głucho. Dokoła niego tylko cienie, w których wzrok się gubił, tylko milczenie, w którem głos jego ginął.

Mroźny wiatr zawiał, nadając jakieś ponure życie otaczającym go przedmiotom. Karłowate drzewka

poruszały wściekle wychudłemi rękami. Zdawały się grozić i ścigać kogoś.

Szedł znowu, potem biegł, zatrzymując się niekiedy i wołając na puszczy głosem strasznym i smutnym:—Gerwazek! Gerwazek!

Gdyby go usłyszało dziecię, pewnieby się przelękło tego głosu, i dalej uciekło. Ale dziecię prawdopodobnie było daleko.

Spotkał księdza, jadącego na koniu. Postąpił ku niemu i zapytał:

— Księże proboszczu, czy nie widział dobrodziej przechodzącego chłopczyka?

— Nie—odrzekł ksiądz.

— Ma imię Gerwazek.

— Nikogo nie widziałem.

Wyjął z sakiewki dwie sztuki pięciofrankowe i dał je księdzu.

— Księże proboszczu, to dla ubogich. Księże proboszczu, chłopczyna miał z dziesięć lat, kobzę i świeszcza, jeśli się nie mylę. Sabaudczyk, pan znasz?

— Nie widziałem go wcale.

— Gerwazek zapewne z wiosek okolicznych. Nie wiesz pan?

— Z tego, co powiadasz, przyjacielu, widać, że chłopiec ten jest obcy. To wędruje ciągle po kraju. My ich nie znamy.

Jan Valjean porywczo dobył z kieszeni dwie drugie sztuki piąciofrankowe i oddał księdzu.

— To dla biednych—rzekł.

I dodał z obłąkaniem:

— Każ mię aresztować, księże dobrodzieju. Jestem złodziejem.

Ksiądz zaciął konia i uciekł przestraszony.

Jan Valjean biegł dalej w kierunku raz obranym. Patrzył, wołał, krzyczał, lecz nie spotkał nikogo. Dwa czy trzy razy nachylał się ku ziemi, myśląc, że ktoś leży skurczony; były to krzaki lub kamienie brunatne. Nakoniec zatrzymał się przy rozstajnych dro-

gach. Księżyc ukazał się na niebie. Valjean spojrzał, jak mógł najdalej i ostatni raz zawołał: „Gerwazek! Gerwazek! Gerwazek!“ Głos przepadł we mgle, nie wydawszy echa. Szeptał jeszcze: „Gerwazek!“ ale cicho, niewyraźnie. Było to ostatnie wysilenie! Nagle zachwiały się pod nim nogi, jak gdyby niewidzialna potęga przywaliła go naraz całym ciężarem jego złego sumienia; bezsilny padł na wielki kamień, rękami chwycił się za włosy, twarz pochylił na kolana i zawołał: „Jestem nędznikiem!

Wtedy rozdarło mu się serce i zaczął płakać. Po raz to pierwszy zapłakał od lat dziewiętnastu.

Gdy Jan Valjean opuszczał dom biskupi, jakeśmy widzieli, zupełnie był wyszedł z siebie, myśli jego wyskoczyły ze zwykłej kolei. Co się w nim działo, sam nie wiedział. Zżymał się i złościł na postępek aniel-ski i łagodne słowa starca: „Obiecałeś mi zostać uczciwym człowiekiem. Kupuję ci twą duszę. Wydzieram ją duchowi przewrotności i oddaję Panu Bogu“. Słowa te brzmiały mu w uszach nieustannie. Naprzeciw tej pobłażliwości niebiańskiej stawił pychę, która w nas jest niby warownią złego. Nie pojmując dlaczego, czuł przecież, że przebaczenie tego kapłana było najsilniejszym szturmem, najstraszniejszą bronią, jakiej się uląkł kiedykolwiek; gdyby tej łaskawości zdołał się oprzeć, nazawsze pozostałby zatwardziałym zbrodniarzem; gdyby ustąpił, należałoby zrzec się nienawiści, którą go natchnęli przez lat tyle postępkami inni ludzie; tej nienawiści, którą tak upodobał sobie. Czuł, że tym razem trzeba zwyciężyć, lub być zwyciężonym; że walka, walka olbrzymia stanowczo toczyła się między jego złością a dobrocią tego człowieka.

Wydany na łup tym myślom, szedł jak człowiek pijany. Tak idąc ze spojrzeniem dzikiem, obłąkanem, miałże dokładne pojęcie tego, co mogło nań wyniknąć z przygody w D.? Czy słyszał tajemnicze szepty, co w pewnych chwilach życia natrętnie przestrzegają umysł? Czy mówił mu do ucha głos jaki, że przebywa

uroczystą godzinę swego przeznaczenia, że teraz nie ma już dla niego pośredniej drogi, że jeżeli odtąd nie będzie najlepszym z ludzi, to będzie najgorszym, że musi niemal podnieść się wyżej nad samego biskupa, lub spaść niżej od galernika; że jeśli zechce zostać dobrym, musi stać się potworem.

Tu także nasuwa się jedno z pytań, któreśmy zadawali sobie na innem miejscu. Czy jaki cień myśli podobnych przesunął się w jego umyśle? Zaprawdę, nieszczęście, jakeśmy to już powiedzieli, rozwija władze duszy, wątpimy jednak czy Jan Valjean był w stanie ogarnąć myśli, które tu wskazujemy. Jeśli mu przyszły do głowy, to raczej je dostrzegał przez mgłę, niż widział jasno; rzucały one w jego duszę niepokój niewymowny, bolesny. Po wyjściu ze szpetnej i ciemnej otchłani, którą zowią galerami, biskup sprawił tak przykre wrażenie na jego duszy, jak jasność zbyt żywa na oczach, przywykłych do ciemności. Życie przyszłe, życie czyste, promienne dobremi uczynkami, przenikało go dreszczem i obawą. Na prawdę nie wiedział gdzie jest, co się z nim dzieje. Jak sowa, co nagle ujrzy słońce wschodzące, galernik był olśniony, jakby oślepiony widokiem cnoty.

To pewna, że choć się nie domyślał, przestał już być tym samym człowiekiem, że wszystko się w nim zmieniło, i nie było już w jego mocy cofnąć słowa biskupa i ich wrażenie.

W takim stanie umysłu spotkał Gerwazka i ukradł mu czterdzieści su. Dlaczego? Niewątpliwie nie umiałby wytłumaczyć; byłże to ostatni skutek i najwyższy wysiłek tych myśli, wyniesionych z więzienia, resztka otrzymanego popędu, wynik tego, co w statystyce nazywają *siłą nabytą?* Zapewne to, a może i nie to nawet. Powiemy po prostu: to nie on ukradł, nie człowiek, lecz zwierzę, które ze zwyczaju, instynktowo, bezmyślnie bydlęco postawiło nogę na pieniądzu wówczas, gdy umysł zalegały niesłychane, nowe myśli. A kiedy rozbudził się umysł i zobaczył postępek by-

dlęcia, Jan Valjean cofnął się zmartwiony i wydał krzyk przerażenia.

Albowiem dziwnem zjawiskiem, możliwem jedynie w obecnem położeniu, kradnąc pieniądze dziecku, człowiek ten dopuścił się czynu, do którego już nie był zdolnym.

Jakkolwiekbądź ostatni zły postępek uczynił na nim stanowcze wrażenie: przebiegł szybko przez chaos jego umysłu i rozproszył go, usuwając na jedną stronę gęste ciemności, na drugą światło — wywarłszy na jego duszy skutek, jaki sprawiają pewne czynniki chemiczne na mętnych mieszaninach, w których jeden żywioł klarują, a drugi, oddzielając, zgęszczają.

W pierwszej chwili, bez rozwagi, nieprzytomny, jak człowiek, szukający ocalenia, biegł po chłopca, by mu zwrócić pieniądze; później, gdy poznał daremność poszukiwań, zatrzymał się zrozpaczony. Gdy zawołał: „jestem nędznikiem!“ ujrzał się takim, jakim był w istocie, i taki już nastąpił rozdział w jego osobie, że oddzielił się od samego siebie; zdawało mu się, że jest tylko widmem, że stoi przed nim człowiek z ciałem i kośćmi, odziany w bluzę, z tłumokiem na plecach, pełnym skradzionych rzeczy, ponurego oblicza, z obmierzłemi myślami w głowie, ohydny galernik Jan Valjean.

Zbytek nieszczęścia usposabiał go do urojeń. Miał widzenia. W istocie widział teraz stojącą przed nim postać Jana Valjean. Chwilami zapytywał się, kto jest ten człowiek, i przejmowała go zgroza.

Umysł jego doznawał w tej chwili dwoistych wrażeń: gwałtownego wstrząśnienia i przerażającej ciszy; pod wpływem obu marzył tak głęboko, że mary stawały się rzeczywistością. Wszystko widział przed sobą: cokolwiek było wewnątrz jego duszy, ukazywało mu się nazewnątrz w odrębnej postaci.

Tak więc, rzec można, patrzył sobie oko w oko i współcześnie w tym śnie na jawie spostrzegał w tajemniczych głębiach jakieś światło, które zrazu wziął

za pochodnię. Przypatrując się baczniej temu widziadłu własnego sumienia, dostrzegł kształty ludzkie; pochodnią tą był biskup.

Sumienie jego kolejno rozważało dwóch ludzi, stawionych naprzeciw siebie: biskupa i Jana Valjean. Pierwszy zdawał się nieodzownym do zniszczenia drugiego. Dziwnym skutkiem tego rodzaju złudzeń wyobraźni, w miarę jak głębiej zatapiał się w marzeniu, biskup rosł, olbrzymiał, rozpromieniał się w jego oczach, a Jan Valjean malał i niknął. Wkrótce stał się cieniem, w końcu znikł zupełnie. Pozostał sam biskup.

I zapełniał całą duszę tego nędznika przecudną światłością.

Jan Valjean długo płakał. Płakał gorącemi łzami, płakał szlochając, z większą słabością niż niewiasta, z większym przestrachem niż dziecię.

Gdy tak płakał, coraz bardziej rozwidniało się w jego umyśle; oświecał go blask nadzwyczajny, blask zachwycający i straszny zarazem. Życie przeszłe, pierwszy błąd, długa pokuta, zewnętrzne zbydlęcenie, zatwardziałość wewnętrzna, wypuszczenie na wolność i słodka nadzieja zemsty, przygoda u biskupa, ostatni czyn haniebny—to skradzenie czterdziestu su chłopięciu, zbrodnia tem nikczemniejsza, tem potworniejsza, że w ślad szła za przebaczeniem biskupa: wszystko to ujrzał jasno, w świetle, którego nigdy jeszcze nie widział. Patrzył na życie swoje i wydało mu się okropnem; patrzył na duszę, dusza własna wydała mu się straszną. A jednak na to życie i na tę duszę spływało światło łagodne. Zdał się widzieć szatana w rajskiej jasności.

Ile godzin tak przepłakał? co później uczynił? gdzie poszedł? nie dowiedziano się nigdy. To jedno zdaje się pewnem, że tejże nocy woźnica, przejeżdżający z Grenobli do D., mijając o trzeciej godzinie z rana plac katedralny, widział w cieniu klęczącego na bruku i modlącego się człowieka przed drzwiami monsiniora Benvenuto.

KSIĘGA TRZECIA.

W ROKU 1817.

I.

Rok 1817.

Ludwik XVIII z pewną powagą i dumą królewską mienił rok 1817 dwudziestym drugim swego panowania. Był to rok, w którym słynął p. Bruguière do Sorsum. Wszystkie sklepy fryzjerskie, w nadziei powrotu pudru i królewskiego ptaka (1), upstrzyły się w lilje burbońskie na błękitnem polu. Czasy niewinne, w których hrabia Lynch, jako podskarbi parafji Saint Germains des Prés, siadał co niedziela w kościele na ławce kollatorskiej, w mundurze para Francji, z czerwoną wstęgą, długim nosem i tą majestatycznością wyrazu twarzy, właściwą człowiekowi, co dokonał świetnego czynu. Świetny czyn pana Lynch był taki: w roku 1814 dnia 12 marca, będąc merem w Bordeaux, oddał miasto księciu Angoûleme cokolwiek zawcześnie. Za to godność parowska. W r. 1817 moda ogarniała głowy chłopczyków cztero do sześcioletnich ogromnymi czapkami safjanowymi z nauszni-kami, bardzo podobnymi do kołpaków eskimoskich. Armja francuzka przybrała się biało, na wzór austryjackiej, pułki nazywały się legionami i zamiast liczb nosiły nazwiska departamentów. Napoleon siedział na

---

1) Rodzaj fryzury.

wyspie Ś-tej Heleny, a ponieważ Anglja odmówiła mu sukna zielonego, kazał przenicować stare mundury. W r. 1817 Pellegrini śpiewał, panna Bigoti tańczyła; panował Portier; Odry'ego jeszcze nie było. Byli jeszcze Prusacy we Francji. P. Delasot uchodził za nielada figurę. Rząd burboński utrwalił się, uciąwszy naprzód ręce, potem głowy pp. Pleignier, Carbonneau i Tolleron. Książę Talleyrand, wielki szambelan i ksiądz Louis, minister skarbu, patrzyli na się śmiejąc, śmiechem dwóch augurów. Obydwaj, 14 lipca r. 1790 odprawiali mszę federacji na polu Marsowem. Talleyrand celebrował jako biskup; Louis służył za djakona. W r. 1817 w alejach przy tem polu Marsowem leżały na trawie grube słupy i gniły na deszczu; malowane na niebiesko, nosiły ślady złotych orłów i pszczół cesarskich. Przed dwoma laty słupy te podpierały estradę cesarza w polu Marsowem. Poczerniały, tu i owdzie miały spalenizny od biwaków austryackich, rozłożonych przy Wielkim Kamieniu. Dwa czy trzy słupy zupełnie znikły w ogniu biwaków, ogrzawszy szerokie ręce kajserlichów. Uroczystość majowego pola miała to szczególnego, że odbyła się w czerwcu i na polu Marsowem. W tym roku 1817 rzeczy były popolarne: Voltaire-Touquet i tabakierka *à la* Karta. Najświeższym wypadkiem, który wzruszył Paryżan, była zbrodnia Dautu'a, co rzucił głowę swego brata w kanał Targów kwiatowych. W ministerjum marynarki zaczynano się niepokoić brakiem wiadomości o fatalnej fregacie *Meduza*, która miała okryć Chaumareixa hańbą, a Géricaulta chwałą. Pułkownik Selves wyjeżdżał do Egiptu, by tam zostać Solimanem paszą. W pałacu Thermów przy ulicy La-Harpe był teraz sklep bednarza. Widziano jeszcze na tarasie ośmiościennej wieżycy pałacu Cluny małą budkę drewnianą, w której czynił spostrzeżenia Messier, astronom marynarki za Ludwika XVI. W buduarze, umeblowanym ixami z błękitnego atłasu, księżna Duras czytała kilku przyjaciołom niewydaną *Ourikę*. W Lu-

wrze zeskrobywano na ścianach litery N. Most austerlicki abdykował i przybrał tytuł mostu ogrodu królewskiego, podwójnej zagadki, ukrywającej razem most austerlicki i ogród botaniczny. Ludwik XVIII, pisząc końcem paznokcia noty na Horacym, zajęty bohaterami, co wychodzą na cesarzów i szewcami, co się mienią następcami tronu, miał dwa kłopoty: Napoleona i Maturyna Brunnau. Akademja francuzka ogłosiła konkurs na zadanie: *O szczęściu, które daje nauka.* P. Bellart był mówcą urzędowym. W jego cieniu kiełkował przyszły adwokat jeneralny de Broë, późniejsza pastwa szyderstw Pawła Ludwika Courier.

Był wówczas fałszywy Chateaubriand nazwiskiem Marchangy; ale nie było jeszcze fałszywego Marchangy, nazwiskiem Arlincourt, *Klara i Malek-Adel* uchodziły za arcydzieła; pani Cottin za najpierwszego pisarza swego czasu. Instytut wykreślił ze swej listy akademika Napoleona Bonaparte. Rozkaz królewski zakładał w Angoulême szkołę marynarki, gdy bowiem książę Angoulême był wielkim admirałem, rzecz oczywista, że i miasto Angoulème miało z prawa wszystkie przymioty portu morskiego. Na radzie ministrów roztrząsano kwestję, czy można pozwalać na to, żeby na afiszach cyrku Franconiego były wizerunki skoczków, ściągające gawiedź uliczną. P. Paës, autor *Agnieszki*, poczciwiec z kwadratową twarzą i brodawką na nosie, dyrygował koncertami domowemi u margrabiny Sassenaye przy ulicy Villel'évêque. Wszystkie panienki śpiewały *Pustelnika z St. Avelle*, słowa Edwarda Geraud. *Żółty karzeł* przemienił się w *Zwierciadło.* Kawiarnia Lemblin trzymała stronę cesarza, kawiarnia Valois—Burbonów. Ożeniono z księżniczką Sycylii księcia Berry, na którego już Louvel ukradkiem spozierał. Rok upływał, jak pani Staël umarła. Oficerowie gwardji gwizdali na pannę Mars. Dzienniki były maluczkie. Format kusy, ale swoboda wielka. *Constitutionel* był konstytucyjny. *Minerve* nazywała Chateaubrianda *Chateaubriantem.* To *t* śmieszy-

ło mieszczan kosztem wielkiego pisarza. W zaprzedanych dziennikach redaktorzy-nierządnicy lżyli wygnańców r. 1815. Dawid nie miał już talentu, Arnault dowcipu, Carnot prawości, Soult odwagi; prawda że i Napoleon nie miał już wówczas genjuszu. Każdemu wiadomo, jak rzadko we Francji listy, adresowane do wygnańca, dochodzą go pocztą; policja francuzka ma sobie za święty obowiązek je przejmować. Rzecz to nie nowa: już Decartes, wywołany z kraju, żalił się na to. Otoż gdy Dawid z goryczą odezwał się w jednym z dzienników belgijskich, że oddawna pisanych do siebie listów nie odbierał, ubawiło to dzienniki rojalistowskie, i niemiłosiernie szydziły z wygnańca.

Wyrazy: *nieprzyjaciele* lub *sprzymierzeni*, *Napoleon* lub *Bonaparte*, dzieliły ludzi głębiej niż przepaść. Każdy rozsądny wyznawał, że Ludwik XVIII, nazwany „nieśmiertelnym autorem Karty“, na zawsze zamknął erę rewolucji. Na tarasie Nowego Mostu wyryto wyraz *Redivivus* u dołu piedestału, na którym stać miał posąg Henryka IV. Górował wówczas p. Decazes, człek pod pewnym względem liberalny. Chateaubriand codziennie stojąc w oknie pod N. 27 przy ulicy St. Dominika, w długich spodniach, w pantoflach, w czepku jedwabnym na siwych włosach, z oczami, wlepionemi, w zwierciadło, z otwartem pudłem wszelkich narzędzi dentysty przed sobą, dłubał zęby, wcale dobrze zachowane, i dyktował sekretarzowi swemu p. Pilorge, *Monarchję według Karty*. Poważna krytyka przekładała Lafona nad Talmę, Feletz podpisywał się A. Hoffman Z. Karol Nodier pisał *Teresę Aubert*. Rozwody były zabronione. Licea zwały się kollegjami. Uczniowie bili się o króla Rzymskiego. Policja zamkowa denuncjowała Jej królewskiej wysokości, bratowej króla, że w sklepach sprzedawano wizerunki księcia Orleeńskiego, który lepiej wyglądał w mundurze pułkownika huzarów, niż książę Berry w mundurze pułkownika dragonów. Miasto Paryż własnym kosztem ozłociło kopułę Inwalidów.

Ludzie poważni zadawali sobie pytanie, co w tym lub owym razie pocznie p. Trinquelague; p. Clausel de Montols w wielu punktach różnił się z p. Clausel de Coussergues; p. Salaberry nie był zadowolony. Aktor Picard, członek Akademji, do której nie chciano przyjąć aktora Moliera, przedstawiał *Dwóch Filibertów* w Odeonie, gdzie na frontonie mimo wytartych głosek, mogłeś wyraźnie przeczytać *Teatr Cesarzowej*. Księgarz Pelicier ogłosił wydanie Voltaira pod tytułem: *Dzieła Voltaira, członka Akademji francuzkiej*. „Taki tytuł—mówił naiwny wydawca—zwabi kupujących.“ Ogólna była opinja, że p. Karol Loyson zostanie nieśmiertelnym geniuszem, Zoile go kąsali — niewątpliwa oznaka sławy; ułożono na niego wierszyk:

Nawet gdy lata Loyson, widać że ma łapy.

Ponieważ kardynał Fesch nie chciał rezygnować, p. de Pins, arcybiskup Amazji, rządził dyecezją Lyońską. Wszczęła się między Francją i Szwajcarją kłótnia o dolinę Dappes; początek do niej dał memorjał kapitana Dufour, późniejszego jenerała. Saint-Simon, nieznany, pisał swą szczytną utopię. W Akademji nauk był sławny Fourier, o którym zapomniała potomność, a nie wiemy już, na którem poddaszu ukrywał się inny Fourier, o którym wspomną przyszłe wieki. Lord Byron zaczynał być głośnym: przypisek do poematu Millvoya zapoznawał z nim Francję temi słowy: *niejaki lord Baron*. Ksiądz Caron mówił seminarzystom przy ulicy Bernardynek z wielkiemi pochwałami o nieznanym księdzu Feliksie Robercie, który później zwał się Lamennais. Coś dymiącego i pluskającego na Sekwanie, niby pies pływający, przesuwało się przed oknami Tuilerjów od mostu królewskiego do mostu Ludwika XV; machinka na nic nieprzydatna, rodzaj zabawki, wynalazek półgłówka, utopia: statek parowy. Paryżanie obojętnie patrzyli na tę rzecz nieużyteczną. P. Vaublanc, reformator

Instytutu przez zamach stanu, narzucał nowych członków na mocy dekretu królewskiego; znakomity ten twórca wielu akademików sam nie mógł zostać akademikiem. Przedmieście S. Germana i pawilon Marsan chciały mieć prefektem policji p. Delavau, był bowiem bardzo nabożny. Dupuytren i Recamier pokłócili się w sali szkoły medycznej i grozili sobie pięściami z powodu bóstwa Jezusa Chrystusa. Cuvier jednem okiem patrząc na Genezę, drugiem na przyrodę, starał się przypodobać reakcji bigotów, godząc wykopaliska z tekstami Pisma, i każąc przedpotopowym zwierzętom pochlebiać Mojżeszowi. Pan Franciszek Neufchateau, chwalebny czciciel pamięci Parmentiera, zdobywał się na tysiące sposobów, żeby zamiast *kartofel* wymawiano *parmantiera*, ale daremnie. Ksiądz Gregoire, dawny biskup, dawny konwencjonista, dawny senator, spadł w polemice rojalistowskiej do stanu „infamisa Gregoire.“ Samo to wyrażenie *spaść do stanu* wydawało się p. Royer Collard brzydkim neologizmem. Pod trzecią arkadą mostu Jena można było jeszcze rozpoznać po świeżem zabieleniu zatkaną kamieniami dziurę miny, którą kazał wydrążyć Blücher dla wysadzenia mostu w powietrze. Sprawiedliwość pociągnęła do odpowiedzialności człowieka, który widząc hrabiego Artois, wchodzącego do kościoła Najświętszej Panny, zawołał głośno: *Dalibóg! żałuję czasów gdy Bonaparte trzymając się pod rękę z Talmą, szli na Balik Wiejski.* Słówko buntownicze. Sześć miesięcy więzienia.

Zdrajcy chodzili z podniesioną głową; ludzie, co w przeddzień bitwy przeszli do nieprzyjaciela, chełpili się z otrzymanej za to nagrody i bezwstydnie, w dzień biały urządzali cyniczną wystawę bogactw i zaszczytów; zbiegi z pod Ligny i Quatrebras, świecąc zapłaconą sromotą, ukazywali w całej nagości swoje przywiązanie do nowego rządu, zapominając co w Anglji napisane jest na wewnętrznej ścianie wychodków publicznych: *Please adjust your dress before leaving.*

Oto macie bezładny szkic mglistych rysów roku 1817, dziś zapomnianego. Historja porzuca te drobiazgi, i nie może czynić inaczej, bo przeciągnęłaby się w nieskończoność. Wszelako szczegóły te niesłusznie zowią małemi: nie masz małych faktów w ludzkości, ani małych listków w roślinności — są bardzo użyteczne. Z fizjonomji lat tworzy się oblicze wieków.

W tym roku 1817 czterej młodzi Paryżanie odegrali „dobrą farsę.“

II.

Kwartet podwójny.

Paryżanie ci pochodzili jeden iż Tuluzy, drugi z Limoges, trzeci z Cahors, czwarty z Montauban; ale byli studentami, a student — to Paryżanin; uczyć się w Paryżu to jedno, co urodzić w Paryżu.

Czterej ci młodzieńcy niczem się nie odznaczali; pełno takich wszędzie; cztery próbki pierwszego lepszego młokosa; ani dobrzy ani źli, ani uczeni ani nieucy, ani genjusze ani niedołęgi; ładni kwietniowym wdziękiem, który się zowie: lat dwadzieścia. Rzekłbyś czterech jakich Oskarów; bo w owym czasie nie było jeszcze Arturów. *Pal dla niego kadzidła Arabji*— wołał romans — *Oskar idzie, ujrzę Oskara!* Poezje Osyjana były w modzie; prawdziwa elegancja była skandynawską i kaledońską, czysty rodzaj angielski później dopiero przeważył, a pierwszy z Arturów, Wellington, zaledwie wówczas wygrał bitwę pod Waterloo.

Oskarowie ci nazywali się jeden Feliks Tolomyes z Tuluzy; drugi Listolier z Cahors; trzeci Fameuil z Limoges; ostatni Blachevelle z Montauban. Naturalnie każdy miał kochankę: Blachvelle kochał Favourytę, z angielska przezwaną, bo jeździła do Anglji; Listolier uwielbiał Dahlję, która zamiast imienia wojennego obrała sobie nazwę kwiatu; Fameuil

ubóstwiał Zefinę, imię zdrobniałe Józefiny; Tolomyes miał Fantinę, zwaną Blondynką dla pięknych włosów złotego koloru.

Favouryta, Dahlja, Zefina i Fantina były cztery prześliczne dziewczęta świeże, rozkoszne, trochę jeszcze szwaczki, bo nie zarzuciły zupełnie igły, odrywane od pracy miłostkami, ale z resztą na twarzy pogody, jaką daje życie pracowite, i z tym kwieciem uczciwości w duszy, co pozostaje w kobiecie po pierwszym upadku. Jedną z nich nazywano młodą, gdyż była najmłodszą; inną starą; stara miała dwadzieścia trzy lata. Prawdę mówiąc, trzy pierwsze były doświadczeńsze, mniej troszczące się i bardziej zaprawione do zgiełku życia, niż Fantina Blondynka, która nie wyszła jeszcze z pierwszego złudzenia.

Dahlja, Zefina a nadewszystko Favouryta nie mogłyby o sobie tego powiedzieć. Znalazłby się nie jeden ustęp w tym zaledwie rozpoczętym romansie i kochanek, zwany Adolfem w pierwszym rozdziale, miałby może imię Alfonsa w drugim, a Gustawa w trzecim. Ubóstwo i zalotność—zgubne doradczynie; jedno zrzędzi, drugie pochlebia; ładnym dziewczętom z gminu zawsze obydwie szepcą do ucha, każda ze swej strony. Dusze źle strzeżone słuchają. Ztąd ich upadki, ztąd kamienie, któremi je obrzucają, przywalając całym przepychem wszystkiego, co jest nieskalane i niedostępne. Niestety! gdyby Jungfrau była głodną?

Zefina i Dahlja podziwiały Favourytę, że jeździła do Anglji. Bardzo wcześnie zaczęła własny dom prowadzić. Ojciec jej, stary profesor matematyki, gbur i samochwał, bezżenny, mimo podeszłego wieku, uganiał się za dziewczętami. Będąc młodym, pan profesor zobaczył suknię pokojówki zaczepioną o drzwiczki od pieca, i zakochał się w niej od razu. Favouryta była owocem tych zapałów. Nie raz spotykała na ulicy ojca i kłaniali się sobie, jak dalecy znajomi. Pewnego poranku jakaś stara kobieta z miną nabo-

żną weszła do niej i rzekła:—Nie poznajesz mnie panna?—Nie.—Jestem twoją matką.—Później stara otworzyła kredens, jadła i piła, kazała przynieść swój materac i rozgościła się w jej domu. Ta matka, zrzędna i dewotka, nigdy nie rozmawiała z Favourytą, po całych godzinach siedziała, słowa nie rzekłszy, jadła za cztery, często zaglądała do stróżki i obmawiała córkę.

Dahlję pociągnęło ku Listolierowi, ku innym może, ku próżniactwu to, że miała piękne różowe paznokcie. Jak takiemi palcami pracować? Dziewczyna, chcąca pozostać cnotliwą, nie powinna mieć litości nad swemi rękami. Co do Zefiny ta podbiła Fameuila, odpowiadając na wszystko pieszczotliwie i figlarnie:—Tak, panie.

Ponieważ młodzi ludzie byli kolegami, więc dziewczęta żyły z sobą w przyjaźni. Tego rodzaju miłostki zawsze są podszyte podobnemi przyjaźniami.

Cnotliwy i, lilozof to nie jedno; najlepszy dowód—że Favourita, Zefina i Dahlja, mimo nieprawych związków, były filozofkami, a Fantina dziewczyną cnotliwą.

Cnotliwą! powie kto, a Tolomyes? Odpowiemy tylko, że miłość Fantiny była miłością pierwszą, jedyną, miłością wierną.

Jej jednej z czterech dziewcząt jeden tylko mężczyzna *ty* mówił.

Fantina była jedną z tych istot, które, że tak powiem, rodzą wnętrzności ludu. Wyszedłszy z nieprzeniknionych gęstwin społecznej nocy, miała na czole tajemnicy i bezimienności znamię. Urodziła się w M. nad M. Z jakich rodziców? Któż to wiedzieć może? Nikt nie znał jej ojca ani matki. Na imię jej było Fantina. Dlaczego Fantina? Nie słyszano o innem nazwisku. Urodziła się za dyrektorjatu; żadnego nazwiska familijnego, bo nie miała familji; żadnego imienia chrzestnego, bo kościoła nie było. Nazywała się, jak się podobało nazwać ją pierwszemu lepszemu, co spotkał maleńką, boso idącą przez ulicę. Imię na

nią spadło jak deszcz z obłoków. Zwano ją małą Fantiną. Nikt więcej nie wiedział. Ludzka ta istota Bóg wie jak na świat przyszła. Mając lat dziesięć, Fantina opuściła miasto i najęła się do służby u okolicznych czynszowników. W piętnastym roku wróciła do Paryża „szukać szczęścia.“ Fantina była piękną, i pozostała czystą, jak mogła najdłużej. Była to śliczna blondynka z białemi zębami. Miała w posagu złoto i perły; złoto było na głowie, perły w ustach.

Pracowała, aby wyżyć, później także by wyżyć kochała, bo i serce bywa głodnem.

Kochała Tolomyesa.

Dla niego miłostka, dla niej namiętność. Początek tego snu o szczęściu widziały ulice dzielnicy łacińskiej, w której snują się mrówki, studenci i grzetki. W tym labiryncie wzgórzy Pantheonu, gdzie tyle miłostek sprzęga się i rozwiązuje, Fantina długo uciekała od Tolomyesa, tak jednak, żeby zawsze go spotkać. Jest sposób uciekania wielce podobny do szukania. Słowem, cała sielanka.

Blachevelle, Listolier i Fameuil tworzyli rodzaj grupy, której głową był Tolomyes. On miał dowcip za wszystkich.

Tolomyes był to stary bursz, dawnych czasów; był bogaty, miał cztery tysiące franków rocznego dochodu; cztery tysiące franków rocznie! to wielki skandal na górze Ś-tej Genowefy. Hulaka trzydziestoletni dość był wyszarzany; na twarzy zmarszczki, w ustach brak kilku zębów, na głowie połyskiwała łysina, o której sam mówił bez smutku: *naga czaszka w trzydziestym roku, kolano w czterdziestym.* Słabo trawił, jedno oko zawsze miał załzawione! W miarę jednak jak znikała młodość, przybywało mu wesołości, i zamiast zębów miał pełne usta konceptów, zamiast włosów złoty humor, zamiast zdrowia ironię, a łzawe oko śmiało się nieustannie. Podszarzany był, lecz cały w kwiatach. Młodość, uciekając przedwcześnie, rejterowała w porządku, parskając śmiechem, migocąc fajerwerkami

dowcipu. Napisał sztukę do teatru Vaudeville, ale ją odrzucono. Czasami układał wierszyki. Prócz tego pysznie powątpiewał o wszystkiem, co w przekonaniu miałkich umysłów znaczyło dobrą głowę. Otóż, ironiczny i łysy był naczelnikiem. Jest słówko angielskie *Iron*, znaczące żelazo. Czyżby od niego pochodziła ironja?

Pewnego dnia Tolomyes rzekł do trzech kolegów tonem wyroczni:

Blizko od roku Fantina, Dahlja, Zefina i Favouryta upominają się o niespodziankę. Obiecaliśmy ją uroczyście. Ciągle o niej mówią, mnie szczególniej. Jak stare baby w Neapolu wołają do Ś-go Januarego: *Faccia giallutta, fa o miracolo:* żółtawa twarzy uczyń cud! tak nasze bogdanki wołają nieustannie: Tolomyes, kiedyż urodzisz swoją niespodziankę? Współcześnie piszą do nas rodzice. Szturm ze stron obydwóch. Zda mi się, nadeszła stanowcza chwila. Pogadajmy.

Tu Tolomyes zniżył głos i tajemniczo szeptał coś tak wesołego, że na raz cztery usta parsknęły ogromnym szalonym śmiechem. Blachevelle zawołał: „Wyborna myśl!“

Zaszli do zadymionej kawiarni, i reszta konferencji odbyła się w cieniu.

Wypadkiem tych tajnych narad była świetna zabawa, którą urządzali na następną niedzielę, zaprosiwszy na nią cztery dziewczyny.

III.

W cztery pary.

Trudno dziś wyobrazić sobie wiejskie zabawy studentów i gryzetek przed czterdziestu pięciu laty. Paryż nie ma już tych samych okolic; od pół wieku zupełnie zmieniła się fizjonomja życia za rogatkami paryzkiemi; gdzie były kukułki, dziś są wagony; gdzie promy, dziś statki parowe, dziś mówią Fecamp, jak wówczas mówiono Saint Cloud. Paryż 1862 r. to miasto, którego okolicą jest cała Francja.

Cztery pary sumiennie spełniły wszelkie szaleństwa wiejskie, wówczas możliwe. Była pora wakacji, ciepły i pogodny dzień letni. Dziewczęta wstały o piątej z rana. Do Saint Cloud pojechali bryczką, patrzyli na wyschnięty wodotrysk, wołając z podziwieniem: jak to piękne być musi gdy jest woda! Śniadanie jedli pod *Czarną Głową*, gonili do pierścienia, wchodzili do latarni Dyogenesa, grali w ruletę o makaroniki, rwali kwiaty w Puteau, kupili fujarki w Neuilly, wszędzie jedli paszteciki z jabłek i byli najzupełniej szczęśliwi.

Dziewczęta szczebiotały jak szczygły, które się dobyły na wolność. Był to szał prawdziwy. Niekiedy uderzały po ramieniu młodzieńców. Poranne upojenie życia! Lata zachwycające! Któż z was nie przypomina ich sobie? Przechodząc przez krzaki, czyż

nie usuwałeś starannie gałązek, aby nie drasnęły prześlicznej główki, posuwającej się za tobą? Nie zdarzyłoż ci się pośliznąć na wilgotnej pochyłości z kobietą kochaną; ty się śmiejesz, ona przytrzymuje cię ręką, wołając: Ach! moje nowe bućiki! jak strasznie wyglądają!

Żeby uciecha była zupełną, niedostawało tylko ulewy, chociaż Favouryta wyjeżdżając mówiła tonem macierzyńsko-nauczycielskim: *Ślimaki pełzają po drodze. Dzieci, będzie deszcz.*

Wszystkie cztery były szalenie ładne. Stary poeta klassyk, wówczas słynny poczciwiec, co miał swoją Eleonorę, kawaler Labouisse spacerował w tym dniu pod kasztanami St. Cloud; ujrzawszy je, przechodzące o dziewiątej rano, zawołał: *Jedną nadto;* miał na myśli Gracje, Favouryta, przyjaciółka Blachevalla, ta dwudziestotrzyletnia staruszka, biegła naprzód pod rozłożystemi gałęźmi zielonemi, przeskakiwała rowy, krzaki, prezydując wesołości z zapałem młodej fauny. Zefina i Dahlja, które dziwnym trafem były piękniejsze, zbliżone do siebie, uzupełniając się wzajem, trzymały się za ręce, raczej z zalotności niż przyjaźni, i pozowały po angielsku. Ukazywały się już pierwsze *Keapsakes*, melancholja wchodziła w modę u kobiet, jak później bajronizm u mężczyzn; włosy płci pięknej spływały na ramiona w melancholicznym nieładzie: tak też były uczesane Dahlja i Zefina. Listolier i Fameuil rozprawiając o swych profesorach, tłumaczyli Fantinie różnicę, zachodzącą między p. Delvincourt i p. Blondeau.

Blachevalle zdawał się umyślnie stworzonym do noszenia na ręku, w niedzielę szalu Favouryty kaszmirowego ze szlakiem.

Tolomyes zamykał orszak. Chociaż bardzo wesoły, wszyscy czuli, że rządzi, było coś dyktatorskiego w jego dowcipkowaniu; główną jego ozdobę stanowiły szerokie spodnie nankinowe na strzemiączkach drucia-

nych; w ręku trzymał ogromną trzcinę, kosztującą dwieście franków, a że sobie wszystkiego pozwalał, więc w ustach miał niesłychaną rzecz wówczas — cygaro. Nic nie było dlań świętego palił tytuń.

— Ten Tolomyes zdumiewa, mówili ze czcią towarzysze. Jakie spodnie! co za energja!

Co do Fantiny, dziewczę to było uosobioną radością. Widocznie śliczne jej zęby Bóg przeznaczył do śmiechu. Chętniej na ręku niż na głowie niosła kapelusik słomiany z długiemi białemi wstążkami. Jej długie blond włosy, naturalnie wijące się w sploty i łatwo rozwiązujące, ciągle trzeba było poprawiać: rzekłbyś Galatea uciekająca pod wierzbami. Różane jej usta szczebiotały czarownie. Kąciki ust rozkosznie wydatne, jak na starożytnych posągach Erygony, zdawały się zachęcać do całusów; ale długie ciemne rzęsy skromnie spuszczone na figlarność dolnej części twarzy — powstrzymywały śmiałków. Jej strój miał coś śpiewnego i płomienistego. Suknia barężowa lila, trzewiczki koturny, różowo mieniące się, których tasiemki kreśliły iksy na białych ażurowych pończochach; rodzaj spencerka muślinowego, wynalazek marsylski, którego nazwisko *Kanzu* (guinze août) oznacza piękną pogodę, gorąco, południe. Trzy inne, jakeśmy powiedzieli, nie tak bojaźliwe, były wygorsowane, co w lecie pod kapeluszami z kwieciem, miało wiele wdzięku i wabności; ale obok tych zuchwałych strojów, kanzu blondynki Fantiny, na wpół przezroczyste, kryjąc i ukazując zarazem, zdawało się wyzywającym wynalazkiem skromności; i zaiste, wice hrabina de Cette z zielonemi oczami, prezydująca na sławnym dworze miłości, niezawodnie przyznałaby nagrodę zalotności temu kanzu, który ubiegał się o nagrodę wstydliwości. Najnaiwniejsze jest niekiedy najuczeńszem. To się zdarza.

Śliczna twarz, delikatne rysy, oczy ciemno niebieskie, szerokie powieki, nóżki drobne, wypukłe, prze-

dziwnie utoczone, płeć biała, tu i owdzie z niebieskawemi żyłkami, jagody świeże, dziecinne, szyja krzepka, jak na posągach Junony, kark silny i giętki, plecy jakby przez Coustou modelowane, z rozkosznym dołkiem pośrodku, widzialnym przez muślin; wesołość łagodzona melancholją wytworną, godną dłuta: taką była Fantina. Odgadywałeś, że pod temi szaty i wstążkami jest posąg, a w tym posągu dusza.

Fantina była piękną, nie wiedząc i nie pokazując tego po sobie. Rzadcy marzyciele, tajemniczy kapłani piękna, w milczeniu porównywający wszystko do ideału, dostrzegliby w tej małej robotnicy, przez przezrocze paryzkiego wdzięku, starożytną świętą eufonję. Ta córka mroku miała coś rasowego. Była piękną pod względem stylu i pod względem rytmu. Stylem są kształty ideału, rytmem—jego ruch.

Powiedzieliśmy, że Fantina była uosobioną radością; była także uosobionym wstydem.

Baczny spostrzegacz byłby zauważył w niej, mimo upojenia lat młodzieńczych, szału miłości i zabawy w pięknym dniu sierpniowym, nieprzezwyciężony wyraz skromności i powściągliwości. Zawsze była nieco zdziwioną. To właśnie wstydliwe zdziwienie stanowi odcień między Psyche i Wenerą. Fantina miała długie miękkie palce Westalki, szpilką złotą poruszającej popiół ognia świętego. Chociaż, jak to zobaczymy, niczego nie odmawiała Tolomyesowi, jej twarz w spoczynku miała coś niewymownie dziewiczego. Nagle przychodziły na nią chwile godności poważnej, prawie surowej, nic bardziej nie uderzało i nie mieszało zarazem jak widok tej wesołości nagle, bez przejścia, ustępującej miejsca głębokiemu skupieniu ducha. Ta powaga nagła, niekiedy surowa, wyrazista, podobną była do wzgardliwej dumy bogini. Jej czoło, nos, broda, miały tę równowagę linji, różną od równowagi proporcji, z której wynika harmonja twarzy; w charakterystycznym odstępie między podstawą nosa i górną

wargą dostrzegałeś niewyraźne a miłe zgięcie, tajemniczy znak wstydliwości, dla którego Barbarussa zakochał się w posągu Dyanny, znalezionym między wykopaliskami w Iconjum.

Miłość jest błędem; może. Fantina mimo błędu pozostała niewinną.

IV.

Tolomyes jest tak wesół, że śpiewa piosnkę hiszpańską.

Dzień ten od początku do końca był jak ciągłą jutrzenką. Cała przyroda zdawała się być na urlopie i śmiała się nieustannie. Drzewa St. Cloud wydawały woń balsamiczną, wiatr od Sekwany poruszał zlekka liście na gałęziach; pszczoły dopuszczały się łupieztwa na jaśminach, hordy motylów rzucały się na krwawniki, koniczynę i owies ogrodowy; do dostojnego parku króla francuzkiego zakradły się tłumy włóczęgów — ptaków.

Cztery wesołe pary jaśniały szczęściem, zmieszawszy się ze słońcem, polem, kwiatami, drzewami.

I w tej wspólności rajskiej rozmawiały, śpiewały, tańczyły, biegały, uganiały się za motylami, zrywały powoje, wilżyły pończoszki w gęstej trawie, świeże, rzeźkie, upojone, poczciwe, całowane przez wszystkich, prócz Fantiny, która rozmarzona i pierzchliwa, opierała się natrętom—bo kochała. — Ty, mówiła Favouryta, zawsze masz jakąś minę.

Radość to szczera, prawdziwa. Ta uciecha par szczęśliwych z głębi duszy przemawia do życia, do przyrody, wywołując jej pieszczoty i światło. Pewna wróżka umyślnie dla kochanków stworzyła łąki i drze-

wa. Dla tego kochankowie zawsze włóczą się na wagusy i włóczyć nie przestaną, dopóki będą krzaki i studenci. Dlatego to wiosna tak jest popularną u myślicieli. Patrycjusz i chudy pachołek; książę, par i palestrant, dworacy i mieszczanie, wszyscy radzi brać udział w tej uczcie. Śmieją się, szukają wzajem, jest jakieś światło apoteozy w powietrzu, jakieś przeobrażenie w miłości! Dependenci notarjusza stają się bogami. Owe urywane wykrzykniki, te gonienia się po trawie, to chwytanie kibici w biegu, to szczebiotanie melodyjne, te oświadczenia miłosne w półsłówkach, to wyrywanie sobie z ust wisien, wszystko to płonie ogniem, zachwyca, unosi w sfery niebiańskie. Piękne dziewczęta z rozkoszą marnotrawią te błogie chwile. Zdaje im się, że nigdy się nie skończą. Filozofowie, poeci, malarze patrzą na te zachwyty, i nie wiedzą, co począć z niemi, tak ich one olśniewają. Odjeżdżają na Cyterę! woła Watteau, Lancret, malarz kmiecy, patrzy na poczciwych mieszczan tonących w błękitach; Diderot wyciąga tęskne ramiona ku tym szczęśliwym miłostkom, a Urfé wprowadza do nich swych druidów.

Po śniadaniu cztery pary poszły obejrzeć w tak zwanej kwaterze królewskiej roślinę świeżo z Indji sprowadzoną, której nazwiska zapomnieliśmy w tej chwili; w owym czasie ściągała ona wszystkich mieszkańców Paryża do St. Cloud; było to drzewko dziwne i miłe, na wysokiej łodydze, z mnóstwem gałązek cienkich jak nici, bez liści, pokrytych miljonami białych różyczek; podobne było do głowy osypanej kwieciem. Otaczały je zawsze ciekawe tłumy podziwiających.

Obejrzawszy drzewko, Tolomyes zawołał: — Ofiaruję paniom osły! i ugodziwszy się z wynajmującym te bydlątka, powrócili przez Vanores i Issy. W Issy zdarzenie. Park, należący do dóbr narodowych, w owym czasie własność urzędnika municypalnego Bourguin, przypadkiem był otwarty. Weszli wewnątrz, obejrzeli

pustelnika w pieczarze, przyglądali się w sławnym gabinecie zwierciadlanym rozpustnej samołówce satyra, który stał się miljonerem. Poruszyli huśtawkę zawieszoną na dwóch kasztanach, opiewanych przez księdza Bernis. Kołysząc swe bogdanki jedną po drugiej, śmiejąc się jak szaleni z przygód ze spódniczkami, tuluzanin Tolomyes, trochę Hiszpan. — Tuluza jest krewniaczką Tolosy, — śpiewał głosem melancholicznym starą piosnkę *gallega*, prawdopodobnie ułożoną dla pięknej dziewczyny, którą bujano na huśtawce między dwoma drzewami:

Soy de Badajoz,
Amor me llama.
Toda mi alma
Es en mis ojos
Porque ensenas
A tus piernas.

Tylko Fantina niechciała się huśtać.

— Nie lubię tych dąsów — mruczała kwaśno Favouryta.

Zsiadłszy z osłów, nową radość; przepłynęli Sekwanę na czółnie, a z Passy piechotą przybyli do rogatki Gwiazdy. Były na nogach od piątej rano, ale mówiła Favouryta, *nie ma znużenia w niedzielę; w niedzielę zmęczony nie pracuje*. Około trzeciej po południu cztery pary upojone szczęściem, dostały się na góry ruskie, do dziwnego budynku, który wówczas zajmował wzgórza Beaujon, i widny był daleko z pól Elizejskich.

Kiedy niekiedy Favouryta wołała:

— A niespodzianka? żądam niespodzianki.

— Cierpliwości, odpowiadał Tolomyes.

V.

U Bombardy.

Spuściwszy się z gór ruskich, pomyślano o obiedzie; znużeni wstąpili do kawiarni, należącej do sławnego oberżysty pól Elizejskich, Bombardy, którego szyld widziałeś także na ulicy Rivoli od strony Delorme.

Wielka izba brzydka, z alkierzem i łóżkiem w głębi, (zważywszy na zapełnienie kawiarni w niedzielę, nie robiło się ceremonji) i dwa okna, zkąd można było patrzeć przez klony na bulwar i rzekę.

Sierpniowe promienie słońca ozłacały okno i dwa stoły; na jednym tryumfalna góra bukietów z kapeluszami mężczyzn i kobiet, na drugim cztery pary przy stosie talerzy, szklanek i butelek; dzbanki z piwem między flaszkami wina; mało ładu na stole, trochę nieładu pod stołem.

Do tego doszła o wpół do piątej wieczorem sielanka, rozpoczęta o piątej rano. Słońce chyliło się ku zachodowi, głód prędko zaspokojono.

Pola Elizejskie pełne słońca i tłumu, były samem światłem i kurzem, dwoma rzeczami, z których składa się chwała. Konie Marly, rżące marmury wspinały się w złotym obłoku. Krążyły powozy; szwadron pysznej gwardji przybocznej z trębaczem na przodzie, wchodził na ulicę Neuilly; biała chorągiew, rumieniąca

się w blasku zachodzącego słońca, powiewała na kopule Tuilerjów. Plac Zgody, wówczas przezwany placem Ludwika XV, przepełniony był zadowolonymi przechodniami. U wielu widziałeś zawieszony srebrny kwiat lilji w białej petlicy atłasowej, która w roku 1817 nie znikła jeszcze zupełnie z dziurek surdutów. Gdzieniegdzie między przechodniami dziewczęta tańczyły sławny wówczas taniec burboński, śpiewając zwrotkę:

Powróćcie nam naszego ojca z Gand,
Powróćcie nam naszego ojca.

Świątecznie wystrojeni mieszkańcy przedmieścia, niekiedy nawet w ubiorach zamożnych mieszczan, gonili do pierścienia lub kręcili się na konikach drewnianych; inni pili na boku; uczniowie z drukarni w czapkach papierowych śmieli się do rozpuku. Wszyscy byli szczęśliwi. Niezaprzeczenie był to czas głębokiego pokoju i zupełnego bezpieczeństwa rojalizmu; w owej też epoce raport tajny prefekta policji Angles, zdany królowi o przedmieściach Paryża, kończył się temi słowy: „Wszystko dobrze; zważywszy, Najjaśniejszy Panie, wcale niema się czego obawiać tych ludzi. Żyją bez troski, niedbali i obojętni jak koty. Ludek prowincjonalny jest ruchliwy, paryzki bynajmniej. Wszystko to drobiazg, Najjaśniejszy Panie, dwóch razem zesztukowawszy, ledwieby jednemu dorównali z Twoich grenadjerów. Żadnej niema obawy ze strony stołecznego motłochu. Godnem jest uwagi, że wzrost tej ludności zmalał jeszcze od lat piędziesięciu; lud przedmieści Paryża drobniejszy jest, niż był przed rewolucją. Nie jest niebezpieczny. Słowem — poczciwy motłoch!“

Żeby kot mógł się przemienić w lwa, to nie zdawało się możliwem panu Anglés, a jednak tak jest i to stanowi cud ludu Paryzkiego. Ów kot, wzgardzony przez pana Anglés, był czczony w starożytnych rzeczpospolitych; był w ich oczach symbolem swobody, i jakby dopełniając Minerwę w Pireus, na placu publicznym w Koryncie stał kolosalny spiżowy posąg kota. Naiwna policja Restauracji widziała w ró-

żowych kolorach lud paryzki. A jednak nie jest to „motłoch poczciwy!“ Paryżanin jest tem we Francji, czem Ateńczyk w Grecji; nikt lepiej od niego nie śpi, nikt nie jest bardziej od niego płochym i leniwym, nikt bardziej zapominającym doznane krzywdy; ale nie ufaj tym pozorom: zdolny jest do wszelkiej płochości i niedbalstwa; gdy chodzi o chwałę, gotów jest na wszelkie szaleństwo. Daj mu lancę, dokona 10-go sierpnia; daj mu karabin, wygra batalję pod Austerlitz. Jest punktem oparcia Napoleona i źródłem potęgi Dantona. Ojczyzna w niebezpieczeństwie? zaciąga się na ochotnika; zagrożona swoboda? stawia barykady. Biada wrogom! jego włosy, pełne gniewu, jeżą się kolcami lancy; jego bluza przybiera kształt bohaterskiego płaszcza. Strzeżcie się! Na pierwszej lepszej ulicy zada wam klęskę sromotną. Gdy wybije godzina, ten mieszkaniec przedmieścia urośnie, ten człowieczek dźwignie się i spojrzy ci strasznie w oczy; jego oddech stanie się burzą; z tej wątłej piersi wyrwą się wichry, mogące zmienić Alp kształty. Dzięki mieszkańcom przedmieścia, armja Napoleona zdobyła Europę. Śpiewa, w tem jego uciecha. Ułóżcie pieśń do jego charakteru, a ujrzycie! Dopóki jego zwrotką jest Carmanjola, burzy tron Burbonów—pozwólcie mu zaśpiewać Marsyljankę, a świat zawojuje.

Napisawszy tę notę na marginesie raportu Anglesa, powracamy do naszych par szczęśliwych. Jakeśmy powiedzieli, obiad się kończył.

VI.

Rozdział, w którym się ubóstwiają.

Słówka przy obiedzie i słówka miłosne, jednych i drugich nie pochwycisz; słówka miłosne są mgłą, rozmowy przy stole—dymem.

Fameuil i Dahlja nucili jakieś piosnki; Tolomyes pił, śmiała się Zefina, Fantina uśmiechała. Listolier zadął w fujarkę, kupioną w St. Cloud. Favouryta czule spojrzała na Blachevella i rzekła:

— Blachevelle, ubóstwiam cię.

To wywołało zapytanie Blachevella:

— Cobyś poczęła, Favouryto, gdybym przestał cię kochać?

— Ja! zawołała Favouryta. Ach! nie mów tego nawet żartem! Gdybyś przestał mię kochać, rzuciłabym się na ciebie, kąsała, drapała, oblałabym cię wodą, kazała aresztować.

Blachevelle uśmiechał się, delektując jak człowiek, którego miłość własną pogłaskano. Favouryta dodała:

— Tak jest, przywołałabym wartę! Myślisz, żebym robiła ceremonje! Łotrze!

Blachevelle zachwycony wyciągnął się na krześle i dumnie przymknął oczy.

Dahlja, jedząc, szepnęła do ucha Favourycie:

— Czy w istocie tak ubóstwiasz swego Blachevella?

— Gdzie tam, nie cierpię go — odparła tym samym tonem, biorąc widelec. Skąpiec. Kocham malca, mieszkającego naprzeciw moich okien. Chłopiec wcale nie brzydki, znasz go? Zdaje się, że ma talent aktorski. Lubię aktorów. Jak tylko wróci do domu, matka woła: — A, mój Boże, już po mojej spokojności! Ależ, przyjacielu, ogłuszasz mię. — Więc odchodzi na górę na poddasze, na strych, w ciemne kąty, i dalejże śpiewać, deklamować Bóg wie co, tak głośno, że słychać na dole! Zarabia już dwadzieścia su dziennie, przepisując u adwokata. Jest synem dawnego kantora kościoła Ś-go Jakóba. Ach, wcale ładny. A ubóstwia mię tak dalece, że razu jednego, gdym mięsiła ciasto na naleśniki, rzekł do mnie: *niech panienka zrobi pączki ze swych rękawiczek, to je zjem.* Tylko artyści mogą coś podobnego powiedzieć. Miły chłopiec. Gotowa jestem szaleć za tym malcem. Z tem wszystkiem mówię do Blachevella, że go ubóstwiam. Ach, jakże kłamię, jak kłamię!

Po chwili Favouryta mówiła dalej:

Widzisz, Dahli, jestem smutna. Całe lato deszcz padał, wiatr mię drażni, wiatr nie uspakaja gniewu; Blachevelle jest skąpcem, na targu ledwie dostaniesz groszku, nie wiesz co jeść, cierpię spleen, jak powiadają Anglicy, masło tak drogie! a przytem okropność! czy nie widzisz, że jemy obiad w pokoju, gdzie stoi łóżko; to mi życie obrzydza.

VII.

Mądrość Tolomyesa.

Tymczasem jedni śpiewali, drudzy mówili gwarnie, wszyscy razem: wrzawa nie do opisania. Tolomyes wezwał do porządku.

— Nie mówmy ani za prędko, ani co ślina przyniesie—zawołał. Namyślajmy się, jeśli chcemy błyszczeć. Zbytek improwizacji głupio wypróżnia dowcip. Piwo, cieknące z beczki, nie wydaje piany. Panowie, zwolna. Hulajmy majestatycznie. Bez pośpiechu. — Spójrzcie na wiosnę, gdy się spieszy, prędko się wypali i oziębi. Zbytek gorliwości gubi morele i brzoskwinie. Zbytek gorliwości zabija wdzięk i uciechę smacznych obiadów. Bez zbytniej gorliwości, panowie! Grimod de la Reyniere jest zdania Talleyranda.

Rozległ się głuchy szmer buntowniczy.

— Tolomyes, daj nam pokój — rzekł Blachevelle.

— Precz z tyranem!—zawołał Fameuil!

— Do krocset piorunów!—krzyknął Listolier.

— Od czego niedziela?—dorzucił Fameuil!

— Jesteśmy trzeźwi i wstrzemięźliwi — dodał Listolier.

— Tolomyes — rzekł Blachevelle — patrz na mój spokój (Mon calme).

— Wyglądasz też, jak markiz Moncalme — odpowiedział Tolomyes.

Ta licha igraszka słów sprawiła skutek kamienia, rzuconego w kałużę. Markiz Moncalme był rojalistą, sławnym podówczas. Wszystkie żaby umilkły.

— Przyjaciele—zawołał Tolomyes tonem człowieka, wracającego do władzy—nie traćcie humoru. Kalambur, spadły z obłoków, nie powinien was wprawiać w zbytnie osłupienie. Nie wszystko, co spada w taki sposób, godne jest podziwu i uwielbienia. Ulatujący w górę dowcip spluwa kalamburem. Koncepty można sypać jak z rękawa, i dowcip, spłodziwszy głupstwa, zatapia się w błękitach. Biała plama, rzucona na skałę, nie przeszkadza orłowi szybować w obłokach. Daleką odemnie chęć znieważania kalamburu! Cenię go stosownie do wartości, nie więcej. Cokolwiek jest dostojnego, szczytnego, powabnego w ludzkości, a może i za ludzkością, lubi kalambury. Mojżesz powiedział kalambur o Izaaku, Eschyles o Polynicy, Kleopatra o Oktawianie. I zauważcie, że ten kalambur Kleopatry uprzedził bitwę pod Akcjum, i że gdyby nie ona, niktby sobie nie przypomniał miasta Torynu, którego nazwisko greckie znaczy warząchew. To przyznawszy, wracam do mego napomnienia. Bracia, powtarzam: tylko bez gorliwości, bez wrzawy, bez zbytku nawet w dowcipach, wesołości i igraszce słów. Słuchajcie mię, mam roztropność Amphiarausa i łysinę Cezara. Trzeba się ograniczać nawet w rebusach. *Est modus in rebus.* Nawet w obiadach potrzebne jest umiarkowanie. Panie lubicie paszteciki z jabłkami, nie nadużywajcież. Nawet w jedzeniu pasztecików potrzebna jest sztuka i zdrowy rozsądek. Obżarstwo każe żarłoka. *Gula punit gulax.* Pan Bóg polecił niestrawności prawić morały żołądkowi. I zapamiętajcie dobrze: każda z namiętności naszych, nawet miłość ma żołądek, którego przeładowywać nie trzeba. W każdej rzeczy należy zawczasu napisać słówko *finis*, trzeba się powściągać, gdy to się staje koniecznem, zamknąć na klucz swój apetyt, wpakować do kozy fantazje i samemu stanąć na warcie. Mądrym jest ten, kto umie we właściwym czasie sam się aresztować. Miejcie

do mnie nieco zaufania. Ponieważ słuchałem trochę kursu prawa, o czem świadczą moje egzaminy, ponieważ znam różnicę między sprawą odsądzoną i sprawą w zawieszeniu, ponieważ po łacinie broniłem tezy o sposobie używania tortury w Rzymie za czasów, gdy Munacjusz Demens był kwestarzem ojcobójstwa, ponieważ jak się zdaje, zostanę doktorem, panowie, nie idzie koniecznie za tem, żebym był kompletnym osłem. Zalecam wam umiarkowanie w żądzach. Jakem Feliks Tolomyes, mówię dobrze. Szczęśliwy ten, co, gdy wybije godzina, czyni heroiczne postanowienie i abdykuje, jak Sylla, lub Orygynes!

Favouryta słuchała z głęboką uwagą.

— Feliks!—zawołała — śliczne imię! Lubię je; to po łacinie znaczy Prosper.

Tolomyes prawił dalej:

— Quirites, gentlemen, caballeros, przyjaciele! chcecież nie czuć żadnego bodzenia, obejść się bez Hymenu i stawić czoło miłości? Nic prostszego. Oto recepta: limonada, ćwiczenia męczące, praca usilna; przepasujcie biodra, pracujcie, dźwigajcie kloce, nie śpijcie, czuwajcie i pijcie bez miary wodę selcerską i rumianek; delektujcie się ulepkami z maku i wierzby, przyprawcie to surową dyjetą, zdychajcie z głodu, i dołączcie zimne kąpiele, przepaski z ziół, i wcierania z octu i wody.

— Wolę kobietę—rzekł Listolier.

— Kobietę! — odparł Tolomyes: nie ufaj jej nigdy. Biada temu, co się powierza zmiennemu sercu niewiasty. Kobieta jest przewrotną, podstępną. Nienawidzi węża przez współzawodnictwo. Wąż, to sklep naprzeciwko.

— Tolomyes—zawołał Blachevelle — upiłeś się.

— Chciałbym!—rzekł Tolomyes.

— Więc bądź wesół — dodał Blachevelle.

— Zgoda—odpowiedział Tolomyes.

I nalawszy szklankę, powstał:

— Cześć i chwała winu! *Nunc te Bacche, canam!* Przepraszam panienki, to po hiszpańsku. Oto dowód senoras: Jaki lud, taka beczka. Arrob Kastylski zawiera

szesnaście kwart; cantaro Alicante dwanaście, almad wysp Kanaryjskich dwadzieścia pięć, antał Balearski dwadzieścia sześć! Panie, przyjmcie radę przyjacielską: pomylcie się w sąsiadach, jeśli łaska. Błąd jest charakterem miłości. Miłość nie na to stworzona, żeby skurczona w jednem miejscu zgłupiała, jak służąca angielska, mająca odciski na kolanach. Nie na to stworzona; błądzi wesoło słodka miłość! Powiadają: błądzić—rzecz ludzka; ja mówię: błądzić — rzecz miłości. Panie, ubóstwiam was wszystkie. O Zefino, Józefino, milutka twarzyczko, byłabyś jeszcze piękniejszą, gdybyś się ku mnie obróciła. Favouryto! O nimfy i muzy! w dniu, gdy Blachevelle przechodził rynsztok ulicy Guerin Boisseau, ujrzał piękną dziewczynę w białych pończoszkach, pokazującą łydki. Ten wstęp mu się podobał i Blachevelle pokochał. Pokochał Favourytę. O Favouryto, masz usta jońskie. Był malarz grecki Euphorion, którego możnaby nazwać malarzem ust. Posłuchaj. Przy tobie, niemasz kobiety godnej nosić to nazwisko. Stworzoną jesteś albo do otrzymania jabłka Wenery, lub do zjedzenia jabłka Ewy. Od ciebie zaczyna się piękność. Wspomniałem o Ewie, ty ją stworzyłaś. Tobie się należy patent wynalazku ładnej kobiety. O Favouryto, przestaję ci mówić ty, bo od poezji wracam do prozy. Przed chwilą mówiłaś pani o mojem imieniu. To mnie rozczuliło, ale nie ufajmy imionom. Ja naprzykład mam na imię Feliks, a nie jestem szczęśliwy. Wyrazy kłamią. Nie bierzmy na ślepo ich znaczenia. Mis-Dahlja, będąc na pani miejscu, obrałbym imię Róża. Kwiat powinien mieć miły zapach, a kobieta dowcip. O Fantinie nic nie mówię, to marzycielka, zawsze zamyślona i okrutnie czuła, istne widmo z postacią nimfy i wstydem zakonnicy. Podszyła się pod gryzetkę, ale zawsze żyje w złudzeniach, śpiewa, modli się, szuka sama nie wie czego na niebie i utkwiwszy oczy w obłokach, błądzi po ogrodach, w których więcej jest ptaków, niż na świecie całym! O Fantino, wiedz o tem: ja

Tolomyes, jestem złudzeniem, ale ona nic nie słyszy, jasna córa marzeń! Zresztą wszystko w niej jest świeżością, słodyczą, młodością, łagodnem światłem poranku. O Fantino, godna imienia Małgorzaty lub Perły, jesteś kobietą najpiękniejszego wschodu. Panie dobrodziejki, druga rada: nie wychodźcie nigdy za mąż; małżeństwo to ospa szczepiona, przyjmuje się dobrze lub źle: unikajcie jej panie. Ale ba! także się wybrałem! Słowa na wiatr rzucone. Nigdy nie uleczysz dziewcząt z choroby na żeniaczkę: praw im najmądrzejsze rzeczy, zawsze szwaczki marzyć będą o mężach z nabitą szkatułą. No, zgoda, zresztą; ale piękne panie, za wiele konsumujecie cukru. O kobiety! błąd to wielki nieustannie chrupać cukierki. Płci gryząca, piękne twe ząbki białe ubóstwiają cukier. Lecz posłuchajcie. Cukier — to sól. Każda sól wysusza. Cukier wysusza bardziej, niż wszelkie sole. Wysącza z żył krew płynną; ztąd zgęszczenia, potem stwardnienia krwi; wrzody w piersiach, i śmierć. Z tego też powodu diabetis prowadzi do suchot. Nie gryźcie więc cukru, a żyć będziecie! Wracam do mężczyzn: podbijajcie serca piękności. Wydzierajcie jedni drugim kochanki. W miłości niema przyjaciół. Gdziekolwiek jest ładna kobieta, tam walka się toczy. Niema pardonu, wojna na zabój! Ładna kobieta to *casus belli;* ładna kobieta, to występek, wołający pomsty. Wszystkich wielkich wojen dziejowych była powodem spódniczka. Kobieta jest prawem mężczyzny. Romulus porwał Sabinki, Wilhelm porwał Saksonki, Cezar porwał Rzymianki. Mężczyzna niekochany, jak sęp krąży nad cudzemi kochankami; co do mnie, wszystkim tym nieszczęśliwym wdowcom rzucam szczytną proklamację Bonapartego do armji włoskiej: „Żołnierze, brak wam wszystkiego. Znajdziecie to u nieprzyjaciela".

Tolomyes zamilkł na chwilę.

— Odpocznij Tolomyesie—rzekł Blachevelle.

Współcześnie Blachevelle, Listolier i Fameuil zaintonowali pieśń warsztatową, jedną z tych, co mają

rymy a żadnego sensu, co powstają w dymie fajczanym i z dymem ulatują. Szanowne grono tak odpowiedziało na mowę Tolomyesa:

Ojcowie indyki dali,
Pieniędzy ajentowi,
By górę Clermont-Grzmot
Zrobił papieżem na Ś-ty Jan.
Ale Clermont nie mógł zostać
Papieżem, bo nie był księdzem;
Więc ajent rozłoszczony
Oddać im musiał pieniądze.

Na takie wyzwanie ożył improwizatorski genjusz Tolomyesa; wypróżnił szklankę, znowu napełnił, i zaczął:

— Precz z mądrością! zapomnijcie o wszystkiem, com mówił. Nie bądźmy ani skromnisie, ani roztropni, ani poważni. Piję zdrowie wesołości: bądźmy weseli! Dokończmy kursu prawa szałem i obfitem jedzeniem. Niestrawność i Digesta. Niech Justynjan będzie panem młodym, a hulanka jego połowicą! Żyj, o stworzenie! Świat jest wielkim djamentem. Jestem szczęśliwy. Ptaki zdumiewają! Jaka uczta wszędzie! Słowik daje koncert gratis. Witaj lato! O Luxenburg! O Georgiki ulicy Madame, o Aleje Obserwatorjum! O gapie marzycielu! o poczciwe śliczne dzieweczki, co niańcząc dzieci, bawicie się wyrabianiem ich próbek! Błonia Ameryki są piękne, lecz wolę arkady Odeonu. Dusza moja ulatuje do lasów dziewiczych i na stepy amerykańskie. Wszystko jest piękne. Muchy brzęczą w promieniach słońca. Słońce, kichnąwszy, wydało kolibry. Uściskaj mnie, Fantino!

Omylił się i pocałował Favourytę.

VIII.

Śmierć konia.

— Lepsze są obiady u Edona niż u Bombardy — zawołała Zefina.

— Wolę Bombardę niż Edona — oświadczył Blachevelle. U niego przepych większy, prawdziwie azjatycki. Przypatrz się sali na dole. Na ścianach zwierciadła. Spójrz na noże. U Bombardy rączki są srebrne, a u Edona kościane. Przecież srebro droższe jest od kości.

— Tolomyes — zawołał Fameuil — Listolier i ja mieliśmy w tej chwili dysputę.

— Dobra rzecz dysputa—odpowiedział Tolomyes—kłótnia jeszcze lepsza.

— Rozprawialiśmy o filozofji.

— I owszem.

— Kogo wolisz, Dekarta czy Spinozę?

— Wolę Desaugiera—rzekł Tolomyes.

Po takim wyroku wychylił kieliszek i dodał:

— Zgadzam się żyć. Nie wszystko się kończy na ziemi, kiedy jeszcze można bredzić od rzeczy. Składam za to dzięki bogom nieśmiertelnym. Można twierdzić, ale i powątpiewać. Z sylogizmu tryska niespodzianka. To piękne. Są jeszcze na świecie ludzie, umiejący otworzyć i zamknąć puszkę niespodzianek i paradoksów. To, co w tej chwili pijecie panie, jest

wino Madera, moszcz, wyciśnięty w Coural des Freiras, wzniesionym trzysta siedemnaście sążni nad poziom morza. Baczność w piciu! trzysta siedemnaście sążni! a pan Bombarda, dostojny restaurator, daje nam trzysta siedemnaście sążni za cztery franki i pięćdziesiąt centymów! Cześć Bombardzie! Dorównałby Munofisowi z Elefonty, gdyby mógł dostarczyć mi almeę i Tygeljonowi z Cheronei, gdyby mi przyniósł heterę! Albowiem, moje panie, byli Bombardy w Grecji i Egipcie. Tak uczy Apuleusz. Niestety! zawsze toż samo i nic nowego. Niemasz niewydatnego rękopismu w stworzeniu Stwórcy! *Nit sub sole novum*—powiedział Salomon; *amor omnibus idem*—mawiał Wirgiljusz, i dziś student medycyny siada na czółno w Saint Cloud ze swoją bogdanką, podobnie jak niegdyś Aspazja z Peryklesem wsiadała na flotę w Samos. Jeszcze słówko. Czy wiecie, panie, kto była Aspazja? Chociaż żyła w czasach, gdy kobiety nie miały jeszcze duszy, była przecież duszą, duszą ognistą, złożoną z róż i purpury, gorętszą od ognia, świeższą od jutrzenki. W Aspazji stykały się dwie ostateczności kobiety; była nierządnicą—boginią. Razem Sokrates i Manon Lescaut. Aspazja stworzoną była na przypadek, gdyby Prometeuszowi potrzebną była ladacznica.

Nie wiemy, jak długo prawiłby Tolomyes, gdyby w tej chwili nie padł koń na bulwarze. Wóz i mówca zatrzymali się w biegu. Była to klacz stara, chuda, godna rakarza, ciągnąca wóz przeładowany. Doszedłszy przed dom Bombardy, szkapa zmęczona, silnie robiąc bokami, nie chciała iść dalej. Zbiegł się tłum ciekawych. Kiedy woźnica, klnąc, zaciął ją biczem, biedna kobyła padła i już się nie podniosła. Na krzyk przechodniów odwrócili głowy weseli słuchacze Tolomyesa.

— Biedny koń—westchnęła Fantina.

A Dahlja zawołała:

— Patrzajcie! Fantina płacze nad losem koni. Możeż być co głupszego?

W tej chwili Favouryta, założywszy ręce, zmierzyła wzrokiem Tolomyesa i zapytała stanowczo:

— A cóż, niespodzianka?

— W sam czas pani przypomniałaś—odpowiedział Tolomyes. — Panowie, wybiła godzina zdumienia pań naszych. Poczekajcie panie chwilę.

— Zaczniemy od pocałunku — rzekł Blachevelle.

— W czoło—dodał Tolomyes.

Każdy poważnie złożył pocałunek na czole swej kochanki, i jeden za drugim szli ku drzwiom, położywszy palec na ustach.

Favouryta klasnęła w ręce, gdy wyszli.

— Już to jest zabawne—rzekła.

— Nie bawcie długo — szepnęła Fantina. — Czekamy.

IX.

Wesoły koniec uciechy.

Dziewczęta zostawszy same, po dwie stanęły w oknach i oparłszy się łokciami o framugi gwarzyły.

Widziały, jak młodzi ludzie wychodzili z restauracji, trzymając się pod ręce; obrócili się, skinęli głową śmiejąc, i znikli w kurzawie i tłoku, co niedziela zapełniającym Pola Elizejskie.

— Nie bawcie długo, — wołała Fantina?

— Ciekawam, co nam przyniosą?—spytała Zefina.

— Niezawodnie co pięknego, — rzekła Dahlja.

— Ja, — wtrąciła Favouryta, — chciałabym coś ze szczerego złota.

Wkrótce ruch nad wodą zajął ich całą uwagę. O tej godzinie odjeżdżały poczty i dyliżanse. Prawie wszystkie wozy pocztowe z południa i zachodu przejeżdżały wówczas przez Pola Elizejskie. Większa ich liczba ciągnąc bulwarem, wyjeżdżała przez rogatki Passy. Co chwila ogromny powóz malowany na czarno i zielono, ciężko wyładowany walizami i tłomokami, pełen głów wyglądających z okienek, pędził z turkotem po drodze żwirowej. Ten turkot bawił dziewczęta. Favouryta zawołała:

— Co za harmider! jakby ciągniono kupy łańcuchów żelaznych.

Zdarzyło się, że jeden z powozów, który z trudnością dojrzeć było można przez rozłożyste gałęzie klonów, zatrzymał się na chwilę, potem popędził cwałem. Zdziwiło to Fantinę.

— Rzecz osobliwsza!—rzekła. Nie wiedziałam, że dyliżanse zatrzymują się kiedy.

Favouryta wzruszyła ramionami.

— Ta Fantina jest zabawna. Najprostsza rzecz ją dziwi. Przypuśćmy, jestem podróżnym; mówię do konduktora: pójdę pieszo naprzód, przejeżdżając, zabierzesz mię pan z bulwaru. Dyliżans jedzie, konduktor mię spostrzega, zatrzymuje się, i zabiera. To się codziennie przytrafia. Nie znasz życia, moja droga.

Upłynęło chwil kilka, nagle Favouryta jak ze snu zbudzona zawołała:

— Cóż, a nasza niespodzianka?

— To prawda — dodała Dahlja — sławna niespodzianka?

— Tak ich długo nie widać! — rzekła Fantina.

Ledwie Fantina tych słów domówiła, wszedł chłopiec, który posługiwał do stołu. Trzymał w ręku coś podobnego do listu.

— Co to jest? — zapytała Favouryta.

Chłopiec odpowiedział:

— Ten papier panowie zostawili dla pań.

— Czemużeś go zaraz nie przyniósł?

— Bo panowie — odrzekł chłopiec — kazali oddać paniom po upływie godziny.

Favouryta wyrwała papier z rąk chłopca. Był to list w istocie.

— Patrzajcie! — rzekła — bez adresu. Ale oto co napisane u góry:

To jest niespodzianka.

Żywo rozpieczętowała list, otworzyła i czytała (umiała czytać):

„O nasze kochanki!

Wiedzcie, że mamy rodziców. Co są rodzice, o tem nie wiele wiecie. Tak nazywają się ojcowie i matki w kodeksie przyzwoitości i grzeczności dla użytku dzieci. Otóż ci rodzice szlochają, ci staruszkowie wzywają do siebie; poczciwe te i dobre kobieciny zwią nas marnotrawnemi synami, pragną powrotu i obiecują zabić tłuste cielę na nasze przyjęcie. Czmychamy z pola, jak powiedział Bossuet. Odjeżdżamy, odjechaliśmy. Uciekamy w objęciach Lafitta, na skrzydłach Caillarda. Dyliżans do Taluzy wyrywa nas z przepaści, tą przepaścią wy jesteście, piękne małe! Wracamy do towarzystw przyzwoitych, do obowiązków i porządku, wracamy dobrym kłusem, w stosunku trzech mil na godzinę. Ojczyźnie wiele na tem zależy, abyśmy jak wszyscy, byli prefektami, ojcami rodzin, gospodarzami wiejskiemi i radcami stanu. Bądźcie ze czcią dla nas. Czynimy ofiarę. Opłaczcie nas prędko i żywo szukajcie zastępców. Jeśli ten list was smuci, oddajcie go przyszłym kochankom. Bywajcie zdrowe.

Blizko dwa lata byliśmy waszem szczęściem. Nie miejcież nam tego za złe.

Podpisano: *Blachevelle.*
Fameuil.
Listolier.
Feliks Tolomyes.

Post scriptum. „Obiad zapłacony."

Cztery dziewczyny spojrzały na siebie.

Favouryta pierwsza przerwała milczenie:

— Ha! — zawołała — zawsze to dobra farsa.

— Wcale pocieszna — rzekła Zefina.

— Pewnie to Blachevelle wpadł na ten koncept, mówiła Favouryta. Kocham go za to. Odjechał, i po miłości. Historja skończona.

— Nie—rzekła Dahlja—to pomysł Tolomyesa. Łatwo poznać.

— W takim razie — odparła Favouryta — niech licho weźmie Blachevella, niech żyje Tolomyes!

— Wiwat Tolomyes!—zawołały Dahlja i Zefina.

I parsknęły śmiechem.

Fantina śmiała się z drugiemi.

W godzinę później, gdy wróciła do swego pokoju, zapłakała. Była to pierwsza miłość, oddała się Tolomyesowi jak mężowi, — biedna dziewczyna miała dziecię.

KSIĘGA CZWARTA

POWIERZYĆ—TO ODDAĆ NA PASTWĘ.

I.

Dwie matki.

W pierwszej ćwierci bieżącego stulecia była w Montfermeil pod Paryżem garkuchnia, dziś już nieistniejąca. Utrzymywali ją małżonkowie Thenardier przy ulicy Piekarskiej. Nad drzwiami widziałeś deskę przybitą gwoździami do muru. Na tej desce było wymalowane coś nakształt człowieka w grubych szlifach jeneralskich, wyzłacanych, z posrebrzanemi gwiazdami: czerwone plamy znaczyły krew; reszta obrazu przedstawiała dym i kurzawę, prawdopodobnie bitwę. U dołu czytałeś napis: *Pod sierżantem z pod Waterloo.*

Nic pospolitszego nad kary, lub wózek stojący przed austerją; ale wóz, zawalający ulicę przed garkuchnią sierżanta z pod Waterloo, podczas wiosennego wieczoru 1818 roku, niezawodnie zwróciłby uwagę przechodzącego tamtędy malarza.

Był to przodek jednego z tych ogromnych wozów, których używają w okolicach leśnych do przewożenia tarcic i kloców. Gruba oś żelazna na sworzniu, z ciężkim dyszlem, osadzoną była na ogromnych kołach; wszędzie: na kołach, dzwonach, piastach, osi i dyszlu leżała gęsta warstwa błota żółtawego koloru, jakim zwykle malują kościoły katedralne. Drzewo znikało pod błotem, a żelazo pod rdzą. Pod wozem wi-

siał gruby łańcuch, godzien Goliata galernika. Łańcuch ten przywodził na myśl nie belki i kloce, do których przenoszenia służył — ale przedpotopowych słoniów, którychby można zaprządz nim do wozu; wyglądał jak kajdany, ale nadludzkie, cyklopskie, zdjęte z potwornego olbrzyma. Homer związałby nim Polyfema, Shakspeare—Calibana.

Dlaczego ten przodek wozu stał w tem miejscu na ulicy? Najprzód, żeby ją zawalić; powtóre, żeby żelazo do reszty rdza zjadła. W starym porządku społecznym mnóstwo jest instytucji, które tak samo spotykasz w dzień biały na drodze, nie mającej innej przyczyny istnienia.

Środek łańcucha wisiał pod osią dość blisko ziemi, i na jego zgięciu, niby na linie huśtawki, siedziały tego wieczoru dwie dziewczynki, jedna półtrzecia roku, druga półtora mająca, ostatnia na ręku starszej. Chustka uczenie przywiązana chroniła je od upadku. Matka, zobaczywszy ten łańcuch okropny, powiedziała sobie: Oho! doskonała zabawka dla moich dzieci.

Dwie dziewczynki dość ładnie i z pewnem wyszukaniem odziane, jaśniały zdrowiem: rzekłbyś dwie róże wśród żelaztwa; oczy błyszczały szczęściem, świeże jagody się śmiały; jedna szatynka druga brunetka. Krzak niedaleko kwitnący słał przechodniom woń, zdającą się od nich wychodzić; półtoraroczna pokazywała obnażony brzuszek z niewinną nieprzyzwoitością drobnych dziatek. Po nad szczęśliwemi główkami i dokoła olbrzymi przód wozu, poczerniały od rdzy, straszny prawie, pełen brzydkich zgięć i kantów, tworzył jakby sklepienie pieczary. O kilka kroków siedziała na progu oberży matka, kobieta niebardzo powabna; ale w tej chwili miły przedstawiała obraz, huśtając dwoje dzieci z pomocą długiego sznurka, i z obawy jakiego przypadku, nieustannie mając wlepione w nie oczy, z tym wyrazem zwierzęcym, i niebieskim razem, który jest tylko matkom właściwy; za każdem poruszeniem szkaradny łańcuch wydawał brzęk przeraźli-

wy, podobny do wykrzyku gniewu; dziewczynki rozpływały się z radości; słońce zachodzące brało udział w tej uciesze. Trudno wyobrazić sobie coś wdzięczniejszego nad ten kaprys przypadkowy, co łańcuch tytanów przemienił w huśtawkę cherubinów.

Kołysząc małe, matka nuciła głosem fałszywym romans wówczas sławny:

Tak trzeba, rycerz rzekł z zapałem...

Zajęta śpiewaniem i patrzeniem na córki, nie widziała ani słyszała, co się działo na ulicy.

Tymczasem ktoś się do niej zbliżył, gdy rozpoczynała pierwszą strofę romansu, i nagle usłyszała głos blizko uszu:

— Masz pani dwoje ładnych dzieci.

... Do jasnowłosej Innocentyny;

odpowiedziała matka śpiewając dalej, potem obróciła głowę.

O kilka kroków przed nią stała kobieta. I ona miała dziecko, które trzymała na ręku.

Prócz tego niosła duży worek podróżny, jak się zdawało bardzo ciężki.

Dziecię tej kobiety było istnym aniołkiem. Była to dziewczynka, mogąca mieć dwa lub trzy lata. Mogła współzawodniczyć z dwoma innemi pięknością ubrania. Sukienka z cienkiego płótna, wstążki u kaftanika; czepeczek garnirowany. Podniesiona jej spódniczka dozwalała widzieć nóżki białe i kształtne. Miała prześliczne rumieńce i jaśniała zdrowiem. Ochota brała ukąsić brzoskwinie jej policzków. O oczach tyle tylko można było powiedzieć, że musiały być duże, i że miały pyszne rzęsy. Spała.

Spała snem zupełnego zaufania, właściwego jej wiekowi. Objęcia matek są pieszczotliwe i czułe; dzieci śpią w nich głęboko.

Co do matki, postać jej była biedną i smutną. Wyglądała na szwaczkę, która wkrótce stanie się wieśniaczką. Była młodą. Czy piękną? może; ale w tem ubraniu trudno było rozpoznać. Włosy znikały zupełnie w ciasnym, brzydkim czepku zawiązanym pod brodą; musiały być jednak gęste: kilka jasnych kosmyków wydobywało się z pod czepka. Śmiech pokazuje piękne zęby, ale kobieta nie śmiała się wcale. Oczy jej oddawna zdawały się nie być suche. Była bladą, znękaną, nieco chorą: patrzyła na córkę uśpioną na swem ręku, wzrokiem matki, która karmi własne dziecię. Szeroka chustka niebieska, w jaką ucierają nos inwalidzi, zarzucona na szyi, okrywała piersi i kibić. Ręce spalone, tu i owdzie z czerwonemi plamami, palec wskazujący stwardniały, pokłuty igłą: ciemna salopka z grubej wełny, suknia płócienna i grube trzewiki. Była to Fantina.

Była to Fantina, trudna do poznania. A jednak bacznie przypatrując się, dostrzegłbyś ślady dawnej piękności. Smutny fałd, niby zarobek ironji, marszczył jej prawy policzek. A toaleta? Ów powietrzny strój z muślinów i wstążek, z wesołości, szału, muzyki i woni, znikł niestety, jak owe szrony błyszczące brylantami na słońcu; stopniały szrony, została czarna gałęź.

Dziesięć miesięcy upłynęło od „dobrej farsy.“

Domyślacie się, co się działo przez te dziesięć miesięcy.

Po opuszczeniu brak i niedostatek. Fantina wkrótce zgubiła z oczu Favourytę, Zefinę i Dahlję; zerwany węzeł przez mężczyzn rozprzęgł się między kobietami. We dwa tygodnie później zdziwiłyby się wielce, gdyby im powiedziano, że były przyjaciółkami; do przyjaźni nie było już żadnego powodu. Fantina została sama. Gdy ojciec dziecięcia odjechał — niestety! takie zerwania są nieodwołalne — uczuła się zupełnie samotną, odwykłą trochę od pracy, przyzwyczajoną nieco do rozrywek. Zajęta Tolomyesem, zaniedbała stosunki, które jej dostarczały robotę: teraz zupeł-

nie się one zerwały. Żadnego środka do życia. Fantina umiała ledwie czytać i podpisać swoje imię; pisarz uliczny napisał list do Tolomyesa, jeden, drugi, trzeci. Tolomyes na żaden nie odpowiedział. Jednego razu Fantina usłyszała przekupki, mówiące o jej córce:—alboż kto bierze na serjo takie dzieci? na takie dzieci wzrusza się ramionami!—Pomyślała o Tolomyesie, który wzruszał ramionami na jej dziecię i nie brał na serjo tej niewinnej istoty; serce jej zamknęło się dla tego człowieka. Co począć jednakże? nie wiedziała, gdzie się obrócić. Popełniła błąd, ale tłem jej charakteru, jak sobie przypominacie, był wstyd i cnota. Przeczuwała niewyraźne, że ją czekają utrapienia, może nędza. Trzeba było męztwa do dźwigania ciężkiej doli: miała je. Przyszło jej na myśl wrócić do rodzinnego miasta M. nad M. Tam może ją kto pozna i da robotę; tak, ale trzeba ukryć swój błąd. Przewidywała już konieczność boleśniejszego niż pierwsze rozłączenia. Ścisnęło się serce, ale postanowienie jej było niezachwiane. Fantina jak zobaczymy, miała dziką odwagę życia. Już mężnie wyrzekła się strojów, ubrała się w płócienka, i wszystkie swe jedwabie, szmatki, wstążki i koronki włożyła na córkę; była to jedyna jej próżność, święta zaiste. Sprzedała wszystkie rzeczy za dwieście franków; po zapłaceniu małych długów, pozostało jej około ośmdziesięciu franków. Pięknego poranku wiosennego opuściła Paryż w dwudziestym drugim roku życia, unosząc dziecię na plecach. Możeby kto ulitował się, patrząc na te dwie istoty. Kobieta miała tylko to dziecię na tym świecie, a dziecko tylko tę kobietę. Fantina karmiła swą córkę; to zmęczyło jej piersi, i trochę kaszlała.

Nie zdarzy się już nam sposobność mówić o panu Feliksie Tolomyes. Powiemy więc tylko, że we dwadzieścia lat później, za króla Ludwika Filipa, był tłustym adwokatem na prowincji, wziętym i bogatym roztropnym wyborcą i bardzo surowym sędzią przysięgłym; do hulanek jednak zawsze pierwszym.

Kiedy niekiedy siadając na wózek, za opłatą kilku su na milę, Fantina około południa przybyła do Montfermeil na ulicę Piekarską.

Przechodząc około austerji Thenandierów, ujrzała dwie dziewczynki z rozkoszą bujające się na potwornej huśtawce, i mimowoli zatrzymała się na ten widok zachwycający.

Dwie dziewczynki rzuciły urok na biedną matkę.

Patrzyła na nie ze wzruszeniem. Obecność aniołów zwiastuje bliskość raju. Zdało jej się, że nad oberżą stoi napisane Opatrzne słówko *Tutaj*. Dwie dziewczynki tak były szczęśliwe! Zdziwiona, rozczulona ich widokiem, nie mogła się wstrzymać od wyrzeczenia, w chwili gdy ich matka umilkła wśród dwóch wierszy piosnki:

— Masz pani śliczne dzieci.

Najokrutniejszą kobietę rozbroi pieszczota jej dzieci.

Matka podniosła głowę, podziękowała, prosiła przechodzącą usiąść na ławce przy drzwiach, sama siedziała na progu i rozpoczęła się rozmowa.

— Nazywam się pani Thenardier—rzekła matka dwojga dzieci. Trzymamy tę austerją.

Potem, wracając do swego romansu, nuciła dalej:

Tak trzeba,—wojna mym udziałem,

Udaje się do Ziemi Świętej.

Ta pani Thenardier była to kobieta ruda, mięsista, koścista, istny typ markietanki w całej brzydocie. I dziwna rzecz, miała nadto coś przesadnego, dzięki czytaniu romansów. Mizdrzący się heród—baba. Takie skutki sprawiają stare romanse na wyobraźni karczmarek. Była jeszcze młodą, miała zaledwie lat trzydzieści. Gdyby się podniosła i Fantina ujrzała jej wzrost ogromny i kolosalne kształty, możeby zlękła się, straciła zaufanie i cofnęła krok, o którym

zaraz powiemy. Niekiedy losy ludzkie zależą od tego, czy ktoś stoi lub siedzi.

Podróżna opowiedziała swą historję nieco zmienioną.

Że była robotnicą, że ją mąż odumarł, że w Paryżu zabrakło roboty, i że idzie szukać jej gdzieindziej, w swoich stronach; że dziś rano opuściła Paryż, pieszo; że niosąc dziecko i czując się znużoną, wsiadła na wózek jadący do Villemomble; że z Villemomble piechotą przyszła do Montfermeil; że jej mała szła trochę, ale nie wiele—to takie młode—i że trzeba było ją wziąść na ręce, bo aniołek usnął.

Tak mówiąc, namiętnie pocałowała córkę i obudziła. Dziecię otworzyło oczy, wielkie oczy niebieskie jak u matki, i patrzyło, na co? Na nic, na wszystko z tą miną, niekiedy surową, dziatek, będącą tajemnicą ich świetlanej niewinności w obec naszych cnot mrocznych. Rzekłbyś, czują się aniołami, a nas mają za ludzi. Później dziewczynka się rozśmiała i chociaż matka ją zatrzymywała, spuściła się na ziemię z tą nieposkromioną energją malca, chcącego biegać. Nagle spostrzegła dwie dziewczynki na huśtawce, zatrzymała się i otwarła usta zdumiona.

Matka Thenardier odwiązała córki, zsadziła je z huśtawki i rzekła:

— Bawcie się we troje.

W takim wieku znajomość łatwo się zabiera; po chwili małe Thenardier bawiły się z nowo przybyłą, kopiąc dołki w ziemi: rozkosz niewymowna.

Nowo przybyła była niezmiernie wesoła; dobroć matek wyraża się w wesołości ich drobiazgu; wzięła patyczek i jak łopatą energicznie jęła kopać dół wielki jak dla muchy. Robota grabarza staje się wesołą, gdy nią się zajmuje dziecię.

Dwie kobiety nie przestawały rozmawiać.

— Jak małej na imię? — zapytała matka Thenardier.

— Cozetta.

Cozetta, czytaj Eufrazja. Małej było na imię Eufrazja. Matka zdrobniła Eufrazję na Cozettę, wiedziona tym instynktem czułym i pieszczotliwym matek i ludu prostego, co przemienia Józefa w Pepitę, a Franciszkę w Silettę. Jest to rodzaj wyrazów pochodnych, nabawiający kłopotu uczonych etymologistów. Znaliśmy staruszkę, której udało się z Teodory zrobić Gnon.

— W jakim wieku?

— Ma trzeci rok.

— To jak moja starsza.

Tymczasem dziewczyny utworzywszy grupę, patrzyły w ziemię strwożone i uszczęśliwione zarazem; ujrzały dużego robaka, wychodzącego z ziemi: przerażało to je i wprawiało w zachwycenie.

Skłoniły ku sobie jaśniejące czoła! rzekłbyś trzy głowy w aureoli.

— Jak te dzieci prędko się zapoznają!—zawołała matka Thenardier; nie jedenby przysiągł, że trzy siostry.

Słowa te były iskrą, której zdawała się czekać druga matka. Schwyciła rękę Thenardier, spojrzała jej w oczy i rzekła:

— Nie wzięłabyś pani mego dziecka pod swoją opiekę?

Thenardier poruszyła się ze zdziwieniem, niewyrażającem ani zgody, ani odmowy.

Matka Cozetty mówiła dalej:

— Bo to widzisz pani, nie mogę z sobą zabierać córki. Robota nie pozwala. Z dzieckiem trudno znaleźć miejsce. W moich stronach tacy są śmieszni. Widocznie Pan Bóg mię natchnął, żebym tu się zatrzymała. Kiedym ujrzała pani dzieci takie ładne, schludne i szczęśliwe, pomyślałam sobie: Muszą mieć dobrą matkę. Będą jak trzy siostry. A zresztą niedługo powrócę. Cóż, weźmiesz pani moje dziecko na opiekę?

— Trzeba się namyśleć — rzekła Thenardier.

— Dam sześć franków miesięcznie.

Tu głos męzki zawołał z głębi garkuchni:

— Najmniej siedm franków i za sześć miesięcy z góry.

— Sześć razy siedm, czterdzieści dwa — rzekła Thenardier.

— Dam — powiedziała matka.

— Prócz tego piętnaście franków na pierwsze potrzeby — dodał głos męzki.

— Razem pięćdziesiąt siedm franków — rzekła pani Thenardier. I zanuciła:

Tak trzeba, rycerz rzekł z zapałem.

— Dam—rzekła matka —mam ośmdziesiąt franków. Pozostanie mi jeszcze trochę na podróż pieszą. Tam zarobię i gdy trochę uzbieram, powrócę po mego aniołka.

Odezwał się głos męzki:

— Czy mała ma wyprawę?

— To mój mąż — powiedziała Thenardier.

— Rozumie się, że ma wyprawę — biedne stworzenie. Poznałam, że to mąż pani. O, do tego piękną wyprawę! szaloną, wszystkiego tuzinami, i suknie jedwabne jak dama. Mam to wszystko w worku podróżnym.

— Trzeba je dać — odparł głos męzki.

— Oczywiście, że dam!—Byłoby dziwnem, żebym zostawiła córkę nagą!

Ukazała się twarz gospodarza.

— Więc zgoda — rzekł.

Dobito targu. Matka przepędziła noc w garkuchni, zostawiła dziecię, oddała pieniądze, wyjęła z worka wyprawę, i lżejsza nazajutrz rano puściła się w drogę. Takie rozstania odbywają się spokojnie, ale z rozpaczą w sercu.

Jedna z sąsiadek Thenardier spotkała tę matkę na drodze i wróciwszy mówiła:

— Widziałam tę kobietę na ulicy płaczącą: rozdzierający widok.

Gdy matka Cozetty odeszła, mąż rzekł do żony:

— Mam teraz czem zapłacić ratę sto dziesięć franków, której termin jutro przypada. Brakowało mi pięćdziesięciu franków. Czy wiesz, że miałbym pozew i komornika? Zrobiłaś doskonały interes z malcem.

— Anim się tego domyślała — rzekła żona.

II.

Pierwszy zarys dwóch figur podejrzanych.

Złapano myszkę dość mizerną; ale kot rad jest i z chudej myszy.

Co za jedni ci Thenardier?

Powiemy o nich teraz słów kilka; później uzupełnimy obraz.

Istoty te należały do owej klasy bękarciej, złożonej z chłopów dorobkowiczów i ludzi oświeceńszych spodlonych, klasy pośredniej między średnią i niższą, mającej narowy drugiej i wady pierwszej, bez szlachetnych natchnień robotnika i poczciwej rządności mieszczanina.

Natury karłowate: jeśli przypadkiem rozgrzeje je jaki ogień ponury, stają się potwornemi. Na dnie duszy kobiety leżały zarody bydlęcia, w duszy mężczyzny gotowy materjał na łajdaka. Oboje w najwyższym stopniu uzdolnieni do ohydnego postępu w kierunku złego. Są dusze-raki, które cofają się nieustannie ku ciemnościom, w życiu raczej pełzają wstecz niż kroczą naprzód; doświadczenie służy im na to, żeby stać się szpetniejszemi: codziennie gorsze, przesiąkają coraz czarniejszą podłością. Do takich dusz należeli ten człowiek i ta kobieta.

Szczególniej Thenardier przeraziłby fizjonomistę. Na pewnych ludzi dość jest spojrzeć, żeby poczuć ku

nim wstręt i nieufność; czujesz bowiem, że są łotry z obu krańców. Niespokojni po za sobą i groźni przed sobą. Jest w nich coś nieznanego. Nigdy nie ręczysz za to, co robili i za to, co zrobić mogą. Z jednego ich słówka, z jednego gestu domyślasz się posępnych tajników ich przeszłości i ciemnych tajemnic przyszłości.

Ten Thenardier gdyby mu dać wiarę, był żołnierzem, sierżantem, jak mawiał; prawdopodobnie odbył kompanję 1815 r. i jak się zdaje dał dowody waleczności. Później zobaczymy, ile jest w tem prawdy. Szyld jego karczmy wyobrażać miał jeden z jego czynów wojennych; wymalował go sam, bo umiał wszystkiego po trosze, a źle.

W owym czasie, dawny romans klasyczny, zrazu *Clelia*, potem *Lodoïsca*, zawsze szlachetny, ale coraz gminniejszy, spadając od panny Scudery do pani Brunon Malarme i od pani Lafayette do pani Barthelemy Hadot, rozpalał czułe dusze stróżek paryzkich, pustoszył nawet serca wiejskie. Pani Thenardier miała tyle właśnie ukształcenia, ile potrzeba było do czytania tego rodzaju książek. Karmiła się niemi, tracąc resztę słabego rozumu. Dawało jej to, gdy była młodą i później, minę myślącą przy mężu, hultaju ostatniej próby, niedouczonym łotrze, współcześnie chytrym i prostaku, który czytywał Pigault Lebruna i w stosunkach z kobietami był gburem w najwyższym stopniu. Żona jego, młodsza o jakie dwanaście lub piętnaście lat, gdy jej romantycznie rozpłakane włosy siwieć zaczęły, gdy z Pameli wyrosła Megera, stała się po prostu ogromnych rozmiarów złośnicą, smakującą w głupich romansach. Nie można bezkarnie czytać banialuków. Skutkiem tej lektury starszą córkę nazwała Fponiną, a młodszej już miała dać imię Gulnary, gdy jakiś romans Ducray-Duninila zrobił szczęśliwą dywersję i małej dostało się tylko imię Anzelma.

Zresztą mówiąc mimochodem, nie wszystko jest śmiesznem i powierzchownem w tej ciekawej epoce.

którą nazwaćby można anarchją imion chrzestnych. Obok romantycznego żywiołu, któryśmy wyżej wskazali, są symptomata społeczne. Dziś często spotkasz na wsi parobka, mającego na imię Artur, Alfred lub Alfons, i wice-hrabiego—jeśli są dziś wice hrabiowie—z imieniem Tomasz, Piotr lub Jakób. Ta wędrówka imion „eleganckich“ do chłopstwa, i wieśniaczych do arystokracji nie jest czem innem, jedno dążeniem ku równości. I tu jak we wszystkiem przemknął niepowstrzymany wiatr nowych idei. Pod pozorną niezgodnością tkwi rzecz wielka i głęboka:—Rewolucja francuzka.

III.

Skowronek.

Nie dosyć być złym, żeby się dobrze wiodło: garkuchnia upadała.

Dzięki pięćdziesięciu siedmiu frankom podróżnej, Thenardier uniknął pozwu i zadość uczynił zobowiązaniu. Następnego miesiąca także potrzebowali pieniędzy; kobieta udała się do Paryża i zastawiła w lombardzie wyprawę Cozetty za sześćdziesiąt franków. Gdy i tę sumę wydali, małżonkowie Thenardier zaczęli patrzeć na dziewczynkę, jak na dziecko wzięte z litości i stosownie z niem się obchodzili. Ponieważ nie było już wyprawy, odziewano ją w stare koszule i sukienki małych Thenardier, to jest w łachmany. Karmiono ją resztkami, pozostałemi po wszystkich, nieco lepiej od psa, trochę gorzej od kota. Zresztą pies i kot zwykle razem z nią jadały, pod stołem z jednakowej misy drewnianej.

Matka, która, jak później zobaczymy, osiadła w M. nad M., pisywała, a raczej kazała pisać listy co miesiąc, dowiadując się o swojej córce. Thenardier odpowiadali niezmiennie: Cozetta doskonale się chowa.

Po upływie pierwszych siedmiu miesięcu, matka wysłała siedem franków za siódmy miesiąc, nie przestając płacić jaknajregularniej. Przed końcem roku Thenardier rzekł: — Śliczną mi robi łaskę! Czy ona

myśli, że siedem franków nam wystarczy! — i napisał, żądając dwanaście franków. Matka, w którą wmawiano, że jej dziecię jest szczęśliwe, poddała się i przysłała dwanaście franków.

Są ludzie, co muszą i kochać i nienawidzieć. Matka Thenardier namiętnie kochała swe córki, więc nienawidziła obcą. Smutna rzecz pomyśleć, że miłość macierzyńska miewa szkaradne strony. Odrobinę miejsca, które Cozetta u nich zajmowała, zdawało się matce Thenadier, że zabiera jej dzieciom, że ujmuje powietrza, którem one oddychają. Jak wiele innych kobiet tego rodzaju, miała codziennie do rozporządzenia pewną dozę pieszczot i pewną dozę klątw i szturchańców. Gdyby nie było Cozetty, niezawodnie wszystko dostałoby się ubóstwianym córkom; obca wyświadczyła im usługę, ściągając na siebie razy. Córkom gospodarskim dostały się w udziale same pieszczoty. Za lada poruszeniem spadał na Cozettę grad srogich i niezasłużonych karceń. Biedna, słaba istota, nieustannie karana, łajana, potrącana, bita—patrząc na dwa inne stworzenia, opromienione szczęściem, jak mogła zrozumieć cokolwiek z tego świata i Boga!

Ponieważ matka Thenardier była złą dla Cozetty, więc Eponina i Anzelma także były złemi. Dzieci w tym wieku są drugą edycją matki, tylko w mniejszym formacie.

Upłynął rok, później drugi.

Mówiono we wsi:

— Jacy uczciwi ludzie ci Thenardier! Sami nie bogaci, a wychowują biedne dziecko, które im podrzucono!

Myślano, że matka zapomniała o swej Cozecie.

Tymczasem Thenardier, dowiedziawszy się jakąś podziemną drogą, że dziecię prawdopodobnie było nieprawe, i że matka nie mogła się przyznać do niego, zażądał piętnaście franków miesięcznie, powiadając, że „stworzenie rośnie i je dużo“, a grożąc, że je odeśle. „Czy ona myśli, żem głupiec!—zawołał;—ma tam jakieś

konszachty, a mnie każe niańczyć swego bębna. Musi dopłacić". Matka zapłaciła piętnaście franków.

Rok po roku dziecię rosło, a nędza jego także.

Dopóki Cozetta była małą, znosiła szturchańce za dwoje dzieci; gdy podrosła, to jest nie skończyła jeszcze lat pięciu, stała się służącą całego domu.

Pięć lat, powie kto, to nieprawdopodobne. Niestety, szczera prawda. Cierpienie społeczne zaczyna się już w tym wieku. Alboż nie czytaliśmy niedawno o procesie Dumollarda, sieroty, co stał się rozbójnikiem, i od piątego roku życia, jak powiadają dokumenty urzędowe, sam jeden na świecie „pracował na swoje utrzymanie, i kradł".

Używano Cozettę do posyłek, kazano jej zamiatać izby, podwórko, ulicę, myć naczynia, nawet dźwigać ciężary, Małżonkowie Thenardier czuli się tembardziej upoważnieni do takiego postępowania, że matka, zawsze będąca w M. nad M., zaczynała źle płacić. Kilka miesięcy cierpieli niedostatek.

Gdyby ta matka wróciła po trzech latach do Montfermeil, doprawdy nie poznałaby swego dziecka. Cozetta tak ładna i świeża, gdy wchodziła do tego domu, teraz była chuda, blada, mizerna. W chodzie i całej postaci miała coś niespokojnego. Skryta!—mówili Thenardier.

Niesprawiedliwość uczyniła ją kłótliwą, a nędza brzydką. Pozostały jej tylko piękne duże oczy, na które przykro było patrzeć, tyle miały w sobie smutku.

Rozdzierający to był widok, jak w zimie, przed wschodem słońca biedne szościoletnie dziecię, drżąc pod płóciennemi łachmanami, zamiatało ulicę ogromną miotłą w posiniałych rączętach, ze łzą w dużych oczach.

We wsi przezwano ją skowronkiem. Lud, lubiący obrazowość, z upodobaniem dawał tę nazwę drobnej istocie, niewiele większej od ptaka, zawsze drżącej, wylękłej, najpierw budzonej w domu i wiosce, zawsze na ulicy lub w polu przed świtem.

Tylko biedny ten skowronek nigdy nie śpiewał.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TREŚĆ TOMU I.

Str.

PRZEDMOWA 5

Część pierwsza.
FANTINA.

KSIĘGA PIERWSZA.
Sprawiedliwy.

I Pan Myriel 11
II Pan Myriel zostaje monsignorem Benvenuto . . 15
III Dobremu biskupowi ciężkie biskupstwo . . . 21
IV Czyny zgodne ze słowami 24
V Monsinior Benvenuto za długo nosi swoje sutanny 33
VI Kto strzegł domu biskupa 37
VII Cravatte 43
VIII Filozofja po kieliszku 47
IX Siostra o bracie 52
X Biskup wobec nieznanej światłości 56
XI Zastrzeżenie 71
XII Samotność monsiniora Banvenuto 76
XIII W co wierzył 80
XIV Co myślał 85

KSIĘGA DRUGA.
Upadek.

I Wieczór po dniu wędrówki 91
II Mądrości radzi roztropność 104
III Heroizm biernego posłuszeństwa 109
IV Szczegóły o fabrykach serów w Pontarlier . . 116
V Spokojność 121

		Str.
VI	Jan Valjean	123
VII	Wnętrze rozpaczy	129
VIII	Fale i cienie	138
IX	Nowe krzywdy	141
X	Człowiek rozbudzony	143
XI	Co zrobił	147
XII	Biskup pracuje	151
XIII	Gerwazek	155

KSIĘGA TRZECIA.

W roku 1817.

I	Rok 1817	167
II	Kwartet podwójny	174
III	W cztery pary	179
IV	Tolomyes jest tak wesół, że śpiewa piosnkę hiszpańską	184
V	U Bombardy	187
VI	Rozdział, w którym się ubóstwiają	190
VII	Mądrość Tolomyesa	192
VIII	Smierć konia	198
IX	Wesoły koniec uciechy	201

KSIĘGA CZWARTA.

Powierzyć — to oddać na pastwę.

I	Dwie matki	207
II	Pierwszy zarys dwóch figur podejrzanych.	217
III	Skowronek	220

NĘDZNICY.

II.

Wiktor Hugo.

NĘDZNICY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

FANTINA.

II.

WARSZAWA.
Nakład Księgarni S. Bukowieckiego
Marszałkowska № 100.
1900.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Февраля 1899 года.

Б. 43.149

[illegible]

KSIĘGA PIĄTA

SPADEK

I.

Historja postępu w wyrabianiu szkieł czarnych.

Co się stało z tą matką, która jak mówili wieśniacy Montfermeil, porzuciła swe dziecię? gdzie się podziała? co czyniła?

Zostawiwszy małą Cozettę u Thenardierów, puściła się w dalszą drogę i przybyła do M.—nad M.

Było to, jak sobie przypominacie, w r. 1818.

Fantina od lat dziesięciu opuściła swoją prowincję. Miasto M.—nad M.—zmieniło postać. Kiedy Fantina zwolna wpadała w coraz głębszą nędzę, jej miasto rodzinne rosło w pomyślność.

Od dwóch blizko lat spełnił się tam jeden z ważnych faktów przemysłowych, będących wielkim wypadkiem w małych miasteczkach.

Szczegół ten wydaje nam się tak ważnym, że widzimy potrzebę go rozwinąć, rzekłbym prawie, podkreślić.

Od niepamiętnych czasów miasto M.—nad M.—trudniło się szczególniej, naśladowaniem gagatków angielskich i czarnych szkieł niemieckich. Przemysł ten nigdy nie mógł zakwitnąć, bo drogość materjałów oddziaływała na robotników. Kiedy Fantina powróciła do M.—nad M.—niesłychana zaszła zmiana w tej produkcji „artykułów czarnych.“ Pod koniec 1815 r. osiadł w mieście jakiś nieznajomy i wpadł na myśl

używania do tej fabrykacji gumelastyki, zamiast żywicy, a do bransoletek, kółek żelaznych poprostu zestawionych, zamiast kółek zlutowanych.

Ta mała zmiana była wielką rewolucją.

W istocie zmiana ta niezmiernie obniżyła cenę materjału, a skutkiem tego naprzód podniosła wartość roboty, co jest dobrodziejstwem dla kraju, powtóre polepszyła wyroby, co jest korzyścią dla kupujących, i po trzecie, pozwoliła taniej je sprzedawać, zarazem potrącając dochody fabrykanta.

Tak więc jedna myśl wydała trzy rezultaty.

W przeciągu trzech lat wynalazca został bogatym, co już jest dobrem; nadto zbogacił wszystkich go otaczających, co jest jeszcze lepszem. Był człowiekiem obcym. O jego pochodzeniu nic nie wiedziano, o początkach przyjścia do majątku bardzo mało.

Opowiadano, że gdy przyszedł do miasta, miał niewiele pieniędzy, najwięcej jakie kilkaset franków.

Z tego kapitaliku, użytego na urzeczywistnienie szczęśliwego pomysłu, przy rozumie i porządku przyszedł do majątku i zbogacił całą okolicę.

Kiedy przybył do M.—nad M.—z ubioru, postawy i mowy był prostym robotnikiem.

Zdaje się, że w dniu, w którym cichaczem wszedł do miasteczka M.—nad M.—z tłomoczkiem na plecach i kijem sękatym w ręku, wybuchł pożar w ratuszu. Człowiek ten rzucił się w ogień i z narażeniem życia ocalił dwoje dzieci kapitana żandarmerji; z tego powodu zapomniano zapytać go o paszport. Później dowiedziano się o jego nazwisku. Nazywał się *ojciec Madeleine*.

II.

Madeleine.

Człowiek ten miał lat około pięćdziesięciu, był zawsze zatrudniony, był dobry. Tyle tylko o nim można było powiedzieć.

Dzięki szybkiemu rozwojowi przemysłu, który tak zdumiewająco przekształcił, M.—nad M.—stało się ogniskiem ważnego handlu. Hiszpanja, zużywająca wiele czarnych gagatków, corocznie zakupywała je za znaczne summy. W tej gałęzi handlu miasteczko M.—nad M.—prawie współzawodniczyło z Londynem i Berlinem. Ojciec Madeleine już w drugim roku tyle na nim zyskał, że zbudować mógł wielką fabrykę z dwoma warsztatami: jednym dla mężczyzn, drugim dla kobiet. Ktokolwiek był głodnym, udawał się do niego, i był pewnym, że znajdzie zajęcie i chleb. Ojciec Madeleine żądał od mężczyzn ochoty do pracy, od kobiet czystości obyczajów, od wszystkich — uczciwości. Podzielił warsztaty, żeby kobiety i dziewczęta odłączone od mężczyzn, łatwiej cnotliwemi pozostać mogły. Na tym punkcie był nieugiętym, nieubłaganym prawie. Surowość tembardziej uzasadniona, że M.—nad M.—było miastem garnizonowem, ztąd częste sposobności do zepsucia. Zresztą przybycie jego było dobrodziejstwem, pobyt — opatrznością. Nim tu osiadł ojciec Madeleine, ubóstwo było ogólne; teraz wszystko tchnęło zdrowem

życiem pracy. Szybka cyrkulacja ogrzewała wszystko, przenikała. Nieznano braku pracy, nieznano nędzy. Nie znalazłeś tak ubogiego, żeby nie miał trochę grosza, ani tak biednego domu, w którymby nie było trochę wesela.

Ojciec Madleine zajmował wszystkie ręce, żądając tylko jednego: Bądź uczciwym człowiekiem! bądź cnotliwą dziewczyną!

Jakeśmy powiedzieli, wśród tej czynności, której był główną przyczyną i dźwignią, ojciec Madeleine dorobił się majątku, ale, rzecz dziwniejsza w prostym przemysłowcu, nie zdawał się uważać bogactwa za główny cel swego życia. Myślał wiele o drugich, a mało o sobie. W roku 1820 wiedziano, że złożył na swoje imię u Lafitta sześćkroć trzydzieści tysięcy franków; ale nim te sześćkroć zachował dla siebie, wydał więcej niż miljon na miasto i na biednych.

Szpital był źle uposażony; dał fundusz na dziesięć łóżek. M.—nad M. dzieli się na górne i dolne miasto. Dolna część, w której mieszkał, miała jedną tylko szkołę w nędznym walącym się domku; kazał wystawić dwie nowe szkoły: jedną dla dziewcząt, drugą dla chłopców. Z własnych funduszów wyznaczył dla dwóch nauczycieli dodatek dwa razy większy od lichej pensji rządowej i gdy ktoś dziwił się temu, rzekł: „Dwóch jest najważniejszych urzędników państwa: ochroniarka i bakałarz.“ Własnym kosztem założył ochronkę, wówczas prawie nieznaną we Francji, kasę wsparcia dla starych i chorych rzemieślników. Fabrykę miał w środku miasta: wkrótce około niej powstała nowa dzielnica, przez tysiąc ubogich rodzin zamieszkała: założył tam aptekę bezpłatną.

W początkach, patrząc na jego powodzenie, poczciwe dusze mówiły: to jakiś zuch, co chce się zbogacić. Gdy się przekonano, że wprzód zbogacił kraj niż siebie, też same dusze mówiły: to człek ambitny. Zdawało się to tem prawdopodobniejsze, że był religijny, a nawet zewnętrznie nabożny, co w owym czasie nadzwyczaj dobrze było uważanem. Co niedziela regularnie uczęszczał na

mszę czytaną. Pewien deputowany, wszędzie wietrzący współzawodników, zląkł się tej pobożności. Deputowany ten był członkiem ciała prawodawczego za cesarstwa i podzielał opinje religijne księdza zgromadzenia Oratorjanów, znanego pod nazwiskiem Fouché księcia Otranto, którego był kreaturą i przyjacielem. Przy drzwiach zamkniętych pocichu śmiał się z Pana Boga; ale gdy się dowiedział, że bogaty rękodzielnik Madeleine chodzi co niedziela o siódmej rano na mszę, przeczuł w nim kandydata i postanowił go prześcignąć: przyjął spowiednika jezuitę i bywał na sumie i nieszporach. W owym czasie ambicja polegała, mówiąc bez przesady, na wyścigach do dzwonnicy kościelnej. Pan Bóg i biedni skorzystali na tej trwodze, gdyż zacny deputowany dał także fundusz na dwa łóżka w szpitalu; było więc razem dwanaście.

Tymczasem w roku 1819 rozeszła się po mieście pogłoska, że na przedstawienie prefekta i ze względu na usługi krajowi świadczone, ojciec Madeleine mianowany zostanie merem miasta M.—nad M. Ci, co nazwali nowo przybyłego „ambitnym," skwapliwie pochwycili tę sposobność pożądaną i wołali: „A co! czyśmy nie mówili?" W całem też mieście o tem tylko gadano. Pogłoska była uzasadnioną. W kilka dni potem *Monitor* ogłosił nominację. Nazajutrz ojciec Madeleine odmówił.

Tegoż roku 1819 wyroby wynalazku Madeleina znajdowały się na wystawie przemysłowej; wskutek raportu sędziów przysięgłych, król mianował wynalazcę kawalerem legji honorowej. Znowu hałas w miasteczku. Aha! chciało mu się krzyża! Ojciec Madeleine nie przyjął orderu.

Oczywiście człowiek ten był zagadką. Poradziły sobie i na to poczciwe dusze, mówiąc: „Jakkolwiekbądź, to jakiś awanturnik."

Wiedziano, że kraj wiele mu był obowiązany, że ubodzy zawdzięczali mu wszystko, że był bardzo użytecznym: musiano go więc szanować, był zaś tak ła-

godnym i uprzejmym, że pokochano go w końcu; szczególniej czcili go robotnicy, a on przyjmował to uwielbienie z melancholijną powagą. Gdy się przekonano, że jest bogaty, osoby „wyższego towarzystwa“ kłaniały mu się na ulicy i nazywały panem Madeleine; ale robotnicy nie przestawali nazywać go *Ojcem Madeleine*, co jak się zdaje, większą sprawiało mu przyjemność. W miarę jak wznosił się, spadały nań zaproszenia: „Wyższe towarzystwo“ pragnęło go przyjąć do koła. Eleganckie salony miasteczka M.—nad M.— które ma się rozumieć byłyby się zamknęły w początku przed rzemieślnikiem, teraz otwierały się na rozcież dla miljonera. Robiono mu tysiące uprzedzających grzeczności. Odmówił.

I tym razem poczciwe dusze znalazły coś do zarzucenia. — To nieuk, prostak, bez wychowania. Nie wiadomo, zkąd to wyszło. Nie umiałby się znaleźć w świecie. Nie jest nawet pewnem, czy umie czytać.

Gdy widziano, że zarabia dużo pieniędzy, mówiono: to kupiec. Gdy widziano że je rozdaje — mówiono: ambitny. Gdy dowiedziano się, że nie przyjmuje urzędów i zaszczytów, mówiono: awanturnik. Nakoniec, gdy poznano, że stroni od świata, powiedziano: — to prostak, bez wychowania.

W roku 1820, w pięć lat po przybyciu do M.— nad M.—tak głośnemi się stały jego zasługi względem kraju, tak jednomyślnemi były życzenia całej okolicy, że król powtórnie mianował go merem miasta. I teraz odmówił, lecz prefekt się uparł, wszystkie znakomitości urzędowe przyszły go prosić, lud zaległ ulicę i błagał — niepodobna było dłużej się opierać. Zauważono, że do przyjęcia urzędu najwięcej go skłoniły gniewne słowa starej kobiety z gminu, która zawołała w progu swego domu: *Dobry mer jest człowiekiem użytecznym. Możnaż unikać sposobności czynienia dobrze.*

Była to trzecia faza jego wyniesienia. Ojciec Madeleine został panem Madeleine; pan Madeleine został panem merem.

III.

Sumy złożone u Lafitta.

Zresztą zawsze zachował tę samą prostotę. Włosy szpakowate, spojrzenie poważne, cera śniada i ogorzała robotnika, twarz myśląca filozofa. Zwykle nosił kapelusz z szerokiemi skrzydłami i długi surdut z grubego sukna, zapięty pod szyję. Sprawował urząd mera, ale po za obrębem obowiązków żył samotnie. Mało z kim rozmawiał. Unikał cudzych grzeczności, kłaniał się mijając spiesznie, uśmiechał, żeby nie rozmawiać, dawał, żeby nie uśmiechać. Kobiety mówiły o nim: poczciwiec dziki! Największą miał przyjemność przechadzać się w polu.

Jadał zawsze sam, z otwartą księgą, z której czytał. Miał biblioteczkę z wyborowych książek; książki są zimnymi, lecz pewnymi przyjaciołmi. Z pomnożeniem majątku miał więcej wolnego czasu, który poświęcał kształceniu swego umysłu. Od czasu jak był w M.—nad M.—zauważono, że z każdym rokiem mowa jego stawała się wytworniejszą, grzeczniejszą, łagodniejszą.

Chętnie brał na przechadzkę strzelbę, ale jej rzadko używał. Jeśli zdarzyło mu się strzelić, strzał jego był przerażająco celny, nieomylny. Nigdy nie zabił nieszkodliwego zwierza, ani strzelał do ptaszka.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Choć już nie młody, opowiadano, że miał zdumiewającą siłę: Nieraz dopomógł dźwignąć wielki ciężar, podnosił konia, wyrywał koło uwięzłe w kałuży, przytrzymywał za nogi uciekającego byka. Zawsze miał pełne kieszenie drobnej monety wychodząc, a próżne wracając. Gdy przechodził przez wioskę odarte dzieciaki biegły za nim wesoło, i otaczały niby chmara komarów.

Domyślano się, że kiedyś musiał żyć na wsi, znał bowiem tysiące użytecznych sekretów, których uczył wieśniaków. Uczył, jak się niszczą mole w zbożu, skrapiając spichrz i szczeliny desek solą kuchenną rozpuszczoną w wodzie; jak odganiać wołki, zawieszając wszędy na murach, dachach i wewnątrz domów bylicę kwitnącą. Miał przepisy na wytępienie w polu kąkolów, śniedzi, wyki i wszelkich roślin pasożytnych. Dla odstraszenia szczurów od królikarni, radził trzymać tam wieprzka, którego woni szczury niecierpią.

Pewnego dnia widział wieśniaków, zajętych wyrywaniem pokrzyw; spojrzał na stos tych roślin wyrwanych z korzenia i wyschłych, i rzekł: — To już nie żyje. A jednak byłoby dobrem, gdyby umiano się z tem obchodzić. Gdy pokrzywa jest młodą, z liści jej można mieć wyborną jarzynę; gdy zestarzeje, ma włókna jak len i konopie. Płótno z pokrzywy równie jest dobre, jak płótno z konopi. Posiekana pokrzywa dobrą jest dla ptactwa, stłuczona dla rogacizny. Ziarna pokrzywy zmięszane z obrokiem dają bydłu sierć połyskującą; korzeń zmięszany z solą wydaje kolor żółty. Zresztą jest doskonałe siano, które można kosić dwa razy. A czegóż potrzeba dla pokrzywy? Trochę ziemi, żadnej uprawy, żadnego starania. Tylko ziarno wypada zaraz po dojrzeniu i trudno je zebrać. Oto rzecz cała. Z odrobiną trudu możnaby zużytkować pokrzywę; zaniedbujemy ją i staje się szkodliwą. Wówczas ją zabijają. Jakże człowiek podobny jest do pokrzywy! — I dodał po chwili milczenia: przyja-

ciele, pamiętajcie dobrze: nie ma ani złych roślin, ani złych ludzi. Są tylko źli ogrodnicy.

Dzieci kochały go jeszcze i za to, że umiał wyrabiać liczne rzeczy ze słomy i z łupiny orzecha kokosowego.

Gdy zobaczył drzwi kościoła okryte kirem, wchodził: orszak żałobny przyciągał go, jak innych chrzciny. Czuł sympatję do wdowieństwa i nieszczęść; chętnie łączył się z przyjaciółmi w żałobie, z rodzinami czarno ubranemi, z kapłanami jęczącymi nad trumną. Zdawał się chętnie brać za przedmiot swych rozmyślań psalmy grobowe pełne zaświatowego widzenia. Z oczyma utkwionemi w niebo, jakby tęskniąc do tajemnic nieskończoności, słuchał smutnych głosów, śpiewających nad brzegiem ciemnej przepaści śmierci.

Mnóstwo dobrodziejstw świadczył potajemnie, z tą skrytością, z którą zwykliśmy źle czynić. Wchodził do domów wieczorem, ukradkiem. Cichaczem przebiegał schody. Jakiś biedak wróciwszy na swoje poddasze, znalazł drzwi otwarte, niekiedy wyważone w czasie jego nieobecności. Nieborak wołał: — Jakiś złoczyńca tu się zakradł! Wszedł i pierwsza rzecz, którą ujrzał, był złoty pieniądz, zostawiony na stole. Tym złoczyńcą był ojciec Madeleine.

Był uprzejmy i smutny. Lud mawiał: To mi człowiek! bogaty a nie dumny, szczęśliwy a ma smutną minę.

Niektórzy mieli go za figurę tajemniczą, i utrzymywali, że nikt nie ośmielił się wejść do jego pokoju, prawdziwej celki pustelnika, ozdobionej skrzydlatemi klepsydrami, krzyżami z piszczeli i trupiemi główkami. Tyle o tem mówiono, że kilka młodych trzpiotowatych elegantek z M.—nad M.—przyszły do niego prosząc: — Panie merze, chciej nam pokazać swój pokój. Powiadają, że to pieczara.—Uśmiechnął się, i natychmiast zaprowadził je do tej pieczary. Ciekawość srodze ukaraną została. Pokój był wcale porządnie umeblowany; kanapa, krzesła, stół i łóżko mahoniowe

dość brzydkie, jak wszystkie sprzęty tego rodzaju; ściany wyklejone papierem po dwanaście su łokieć; spostrzegły tylko dwa staroświeckie świeczniki na kominku, które zdawały się być srebrne „były bowiem stemplowane.“ Spostrzeżenie godne dowcipu małych miasteczek.

Niemniej jednak mówiono, że nikt nie wchodził do jego pokoju i że to była cela pustelnika, jaskinia, nora, grób.

Szeptano także, iż miał „ogromne“ sumy złożone u Lafitta, z dodatkiem, że zawsze były do jego bezpośredniego rozporządzenia, tak iż p. Madeleine mógł przyjść rano do Lafitta, podpisać kwit i w dziesięciu minutach zabrać swoje dwa czy trzy miljony. Rzeczywiście zaś, temi dwoma czy trzema miljonami było, jakeśmy powiedzieli, sześćkroć trzydzieści czy czterdzieści tysięcy franków,

IV.

Pan Madeleine w żałobie.

Na początku 1821 r. dzienniki doniosły o śmierci p. Myriel, biskupa w D., „zwanego *monsiniorem Benvenuto*“, który, powszechnie uważany za świętego, zgasł, przeżywszy lat osiemdziesiąt dwa.

Biskup D. — dodajemy tu szczegół, opuszczony w dziennikach—ociemniał na kilka lat przed śmiercią, i rad był swej ślepocie, bo była przy nim siostra.

Powiedzmy mimochodem, być ślepym i być kochanym, to w istocie na tej ziemi, gdzie nic nie ma zupełnego, jest jedną z najdziwniej wytwornych form szczęścia. Mieć zawsze przy boku kobietę, pannę, siostrę, miłą istotę, będącą przy tobie, bo jej potrzebujesz, bo bez ciebie obejść się nie może, czuć się nieodzownym dla tej, która nam jest koniecznie potrzebną, módz zawsze mierzyć jej przywiązanie długością czasu nam poświęconego, i mówić sobie: ponieważ oddaje mi wszystek swój czas, więc posiadam całe jej serce; widzieć myśl w braku twarzy: w ciemnościach świata sprawdzać wierne przywiązanie istoty kochanej, czuć dotknięcie szaty niby szmer skrzydeł anielskich, słyszeć jak wchodzi, wychodzi, wraca, mówi, śpiewa, i myśleć, że się jest środkowym punktem tego krzątania, tej mowy i tego śpiewu; wyrażać w każdej chwili przyciąganie ku sobie, czuć się tem potężniejszym, im się jest słabszym, stać się w cie-

mnościach i przez ociemnienie gwiazdą, ku której ciąży ten anioł, — zaiste mało jest szczęśliwości, któreby tej dorównały! Najwyższe szczęście życia, to przekonanie, że się jest kochanym, kochanym dla samego siebie, powiedzmy lepiej: kochanym pomimo siebie; to właśnie przekonanie miał ociemniały starzec. W tem kalectwie doznawać usług, to doznawać pieszczot. Brakłoż mu czego? Nie. Nie stracił wzroku, kto jest kochany. I jak kochany! miłością z samej cnoty złożoną. Nie masz ślepoty, gdzie jest pewność. Dusza po ciemku szuka duszy i znajdaje ją. Tą duszą znalezioną i wypróbowaną jest kobieta. Ręka cię wspiera, to jej ręka, usta dotykają twego czoła, to jej usta, słyszysz przy sobie oddech, to ona; wszystko mieć od niej, od czci najwyższej aż do politowania, nigdy nie być opuszczonym, mieć pomoc w istocie słabej ale kochającej, wspierać się na tej trzcinie niezachwianej, dotykać rękami Opatrzności i módz ją ująć w ramiona; Bóg przytomny, jakiż zachwyt! Serce, ten ciemny kwiat niebieski, rozwija się tajemniczo. O, tego cienia nie oddałbyś za całą jasność! Dusza anioła jest tu, tu nieustannie; jeżeli oddali się, to żeby wrócić; znika jak sen i wraca jak rzeczywistość. Po ciele czujesz, że się zbliża, otóż ona. Przepełniasz się pogodą, wesołością, zachwyceniem; promieniejesz w nocy. Dodaj tysiące starań; drobnostek ogromnych w tej próżni. Niewysłowione dźwięki głosu niewieściego, użyte dla ukołysania cię, zastępują ci znikłe wszechświaty. Pieszczą cię duszą. Niczego nie widzisz, ale się czujesz ubóstwionym. Jest to raj ciemności.

Z tego to raju monsinior Benvenuto przeszedł do drugiego.

Wiadomość o śmierci powtórzył miejscowy dziennik w M. — nad M. Pan Madeleine ukazał się nazajutrz cały czarno ubrany z krepą na kapeluszu.

Zauważono w mieście tę żałobę; nowe plotki. Zdawała się rzucać światło na pochodzenie pana Madeleine. Wniesiono, że był w jakiemś powinowactwie

z czcigodaym biskupem.—*Drapuje się za biskupa D.*— mówiono w salonach; podniosło to wielce znaczenie p. Madeleine w szlachetnych towarzystwach M. — nad M. Mikroskopijne przedmieście St. Germana, myślało już przerwać kwarantannę p. Madeleine, prawdopodobnego kuzyna biskupa. Spostrzegł to po ważnych ukłonach starych arystokratek i uśmiechach młodych. Pewnego wieczoru najpoważniejsza matrona wielkiego świata w małem miasteczku, ciekawa prawem starożytności rodu, ośmieliła się zadać mu pytanie: — Pan mer niezawodnie jest krewnym nieboszczyka biskupa w D?

— Nie, pani — odparł.

— Ależ—mówiła bogata wdowa —nosisz pan po nim żałobę.

— Bo w młodości służyłem za lokaja w ich rodzinie — odpowiedział.

Zauważono jeszcze, że ile razy wszedł do miasta młody sabaudczyk, obiegając okolicę, by czyścić kominy, pan mer przywoływał go do siebie, pytał o imię i dawał pieniędzy. Opowiadali to sobie mali sabaudczycy i wielu ich tędy przechodziło.

V.

Blade światełka na widnokręgu.

Powoli, z czasem, wszystka niechęć ustała. W początkach, smutnem prawem, któremu ulegają wszyscy wznoszący się w górę, miotano na p. Madeleine oszczerstwa i potwarze; później odzywano się o nim zawistnie, złośliwie, w końcu wszelka nieprzyjaźń zniknęła; szacunek stał się zupełny, jednomyślny, serdeczny i nastał czas pod koniec roku 1821, że te słowa: pan mer, wymawiano prawie tym samym tonem, jak roku 1815 w D. wyrazy: monsinior Benvenuto. Z okolic dziesięć mil odległych przybywano zasięgać rady p. Madeleine. Kończył spory, nie dopuszczał procesów, godził poważnionych. Każdy go obierał swoim sędzią polubownym. Zdawało się, że jego dusza była księgą prawa przyrodzonego. Jakaś zaraza czci i uszanowania w przeciągu sześciu czy siedmiu lat powoli rozpostarła się na całą okolicę.

Jeden tylko człowiek w mieście i w okręgu uniknął tej zarazy, i mimo najpiękniejszych postępków ojca Madeleine, uparcie pozostał jego przeciwnikiem, jak gdyby jakiś instynkt, niczem nie dający się zagłuszyć, budził go i niepokoił. Zdawałoby się w istocie, że w pewnych ludziach jest rzeczywisty instynkt, zwierzęcy, czysty, nieskażony, jak wszelki instynkt, z którego powstają sympatje i antypatje, który fatal-

nie dzieli jedną naturę od drugiej, który się nie zawaha, nie zmiesza, nie umilknie, nie oszuka nigdy, jasny w swej ciemności, nieomylny, rozkazujący, opierający się wszelkim radom rozumu, i jakkolwiek są koleje tajemne, przestrzegający człowieka-psa o obecności człowieka-kota, człowieka-lisa o obecności człowieka-lwa.

Często, gdy p. Madeleine przechodził ulicą, spokojny, serdeczny, otoczony błogosławieństwem wszystkich, zdarzało się, że mężczyzna słusznego wzrostu, w długim szarym surducie, z grubą trzciną w ręku, w kapeluszu naciśniętym na oczy, porywczo obrócił się za nim i dopóki nie zniknął wiódł go oczyma, ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, potrząsając głową, podnosząc obydwie wargi aż do nosa, jakby chciał powiedzieć: — Co to u licha za człowiek? Gdzieś go widziałem. W każdym razie nie dam się złapać.

Człowiek ten groźnej prawie powagi, był z liczby tych, co nawet z pierwszego spojrzenia zwracają uwagę fizjonomisty.

Nazywał się Javert, należał do policji.

W M.—nad M.—sprawował przykre ale użyteczne obowiązki inspektora. Nie był świadkiem początków powodzenia Madeleina. Posadę inspektora winien był protekcji p. Chabouillet, sekretarza ministra stanu hr. Angles, a wówczas prefekta policji w Paryżu. Kiedy Javert przybył do M.—nad M.—powodzenie wielkiego rękodzielnika było już ustalone i ojciec Madeleine stał się panem Madeleine.

Niektórzy urzędnicy policji mają fizjonomię odrębną, będącą mięszaniną powagi, jaką nadaje władza i uniżenie. Javert miał tę fizjonomję, ale bez wyrazu uniżoności.

W przekonaniu naszem, gdyby dusze były widzialne dla oczu, dostrzeżonoby rzecz dziwną: że każda jednostka rodzaju ludzkiego, ma coś odpowiedniego którejkolwiek jednostce z gatunku zwierząt; łatwo poznanoby prawdę zaledwie dostrzeganą przez myślicieli, iż począwszy od ostrygi do orła, od wieprza do

tygrysa, wszystkie zwierzęta są w człowieku i każden z nich w innym. Niekiedy nawet naraz kilku gatunków.

Zwierzęta nie są czem innem, jedno postaciami naszych cnót i wad, błądzącemi przed naszemi oczami, zewnętrznemi widziadłami dusz naszych. Bóg je ukazuje, by pobudzić nas do zastanowienia. Ale ponieważ zwierzęta są tylko cieniami, Bóg nie uczynił ich zdolnemi do wykształcenia, w pełnem znaczeniu tego słowa: bo i na cóż? Przeciwnie, ponieważ dusze nasze są rzeczywistościami z celem sobie właściwym, Bóg dał im rozum, to jest zdolność kształcenia się. Dobrze kierowane wychowanie społeczne zawsze i z każdej duszy wydobyć może cokolwiek jest w niej pożytecznego.

Rozumie się, mówimy to z ograniczonego stanowiska widomego życia ziemskiego, nie przesądzając głębokiej kwestji osobistości uprzedniej i późniejszej istot, które nie są człowiekiem. Jaźń widzialna w żadnym razie nie upoważnia myśliciela do zaprzeczenia jaźni ukrytej. To zastrzegłszy, idźmy dalej.

Jeżeli teraz przypuścimy na chwilę, że w każdym człowieku jest jakiś gatunek zwierzęcego stworzenia, łatwo nam przyjdzie skreślić charakter inspektora. Wieśniacy asturyjscy powiadają, że w każdym pomiocie wilczycy jest jeden pies, którego matka zabija, bo urosłszy, pożarłby inne szczenięta.

Dajcie oblicze ludzkie temu psu, synowi wilczycy, a mieć będziecie Javerta.

Javert urodził się w więzieniu z kabalarki, której mąż siedział na galerach. Podrosłszy pomyślał, że jest za obrębem społeczeństwa i wątpił, by kiedy do niego powrócił. Zauważył, że społeczeństwo nieodwołalnie odpycha dwie klasy ludzi: tych, co je napastują i tych, co je strzegą: miał więc tylko do wyboru między temi dwiema klasami; współcześnie czuł w sobie usposobienie do surowości, porządku i uczciwości, zmieszane z niewysłowioną nienawiścią ku klasie wyrzutków, do której sam należał. Obrał zawód policjanta. Po-

wiodło mu się i w czterdziestym roku życia został inspektorem.

W młodości służył w więzieniach południowych.

Nim dalej pójdziemy, porozumiejmy się co do wyrazu: oblicze ludzkie, przed chwilą zastosowanego do Javerta.

Oblicze ludzkie Javerta wyrażało się płaskim nosem z dwoma szerokiemi nozdrzami, ku którym zbliżały się na dwóch policzkach ogromne faworyty. Przykro się robiło, patrząc po raz pierwszy na te dwa lasy i te dwie pieczary. Kiedy Javert roześmiał się — śmiech to był rzadki i straszny: rozstępowały się wązkie jego usta, dając widzieć nietylko zęby, ale i dziąsła, około nosa robiły się fałdy płaskie i dzikie, jak na pysku dzikiego zwierza. Javert poważny był brytanem; gdy się śmiał — tygrysem. Zresztą nizkie czoło, wydatne szczęki; włosy, zasłaniając skronie, spadały na brwi; między brwiami wieczny zmarszczek, jak gwiazda gniewu, spojrzenie zamglone, usta zaciśnięte i straszne, mina groźna, rozkazująca, sroga.

Człowiek ten składał się z dwóch uczuć bardzo prostych i względnie bardzo dobrych, ale które przesadzając, prawie złemi uczynił: poszanowania władzy i nienawiści ku buntom. W jego oczach kradzież, zabójstwo i wszelkie występki były tylko odmianami buntu. Ślepo i głęboko wierzył sprawującym jakikolwiek urząd w państwie, od pierwszego ministra do strażnika polnego. Gardził, nienawidził, brzydził się wszystkiem, cokolwiek raz przeszło legalny próg złego. Był bezwzględny i wyjątków nie przypuszczał. Z jednej strony mówił:—urzędnik nie może się omylić, sędzia nigdy nie błądzi. Z drugiej strony utrzymywał: — Ci zaś nieodwołalnie są zgubieni. Nic dobrego nie wydadzą.

W zupełności podzielał opinje tych krańcowych umysłów, co przypisują prawu ludzkiemu niesłychaną władzę, lub jeśli wolicie, wynajdywania czartów, i mieszczą Styx w dolnych warstwach społeczeństwa.

Był stoicki, poważny, surowy, smutny marzyciel; pokorny i wyniosły jak fanatycy. Spojrzeniem jak świdrem ziębił i przeszywał. Całe jego życie zamykało się w dwóch słowach: czuwać i dozorować. Wytknąłby linję prostą w najkrzywszej rzeczy na świecie. Sumiennie był przekonany o swej użyteczności, czuł religijne poszanowanie dla swego urzędu. Biada temu, kto wpadł w jego ręce! Aresztowałby rodzonego ojca, uciekającego z galer; denuncjowałby matkę, gdyby umknęła z więzienia. I uczyniłby to z wewnętrznem zadowoleniem, jakie daje cnota. Dodaj do tego życie najskromniejsze, surową wstrzemięźliwość, samotność, zaparcie się, czystość obyczajów, żadnej rozrywki. Uosabiał nieubłagany obowiązek, policję pojętą tak jak Lacedemonie pojmowali Sparte, śledzenie niemiłosierne, dziką uczciwość: był szpiegiem-Katonem, Brutusem Vidocquiem.

Cała postać Javerta wyrażała człowieka, który śledzi i ukrywa się. Mistyczna szkoła Józefa de Maistre, która wówczas krasiła kosmogonją dzienniki ultra zwane, niechybnieby powiedziała, że Javert jest symbolem. Nie widziałeś jego czoła, znikającego pod kapeluszem; nie widziałeś jego oczów, zagłębionych pod brwiami, nie widziałeś jego brody, utkwionej w halsztuku, nie widziałeś jego rąk, ginących w długich rękawach, nie widziałeś jego kija, który nosił pod surdutem. Ale gdy sposobność się zdarzyła, nagle, jak z zasadzki wychodziło z tego cienia czoło wązkie i kanciaste, spojrzenie złowrogie, groźna broda, ogromne ręce i olbrzymia pałka.

W chwilach wypoczynku, rzadkich bardzo, czytał, chociaż nienawidził książek; nie był też zupełnie bez wykształcenia. Poznawałeś to z kilku górnych frazesów, któremi niekiedy zaprawiał swą mowę.

Powiedzieliśmy już, że nie miał żadnych nałogów, żadnych wad. Gdy był z siebie zadowolony, pozwalał sobie szczypty tabaki. Tem jednem stykał się z rodzajem ludzkim.

Łatwo pojmiemy, że Javert był postrachem całej klasy ludzi, których statystyka roczna ministerjum spra-

wiedliwości zamieszcza pod rubryką *Włóczęgi*. Ploszyło ich samo nazwisko Javerta; ujrzawszy jego oblicze, drętwieli.

Takim był ten straszny człowiek.

Javert ciągle miał na oku p. Madeleine. Gdy nań patrzył, w spojrzeniu malowała się podejrzliwość i mnóstwo domysłów. P. Madeleine spostrzegł to w końcu, ale nie zdawał się zwracać uwagi. Nie zadał żadnego zapytania Javertowi, nie szukał go, ani unikał, znosząc spokojnie ten wzrok badawczy ciążący ołowiem. Obchodził się z Javertem jak ze wszystkimi, swobodnie i z dobrocią.

Z kilku słówek, które się wyrwały Javertowi, domyślano się, że z ciekawością rasową, wiedziony zarówno instynktem jak wolą czynił tajemne poszukiwania śladów przeszłości p. Madeleine. Zdawał się wiedzieć i niekiedy mówił to półsłówkami, że ktoś zasięgał pewnych informacji z pewnej okolicy o pewnej znikłej rodzinie. Razu jednego powiedział do siebie: — Zdaje mi się, że go mam! Później trzy dni chodził zamyślony, słowa nie rzekłszy. Musiała urwać się nić, którą już trzymał w ręku.

Zresztą, — tu miejsce na konieczne sprostowanie zbyt bezwzględnego znaczenia, jakie mogą mieć pewne wyrazy. Nie masz nic istotnie nieomylnego w stworzeniu ludzkiem, i charakterem instynktu jest to właśnie, że go można zmięszać, wywieść w pole, oszukać. Inaczej instynkt byłby wyższym od rozumu, a zwierzę miałoby więcej światła od człowieka.

Oczywiście mięszała Javerta doskonała spokojność i naturalność p. Madeleina.

Jednego dnia wszakże dziwne jego obejście zrobiło pewne wrażenie na p. Madeleine. Jaki był powód, opowiemy zaraz.

VI.

Ojciec Fauchelevent.

Pan Madeleine przechodził jednego razu uliczką niebrukowaną miasteczka M. — nad M.—gdy usłyszał zdaleka krzyki gromady ludzi. Poszedł tam. Starzec nazwiskiem Fauchelevent wpadł pod wóz, u którego koń się potknął.

Ten Fauchelevent należał do rzadkich nieprzyjaciół, których miał jeszcze w owym czasie p. Madeleine. Kiedy Madeleine przybył w te strony, Fauchelevent, dawny pisarz, włościanin dość wykształcony, zajmował się handlem, ale źle mu się wieść zaczynało. Fauchelevent patrzył na bogacenie prostego robotnika, kiedy on, gospodarz, upadał. Obudziło to w nim zazdrość i przy każdej sposobności jak mógł, szkodził Madeleinowi. Starzec zrujnowany zupełnie, bezdzietny, mając tylko wóz i konia, najmował się teraz za woźnicę.

Koń złamał obydwie nogi i nie mógł się podnieść. Starzec leżał między kołami. Upadek był najnieszczęśliwszy; ciężar całego wozu spoczywał na jego piersiach; wóz był dość ciężko naładowany. Ojciec Fauchelevent jęczał okropnie. Probowano go wydobyć, ale daremnie; jedno niezręczne pociągnienie lub wstrząśnienie wozu, mogło go dobić. Jeden był tylko sposób wydobycia go: podnieść wóz z pod spodu. Javert, którego wypadek ten sprowadził, posłał po liwar.

Nadszedł p. Madeleine. Rozstąpiono się z uszanowaniem.

— Ratujcie! — wołał stary Fauchelevent. Nie znajdziesz się poczciwy chłopak, coby ocalił życie staremu?

P. Madeleine obrócił się do obecnych.

— Macie liwar?

— Posłano po niego—odpowiedział wieśniak.

— Jak prędko przyniosą?

— Poszedł jak najbliżej do kowala; zawsze jednak upłynie dobry kwadrans nim powróci.

— Kwadrans! — zawołał Madeleine.

Poprzedniego dnia padał deszcz, ziemia była błotnista, wóz co chwila się w niej zagłębiał i bardziej gniótł piersi starego woźnicy. Oczywistem było, że nim pięć minut upłynie, będzie miał żebra połamane.

— Niepodobna czekać kwadransu — rzekł Madeleine do wieśniaków, patrzących mu w oczy.

— Cóż robić?

— Ależ będzie już zapóźno! Nie widzicie, że wóz grzęźnie w ziemi?

— Do licha!

— Słuchajcie — mówił Madeleine — jest jeszcze dość miejsca pod wozem, może się wsunąć tam jeden człowiek i podnieść wóz plecami. Tylko pół minuty, a wyciągniecie biedaka. Nie znajdzież się między wami człowiek silny i odważny? Zarobi pięć złotych luidorów!

Nikt nie poruszył się z gromady.

— Dziesięć luidorów — rzekł pan Madeleine.

Obecni spuścili oczy. Jeden z nich szepnął:

— Trzeba być djabelnie mocnym. A przytem wóz na śmierć przygniecie!

— No! — namawiał Madeleine — dwadzieścia luidorów!

Znowu milczenie.

— Nie zbywa im na dobrej woli — odezwał się głos z tyłu.

P. Madeleime obrócił się i poznał Javerta. Nie spostrzegł go przychodząc.

Javert mówił dalej:

— Ale zbywa na mocy. Trzeba być strasznie silnym, żeby taki wóz podnieść na plecach.

Potem, utkwiwszy wzrok w p. Madeleine, mówił dalej, kładąc przycisk na każde słowo:

— Panie Madeleine, znałem jednego tylko człowieka, który zdolny był zrobić, co pan żądasz.

Madeleine zadrżał.

Javert dodał obojętnie, ale nie spuszczając oczu z Madeleina.

— Był to galernik.

— A! — rzekł Madeleine.

— W galerach Tulońskich.

Madeleine pobladł.

Tymczasem wóz zwolna zagłębiał się w ziemi. Ojciec Fauchelevent chrapał i wył:

— Duszę się! Żebra mi łamie! liwara! czegokolwiek! ach!

Madeleine spojrzał dokoła:

Nikt więc nie chce zarobić dwudziestu luidorów i ocalić życie biednemu starcowi?

Żaden z obecnych się nie ruszył. Javert powtórzył:

— Znałem tylko jednego człowieka, który mógł zastąpić liwar, był to galernik.

— Ach! gniecie mnie, zabija! — krzyczał starzec. Madeleine podniósł głowę, spotkał sokoli wzrok Javerta, zawsze w nim utkwiony, spojrzał na nieruchomych wieśniaków i uśmiechnął się smutnie. Potem, nie rzekłszy słowa, padł na kolana, i nim tłum osłupiały miał czas wykrzyknąć, był już pod wozem.

Nastała straszna chwila oczekiwania i ciszy.

Madeleine leżał krzyżem pod okropnym ciężarem i dwa razy napróżno usiłował zbliżyć łokcie i kolana. Wołano na niego: — Ojcze Madeleine! wyjdźcie z pod wozu! wyjdźcie! Sam stary Fauchelevent mówił: —

Panie Madeleine, wyłaź. Kiedy już mam umierać, niech sam umrę! Wóz zgniecie i pana! Madeleine nie odpowiadał.

Obecni zatrzymali oddech. Koła bardziej zagłębiły się w ziemi, zdawało się już niepodobieństwem, by Madelaine mógł wydobyć się z pod wozu.

Nagle poruszyła się ogromna masa, wóz podnosił się zwolna, koła na pół wyszły z kolei. Usłyszano głos stłumiony: spieszcie się! pomagajcie! Tak wołał Madeleine, czyniąc ostatnie wysilenie.

Rzucili się do wozu. Poświęcenie jednego dodało siły i odwagi wszystkim. Dwadzieścia ramion podniosły wóz. Stary Fauchelevent ocalał.

Madeleine się podniósł. Był jak trup blady, choć kroplisty pot spływał z jego czoła. Ubranie miał podarte, zabłocone. Wieśniacy płakali, starzec całował mu kolana, nazywając Panem Bogiem. On miał na twarzy jakiś nie do opisania wyraz szczęśliwego, niebiańskiego cierpienia i utkwił wzrok spokojny w Javerta, który nań patrzył nieustannie.

VII.

Fauchelevent zostaje ogrodnikiem w Paryżu.

Fauchelevent zwichnął kość kolanową w tym upadku. Ojciec Madeleine kazał go przynieść do infirmerji, którą urządził dla robotników w samym gmachu fabryki pod kierunkiem dwóch sióstr miłosierdzia. Nazajutrz rano starzec znalazł na swym stoliku bilet tysiącfrankowy i karteczkę z temi słowy, napisanemi ręką ojca Madeleine: *Kupuję od was konia i wóz.* Koń zdechł, wóz był potrzaskany. Fauchelevent wyzdrowiał, ale stawy kolana pozostały bezwładne. P. Madeleine przez rekomendację sióstr i swego proboszcza umieścił poczciwca jako ogrodnika w klasztorze kobiecym, na przedmieściu Ś-go Antoniego w Paryżu.

Wkrótce potem p. Madeleine został mianowany merem. Gdy Javert po raz pierwszy ujrzał p. Madeleine z przepaską, dającą mu wszelką władzę nad miastem, wstrząsnął go dreszcz, jak psa, który zwietrzy wilka pod odzieżą swego pana. Od tej cwili starannie go unikał. Gdy obowiązki służby koniecznie tego wymagały, gdy musiał osobiście stawić się u pana mera, mówił doń z najgłębszem uszanowaniem.

Pomyślność miasta M.—nad M.—dzieło ojca Madeleine, oprócz widomych oznak, któreśmy wyżej wskazali, wyrażała się jeszcze jednym symptomatem niewidzialnym wprawdzie, ale niemniej znaczącym.

Symptomat taki nie myli. Gdy ludność cierpi, gdy braknie pracy, gdy niema handlu, kontrybuent nie uiszcza podatku z biedy, zaległości rosną i państwo wydaje dużo pieniędzy na koszta przymusowego poboru. Gdy pracy jest pod dostatkiem, gdy kraj jest szczęśliwy i bogaty, podatek łatwo wpływa do kasy i mało kosztuje państwo. Rzec można, że nędzy i bogactwa publicznego są nieomylnym termometrem kosztа egzekucji podatkowej. W przeciągu lat siedmiu, w okręgu M. — nad M. — koszta egzekucji podatków zmniejszyły się o trzy czwarte; i z tego powodu p. de Villèle, ówczesny minister skarbu, często przytaczał ten okrąg M. — nad M. — jako wzorowy.

Taki był stan okolicy, gdy Fantina do niej wróciła. Nikt już nie przypomniał jej sobie. Szczęściem drzwi fabryki p. Madeleine były jak twarz przyjaciela. Poszła tam i została przyjętą do warsztatu kobiecego. Rzemiosło zupełnie nowe dla Fantiny, nie była dość zręczną, zarabiała więc niewiele; wystarczało to jednak i główne zadanie zostało rozwiązane: zapracowywała na życie.

VIII.

Pani Wikturnia wydaje trzydzieści franków na moralność.

Fantina ucieszyła się widząc, że może zapracować na utrzymanie dziecka i siebie. Żyć uczciwie z własnej pracy! co za łaska niebios! W istocie zasmakowała w pracy. Kupiła zwierciadło, ucieszona przyglądała się swej młodości, pięknym włosom, pięknym zębom, zapomniała o wszystkiem, myślała jedynie o swej Cozecie, o przyszłości i była szczęśliwą. Najęła mały pokoik i umeblowała na rachunek zarobku; pozostałość nawyknień przeszłości.

Nie mogąc powiedzieć, że była zamężną, unikała mowy o swej córce.

W początkach, jakeśmy widzieli, regularnie płaciła Thenardierom. Umiejąc tylko podpisać się, musiała do listów najmować pisarza publicznego.

Listy były częste i zauważono to w fabryce. W warsztacie kobiecym szeptano pocichu, że Fantina pisuje listy i ukrywa jakąś tajemnicę.

Nikt tak gorliwie nie szpieguje czynności ludzkich jak ci, których one wcale obchodzić nie powinny. Dla czego ten jegomość zawsze wraca o zmroku? dla-

czego we czwartek nie zostawia klucza u stróża? dlaczego obiera zawsze boczne ulice? dlaczego ta pani wysiada z fiakra, nie dojechawszy do domu? dlaczego posyła po papier listowy, kiedy go ma pełno w swem biórku? i t. d. i t. d. — Są istoty, które żeby rozwiązać te zagadki, najzupełniej dla nich obojętne, tracą więcej pieniędzy i czasu, niż potrzeba na dziesięć dobrych uczynków; i to bez żadnej korzyści, dla samej przyjemności: jedyną zapłatą jest zaspokojona ciekawość. Będą codziennie jak cień chodzić śladem tego jegomości, lub tej pani, po całych godzinach wartować na rogu ulicy, w alejach, w nocy, na deszczu i zimnie, przekupią posłańców, spoją dorożkarza i lokajów, ujmą sobie pokojówkę i stróża domu. Na co? Naprożno. Poprostu uwzięły się poznać, dowiedzieć, przeniknąć. Język je świerzbi, żeby wypaplać, co odkryją. I często te tajemnice poznane i rozgłoszone, te wyciągnione na jaw zagadki — pociągają za sobą katastrofy, pojedynki, bankructwa, ruinę rodzin, moralną śmierć wielu, ku wielkiej radości tych, co „wszystko odkryli“ bezinteresownie, wiedzeni tylko instynktem. Rzecz smutna.

Niektóre osoby są złe dlatego tylko, że czują potrzebę paplania. Ich rozmowy, gawędki salonowe, szepty w przedpokojach, są jak kominy, prędko zużywające drzewo; potrzebują dużo paliwa — tem paliwem jest bliźni.

Śledzono więc Fantinę.

Prócz tego niejedna zazdrościła jej pięknych blond włosów i białych zębów.

Spostrzeżono, że pracując z innymi w warsztacie, często odwracała głowę i łzy ocierała. Były to chwile, w których myślała o swem dziecku, a może i o mężczyźnie, którego kochała.

Ciężka to praca zrywanie węzłów, łączących ze smutną przeszłością.

Spostrzeżono, że pisywała najmniej dwa razy na miesiąc, zawsze pod jednym adresem i że frankowała

listy. Dostano adres: *Do pana Thenardier, oberżysty w Montfermeil.* Zaproszono do karczmy pisarza publicznego i wyciągano na słówka; stary poczciwiec nie mógł zalać żołądka czerwonem winem, żeby nie wypróżnić serca ze wszystkich tajników. Słowem dowiedziano się, że Fantina ma dziecko. „Musiało to być coś nakształt córki.“ Znalazła się kuma, która umyślnie pojechała do Montfermeil, mówiła z Thenardierami, i powróciwszy rzekła: trzydzieści pięć franków kosztowała mię ta sztuka, ale zrzuciłam kamień z serca. Widziałam dziecko!

Kuma, co zrobiła to odkrycie, była to jędza, zwana panią Wikturnią, stróżka i odźwierna cnoty całego świata. Pani Wikturnia miała lat pięćdziesiąt sześć i była bardziej brzydką niż starą. Głos drgający, głowa kaprysów pełna. Rzecz dziwna, ta baba była niegdyś młodą. W młodości, 1793 roku, zaślubiła mnicha, który zbiegł z klasztoru w czerwonej czapce, i z Bernardyna stał się Jakobinem. Sucha, szorstka, cierpka, kolczasta, ciernista, prawie jadowita, często przypominała sobie mnicha, po którym owdowiała i który jej dobrze przytarł rogów. Była to pokrzywa zgnieciona habitem. Podczas restauracji, została dewotką tak zapamiętałą, że księ a przebaczyli jej owego mnicha. Miała mająteczek, który z wielkim hałasem zapisała jakiemuś zgromadzeniu zakonnemu. Otóż ta pani Wikturnia jeździła do Montfermeil i powróciwszy rzekła: widziałam dziecko.

Wszystko to zajęło dużo czasu; Fantina od roku pracowała w fabryce, gdy jednego poranku dozorczyni warsztatu wręczyła jej od pana mera pięćdziesiąt franków oznajmiając, że już nie będzie pracować w fabryce, i imieniem pana mera wzywając, by opuściła miasto.

Właśnie w tym samym czasie Thenardierowie zażądali piętnaście franków zamiast dwunastu.

Fantina osłupiała. Nie mogła opuścić miasta, bo winna była za meble i komorne. Pięćdziesiąt fran-

ków nie wystarczałyby na pokrycie tego długu. Wybąkała kilka słów błagalnych. Dozorczyni oznajmiła, że natychmiast powinna wynieść się z fabryki. Zresztą Eantina była bardzo mierną robotnicą. Zgnębiona wstydem bardziej jeszcze niż rozpaczą, opuściła warsztat i wróciła do swej izby. Tak więc teraz wszyscy wiedzieli o jej błędzie.

Nie miała siły wyrzec ani słowa. Doradzono jej udać się do mera; nie śmiała. Mer dał jej pięćdziesiąt franków, bo był dobrym, i wygnał, bo był sprawiedliwym. Poddała się wyrokowi.

IX.

Powodzenie pani Wikturnji.

Wdowa po mnichu była więc na coś przydatna.

Zresztą p. Madeleine nic o tem wszystkiem nie wiedział. Podobnych kombinacji w wypadkach pełno jest w życiu ludzkiem. P. Madeleine miał zwyczaj nigdy prawie nie wchodzić do warsztatu kobiet.

Zarząd tego warsztatu powierzył starej pannie zaleconej mu przez proboszcza; pokładał w niej zupełne zaufanie, bo w rzeczy samej osoba ta była szanowną, sprawiedliwą, nieugiętą, prawą, pełną miłosierdzia, polegającego na dawaniu pomocy, ale nie mającą w równej mierze miłosierdzia, które polega na zrozumieniu słabości ludzkich i ich przebaczeniu. P. Madeleine we wszystkiem na nią się spuszczał. Nieraz najlepsi ludzie zmuszeni są składać swą władzę na innych. Takie mając pełnomocnictwo i przekonana, że dobrze czyni, nadzorczyni wytoczyła proces, osądziła, potępiła i zgubiła Fantinę.

Owe pięćdziesiąt franków dała z sumy, którą jej powierzył p. Madeleine na jałmużny i wsparcia dla robotników, z której też nie zdawała rachunku.

Fantina chciała się nająć na służbę; obeszła wszystkie domy. Nikt jej nie przyjął. Miasta opuścić nie mogła, bo jej zapowiedział tandeciarz, u którego wzięła na kredyt nędzne meble: jeżeli wyjedziesz

z miasta, każę cię aresztować jak złodziejkę. Właściciel domu, któremu winna była komorne, rzekł: jesteś młoda i ładna, możesz płacić. Podzieliła pięćdziesiąt franków między właściciela i tandeciarza, oddała mu prawie wszystkie meble, zatrzymawszy tylko łóżko, i znalazła się bez pracy, bez zajęcia, z długiem około dwustu franków.

Tymczasem stara kobieta, która jej zapalała świecę, gdy wracała wieczorem, uczyła jej sztuki życia w największym niedostatku. Można obywać się byle czem, można też żyć z niczego. Są to dwie izby; jedna ciemna, w drugiej — zupełna noc.

Fantina nauczyła się obywać bez ognia w zimie, wyrzec ptaka, który codziennie zjadał za szeląg prosa, ze spódnicy robić kołdrę i z kołdry spódnicę, oszczędzać świecę, jedząc wieczerzę przy oknie z przeciwka. Nie mamy wyobrażenia, co niektóre istoty słabe, postarzałe w nędzy i uczciwości, umieją wydobyć z jednego grosza. Oszczędność staje się talentem. Fantina nabyła ten talent szczytny i nabrała odwagi.

W owym czasie mówiła do jednej sąsiadki: — Ba! powiadam sobie: sypiając tylko pięć godzin, resztę czasu pracując, zawsze zarobię na kawałek chleba. Przytem, w smutku je się niewiele. Otóż cierpienia, niespokojność, trochę chleba i zmartwienia wyżywią mię dostatecznie.

W takim smutku byłoby dla niej wielkiem szczęściem mieć przy sobie córkę. Myślała, jakby ją sprowadzić. Ale co począć? maż biedne dziecię dzielić jej nędzę? a przytem zadłużyła się Thenardierom! czem dług zapłacić? a droga! za co ją odbyć?

Stara, co ją nauczyła żyć w niedostatku, była to poczciwa dziewczyna, imieniem Małgorzata, szczerze pobożna, biedna, miłosierna dla ubogich, nawet dla bogatych; umiała tylko podpisać swoje imię i wierzyła w Pana Boga; jest to już wielką nauką.

Podobne cnoty nie są rzadkie w najniższych war-

stwach społeczeństwa; z czasem przenikną do wyższych. Takie życie ma przed sobą przyszłość.

W pierwszych dniach po opuszczeniu fabryki Fantina wstydziła się pokazać na ulicy.

Gdy wyszła, odgadywała, że ludzie oglądają się za nią i pokazują palcami, wszyscy na nią patrzyli a nikt nie powitał; cierpka i zimna wzgarda przechodniów, jak mroźny wiatr przejmowała jej ciało i przenikała do duszy.

W małych miasteczkach, nieszczęśliwa kobieta zdaje się przechodzić obnażona przez rózgi szyderstw i ciekawości wszystkich. W Paryżu przynajmniej nikt cię nie zna, i to nieznanie stanowi twą odzież. O! jakżeby pragnęła wrócić do Paryża! Niepodobna.

Trzeba było oswoić się z tą wzgardą ogólną, jak już oswoiła się z nędzą. Zdobyła się na odwagę. Po dwóch czy trzech miesiącach zrzuciła wstyd fałszywy i zaczęła wychodzić, jakby nic się nie stało. — Wszystko mi jedno, mówiła.

Wychodziła i wracała z podniesioną głową i gorzkim uśmiechem na ustach; czuła, że się staje bezczelną.

Pani Wikturnia, widząc ją przechodzącą około swych okien, dostrzegła smutek „tego stworzenia," które z jej łaski utraciło miejsce, i szczerze powinszowała sobie. Źli ludzie mają złowrogie szczęście.

Nadmiar pracy męczył Fantinę i coraz częściej napadał ją suchy kaszel. Mówiła niekiedy do sąsiadki Małgorzaty:—Zobaczcie, jakie mam rozpalone ręce.

Czasami rano czesząc starym złamanym grzebieniem piękne i bujne jak rozpuszczony jedwab włosy, szczęśliwa uśmiechała się zalotnie.

X.

Dalszy ciąg powodzenia.

Odprawiono ją z warsztatu pod koniec zimy; lato przeszło, ale zima wróciła. Dnie krótkie, mniej roboty. W zimie nie ma ciepła, ani światła, ani południa; wieczór styka się z porankiem, mgły, zmrok, okna zamarznięte, nie można dobrze widzieć. Cały dzień jest jak piwnica, której okienkiem niebo. Słońce wygląda biednie. Szkaradna pora! Zima przemienia w kamień wodę niebios i serce człowieka. Wierzyciele dokuczali.

Fantina zarabiała mało. Długi urosły. Thenardierowie, źle płatni, pisywali często listy, których treść ją smuciła a portorja rujnowały. Pewnego dnia napisali, że Cozetta jest zupełnie nagą wśród ostrej zimy, że trzeba jej sprawić sukienkę wełnianą, a to kosztuje najmniej dziesięć franków. Cały dzień nosiła w ręku ten list nieszczęsny. Wieczorem poszła do fryzjera, mieszkającego na rogu ulicy i rozpuściła warkocz. Prześliczne błąd włosy sięgały do kolan.

— Piękne włosy! — zawołał fryzjer.

— Co mi pan dasz za nie? — zapytała.

— Dziesięć franków.

— Utnij warkocz.

Kupiła sukienkę wełnianą i wysłała do Thenardierów.

Małżonkowie Thenardier wściekali się ze złości. Pieniędzy chcieli nie sukni. Oddali ją Eponinie. Biedny skowronek po dawnemu drżał od zimna.

Fantina myślała: — Dziecku memu nie dokucza już zimno. Odziałam je własnemi włosami. — Ostrzyżoną głowę ukryła w okrągłym czepeczku, w którym była jeszcze wcale powabną.

Straszna walka toczyła się w sercu Fantiny. Ujrzawszy swą głowę ostrzyżoną, uczuła nienawiść do wszystkiego, co ją otaczało. Długo z innemi czciła ojca Madeleine, ale powtarzając sobie nieustannie, że on ją wygnał z fabryki, że on był sprawcą jej nieszczęścia, powzięła ku niemu zawziętą nienawiść. Przechodząc około fabryki w godzinach, gdy robotnicy wychodzili, przymuszała się do śmiechu i śpiewała.

Jedna stara robotnica, patrząc na ten jej śmiech i śpiewanie, rzekła: — Oj, ta dziewczyna źle skończy.

Wzięła sobie kochanka, pierwszego lepszego człowieka, którego wcale nie kochała; na złość drugim, z wściekłością w sercu. Był to jakiś nędznik, rodzaj żebrzącego muzykusa, próżniak i łotr, który ją bił i opuścił znudzony.

Fantina ubóstwiała swoje dziecko.

Im niżej spadała, im grubsza dokoła niej robiła się ciemność, tem jaśniej ten mały anioł promieniał w jej duszy. Mówiła: — Gdy się zbogacę, Cozetta będzie ze mną — i śmiała się jak szalona. Kaszel nie ustawał, zimny pot wilżył jej plecy.

Jednego dnia otrzymała od Thenardierów list następującej treści: „Cozetta zasłabła na chorobę grasującą w okolicy. Nazywają to petocie. Lekarstwa nas rujnują, nie mamy już za co ich kupować. Jeśli w przeciągu tygodnia nie przyślesz czterdziestu franków, mała umrze.“

Fantina śmiejąc się do rozpuku, rzekła do starej sąsiadki: — Wyborni ludziska! czterdzieści franków! wszak to całe dwa napoleony! A zkąd im wezmę! Nie głupie to wieśniacy!!

Poszła na schody i przy blasku lampy odczytała list powtórnie.

Potem jak szalona zbiegła ze wschodów, śmiejąc się i skacząc.

Ktoś przechodzący zapytał:—Zkąd ci się wzięła taka wesołość?

— Bo to, odpowiedziała, zabawni są chłopi na wsi. Żądają odemnie czterdzieści franków. Niedołęgi!

Przechodząc przez rynek, zobaczyła tłum ludzi, otaczający wózek dziwacznego kształtu, z którego prawił stojąc jakiś człowiek cały czerwono ubrany. Był to wędrowny kuglarz dentysta, który zalecał prześwietnej publiczności całe rzędy zębów, lekarstwa, proszki, eliksiry.

Fantina złączyła się z tłumem i śmiała z innemi z tej mowy zaprawionej konceptami, mogącemi rozśmieszyć gawiedź i zająć przyzwoitszą publikę. Wyrywacz zębów zobaczył śmiejącą się ładną dziewczynę i nagle zawołał.

— Panienka masz śliczne zęby. Sprzedaj mi dwie swoje palety, dam za każdą napoleona w złocie.

— Co to znaczy moje palety?—zapytała Fantina.

— Palety, objaśnił profesor dentysta, są zęby przednie, dwa u góry.

— Okropność! — zawołała Fantina.

— Dwa napoleony!—mruczała jakaś baba bez zębów. To mi szczęśliwa dziewczyna!

Fantina uciekła, zatkawszy uszy, aby nie słyszeć ochrypłego głosu kuglarza, który wołał za nią: — Zastanów się piękna, dwa napoleony mogą się przydać. Jak się namyślisz, to przyjdź wieczorem do austerji pod *Srebrnym mostem*. Tam cię czekam.

Fantina wróciła do domu, oburzona, wściekła, i opowiadała poczciwej sąsiadce Małgorzacie: — Jak wam się zdaje? nie obmierzły to człowiek? Jak mogą pozwalać takim ludziom włóczyć się po kraju? wyrwać mi dwa przednie zęby! Okropność! zgroza; włosy odrosną, ale zęby! Ach! potwór nie człowiek! wo-

lałabym rzucić się na bruk z piątego piętra! Powiedział, że dziś wieczór będzie pod *Srebrnym mostem.*

— A ile dawał? — zapytała Małgorzata.

— Dwa napoleony.

— To czyni czterdzieści franków.

— Tak — rzekła Fantina — to czyni czterdzieści franków.

Zamyśliła się i zabrała do roboty. Po kwadransie rzuciła szycie i poszła na schody odczytać list.

Wróciwszy rzekła do Małgorzaty, która przy niej pracowała:

— Co to takiego petocie? Nie wiecie?

— Wiem — odpowiedziała stara — to choroba.

— Na to potrzeba dużo lekarstw?

— Okrutnie dużo.

— Wiec ta choroba czepia się dzieci?

— Nadewszystko dzieci.

— Umierają z niej?

— O! i jak! — rzekła Małgorzata.

Fantina wyszła i raz jeszcze odczytała list na schodach.

Wieczorem widziano ją idącą ku ulicy Paryzkiej, gdzie są austerje.

Nazajutrz rano, gdy przed świtem weszła Małgorzata do pokoju Fantiny, pracowały bowiem zawsze razem, by oszczędzić świecę, zastała Fantinę siedzącą na łóżku bladą, zmartwiałą. Tej nocy wcale się spać nie kładła. Czepek spadł na jej kolana. Świeca paliła się noc całą i pozostał z niej tylko knot niedopalony.

Małgorzata osłupiała na widok tak niezwykłego nieładu i stojąc w progu zawołała:

— Chryste Panie! świeca cała wypalona! zaszło coś nadzwyczajnego.

I spojrzała na Fantinę, która obróciła ku niej głowę bez włosów.

Od wczoraj Fantina postarzała o lat dziesięć.

— Jezus Marja! — krzyknęła Małgorzata — co ci jest Fantino.

— Nic — odpowiedziała Fantina. Owszem, moje dziecko nie umrze na tę straszną chorobę z braku pomocy lekarskiej. Jestem zadowolona.

To mówiąc, pokazała starej dziewczynie dwa napoleony błyszczące na stole.

— A mój Jezu! to majątek! zkąd wzięłaś te dukaty?

— Dostałam — odpowiedziała Fantina.

I uśmiechnęła się. Blask świecy padł na jej twarz wybladłą. Był to uśmiech krwawy. Czerwonawa ślina plamiła krańce jej wargi, w środku ust czarny otwór.

Dwa zęby były wyrwane.

Odesłała czterdzieści franków do Montfermeil.

Zresztą był to podstęp Thenardierów, żeby dostać pieniędzy. Cozetta nie chorowała.

Fantina wyrzuciła swoje zwierciadło za okno. Oddawna przeniosła się z pokoiku na drugiem piętrze do ciupki pod strychem zamykanej na kłódkę; było to poddasze, którego pułap tworzył kąt z podłogą, tak iż co chwila uderzać było trzeba o niego głową. Biedaczka nie mogła wejść w głąb tej izby, jak w głąb swego przeznaczenia, żeby nie schylać się coraz bardziej. Nie miała łóżka, pozostał jej nędzny łachman, który nazywała kołdrą, siennik na ziemi i stołek bez plecionki. Wyschły krzak róży stał w doniczce, w kącie izby, zapomniany. W drugim kącie konewka, w której wnętrzu zmarznięta w zimie woda tworzyła koła z lodu. Straciła wstyd, straciła zalotność. Ostatni znak upadku. Wychodziła w brudnych czepkach. Czy z braku czasu, czy z obojętności, nie naprawiała bielizny. Gdy pięty pończoch się zdarły, wciągała je w trzewiki. Poznać to można było po pewnych prostopadłych zmarszczkach. Łatała stary zużyty stanik kawałkami perkaliku, które rwały się za lada poruszeniem. Ludzie, którym była dłużną, ciągle jej „wy-

rabiali sceny," nie dając chwili spoczynku. Spotykała ich na ulicy, spotykała na schodach. Po całych nocach płakała i rozmyślała. Oczy jej się lśniły gorączkowo, czuła nieustanny ból w lewej łopatce. Kaszel ją męczył. Z całej duszy nienawidziła ojca Madeleine, lecz się nie skarżyła. Szyła siedmnaście godzin dziennie; ale pewien przedsiębiorca robót więziennych, któremu aresztanci szyli za bezcen, wpłynął na obniżenie ceny pracy tak, iż wolne robotnice mogły zarobić tylko dziewięć su dziennie! Wierzyciele stali się niemiłosierniejsi niż kiedykolwiek. Tandeciarz, który odebrał wszystkie meble, mówił jej nieustannie: „Kiedy mi zapłacisz hultajko?" Boże drogi, czego od niej chciano! Ścigano ją jak dzikiego zwierza, czuła też rozwijające się w sobie zwierzęce instynkta. W owym właśnie czasie pisał Thenardier, że doprawdy za wiele okazywał dobroci, że musi mu przysłać sto franków natychmiast, bo inaczej wyrzuci za drzwi Cozettę, przychodzącą do zdrowia po ciężkiej słabości: że wypędzi ją na mróz, na gościniec, niech się z nią stanie co chce; niech zdycha. — Sto franków, pomyślała Fantina. Ale czyż podobieństwem jest zarobić sto su dziennie?

— Ha! — zawołała — sprzedajmy resztę.

I nieszczęsna została nierządnicą.

XI.

Christus nos liberavit.

Co znaczy ta historja Fantiny? To społeczeństwo, kupujące niewolnicę.

Od kogo? Od nędzy.

Od głodu, od chłodu, od samotności, od opuszczenia, od ostatniego niedostatku. Bolesny targ. Dusza ludzka za kawałek chleba. Nędza ofiaruje, społeczeństwo bierze.

Święte prawo Jezusa Chrystusa rządzi naszą cywilizacją, ale jej nie przenika jeszcze; powiadają, że niewolnictwo znikło w cywilizacji europejskiej. To fałsz. Istnieje dotąd. Ale cięży tylko na kobiecie i nazywa się nierządem. Cięży na kobiecie, to jest na wdziękach, słabości, piękności, macierzyństwie. O, to nie najmniejsza hańba mężczyzny.

Doszliśmy w tym bolesnym dramacie do kresu, u którego Fantina straciła wszystko, czem była dawniej. Stała się marmurem, zostawszy błotem. Kto się jej dotknął, przejmowało go zimno. Przechodzi, poddaje ci się, i nie zna cię; postać to pozbawiona czci i surowa. Życie i porządek społeczny wypowiedziały jej ostatnie słowo. Spotkało ją wszystko, co kiedykolwiek spotkać może. Uczuła wszystko, zniosła wszystko, doświadczyła wszystkiego, wszystko przecierpiała, wszystko straciła, opłakała wszystko. Pod-

dała się losowi tem poddaniem, które podobne jest do obojętności, jak śmierć do snu. Teraz niczego już nie unika, niczego się nie lęka. Niech spadną na nią obłoki, niech ją ogarnie ocean cały! Co ją to obchodzi: to gąbka nasycona wodą.

Przynajmniej tak sądzi. Błędem jest jednak wyobrażać sobie, że wyczerpuje się losy i dobiera do głębi czegokolwiek.

Niestety! czem są wszystkie losy, tak bezładnie rzucone? dokąd dążą? dlaczego są takie?

Ten wie tylko, co jasno widzi we wszystkich ciemnościach.

Bóg.

XII.

Jak pan Bamatabois czas zabija.

We wszystkich miasteczkach—więc i w M.—nad M. — jest klasa młodzieży, przejadającej swoje tysiąc pięćset franków rocznego dochodu zupełnie tak samo, jak złota młodzież paryzka pożera swoje dwakroć sto tysięcy rocznie. Istoty z wielkiej gromady stworzeń nijakich; próżniaki, pasożyty, moralne zera, z kawałkiem ziemi, sporą dozą głupoty i szczyptą dowcipu; byliby Maćkami w salonie, a mają się za paniczów w karczmie; na ustach wiecznie: moje pola, moje lasy, moi chłopi; gwiżdżą na aktorki: dowód wykwintnego gustu; kłócą się z oficerami garnizonu: dowód odwagi; polują, ćmią fajki, ziewają, piją, o milę czuć ich tytuniem, grają w bilard, przyglądają się podróżnym, wysiadającym z dyliżansu, wycierają kąty w kawiarni, jedzą w oberży, mają psa, który ogryza kości pod stołem, mają kochankę, która nakrywa do stołu, targują się o każdy grosz, przesadzają mody, podziwiają tragedje, gardzą kobietami, dodzierają starych butów, małpują Londyn na wzór paryzki, i Paryż na wzór małych miasteczek, starzeją niedołężnie, nic nie robią, na nic nie przydatni i nie wiele szkodliwi.

P. Feliks Tholomyes gdyby pozostał na prowincji i nigdy nie widział Paryża, należałby do tej złotej młodzieży.

O bogatszych powiedzianoby: to eleganci: o uboższych: próżniacy. Po prostu są to ludzie, zajęci zabijaniem czasu. Między nimi znajdziesz nudnych, znudzonych, półgłówków i błaznów.

W owym czasie poznałeś eleganta po ogromnych kołnierzykach, sutym halsztuku, zegarku z dewizkami; po trzech kamizelkach różnego koloru, niebieskiego i czerwonego pod spodem, po krótkim surducie oliwkowym, długim harcapie, podwójnym rzędzie guzików srebrnych gęsto szytych pod brodę, po spodniach jasno oliwkowych, z mnóstwem lampasów zawsze nieparzystych aż do jedenastu, nigdy więcej. Dodajcie do tego buty z żelaznemi podkówkami, kapelusz jak komin z wązkiemi brzegami, włosy fryzowane, ogromną trzcinę i rozmowę zaprawną niesmacznemi kalamburami. Na to wszystko włóżcie ostrogi i wąsy. W owym czasie wąsy znaczyły mieszczucha, a ostrogi piechura. Elegant prowincjonalny nosił dłuższe ostrogi i wąsy jak saper.

W owym czasie biły się rzeczpospolite Ameryki południowej z królem hiszpańskim, a Boliwar z Morillo. Kapelusze-kominy były rojalistowskie i zwały się morillo; liberalni nosili kapelusze nizkie z szerokiemi brzegami, zwane boliwar.

Otóż w ośm czy dziesięć miesięcy po tem, cośmy opowiedzieli na poprzedzających kartach, w pierwszych dniach stycznia 1823 roku, pewnego śnieżnego wieczoru jeden z tych elegantów, zabijających czas w kapeluszu morillo, owinięty ciepłym płaszczem, w zimie dopełniającym modnego kostjumu, zabawiał się dokuczaniem dziewczynie, która w sukni balowej, wygorsowana w kwiatach na głowie przechadzała się pod oknami kawiarni oficerów. Elegant palił cygaro, palenie tytuniu było już ustaloną modą.

Ile razy dziewczyna zbliżyła się do okna, elegant ciskał jej z dymem cygara kilka docinków, które zdawały mu się dowcipne i wesołe; takich np. „Jakżeś brzydka! szczerbata? — schowaj się lepiej“ i t. d.

i t. d. Ten jegomość nazywał się pan Bamatabois. Kobieta, smutne przystrojone widmo, przechadzające się po śniegu, nie odpowiadała, nie patrzyła nawet, nie mniej jednak z ponurą regularnością, co pięć minut wracała pod szyderstwa, jak skazany żołnierz pod rózgi. Bezskuteczność dowcipu widocznie ubodła dumę próżniaka; i korzystając z chwili, gdy się kobieta odwróciła, pobiegł za nią na palcach, stłumił śmiech, podniósł z ziemi garść śniegu i z nienacka przylepił go na jej plecach, między dwie obnażone łopatki. Dziewczyna krzyknęła, obróciła się, i skoczywszy jak pantera, rzuciła się na mężczyznę, wpiła mu paznokcie w policzki, klnąc najstraszniejszemi słowy, jakie tylko paść mogą z kordegardy na rynsztok. Te przekleństwa, plwane ochrzypłym od gorzałki głosem, ohydnie miotały usta, w których w istocie brakowało dwóch przednich zębów. Była to Fantina.

Na ten hałas wszyscy oficerowie wyszli z kawiarni, zatrzymali się przechodnie i utworzyło się wielkie koło widzów śmiejących, przyklaskujących — tej walce dwóch istot, z których mężczyzna z obnażoną głową, oszpecony do niepoznania, bronił się kobiecie, bijącej go pięściami i nogami, sinej z gniewu, bez zębów, bez włosów, strasznej.

Nagle jakiś mężczyzna wysokiego wzrostu wyszedł z tłumu, chwycił kobietę za stanik atłasowy pokryty błotem i rzekł: pójdź za mną!

Kobieta podniosła głowę: wściekłe przekleństwa zamarły na jej ustach. Oczy stały się szklane, zbladła jak trup i zadrżała przerażona. Poznała Javerta.

Elegant korzystając z dywersji umknął.

XIII.

Rozwiązanie niektórych kwestji policji municypalnej.

Javert usunął ciekawych, zerwał koło, otaczające tę scenę, i ciągnąc za sobą nędznicę, wielkim krokiem zdążał do biura policji, będącego na końcu rynku. Fantina dała się prowadzić bez oporu. Ani on, ani ona słowa nie rzekli. Postępował za nimi tłum ciekawców, szafujących konceptami. Najwyższa nędza nastręcza sposobność do wszetecznych dowcipów.

Przybywszy do biura policji, nizkiej sali ogrzanej piecem, z drzwiami od ulicy szklannemi i okratowanemi, Javert wszedł z Fantiną i zamknął drzwi za sobą, ku wielkiemu niezadowoleniu ciekawych, którzy wspięci na palcach, wyciągnąwszy szyję, usiłowali coś dojrzeć przez zabrudzone szyby kordegardy. Ciekawość jest nienasycenie łakomą. Patrzeć, to pożerać.

Wszedłszy, Fantina padła w kącie, nieruchoma, milcząca i skurczona, jak suka, która się boi.

Podoficer warty postawił na stole zapaloną świecę. Javert usiadł, wyjął z kieszeni papier stemplowy i zaczął pisać.

Prawa francuzkie oddają kobiety tej klasy zupełnie na łaskę i niełaskę policji. Czyni ona z niemi co zechce, karze jak się jej spodoba, zabierając im do-

wolnie dwie smutne rzeczy, które zowią swym przemysłem i swobodą. Javert miał minę obojętną, jego twarz poważna nie zdradzała żadnego wzruszenia. Był jednak wielce i głęboko zajęty. Właśnie była to jedna z tych chwil, gdy wykonywał straszną władzę dowolną bez kontroli, z wszelką skrupulatnością surowego sumienia. W takiej chwili czuł, że jego stołek ajenta policyjnego przemieniał się w trybunał. Sądził, wyrokował i potępiał. Gdy chodziło o rzecz takiej wagi, uprzytomiał sobie w umyśle wszystkie jakie miał idee o prawie. Im więcej zastanawiał się nad postępkiem tej dziewczyny, tem żywsze czuł oburzenie. Oczywiście dostrzegł w nim zbrodnię. Społeczeństwo, przedstawione w osobie właściciela — wyborcy, widział zelżonem i sponiewieranem na ulicy przez ohydnego wyrzutka. Nierządnica napastowała obywatela. I to widział on, Javert. Pisał w milczeniu.

Gdy skończył, podpisał, złożył papier, i oddał sierżantowi warty z temi słowy: Weź trzech żołnierzy i zaprowadź tę dziewczynę do więzienia. — Następnie obracając się do Fantiny dodał: — Posiedzisz za to półroku.

Nieszczęsna zadrżała:

— Pół roku! sześć miesięcy więzienia! — wołała. Przez sześć miesięcy zarabiać tylko siedem su dziennie! W cóż się obróci moja Cozetta! moja córka! moja córka! Ależ ja jeszcze winna jestem sto franków Thenardierom, wiesz o tem panie inspektorze?

I czołgając się na kolanach po zabłoconej posadzce, złożyła ręce błagalnie.

— Panie Javert — rzekła — łaski! Zapewniam pana, że to nie moja wina. Gdybyś pan widział początek, inaczej byś sądził; przysięgam na Pana Boga, to nie moja wina. To ten pan mieszczanin, którego nie znam, rzucił mi śniegu na plecy. Alboż ma kto prawo rzucać nam śnieg na plecy, kiedy przechodzimy spokojnie, nikomu nie robiąc nic złego? To mię przejęło. Bo to widzi pan, jestem trochę chora,

a przytem już oddawna ten pan gadał mi głupstwa. Jesteś brzydka nie masz zębów. Nic mu złego nie zrobiłam; powiedziałam sobie: ten pan się bawi. Byłam z nim grzeczną, nie rzekłam ani słówka, a on za to rzucił mi śniegiem. Panie Javert, dobry panie inspektorze? czyż nie ma nikogo, coby panu powiedział, jak rzeczywiście się stało? Możem zbłądziła, unosząc się gniewem. Pan wie, w pierwszej chwili nie jest się panem siebie. Złość porywa. A przytem, proszę pana, kładą ci coś tak strasznie zimnego, kiedy się wcale nie spodziewasz. Źlem zrobiła, zrzucając kapelusz tego pana; ale dlaczego odszedł? byłabym go przeprosiła. O! mój Boże, co mi szkodzi przeprosić. Przebacz mi ten jeden raz, panie Javert. Pan nie wiesz, w więzieniach zarabiają tylko siedem su, nie jest winą rządu, ale zarabiają tylko siedem su, a wyobraź pan sobie, muszę zapłacić sto franków, bo inaczej wypędzą moją małą! O mój Boże! nie mogę jej trzymać przy sobie. Tak szkaradnem rzemiosłem się trudnię! O moja Cozetto, o mój aniołku Przenajświętszej Panny, co się z tobą stanie, biedna dziecino! Widzi pan, ci Thenardiery, oberżyści, wieśniacy, to nie mają wyrozumienia. Tylko im dawaj i dawaj pieniędzy. Nie odsyłaj mię pan do więzienia! Biedaczkę wyrzucą za drzwi, na ulicę, w zimie: trzeba ulitować się nad tem, dobry panie Javert. Gdyby to było większe, zarobiłoby na życie, ale to nie może, w tym wieku. Nie jestem w gruncie złą kobietą. Nie podłość lub łakomstwo zrobiły mię tem, czem jestem. Piłam gorzałkę, to z nędzy. Brzydzę się nią, ale to odurza. Kiedym była szczęśliwszą, proszę było zobaczyć w moich szufladach; poznanoby, że nie jestem zalotnicą, nierządną. Miałam bieliznę czystą, dużo bielizny. Litości, panie Javert!

Tak mówiła złamana napoły, łkając, zaćmiona łzami, z obnażoną piersią, załamawszy ręce, kaszląc sucho, szepcząc pocichu głosem zamierającym. Wielka boleść, jak promień boski a straszny, przeistacza po-

stać nędzników. W tej chwili Fantina znowu stała się piękną. Niekiedy zamilkła i tkliwie całowała surdut policjanta. Rozczuliłaby serce z granitu, ale nic drewnianego serca nie rozczuli.

— No! — rzekł Javert — dość cię słuchałem. Nagadałaś się dosyć? Ruszaj teraz! posiedzisz sześć miesięcy! Sam Ojciec Przedwieczny nic tu nie poradzi.

Z tych uroczystych słów: *Sam Ojciec Przedwieczny nic tu nie poradzi*, zrozumiała, że wyrok już zapadł. Opuściła ręce szepcząc: Łaski!

Javert obrócił się tyłem.

Żołnierze schwycili ją za ręce.

Od kilku minut wszedł był mężczyzna niepostrzeżony. Zamknął drzwi, oparł się o nie plecami i słuchał rozpacznych błagań Fantiny.

Kiedy żołnierze schwycili nieszczęśliwą i chcieli uprowadzić, postąpił krok naprzód i rzekł:

— Zaczekajcie, proszę!

Javert podniósł oczy i poznał p. Madeleine. Zdjął kapelusz i ukłonił się niezgrabnie i gniewnie.

— Przepraszam pana mera. . .

Ten wyraz *mer* dziwne sprawił wrażenie na Fantinie. Zerwała się z podłogi, wyprostowała jak widmo, wychodzące z pod ziemi, rękami odepchnęła żołnierzy i szła prosto ku panu Madeleine, patrząc obłąkanym wzrokiem.

— Ach! więc to ty jesteś merem! — zawołała.

Rozśmiała się dziko i plunęła mu na twarz.

P. Madeleine otarł twarz i rzekł:

— Inspektorze Javert, wypuścisz pan tę kobietę na wolność.

Javertowi się zdało, że oszalał. W tej chwili wstrząsnęły nim jedne po drugich, prawie zmięszane razem, dwa najgwałtowniejsze, jakich kiedy doznał w życiu, wzruszenia. Nierządnica, plująca w twarz merowi, wydała mu się czemś tak potwornem, że przypuszczenie czegoś podobnego uważał za świętokradz-

two. Z drugiej strony w głębi duszy czuł jakieś zbliżenie między tem, czem była ta kobieta i tem, czem być mógł ten mer, i ze zgrozą widział w tym niesłychanym zamachu postępek bardzo naturalny. Ale kiedy ten mer, urzędnik, spokojnie otarłszy twarz, powiedział: *wypuścisz tę kobietę na wolność*, olśniony osłupiał; zabrakło mu słów i myśli; nie mógł już bardziej być zdumionym. Milczał.

Nie mniej dziwne wrażenie spawiły te słowa na Fantinie. Podniosła obnażone ramię i jak pijana potoczyła się do pieca. Patrząc dokoła, szeptała półgłosem jakby do siebie:

— Na wolność! wypuszczają mię; nie pójdę na sześć miesięcy do więzienia? Kto to powiedział? Chyba tego nie mówiono. Źlem słyszała. Boć przecie nie ten potwór mer. Czy to pan, dobry panie Javert, mówiłeś, by mię puszczono na wolność? O, powiem coś panu, to mię uwolnisz. Ten potwór mer, ten zbrodzień jest przyczyną wszystkiego złego. Wyobraź sobie panie Javert, wypędził mię z warsztatu z powodu plotek kilku bab głupich. Nie jestże to okropne! Wypędzać biedną dziewczynę, która pracowała uczciwie, więc nie mogłam dość zarobić i ztąd całe nieszczęście. Panowie z policji powinniby pomyśleć naprzód o jednem ulepszeniu, nie pozwalać przedsiębiorcom więzień krzywdzić biednych ludzi. Zaraz to panu wytłumaczę. Zarabiasz dwanaście su na koszulach, tymczasem cena spada na dziewięć su, i nie masz sposobu do życia. Stajesz się więc, czem możesz. Ja miałam małą Cozettę, i zmuszona byłam zostać złą kobietą. Pojmujesz pan teraz, że to ten niegodziwiec mer jest sprawcą wszystkiego złego. Później podeptałam kapelusz tego pana mieszczanina przed kawiarnią oficerską. Ale on popsuł mi śniegem całą suknię. Kobiety jak ja mają jedną tylko suknię jedwabną do wyjścia wieczorem. Widzisz panie Javert, że nie umyślnie źle zrobiłam, są daleko gorsze kobiety, a szczęśliwsze odemnie. O panie Javert, to pan po-

wiedziałeś, by mię puszczono, wszak prawda? Zasięgnij informacji, wypytaj mego właściciela domu, teraz płacę komorne i powiedzą panu, że jestem rzetelną. A mój Boże, przepraszam, nieuważnie dotknęłam drzwiczek od pieca, i dymi.

P. Madeleine słuchał z głęboką uwagą. Kiedy mówiła, sięgnął do kieszeni, wyjął sakiewkę, otworzył. Była pusta. Schował ją do kieszeni i rzekł do Fantiny:

— Ile jesteście dłużni?

Fantina, która patrzyła na Javerta, obruciła się ku niemu:

Alboż ja do ciebie mówię?

Potem zwracając się do żołnierzy:

— Powiedzcie, wszak widzieliście, żem mu w twarz napluła? A, stary zbrodniarzu merze, chcesz mię nastraszyć, ale się ciebie nie lękam. Boję się tylko pana Javerta. Boję się poczciwego pana Javerta!

I tak mówiąc, obróciła się do inspektora:

— Z tem wszystkiem trzeba być sprawiedliwym, panie inspektorze. Pojmuję, że jesteś sprawiedliwym, panie inspektorze: w istocie rzecz prosta: człowiek bawił się rzucaniem śniegu na kobietę, to śmieszyło oficerów, trzebaż się czem zabawić, a od czegóż my jesteśmy, jeżeli nie od bawienia panów, oczywiście! A przytem pan zmuszony jesteś przestrzegać porządku, zabierasz więc kobietę, która zawiniła, lecz po rozwadze, ponieważ pan jesteś dobry, każesz mię puścić na wolność, przez wzgląd na małą, bo przez sześć miesięcy więzienia nie mogłabym czem żywić dziecięcia. Tylko już nie rób tego więcej, hultajko! O bądź pan spokojny, panie Javert, nie wrócę! niech teraz robią ze mną, co zechcą, ani pisnę. Dziś tylko krzyknęłam, bo mi się źle zrobiło, nie spodziewałam się śniegu od tego pana, a przytem powiedziałam panu, jestem trochę chora, kaszlę, coś mię pali w żołądku, i doktór mi mówi: pamiętaj o swem zdrowiu. Daj pan rękę, dotknij; niech pan się nie boi, to tutaj.

Przestała płakać, głos jej stał się pieszczotliwy, przyłożyła do swej białej delikatnej piersi grubą i szorstką rękę Javerta i patrzyła nań z uśmiechem.

Nagle poprawiła żywo nieład swego ubrania, opuściła fałdy sukni podniesione prawie do kolan, gdy czołgała się po ziemi, i szła ku drzwiom mówiąc do żołnierzy półgłosem, przyjacielskim tonem:

— Moje dzieci, pan inspektor kazał mię puścić, więc odchodzę.

Położyła rękę na klamce. Jeszcze krok jeden i byłaby na ulicy.

Aż do tej chwili stał Javert nieruchomy, z oczyma utkwionemi w ziemię, jak zbyteczny w całej scenie posąg, czekający, aby go usunięto gdzie na bok.

Rozbudziło go poruszenie klamki. Podniósł głowę z wyrazem najwyższej władzy, wyrazem tem straszniejszym, im ta władza niżej jest złożoną, srogim w dzikim zwierzu, okrutnym w człowieku bez znaczenia.

— Sierżancie, — zawołał — czy nie widzisz, że ta hultajka odchodzi! Kto wam kazał ją puścić?

— Ja — rzekł Madeleine.

Fantina na głos Javerta zadrżała; puściła klamkę jak schwytany złodziej wypuszcza przedmiot skradziony. Na głos Madeleina obróciła się i odtąd nie rzekłszy słowa, nie śmiejąc nawet odetchnąć swobodnie, wodziła oczyma kolejno po Madeleinie i Javercie, w miarę jak który z nich mówił.

Oczywiście Javert musiał się unieść, kiedy się tak absolutnie odezwał do sierżanta, po rozkazie mera? Czy wmówił w siebie, że władza nie mogła podobnego wydać rozkazu, i że niewątpliwie mer pomylił się i chciał co innego powiedzieć? Lub też, będąc od dwóch godzin świadkiem rzeczy tak niezwykłych, może powiedział sobie, że należy zdobyć się na krok stanowczy, z małego stać wielkim, z policjanta sędzią, ze sługi policyjnego urzędnikiem sprawiedliwości, i że w tej ostateczności, przywodzącej do rozpaczy, porzą-

dek, prawo, moralność, rząd, społeczeństwo całe uosobiało się w nim tylko, w Javercie.

Jakkolwiekbądź, gdy p. Madeleine wyrzekł ten wyraz *ja*, inspektor policji Javert obrócił się nagle ku merowi, blady, chłodny, z posiniałemi ustami, ze spojrzeniem rozpaczy pełnem, cały drżący, i odezwał się głosem silnym, ale ze spuszczonemi oczyma:

— Panie merze, to być nie może.

— Co znowu? — zapytał p. Madeleine.

— Ta nieszczęsna znieważyła mieszczanina.

— Inspektorze Javert — odparł p. Madeleine tonem pojednawczym i spokojnym; chciej posłuchać. Jesteś człowiekiem uczciwym, więc chętnie wchodzę z panem w objaśnienia. Oto jak się rzeczy mają. Przechodziłem przez rynek, gdyś pan prowadził tę kobietę; rozpytałem się zgromadzonych ludzi i dowiedziałem się o wszystkiem; to mieszczanin ją skrzywdził i podług ścisłej sprawiedliwości powinienby być uwięzionym.

Javert odpowiedział:

— Ta nędznica zelżyła pana mera.

— To już mnie dotyczy — odrzekł p. Madeleine. Być może, krzywda jest moją osobistą. Mogę postąpić, jak zechcę.

— Bardzo przepraszam pana mera. To nie jest jego osobista krzywda; to zniewaga, wyrządzona urzędowi i sprawiedliwości.

— Inspektorze Javert—odparł p. Madeleine, najpierwszą policją jest sumienie. Słuchałem pilnie tej kobiety i wiem, co czynię.

— A ja, panie merze, nic nie rozumiem tego, co widzę.

— Więc najlepiej bądź posłusznym.

— Jestem posłuszny obowiązkowi. Mój obowiązek chce, aby ta kobieta odsiedziała sześć miesięcy w więzieniu.

P. Madeleine odpowiedział łagodnie:

— Wysłuchaj pan dobrze, co ci mówię: ani jednego dnia nie będzie w więzieniu.

Na tą mowę stanowczą Javert ośmielił się bystro spojrzeć na mera i rzekł tonem najgłębszego uszanowania.

— Jestem w rozpaczy, ale po raz pierwszy w życiu nie mogę być posłuszny panu merowi; raczy mi pan jednak pozwolić zrobić sobie uwagę, że postępuję zupełnie w zakresie moich atrybucji. Ponieważ pan mer tego żąda, mówię tylko o sprawie z mieszczaninem: i ja tam byłem. Ta dziewczyna rzuciła się na pana Bamatabois, wyborcę i właściciela pięknego domu z balkonem o trzech piętrach, z ciosowego kamienia. Nakoniec, przecież są rzeczy i ludzie na tym świecie, zasługujący na poszanowanie. Jakkolwiekbądź, panie merze, wszelkie wypadki na ulicy należą do policji, i ja zatrzymuję kobietę Fantinę.

Wówczas p. Madeleine założył ręce na piersi i rzekł głosem surowym, jakiego nigdy jeszcze nie słyszano w mieście.

— Wypadek, o którym asan mówisz, należy do juryzdykcji policji municypalnej. Według artykułów: 9, 11, 15 i 70 kodeksu instytucji karnej, ja jestem jego sędzią. Rozkazuję natychmiast uwolnić tę kobietę.

Javert próbował się opierać.

— Ależ panie merze...

— Przypominam panu artykuł 81 prawa z 13 grudnia 1799 r. o samowolnem aresztowaniu.

— Pozwól panie merze...

— Ani słowa więcej.

— Wszelako...

— Wychodź asan — rzekł p. Madeleine.

Javert otrzymał cios straszny, w samą twarz, jak żołnierz austrjacki. Skłonił się do ziemi panu merowi i wyszedł.

Fantina odstąpiła odedrzwi i osłupiała patrzyła, jak wychodził.

I ona także uczuła się dziwnie wzburzoną. Zda-

wało się jej, że dobijają się o nią dwie przeciwne potęgi. Patrzyła na walkę dwóch ludzi, w których rękach była jej swoboda, życie, dusza, dziecię; jeden ciągnął ją ku ciemnościom, drugi zawracał ku światłości. W tej walce, która w przerażonych jej oczach przybierała potworne rozmiary, dwaj ci ludzie wydali się olbrzymami: jeden mówił jak szatan, drugi jak anioł stróż. Anioł zwyciężył szatana, i dreszcze od stóp do głów przejmowały ją na tę myśl, że ten anioł, ten zbawca był właśnie człowiekiem, którego nienawidziła, tym merem, którego oddawna uważała za sprawcę wszystkich nieszczęść, tym Madeleine! I właśnie w chwili, gdy go znieważała w najohydniejszy sposób, on ją zbawił! Czyżby się pomyliła? czyżby jej należało zmienić całą swą duszę?... Nic nie wiedziała, tylko drżała jak listek. Przelękła, przerażona patrzyła na niego i za każdem słowem p. Madeleine, czuła że w niej topnieją i walą się w gruzy wszystkie ciemności nienawiści, a w sercu rodzi się coś niewysłowionego i ogrzewającego niby radość, zaufanie i miłość.

Po wyjściu Javerta p. Madeleine obrócił się ku niej i rzekł głosem powolnym, mówiąc z trudnością jak człowiek poważny, który nie chce płakać:

— Słyszałem, coście mówili. Nic zgoła o tem nie wiedziałem. Zdaje mi się, że mówicie prawdę, wierzę wszystkiemu. Nie wiedziałem nawet, że opuściliście nasze warsztaty. Czemu nie było udać się do mnie? Ale bądźcie spokojni: zapłacę wasze długi, sprowadzę dziecko, lub was do niego wyprawię. Możecie tu mieszkać, w Paryżu, gdzie chcecie. Obowiązuję się pamiętać o dziecku i o was. Jeśli chcecie, możecie nie pracować. Dam pieniędzy, ile będzie potrzeba. Znowu będziecie uczciwą, stając się szczęśliwą. A nawet słuchajcie, powiadam wam już teraz, że jeżeli, o czem nie wątpię, wszystko jest prawdą, co mówicie, nigdy nie przestaliście być cnotliwą w obliczu Boga. O biedna niewiasto!

Było to więcej, niż znieść mogła Fantina. Mieć Cozettę, wydobyć się z tego haniebnego życia! Żyć swobodną, w dostatku, szczęśliwą, uczciwą, z Cozettą! nagle ujrzeć rozkwitające wśród nędzy wszystkie rzeczywistości rajskie! Błędnemi oczyma wodziła po tym człowieku, i z piersi jej wyrwały się łkania: Oh! oh! oh! Zachwiały się nogi. Upadła na kolana przed p. Madeleine i nim zdołał zapobiedz, przycisnęła jego ręce do swych ust płonących.

I zemdlała.

KSIĘGA SZÓSTA.

JAVERT.

I.

Początek spoczynku.

P. Madeleine kazał przenieść Fantinę do infirmerji, którą miał we własnej fabryce. Siostry miłosierdzia, których pieczy ją powierzył, położyły ją do łóżka. Rozwinęła się mocna gorączka. Przez noc całą majaczyła, rozmawiając z sobą głośno. W końcu usnęła.

Nazajutrz koło południa Fantina się obudziła, usłyszawszy oddech blizko swego łóżka; odsłoniła firankę i ujrzała p. Madeleine, który, stojąc, patrzył na jakiś przedmiot po nad jej głową. Spojrzenie wyrażało litość, niepokój i błaganie. Zwróciła oczy w jego kierunku i zobaczyła, że było utkwione w krucyfiks przybity do ściany.

Teraz p. Madeleine przemienił się w oczach Fantiny. Zdawało jej się, że go otaczają światłości. Był pogrążony w modlitwie. Długo mu się przypatrywała, nie śmiejąc przerwać. Nakoniec rzekła trwożliwie:

— Co pan tu robi?

P. Madeleine stał na tem miejscu od godziny. Czekał aż się obudzi Fantina. Wziął ją za rękę, dotknął pulsu i odpowiedział:

— Jakże zdrowie?

— Dobrze—rzekła—spałam, zdaje się, że mi będzie lepiej. Choroba przejdzie.

Madeleine, odpowiadając na pierwsze jej zapytanie, jakby w tej chwili uczynione, rzekł:

— Modliłem się do męczennika, który jest w niebiesiech.

I dodał w duchu: — Za męczennicę na ziemi.

Madeleine całą noc i poranek zbierał informacje. Teraz wiedział wszystko. Znał najdrobniejsze szczegóły bolesnej historji Fantiny.

— Wiele cierpiałaś, biedna matko—rzekł.—O! nie uskarżaj się: czeka cię nagroda wybranych. W ten sposób ludzie czynią aniołów. Nie ich to wina, że inaczej brać się do dzieła nie umieją. Widzisz, moje dziecko, to piekło, z którego wychodzisz, jest pierwszą formą niebios. Trzeba było przejść przez nie.

I westchnął głęboko. Ona uśmiechała się doń szczytnym uśmiechem, któremu brakło dwóch zębów.

Tej samej nocy Javert napisał list. Nazajutrz rano oddał go na pocztę. Adres był taki: *Do pana Chabouillet, sekretarza pana prefekta policji w Paryżu.* Pogłoski o zajściu w kordegardzie rozeszły się po mieście, więc urzędnicy pocztowi i osoby, które list widziały i poznały charakter ręki Javerta, wpadły na domysł, że podał się do dymisji.

P. Madeleine spiesznie napisał list do Thenardierów. Fantina dłużna im była sto franków. Posłał im trzysta franków, polecając wytrącić z tej kwoty dług, a za resztę bezwłocznie przywieźć dziecko do M. — nad M. — do chorej matki.

Olśniło to Thenardiera. —Do licha! — rzekł — nie puszczajmy dziecka. Ten chudy skowronek może się stać dojną krówką. Odgaduję. Jakiś mazgaj rozkochał się w matce.

W odpowiedzi posłał rachunek na pięćset kilkanaście franków, wcale dokładny. Pierwsze miejsce zajmowały na przeszło trzysta franków dwie noty autentyczne, jedna doktora, druga aptekarza, z których

jeden leczył, drugi dawał lekarstwa, podczas dwóch długich słabości Eponiny i Anzelmy: Cozetta, jakeśmy powiedzieli, nigdy nie chorowała. Podstawiono tylko imiona. Thenardier napisał tylko u spodu memorjału: *wzięto á conto trzysta franków.*

P. Madeleine bezwłocznie posłał jeszcze trzysta franków i napisał: „śpiesznie przywoźcie Cozettę".

— Do pioruna!—rzekł Thenardier—nie puszczajmy dziecka.

Tymczasem Fantina nie przychodziła do zdrowia. Zawsze leżała w infirmerji.

Z początku siostry ze wstrętem przyjęły i pielęgnowały „tę dziewczynę". Kto widział płaskorzeźby w Reims przypomina sobie nadęcie dolnej wargi dziewic czystych, patrzących na dziewice rozpustne. Ta starożytna wzgarda westalek dla ladacznic jest jednym z najgłębiej wkorzenionych instynktów godności niewieściej; doznawały jej siostry podwójnie, bo ze wstrętem, jaki obudza uczucie religijne. Ale po kilku dniach rozbroiła je Fantina: mówiła z taką słodyczą, łagodnością i pokorą, a macierzyństwo je rozrzewniało. Pewnego dnia siostry słyszały ją mówiącą w gorączce: —Byłam grzesznicą, ale jak będzie przy mnie dziecko, to znak, że Pan Bóg mi przebaczył. Kiedym źle czyniła, nie ośmieliłabym się mieć przy sobie Cozetty, nie zniosłabym widoku jej oczów zdziwionych i smutnych. A jednak dla niej tylko czyniłam źle i dlatego Bóg mi przebacza. Uczuję błogosławieństwo Pana Boga, gdy Cozetta będzie tutaj. Spojrzę na nią i widok jej niewinności mię ożywi. Nic nie wie o mych błędach. Widzicie moje siostry, to anioł. W tym wieku jeszcze nie opadają skrzydła.

P. Madeleine przychodził dwa razy dziennie, za każdym razem pytała:

— Czy prędko zobaczę Cozettę?

Odpowiadał:

— Może jutro rano. Spodziewam się jej lada chwila

Blada twarz matki promieniała szczęściem.

— O! — mówiła — jakże będę szczęśliwą!

Powiedzieliśmy, że nie przychodziła do zdrowia. Przeciwnie, stan jej zwolna, ale z dniem każdym się pogarszał. Ta garść śniegu, przyłożona na obnażone ciało między dwie łopatki, nagle przerwała transpirację, skutkiem czego zarody choroby, tkwiące w niej od lat kilku, rozwinęły się nagle i gwałtownie. W owym czasie zaczynano w leczeniu chorób piersiowych stosować wyborną metodę Laënneca. Lekarz osłuchał Fantinę i potrząsnął głową.

P. Madeleine zapytał lekarza:

— I cóż?

— Czy nie ma dziecięcia, które pragnie widzieć? — rzekł doktór.

— Ma.

— Więc spiesznie je sprowadzić trzeba.

P. Madeleine zadrżał.

Fantina zapytała:

— Co powiedział doktór?

P. Madeleine zdobył się na uśmiech.

— Powiedział, żeby prędko sprowadzić wasze dziecię. To wam wróci zdrowie.

— O!—zawołała—ma słuszność! Ale dlaczego ci Thenardierzy zatrzymują mą Cozettę? O! przyjedzie! Szczęście moje się zbliża.

Tymczasem Thenardier nie puszczał dziecka, zmyślając tysiące pozorów. Cozetta była nieco cierpiąca i nie mogła podróżować zimą. A przytem pozostało trochę długów, które należałoby wprzód zaspokoić i t. p. i t. p.

— Poślę kogo po Cozottę — rzekł ojciec Madeleine. — W potrzebie sam pojadę.

I za dyktowaniem Fantiny napisał list następujący, który podpisała:

„Panie Thenardier, oddasz pan Cozettę oddawcy tej kartki. Zapłacę panu wszystkie drobne długi.

Fantina.

Już miano jechać po Cozettę, gdy zdarzył się ważny wypadek. Daremnie staramy się jaknajmisterniej ciosać tajemniczy kloc naszego życia, zawsze na nim ukaże się czarny słój przeznaczenia.

VII.

Jakim sposobem Jean może stać się Champ.

Pewnego poranku p. Madeleine pracował w swoim gabinecie, zajęty załatwieniem zawczasu pilniejszych spraw municypalnych na przypadek, gdyby sam musiał jechać do Montfermeil, gdy mu oznajmiono, że inspektor policji Javert pragnie z nim mówić. Usłyszawszy to nazwisko, p. Madeleine drgnął mimowolnie. Od zajścia w biurze policji, Javert staranniej niż kiedy go unikał i p. Madeleine nie widział go od tej pory.

— Prosić — rzekł.

Javert wszedł do gabinetu.

P. Madeleine siedział blizko kominka, z piórem w ręku, oczy zwrócone na akta, które przewracał notując; były to protokuły przestępstw na ulicach. Dla Javerta nie odrywał się od roboty. Stała mu na myśli biedna Fantina i miał powód okazać chłód lodowaty.

Javert z uszanowaniem skłonił się przed merem, który siedział tyłem obrócony. P. mer nie spojrzał na niego, ciągle pisząc notaty na aktach.

Javert postąpił kilka kroków i zatrzymał się milczący.

Fizjonomista, oswojony z naturą Javerta, oddawna studjujący tego dzikiego człeka na usługach cywilizacji, tę dziwną mięszaninę Rzymianina, Spartań-

czyka, mnicha i kaprala, tego szpiega niezdolnego kłamać, tego policjanta czystego jak dziewica; fizjonomista, któryby znał jego tajemny i dawny wstręt do p. Madeleine, jego starcie z merem z powodu Fantiny, i w tej chwili spojrzał na Javerta,—mimowoliby zapytał: co się takiego stało? Widocznem było dla każdego, kto znał to sumienie proste, jasne, szczere, uczciwe, surowe i dzikie, że w Javercie odbyła się jakaś wielka walka wewnętrzna. Cokolwiek działo się w jego duszy, zwykle widziałeś na twarzy. Jak wszyscy ludzie gwałtowni, podlegał silnym wstrząśnieniom i zmianom: Nigdy też fizjonomja jego nie była dziwniejszą i bardziej zmienioną. Wchodząc skłonił się przed p. Madeleine, w jego spojrzeniu nie było ani urazy, ani gniewu, ani nieufności; zatrzymał się kilka kroków za krzesłem mera; stał prosto, wyciągnięty jak żołnierz, z naiwną i zimną szorstkością człowieka, który nigdy nie był łagodnym, a zawsze cierpliwym; czekał, nie rzekłszy słowa, nie poruszywszy się, ze szczerą pokorą i spokojną rezygnacją, aż spodoba się panu merowi obrócić; spokojny, pogodny, z kapeluszem w ręku, z oczyma spuszczonemi w ziemię, z wyrazem twarzy, środkującym między fizjonomją żołnierza, stojącego przed oficerem, i winowajcy przed sędzią. Z tej twarzy znikły wszystkie uczucia i wspomnienia, któreśmy w nim przypuszczali. Na tej twarzy niedocieczonej i prostej jak granit, malował się tylko spokojny smutek. Cała postać wyrażała pokorę i stanowczość, i jakieś mężne znękanie.

Nakoniec p. mer położył pióro i nawpół się obrócił.

— No cóż tam? co zaszło—Javert?

Javert milczał chwilę, jakby zbierał myśli, potem podniósł głos smutnie uroczysty, ale pełen prostoty.

— Oto, panie merze, popełniono czyn występny.

— Jaki czyn?

— Niższy ajent władzy wielce uchybił wysokiemu urzędnikowi. Przychodzę z obowiązku mojego zawiadomić o tem p. mera.

— Któż jest ten ajent? — zapytał p. Madeleine.

— Ja — rzekł Javert.

— Pan?

— Ja.

— A jakiż to urzędnik może się żalić na ajenta?

— Pan, panie merze.

P. Madeleine wyprostował się na krześle. Javert mówił dalej z miną surową, z oczami spuszczonemi w ziemię:

— Panie merze, przychodzę prosić, abyś pan raczył zażądać od wyższej władzy wydalenia mię ze służby.

P. Madeleine zdumiony otworzył usta. Javert mu przerwał.

— Powie pan, że mogłem sam podać się do dymisji; ale tego nie dosyć. Podać się do dymisji, to zaszczytne. Ciężko zawiniłem, powinienem być ukarany. Trzeba mię wypędzić ze służby.

I po chwili milczenia dodał:

— Panie merze, byłeś pan innego dnia niesprawiedliwie względem mnie surowy. Bądź nim dziś sprawiedliwie.

— Co mówisz? dlaczego?—zawołał p. Madeleine. Co znaczy ta krętanina? w czem pan przeciw mnie zawiniłeś? coś mi zrobił? Jaką krzywdę wyrządzałeś? oskarżasz się, chcesz być przeniesionym...

— Wypędzonym — rzekł Javert.

— Wypędzonym, zgoda. Bardzo dobrze. Nic zgoła nie rozumiem.

— Zaraz pan zrozumie, panie merze.

— Javert westchnął głęboko i mówił dalej zimno i smutnie:

— Panie merze, przed sześciu tygodniami, po owej scenie z tą dziewczyną, byłem wściekły i denuncjowałem pana.

— Denuncjowałeś!

— Do prefektury policji paryzkiej.

P. Madeleine, który nie częściej się śmiał od Javerta, parsknął śmiechem:

— Jako mera, wkraczającego w atrybucję policji?

— Jako dawnego galernika.

Mer pobladł.

Javert, nie podnosząc oczu z ziemi, mówił dalej:

— Tak mi się zdawało. Oddawna powziąłem podejrzenie. Podobieństwo rysów twarzy, wiadomości, jakieś pan zasięgał w Faverolles, pańska siła zdumiewająca, przygoda ze starym Fauchelevent, pańska celność strzału, jedna noga nieco utykająca i Bóg wie nieco! głupstwa jednem słowem; dość, żem brał pana za niejakiego Jana Valjean.

— Za kogo?... Powtórz pan nazwisko.

— Jan Valjean. Jest to galernik, którego widziałem przed dwudziestu laty, gdym był pomocnikiem nadzorcy więźniów w Tulonie. Wychodząc z galer, ten Jan Valjean, jak się zdaje, okradł biskupa, później popełnił zaraz kradzież ręką zbrojną u małego Sabaudczyka. Od ośmiu lat ukrywał się niewiadomo jak i gdzie; wszędzie go szukano. Uroiłem sobie... Głupie przywidzenie! Dość, że uniesiony gniewem, bez długiego namysłu. denuncjowałem pana do prefektury.

P. Madeleine, który od pewnego czasu znowu zatopił wzrok w papierach, zapytał tonem najzupełniej obojętnym:

— I cóż panu odpowiedziano?

— Żem zwarjował.

— I cóż?

— A cóż, miano zupełną rację.

— Prawdziwe szczęście, że sam pan to przyznajesz!

— Niepodobna nie przyznać, kiedy prawdziwy Jan Valjean się znalazł.

Papier wypadł z rąk p. Madeleine, podniósł głowę, bystro spojrzał na Javerta i rzekł niedającym się opisać tonem:

— A!

Javert mówił dalej:

— Rzecz tak się ma, panie merze. Zdaje się, że w stronie Ailly-le-Haut-Clochet mieszkał rodzaj poczciwca, którego zwano ojcem Champmathieu. Było to nędzne stworzenie. Nie zwracano nań uwagi. Tego rodzaju ludzie niewiadomo z czego żyją. Ostatecznie, tej jesieni ojciec Champmathieu został przytrzymany za kradzież jabłek w ogrodzie... Mniejsza u kogo, dość że była kradzież, mur przeskoczony, złamane gałęzie drzewa. Uwięziono mego Champmathieu. Miał jeszcze gałęź jabłoni w ręku. Pakują go do kozy. Dotychczas cała sprawa należała do policji poprawczej. Ale otóż zrządzenie Opatrzności. Więzienie było w złym stanie, więc sędzia inkwirent uznał za stosowne przenieść Champmathieu do Arras. gdzie jest więzienie departamentowe. W tem więzieniu siedzi dawny galernik nazwiskiem Brevet, zatrzymany nie wiem już za co; teraz zrobiono go odźwiernym, bo się dobrze prowadzi. Panie merze, zaledwie wpakowano do więzienia Champmathieu, ów Brevet, ujrzawszy go zawołał: — Ależ znam tego człowieka. Stary kajdaniarz. Przypatrz mi się poczciwcze! Wszak jesteś Jan Valjean! — Jan Valjean! co to za Jan Valjean? Champmathieu udaje zdziwionego. — No, no, nie udawaj — rzekł Brevet. — Jesteś Jan Valjean! Byłeś na galerach tulońskich przed dwudziestu laty. Pracowaliśmy razem. — Champmathieu zaprzecza. Do licha! łatwo pan mer pojmuje. Zarządzają śledztwo: uwiadamiają mię o tej przygodzie. I cóż się okazuje? Ów Champmathieu przed trzydziestu laty był chłopcem u ogrodników w wielu miejscach, był i w Faverolles. Dalej ślad jego znika. Po długim przeciągu czasu spotykają go w Owernji, później w Paryżu, gdzie, jak mówił, był dorożkarzem i miał córkę praczkę, ale rzecz niedowiedziona, nakoniec przebywał w tych okolicach. Otóż, nim dostał się do galer za kradzież gwałtowną, czemże był Jan Valjean? Ogrodniczkiem. Gdzie? W Faverolles. Drugi fakt. Jan Valjean miał imię chrzestne

Jan, a jego matka nazywała się z domu Mathieu. Udaje się do Owernji. W owym kraju Jan wymawiają *Chan*, nazywają go więc Chan Mathieu. Nasz rycerz pozwala na wszystko i otóż mamy ojca Champmathieu. Pan mer uważa? Wypytują się w Faverolles. Rodzina Jana Valjean zniknęła. Niewiadomo gdzie się podziała. W takich klasach, jak panu wiadomo, często zdarzają się podobne zniknienia rodzin. Dowiadujesz się, szukasz, ani śladu. Ci ludzie, jeśli nie są błotem, stają się pyłem. A przytem, ponieważ początek tej historji datuje od lat trzydziestu, nie masz nikogo w Faverolles, coby znał Jana Valjean. Wypytują się w Tulonie. Prócz Breveta, dwóch tylko galerników widziało Jana Valjean: są to skazani na dożywotnie więzienie Cochepaille i Chenildieu. Wyciągają ich z galer, przywożą i stawiają na oczy mniemanemu Champmathieu. Jak Brevet, bez wahania powiadają, że to Jan Valjean. Ten sam wiek, ma pięćdziesiąt cztery lat, wzrost, postawa, słowem — ten sam człowiek. W owym to czasie wysłałem denuncjację do prefektury paryzkiej. Odpowiedziano mi, że chybam oszalał, bo Jan Valjean jest w Arras w ręku sprawiedliwości. Łatwo pan mer pojmuje, jak to mnie zdziwiło, mnie, com sądził, że mam w swych szponach tego właśnie Jana Valjean! Napisałem do sędziego inkwirenta. Kazał mi przyjechać, przyprowadzają Champmathieu.

— I cóż? — przerwał p. Madeleine.

Javert odpowiedział spokojnie i smutnie:

— Ach, panie merze, prawda jest prawdą. Przykro mi bardzo, ale tamten człowiek rzeczywiście jest Janem Valjean... I ja go poznałem.

— Jesteś pan tego pewnym?

Javert roześmiał się boleśnie z głębokiem przekonaniem:

— O, pewny!

Milczał chwilę zamyślony, machinalnie biorąc szczyptę piasku z piaseczniczki na stole, i dodał:

— A nawet teraz, gdy poznałem prawdziwego Jana Valjean, nie pojmuję, jak mogłem tak grubo się pomylić. Racz mi pan przebaczyć, panie merze.

Tak poważnie błagając tego, co przed sześciu tygodniami upokorzył go wobec żołnierzy i rzekł: Wychodź Javert! człowiek wyniosły, był nie wiedząc o tem, pełnym prostoty i godności. P. Madeleine odpowiedział na jego prośbę porywczem zapytaniem:

— A co mówi ten człowiek?

— A, do licha! panie merze, zła sprawa. Jeśli to Jan Valjean, więc recydywa. Przeskoczyć mur, złamać gałęź, to swawola, jak na małego chłopca; ale gdy dopuści się tego dojrzały mężczyzna, to występek; gdy galernik, to zbrodnia. To już nie do policji poprawczej, ale do sądu kryminalnego należy. Nie kilka dni aresztu, ale całe życie na galerach czeka winowajcę. A dalej sprawa z małym Sabaudczykiem, jak się spodziewam, także wyjdzie na stół. Do djaska! jest z czego się wykręcać; nieprawdaż? Tak, ale dla Jana Valjean to bagatela. Jan Valjean to wytrawna sztuka. Po tem go także poznaję. Inny wyrabiałby sceny, krzyczał i śpiewał, jak kocioł z wodą wrzącą na ogniu, że nie chciałby być Janem Valjean et cetera. On zaś udaje, że niczego nie rozumie, i mówi: Jestem Champmathieu i od tego nie odstąpię. Udaje zdziwionego, głupca, to daleko dowcipniej. O przebiegły łotr! ale nic nie pomoże, są dowody. Poznały go cztery osoby; stary niegodziwiec będzie potępiony. Odesłano go do sądu kryminalnego w Arras. Wyjeżdżam tam zaraz jako świadek.

P. Madeleine zabrał się do pracy, przewracał spokojnie akta, notował, czytając i pisząc jak człowiek zajęty. Nagle obrócił się do Javerta i rzekł:

— Dość tego, mój Jawercie. Prawdę mówiąc, szczegóły te niewiele mnie obchodzą. Tracimy czas drogi, a mamy pilne sprawy. Javert, udasz się pan bezwłocznie do poczciwej kobiety Buseaupied, która sprzedaje warzywa na rogu ulicy Ś-go Salwjana. Po-

wiesz jej pan, żeby zaniosła skargę na woźnicę Piotra Chesnalong. To brutal, o mało nie zabił tej kobiety i jej dziecka. Trzeba go ukarać. Dalej, pójdziesz pan do pana Chercellay, ulica Montre de Champigny. Skarży się, że z rynny sąsiedniego domu ścieka deszcz do niego i podmywa fundamenta jego kamienicy. Następnie sprawdzisz pan przestępstwa policyjne, na ulicy Guiborg u wdowy Doris, i na ulicy Gavraud Blanc u pani Renée le Bossé, i spiszesz protokuł. Ale daję panu zawiele roboty. Podobno odjeżdżasz? wszak mówiłeś, że się udajesz do Arras, za tydzień czy dziesięć dni?

— Wcześniej, panie merze.

— Kiedyż?

— Zdaje mi się, że powiedziałem panu merowi, iż sprawa sądzoną będzie jutro, i że dziś w nocy odjeżdżam dyliżansem.

Pan Madeleine poruszył się nieznacznie.

— A jak długo potrwa preces?

— Dzień najwięcej. Najdalej jutro w nocy zapadnie wyrok. Nie będę jednak czekał wyroku, który jest naprzód wiadomy, i jak tylko złożę zeznanie, powrócę.

— Dobrze — rzekł p. Madeleine.

I skinieniem ręki pożegnał Javerta.

Javert nie odchodził.

— Przepraszam pana mera, ale...

— Cóż tam znowu? — zapytał pan Madeleine.

— Panie merze, muszę przypomnieć panu jedną prośbę.

— Jaką?

— Że powinienem być wydalony ze służby.

P. Madeleine się podniósł.

— Jawert, jesteś człowiek honorowy i mam dla ciebie szacunek. Przesadzasz swoją winę. Zresztą jest to także obraza mnie dotycząca. Javert, zasługujesz raczej na awans, niż na dymisję. Chcę, żebyś pozostał na swej posadzie.

Javert spojrzał na pana Madeleine źrenicą pełną

szczeroty, w której głębi dostrzegałeś mało oświecone, ale surowe i niezachwiane sumienie, i rzekł spokojnie:

— Panie merze, nie mogę się na to zgodzić.

— Powtarzam panu — odparł Madeleine — że to rzecz moja.

Ale Javert, zajęty jedną myślą, mówił dalej:

— Co do przesady, bynajmniej nie przesadzam. Rozumuję sobie w ten sposób. Podejrzywałam pana niesprawiedliwie. To jeszcze rzecz mała. My policjanci mamy prawo podejrzywać, chociaż jest nadużyciem podejrzywać wyższego urzędnika. Ale ja, bez dowodów, w przystępie gniewu, w celu zemsty, denuncjowałem jako galernika, pana, szanownego męża, mera, wysokiego urzędnika! To błąd ciężki, bardzo ciężki. Obraziłem władzę w pańskiej osobie, ja, ajent władzy! Gdyby który z moich podwładnych uczynił to, co ja uczyniłem, wygnałbym go bez litości, jako niegodnego służby. A co?—Jeszcze słówko, panie merze. Często byłem surowym dla drugich. I sprawiedliwie; czyniłem dobrze. Jeżeli teraz nie będę surowym względem siebie, cokolwiek uczyniłem sprawiedliwego, stanie się niesprawiedliwem. Mamże oszczędzać siebie bardziej niż drugich? Nie. Jakto! Byłżebym na to tylko, by karać drugich, a siebie nie: ależ w takim razie byłbym nędznikiem! ależ ci, co mówią: łajdak Javert! mieliby słuszność! Panie merze, nie żądam, abyś się obchodził ze mną z dobrocią; pańska dobroć dużo mi krwi napsuła, gdy ją okazywałeś drugim, więc jej nie chce dla siebie. Dobroć, która przyznaje słuszność nierządnicy przeciw obywatelowi, ajentowi policji przeciw merowi, człowiekowi bez znaczenia przeciwko zajmującemu wysokie stanowisko, taką dobroć nazywam złą. Z taką to dobrocią upada społeczeństwo. Miły Boże! nic łatwiejszego jak być dobrym; cała trudność być sprawiedliwym. Wierz mi pan! gdybyś był tem, czem cię podejrzywałem niesłusznie, o pewnie nie byłbym dobrym dla pana! Przekonałbyś się! Panie merze, powinienem z tobą obchodzić się,

tak jak z innymi. Gdym karcił złoczyńców, gdym się srożył na hultajów, często mówiłem do siebie: słuchaj, jeżeli w czem się potkniesz, jeżeli cię schwytam na jakiej zdrożności, biada ci!—Potknąłem się, schwytałem na gorącym uczynku, tem gorzej! Trzeba mię zdegradować, wypędzić! To konieczność. Mam zdrowe ręce, najmę się za parobka, wszystko mi jedno. Panie merze, dobro służby wymaga przykładu. Żądam poprostu oddalenia ze służby inspektora Javert.

Wszystko to mówił tonem pokornym i dumnym, z rozpaczą i głębokiem przekonaniem, i mimowoli upatrywałeś jakąś dziwaczną wielkość w tym dziwnie uczciwym człowieku.

— Zobaczymy — rzekł p. Madeleine.

I podał mu rękę.

Javert cofnął się i rzekł dzikim tonem:

— Przepraszam pana mera, to być nie może.

Potem nizko się ukłonił i szedł ku drzwiom.

Tu zatrzymał się i rzekł, spuściwszy oczy:

— Panie merze, pozostaję w służbie, dopóki nie otrzymam dymisji.

Wyszedł. P. Madeleine zamyślony słyszał rozlegający się po posadzce korytarza jego chód pewny i mocny.

KSIĘGA SIÓDMA

SPRAWA CHAMPMATHIEU.

I.

Siostra Symplicja.

Zadrzenia, które niżej opowiemy, nie wszystkie były znane w M. — nad M. — I to jednak, co doszło do wiadomości miasta, wyryło tak niezatarte wspomnienia, że brakowałoby wiele naszej książce, gdybyśmy nie opowiedzieli najdrobniejszych tych zdarzeń.

W szczegółach tych czytelnik spotka się z dwiema lub trzema okolicznościami nieprawdopodobnemi, które zachowaliśmy przez szacunek dla prawdy.

Popołudniu, po rozmowie z Javertem, p. Madeleine o zwykłej godzinie poszedł odwiedzić Fantinę.

Nim wszedł do jej sali, kazał prosić siostrę Symplicją.

Dwie zakonnice, które usługiwały w infirmerji, panny zgromadzenia Ś-go Wincentego à Paulo, jak wszystkie Siostry Miłosierdzia, nazywały się: siostra Perpetua, i siostra Symplicja.

Siostra Perpetua była to prosta wieśniaczka, po chłopsku siostra miłosierdzia, która wstąpiła do klasztoru, jak na zwyczajną służbę. Została zakonnicą jak inna kucharką. Typ dość pospolity. Zgromadzenia zakonne we Francji chętnie przyjmują tę ciężką glinę wieśniaczą, z której łatwo wyrabiają się kapucyni i urszulinki. To prostactwo używa się do grubych robót klasztornych. Przemiana parobka w ka-

pucyna nic nie ma rażącego; jeden staje się drugim bez zachodu i wielkiej pracy; wspólne tło ciemnoty wiejskiej i klasztornej jest doskonałem przygotowaniem i odrazu czyni zakonnika z kmiecia. Nieco obszerniejsza siermięga — macie habit. Siostra Perpetua była to krzepka zakonnica z pod Pontoise, mówiąca z chłopska, śpiewająca psalmy, zrzędna, cukrząca rumianek według bigoterji lub obłudy chorego, burcząca na chorych, opryskliwa z umierającymi, rzucająca im w twarz Pana Boga, kamienująca ich gniewnemi modłami, śmiała poczciwa i jak rydz czerwona.

Siostra Symplicja była biała, białością woskową. Przy siostrze Perpetui wyglądała jak świeca jarząca przy łojówce. Wincenty à Paulo bosko skreślił przeznaczenie siostry miłosierdzia w tych przedziwnych słowach, w których wielka swoboda łączy się z wielką służebnością: „Monasterem ich będzie dom chorych, celą izba najęta, kaplicą kościół ich parafji, klasztorem ulice miasta lub sale szpitalne, zamknięciem posłuszeństwo, kratą bojaźń Boża, zasłoną skromność.“ Ten ideał żył w siostrze Symplicji. Niktby z pewnością nie powiedział, ile lat miała; nigdy nie była młodą i zdawało się, że nigdy nie zestarzeje. Była to osoba — nie śmiemy powiedzieć kobieta — łagodna, surowej pobożności, dobrze wychowana, zimna, nie zdolna skłamać. Nadzwyczaj łagodna, zdawała się wątłą, a była wytrwałą jak granit. Dotykała nieszczęśliwych ślicznemi palcami delikatnemi i miękiemi. W jej słowach było, że tak powiem, milczenie; mówiła tyle tylko, ile konieczność wymagała; dźwięk jej głosu zbudowałby spowiednika i zachwycił salonowca. Ta delikatność wybornie się godziła z grubą suknią zakonną, znajdując w szorstkiem zetknięciu nieustanne przypomnienie nieba i Boga. Kładziemy nacisk na jeden szczegół. Nigdy nie skłamać, nie rzec nawet najobojętniejszego słówka, któreby nie było szczerą prawdą, — święta miłość prawdy, był wybitny rys siostry Symplicji, główne znamię jej charakteru. Sła-

wną też była w całem zgromadzeniu z tej niezachwianej prawdomówności. Ksiądz Sicard mówi o siostrze Symplicji w liście do głuchoniemego Massieu: „Choćbyśmy byli najszczerszymi i najczystszymi, zawsze na naszej szczerocie znajdą się skazy małego niewinnego kłamstwa.“ Ona ich nie miała. Czyż są małe kłamstwa, kłamstwa niewinne? Kłamstwo to złe bezwzględne. Nie można trochę kłamać; kto kłamie, kłamie zupełnie; kłamstwo jest obliczem szatana; szatan ma dwa nazwiska: nazywa się szatan i nazywa się kłamstwo. Tak sobie myślała, i jak myślała, czyniła. Ztąd pochodziła jej białość, o której mówiliśmy, białość promieńmi swemi otaczająca usta i oczy. Uśmiech jej był biały i spojrzenie białe. Na szybie tego sumienia nie było najdrobniejszej pajęczynki ani źdźiebełka kurzu. Wchodząc do zgromadzenia Ś-go Wincetego à Paulo, sama wybrała imię Symplicji. Symplicja Sycylijska, jak wiadomo, pozwoliła raczej wyrwać sobie piersi, byle nie skłamać, że urodziła się w Segescie, kiedy pochodziła z Syrakuzy: kłamstwo byłoby ją ocaliło. Taka patronka była stosowną dla tej duszy.

Siostra Symplicja, wchodząc do zgromadzenia, miała dwie wady, z których poprawiła się z czasem; lubiła jeść łakocie i odbierać listy. Później zawsze czytała tylko z łacińskiej książki do nabożeństwa. Nie bardzo rozumiała łacinę, ale doskonale rozumiała książkę.

Świątobliwa panna polubiła Fantinę, prawdopodobnie przeczuwając w niej cnotę ukrytą, i prawie wyłącznie zajęła się jej pielęgnowaniem.

P. Madeleine odprowadził na ustęp siostrę Symplicję i polecił jej Fantinę jakimś dźwiękiem głosu szczególnym, który długo pamiętała siostra.

Opuściwszy siostrę, zbliżył się do Fantiny. Fantina każdego dnia wyglądała p. Madeleine, jak promieni ciepła i radości. Mówiła do sióstr: — Czuję, kiedy pan mer przychodzi.

W dniu tym gorączka się wzmogła. Ujrzawszy p. Madeleine, zapytała:

— A Cozetta?

Odpowiedział z uśmiechem:

— Wkrótce!

P. Madeleine rozmawiał z Fantiną jak zwykle, tylko dłużej. Ku wielkiej jej radości zabawił całą godzinę, zamiast połowy. Prosił wszystkich, by niczego nie brakowało chorej. Zauważono, że przez chwilę twarz jego nachmurzyła się posępnie. Później wytłumaczono to, dowiedziawszy się, że lekarz szepnął mu do ucha:

— Niknie w oczach.

Następnie wrócił do biura i posługujący chłopiec widział, jak z wielką uwagą wpatrywał się w mapę dróg Francji, która wisiała w jego gabinecie. Napisał ołówkiem kilka cyfr na kawałku papieru.

II.

Przenikliwość majstra Scaufflaire.

Z biura poszedł na koniec miasta do flamandczyka, majstra Scaufflaer, z francuzka Scaufflaire, który wynajmował konie.

Najkrótszą drogą do Scaufflaira była mało uczęszczana ulica, przy której stała plebania parafji p. Madeleine. Proboszcz jej, jak mówiono, był człowiek zacny, szanowny i dający dobre rady. W chwili, gdy p. Madeleine mijał plebanję, na ulicy był tylko jeden przechodzień i ten przechodzień zauważył, że p. mer, minąwszy plebanję, zatrzymał się, postał nieruchomy, później wrócił do drzwi mieszkania proboszcza, schwycił już za sznurek od dzwonka, lecz zatrzymał się znowu, zamyślił, i po kilku sekundach, zamiast pociągnąć sznurek, lekko go puścił i poszedł dalej, śpieszniej niż wprzódy.

P. Madeleine zastał majstra Scaufflaire zajętego naprawianiem uprzęży.

— Majstrze Scaufflaire—zapytał—czy masz dobrego konia?

— Panie merze—odpowiedział flamandczyk—moje konie wszystkie są dobre. Co pan rozumie przez dobrego konia?

— Rozumiem konia, który może zrobić dwadzieścia mil dziennie.

— Do licha!—rzekł flamandczyk—dwadzieścia mil!
— Tak.
— Zaprzężony do kabrjoletu?
— Tak.
— A jak długo ma odpoczywać po jeździe?
— W potrzebie odjedzie nazajutrz.
— Żeby odbyć tę samą drogę?
— Tak.
— Do djabła! czy pewno mil dwadzieścia?

P. Madeleine wyjął z kieszeni papier, na którym napisał ołówkiem cyfry. Pokazał go flamandczykowi. Stały liczby 5, 6, $8^1/_2$.

— Widzicie—rzekł. Razem dziewiętnaście i pół, wyjdzie to na jedno, co dwadzieścia mil.

— Panie merze—odpowiedział flamandczyk—mam, czego panu trzeba. Mój biały konik, zapewne go pan widział kiedy, pochodzi z dolnego Boulonnais. Jest pełen ognia. Chciano zrobić z niego wierzchowca. Ba! wierzgał i zrzucał wszystkich. Myślano, że narowny, nie wiedziano, co z nim zrobić. Kupiłem go i zaprzęgłem do kabrjoletu. Panie merze, tego mu właśnie było potrzeba; łaskawy jak panienka, a pędzi jak wicher. Naturalnie! na grzbiet mu nie siadaj. Nie życzy sobie być wierzchowcem. Każdy ma swoją ambicję. Ciągnąć, i owszem; nosić, nie; musiał sobie to powiedzieć.

— I przebiegnie drogi? . . .

— Pańskie mil dwadzieścia, dobrym kłusem, w ośmiu niespełna godzinach. Ale pod pewnemi warunkami.

— Mówcie.

— Naprzód, pozwolisz mu pan wytchnąć godzinę w połowie drogi; będzie jadł, a pan nie pozwoli, żeby chłopiec z oberży wykradał mu owies, bo zauważyłem, że w oberżach owies częściej przepijają chłopcy niż zjadają konie.

— Będę doglądał.

— Powtóre... czy to dla pana mera ten kabrjolet?

— Dla mnie.

— Pan umie powozić?

— Umiem.

— A więc, pan mer pojedzie sam, bez bagaży, żeby nie obciążać konia.

— Zgoda.

— Ale pan mer nie mając nikogo z sobą, raczy sam pilnować owsa.

— Już mówiłem.

— Żądam trzydzieści franków dziennie. Płaci się tak samo za dni spoczynku. Ani szeląga mniej, żywienie konia należy do pana mera.

P. Madeleine wyjął z sakiewki trzy napoleony i położył na stole.

— Oto za dwa dni z góry.

— Poczwarte, do takiej jazdy kabrjolet byłby zaciężki i zmęczyłby konia. Pan mer zgodzi się podróżować w małym tilbury?

— Zgodzę.

— Jest lekki, ale odkryty.

— Wszystko mi jedno.

— Czy pan mer zastanowił się, że mamy zimę?..

P. Madeleine nie odpowiedział; flamandczyk mówił dalej:

— Że chłód przejmujący?

P. Madeleine milczał.

— Że może deszcz padać?

P. Madeleine podniósł głowę i rzekł:

— Tilbury i koń będą jutro przed memi drzwiami o wpół do piątej zrana.

— Stanie się tak, panie merze — odpowiedział Scaufflaire; potem drapiąc paznokciem wielkiego palca plamę na stole, mówił dalej tonem obojętnym, którym flamandczycy umieją pokryć swą przebiegłość.

— Ale, dopierom teraz sobie przypomniał! Pan mer nie powiedział mi, dokąd jedzie. Gdzież to udaje się pan mer?

Od początku rozmowy o niczem innem nie myślał, ale jakoś, nie wiedząc dlaczego, nie śmiał zadać pytania.

— Czy wasz koń mocne ma przednie nogi?—zapytał p. Madeleine?

— Doskonałe, panie merze. Będzie go pan nieco powściągał przy zjeżdżaniu z góry. Dużo jest pagórków tam, gdzie się pan udaje?

— Nie zapomnij pan stawić konia punkt o wpół do piątej rano, odpowiedział p. Madeleine i wyszedł.

Flamandczyk zgłupiał zupełnie, jak później sam opowiadał.

P. mer wyszedł od kilku minut, gdy znowu drzwi się otworzyły; był to p. mer.

Zawsze miał tę samą minę zimną i roztargnioną.

— Panie Scaufflaire — rzekł — ile cenisz konia i tilbury, które od pana najmuję?

— Czy p. mer chce je kupić?

— Nie, ale na wszelki wypadek, chcę żebyś nie miał straty. Za powrotem oddasz mi pan pieniądze. Ile za kabrjolet i konia?

— Pięćset franków, panie merze.

— Oto je masz.

P. Madeleine położył na stole bilet bankowy i wyszedł; tym razem już nie wrócił.

Majster Scaufflaire okrutnie żałował, że nie powiedział tysiąc franków. Zresztą koń i tilbury razem warte były sto talarów.

Flamandczyk przywołał żonę i opowiedział całą przygodę. Gdzie u djabła pan mer może jechać? Złożyli radę.—Udaje się do Paryża—rzekła żona.—Nie zdaje mi się—odparł mąż.—P. Madeleine zapomniał na kominku papier z cyframi. Flamandczyk wziął go i rozważał. — Pięć, sześć, ośm i pół? to widać znaczy stacje pocztowe. Obrócił się do żony. — Odgadłem!— Jakim sposobem? — Ztąd jest pięć mil do Hesdin,

z Hesdin sześć do Saint-Pol, ośm i pół z Saint-Pol do Arras. Jedzie do Arras.

P. Madeleine powrócił do domu. Wychodząc od majstra Scaufflaire, obrał najdłuższą drogę, jak gdyby drzwi plebanji wiodły go na pokuszenie i usiłował ich uniknąć. Wszedł do swego pokoju, zamknął się, co zdawało się rzeczą bardzo prostą, zwykle bowiem wcześnie spać chodził. Wszelako odźwierna fabryki, która zarazem była jedyną służącą p. Madeleina, spostrzegłszy, że świeca zgasła o wpół do dziewiątej, powiedziała to wracającemu kasjerowi, dodając:

— Może pan mer zachorował? miał jakąś osobliwszą minę.

Kasjer mieszkał na dole pod samym pokojem p. Madeleine.

Nie zwrócił uwagi na słowa odźwiernej, położył się i zasnął. Około północy nagle się obudził; przez sen słyszał jakiś hałas nad głową. Wytężył słuch. Ktoś chodził po pokoju na górze. Przysłuchawszy się uważniej, poznał kroki pana Madeleine. Zdziwiło go to, bo zwykle aż do rana panowała zupełna cisza w pokoju p. Madeleine. Po chwili usłyszał coś nakształt otwierania i zamykania szafy. Później usunięto ciężki mebel, nastała cisza, i znowu rozpoczęło się chodzenie. Kasjer wybił się ze snu, usiadł na łóżku, spojrzał przez okno i zobaczył na murze naprzeciwko czerwone odbicie światła z okien. Wniósł z kierunku promieni, że światło wychodziło z okna pokoju p. Madeleine. Jasny odblask drgał, jakby w pokoju palił się ogień nie świeca. Ramy szyb nie rzucały cienia, co wskazywało, że okno było zupełnie otwarte. Okno otwarte w zimie, rzecz zadziwiająca. Kasjer usnął. W parę godzin obudził się znowu. To samo stąpanie regularne rozlegało się nad głową.

Odblask światła rysował się na murze, ale był blady i spokojny, jak odbicie lampy lub świecy. Okno ciągle otwarte.

Opowiedzmy, co się działo w pokoju p. Madeleine.

III.

Burza pod czaszką.

Czytelnik niewątpliwie odgadł, że p. Madeleine nie kim innym był, tylko Janem Valjean.

Zaglądaliśmy już w głębiny tego sumienia; nadeszła chwila zajrzyć tam raz jeszcze. Czynimy to wzruszeni i drżący. Nic bardziej nie przejmuje grozą, jak tego rodzaju badanie. Oko ducha nigdzie nie znajduje tyle olśnienia i ciemności, jak w człowieku; nie spotka przedmiotu, coby był straszniejszym, bardziej zawikłanym, tajemniczym i nieskończonym. Jest widowisko wspanialsze od morza — niebo; jest widowisko wznioślejsze od niebios — wnętrze duszy.

By napisać poemat ludzkiego sumienia, choćby tylko z powodu jednego człowieka, choćby z powodu najnędzniejszego z ludzi, jużby trzeba było zlać wszystkie epopeje w jedną wyższą, wznioślejszą i ostateczną. Sumienie, to odmęt złudzeń, pragnień, pożądań i pokuszeń, piec ognisty marzeń, jaskinia myśli, których się wstydzimy; to pandemonjum fałszów ułudnych, pole bitwy namiętności. W pewnych chwilach przeniknij wskróś bladą twarz myślącej istoty ludzkiej, dobierz się do wnętrza, zajrzyj w głąb duszy, spojrzyj w te ciemności nocy. Znajdziesz tam, pod milczeniem zewnętrznem, walki olbrzymów jak w Homerze, starcia

smoków z hydrami, ćmy widm jak w Miltonie, wężownice widziadeł jak w Dancie. Ponurą jest ta nieskończoność, którą każdy człowiek nosi w sobie, z rozpaczą przymierzając do niej wolę swego ducha i czynności swego życia.

Jednego dnia Alighieri natrafił na drzwi złowrogie, przed któremi się zawahał. Takie drzwi stoją przed nami i wahamy się u ich progu.

Nie wiele zostaje nam dodać do tego, co już wie czytelnik o losach Jana Valjean, od przygody z Gerwazkiem. Od tej chwili, jakeśmy widzieli, stał się innym człowiekiem. Cokolwiek biskup chciał z niego zrobić, zrobił. Nie była to zmiana, ale przemienienie.

Valjean zdołał umknąć, zniknąć, sprzedał srebra biskupa, zachował tylko świeczniki na pamiątkę, wciskał się z jednego miasta do drugiego, przebiegł całą Francję, przybył do M. — nad M. — wpadł na szczęśliwy pomysł, któryśmy opowiedzieli, zdołał stać się nieujętym i niedostępnym, i odtąd osiadłszy w M. — nad M. — szczęśliwy, że sumienie jego smuciło się przeszłością, a druga część życia była w sprzeczności z pierwszą, żył spokojnie, bezpiecznie, pełen nadziei, dwiema tylko zajęty myślami: jak ukryć swoje nazwisko i uświętobliwić życie: wymknąć się ludziom, a wrócić do Boga.

Dwie te myśli tak ściśle były złączone w jego umyśle, że tworzyły tylko jedną; obydwie przeważne i górujące, kierowały najdrobniejszemi jego czynnościami. Pospolicie obydwie zgodnie wpływały na jego postępowanie; kazały mu kryć się w cieniu, być życzliwym, łagodnym i prostym; radziły jedno i to samo. Wszelako niekiedy ścierały się z sobą. W takich razach, jakeśmy widzieli, człowiek, którego cała okolica M. — nad M. — nazywała p. Madeleine, nie wahał się poświęcić pierwszą dla drugiej, bezpieczeństwo osobiste dla cnoty. Tak, na przekór względom ostro-

żności, chował świeczniki biskupa, nosił po nim żałobę, przywoływał i rozpytywał małych Sabaudczyków wędrownych, dowiadywał się o krewnych w Faverolles, i ocalił życie staremu Fauchelevent, nie zważając na niepokojące podejrzenia Javerta. Zdawało się, że na wzór mędrców starożytności, mężów świętych i sprawiedliwych, sądził, iż najpierwszy jego obowiązek nie był względem siebie.

Jednakże wyznać trzeba, że nigdy nie był w takim przypadku, jak obecnie.

Nigdy dwie myśli, rządzące nieszczęśliwym człowiekiem, którego opowiadamy cierpienia, nie stoczyły tak zaciętej walki. Zrozumiał to niewyraźnie, ale głęboko zaraz po pierwszych słowach Javerta. W chwili, gdy w tak dziwny sposób wyrzeczone zostało nazwisko, które starannie i głęboko zakopał, krew lodem ścięła mu się w żyłach na widok złowrogiego dziwactwa losów, i zadrżał, przeczuwając straszne wstrząśnienia; pochylił głowę jak dąb przed zbliżającą się burzą, jak żołnierz w chwili przypuszczenia szturmu. Czuł, że nad jego głową przeciągają chmury, pełne piorunów i błyskawic. Jeszcze słuchając Javerta, pierwszą jego myślą było iść, pobiedz, denuncjować się, wydobyć Champmathieu z więzienia i samemu zająć jego miejsce; myśl bolesna, dojmująca jak nacięcie w żywem ciele; prędko jednak przemknęła i rzekł do siebie: Zobaczymy! zobaczymy! — Stłumił pierwszy popęd szlachetny i cofnął się przed heroizmem.

Byłoby rzeczą piękną niewątpliwie, gdyby po świętych słowach biskupa, po tylu latach żalu i zaparcia, wśród pokuty przedziwnie rozpoczętej, ten człowiek nie potknął się ani chwili, nawet w obec tak strasznej przyszłości i zawsze szedł krokiem pewnym ku otwartej przepaści, w głębi której było niebo; zaiste, byłoby to bardzo piękne, ale inaczej w rzeczywistości się stało. Musiemy niestety, zdawać sprawę z tego, co się działo w jego duszy i możemy tylko mówić to, co w istocie w niej było. Pierwsze

zwycięztwo odniósł instynkt zachowawczy: naprędce zebrał myśli, stłumił wzruszenie, zważył niebezpieczeństwo obecności Javerta, odroczył wszelkie postanowienie z mocą i stanowczością przestrachu, zagłuszył myśl o przyszłości i odzykał spokojność, jak gladjator podnoszący tarczę.

W takim stanie przepędził resztę dnia z nawałnicą w duszy, z głębokim spokojem na twarzy; przedsięwziął jedynie to, coby nazwać można „środkami zachowawczemi.“ W jego głowie wszystko jeszcze mięszało się, ścierało; zamęt był tak wielki, że nie odróżniał żadnej myśli i chyba to jedno mógłby powiedzieć o sobie, że dosięgnął go cios śmiertelny. Jak zwykle, poszedł do łoża boleści Fantiny, przedłużył odwiedziny, wiedziony instynktem dobroci i mówiąc sobie, że należy tak postąpić, polecając ją opiece sióstr, na przypadek długiej nieobecności. Niby przez mgłę przewidywał, że może wypadnie mu udać się do Arras, i bynajmniej nie zdecydowawszy się na tę podróż, powiedział sobie, że będąc zupełnie wolnym od wszelkich podejrzeń, mógł bez narażenia się być obecnym w sali sądowej; dlatego zamówił tilbury u Scaufflaira, by przygotować się na wszelki wypadek.

Zjadł obiad z dość dobrym apetytem.

Wróciwszy do pokoju, zebrał myśli.

Rozważył położenie i wydało mu się niesłychane, tak dalece niesłychane, że pogrążony w marzeniach, pod wpływem jakiejś niewytłumaczonej obawy, podniósł się z krzesła i zamknął drzwi na klucz. Obawiał się, żeby kto nie wszedł. Warował się przeciw możliwemu niebezpieczeństwu.

Po chwili zgasił świecę. Świeca go niepokoiła.

Zdawało mu się, że go zobaczą.

Zobaczą? Kto taki?

Niestety! co chciał wyrzucić za drzwi, weszło, co chciał oślepić, patrzyło nań iskrzącemi oczami: — jego sumienie.

Jego sumienie, to jest Bóg.

A jednak w pierwszej chwili łudził się biedny; czuł pewne bezpieczeństwo w samotności: zasunąwszy rygiel, zdało mu się, że jest nieujęty; zgasiwszy świecę, miał się za niewidzialnego. Wówczas zapanował nad sobą, wsparł się łokciami na stole, głowę skrył w dłoniach i zaczął myśleć w ciemnościach.

— Gdzie jestem? — Nie jestżem sam igraszką? — Co mi mówiono? — Prawdaż to, że widziałem Javerta i że on mi to mówił? — Co za jeden ów Champmathieu? — Więc między nami jest podobieństwo? — Może to być?

— Ach! wczoraj jeszcze tak byłem spokojny, nie przeczuwający niczego! — Com robił wczoraj o tej samej godzinie? — Co wyniknie z tego zdarzenia? — Jak się rozwiąże? — Co czynić?

Tak dręczył się nieustannie. Umysł jego nie miał już siły się zatrzymać, myśli przesuwały się jak fale: żeby je zatrzymać, chwytał się za czoło.

Z tego zgiełku, burzącego wolę i rozum, napróżno usiłował wydobyć myśl jasną i mocne postanowienie; dobywał tylko trwogę śmiertelną.

Głowa mu płonęła. Poszedł do okna i otworzył je na rozcież. Na niebie nie było ani jednej gwiazdy. Wrócił i usiadł przy stole.

Tak upłynęła pierwsza godzina.

Powoli w rozmyślaniach jego tworzyły się i utrwalały słabe zarysy, mógł z dokładnością rzeczywistości widzieć nie ogół położenia, ale przynajmiej niektóre szczegóły.

Najprzód poznał, że jakkolwiek znajdował się w nadzwyczajnem i krytycznem położeniu, był przecież zupełnie jego panem.

Zdumienie bardziej wzrosło.

Niezależnie do religijnego i świętego celu swych postępków, cokolwiek dotychczas czynił, było jakby kopaniem dołu w którym usiłował zagrzebać swoje nazwisko. W godzinach rachunku sumienia, wśród nocy bezsennych, lękał się najbardziej, by nigdy nie

usłyszał wymówionego swego nazwiska; mówił sobie, że to by było jego zgubą; że w dniu, w którymby to nazwisko na jaw wyszło, na zawsze znikłoby jego nowe życie, a kto wie? może i nowa jego dusza. Na samą tę myśl drżał jak listek. Zaiste, gdyby mu powiedziano w tych chwilach niepokoju i obawy, że wybije godzina, gdy to nazwisko obije się o jego uszy, gdy ów ohydny wyraz Jan Valjean nagle wysunie się z przepaści nocy i stanie przed nim; gdy to straszne światło, mające rozproszyć tajemnicę, którą się otaczał, zapłonie łuną nad jego głową; gdyby mu powiedziano, że to nazwisko nie będzie mu grozić, że to światło sprawi jeszcze ciemności, że ta zasłona rozdarta zdwoi tajemnicę, że to trzęsienie ziemi utrwali jego budynek, że jakkolwiekbądź, ten dziwny wypadek uczyni tylko pogodniejszym i zarazem bardziej niedocieczonym byt jego, i że z tego stawienia na oczy z widmem Jana Valjean, dobry i zacny obywatel pan Madeleine wyjdzie więcej poważanym, spokojniejszym i szanowniejszym niż kiedy: — gdyby mu to powiedziano, potrząsnąłby głową i nazwał szalonemi te słowa. A jednak wszystko to właśnie się zdarzyło, cały ów stos niepodobieństw był faktem i Bóg dozwolił, że te rzeczy szalone stały się rzeczywistemi!

Marzenia jego zaczynały się wyjaśniać. Coraz dokładniej zdawał sobie sprawę z położenia.

Zdało mu się, że zbudził się z jakiegoś snu przykrego, że zawisł na pochyłości wśród nocy i że stał drżący, cofając się daremnie nad brzegiem przepaści. Wyraźnie widział w cieniu jakiegoś nieznajomego, obcego; dziwaczne losy, biorąc jednego za drugiego, zamiast niego popychały w otchłań owego przybysza. Przepaść się nie zamknie, dopóki jeden z nich w nią nie wpadnie: on, albo ten drugi.

Dość mu było zdać się na zrządzenie losów.

Wyjaśniło się zupełnie; poznał, że jego miejsce na galerach było próżne, że cokolwiek uczyni, nie uniknie kajdan, że okradzenie Gerwazka wrzuca go

do więzienia, że to próżne miejsce na galerach czekać go i przyciągać będzie dopóty, aż go nie zajmie, że taki jest los jego nieuchronny, fatalny. Później mówił do siebie, że w tej chwili miał zastępcę, że jakiś Champmathieu miał ten smutny los w udziale, on zaś odtąd obecny na galerach w osobie tego Champmathieu i obecny w społeczeństwie pod nazwą p. Madeleine, nie miał się już czego obawiać, jeśli nie przeszkodzi ludziom zapieczętować na głowie owego Champmathieu kamienia niesławy, który jak kamień grobowy, zapada i nie podnosi się więcej.

Wszystko to było tak gwałtowne i tak dziwne, że nagle w jego duszy stał się jakiś ruch nieopisany, którego człowiek ledwie dwa lub trzy razy doświadcza w życiu; coś nakształt konwulsji sumienia, poruszających wszystkie wątpliwości serca, konwulsji pełnych ironji, radości i rozpaczy, któreby nazwać można wewnętrznym wybuchem śmiechu. Zerwał się z krzesła i zapalił świecę.

— A więc—rzekł do siebie—czegóż się lękam? po co tak rozmyślam? Wszakem ocalał! wszystko skończone! Jedne tylko drzwi były otwarte, któremi przeszłość moja mogła wedrzeć się do teraźniejszego życia. Otóż te drzwi są zamurowane na zawsze! Ten Javert, który mnie oddawna niepokoi, ten straszny instynkt, który zdawał się mnie odgadnąć, przebóg! który mnie odgadł, i który mnie ścigał wszędzie, ten srogi pies gończy mnie tropiący: dziś zmylony, oszukany, zajął się gdzieindziej, zupełnie zgubił me ślady! Zadowolony pomyłką, zostawi mnie w pokoju, bo trzyma swego Jana Valjean! Kto wie, może nawet zechce opuścić miasto! I to wszystko stanie się bezemnie, bez żadnego z mej strony udziału! Tak, ale dla czegóż upatruję w tem jakieś nieszczęście? Ktoby mnie ujrzał, byłby na honor pomyślał, że dotknęła mnie jaka katastrofa. Zresztą, jeśli nieszczęście kogo spotyka, nie moja to bynajmniej wina. Opatrzność wszystko zrządziła! Widocznie sama chce tego. Mamże prawo niweczyć jej

zrządzenia? O cóż mi teraz chodzi, w co się chcę mięszać? to nie moja sprawa. Jakto! nie jestem zadowolony? więc czegóż mi trzeba więcej? To bezpieczeństwo, cel, ku któremu od tylu lat dążę, marzenia nocy bezsennych, przedmiot modłów gorących, wszakże je mam teraz zupełne! Tak Bóg chce. Mamże iść przeciw woli Bożej? A dlaczego Bóg tak chce? Abym prowadził życie jakiem rozpoczął, abym z czasem stał się przykładem wielkim i zachęcającym, aby powiedziano, że jest nareszcie trochę szczęścia przywiązanego do pokuty, którą odbywam i cnoty, do której wróciłem. Doprawdy nie pojmuję, dlaczego przed chwilą bałem się wejść do poczciwego proboszcza, opowiedzieć mu wszystko jak spowiednikowi i prosić go o radę; oczywiście byłby mi to samo powiedział. Rzecz postanowiona! Zostawmy wypadki ich biegowi, niech się dzieje wola Boża!

Tak mówił do siebie, w głębinach sumienia, pochylony, że tak powiem, nad własną przepaścią. Podniósł się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju. — No — rzekł — nie myślmy już o tem. Postanowienie powzięte. Nie czuł jednak żadnej radości.

Przeciwnie.

Jak nie przeszkodzisz morzu powrócić do brzegu, tak niepodobna przeszkodzić myśli, by nie wróciła do pierwszej idei. Majtek nazywa to przypływem morza, winowajca — zgryzotami sumienia. Bóg podnosi duszę jak ocean.

Po kilku chwilach mimowolnie rozpoczął znowu ten ponury djalog, w którym sam mówił i sam słuchał: mówił, coby chciał przemilczeć, słuchał, czegoby nie chciał słyszeć. Ulegał on tej potędze tajemniczej, która wołała na niego: myśl! jak przed dwoma tysiącami lat wołali na innego potępieńca: idź!

Nim pójdziemy dalej, by dobrze nas zrozumiano, dodajemy tu jedną konieczną uwagę.

Jest pewnem, że człowiek rozmawia z sobą; nie ma istoty myślącej, którąby tego nie doświadczyła.

Rzec nawet można, że słowo nie ma wspanialszej tajemnicy, jak gdy wewnątrz człowieka przechodzi od myśli do sumienia i powraca od sumienia do myśli. W tem też tylko znaczeniu brać trzeba wyrazy, często używane w tym rozdziale: *rzekł, zawołał*; mówimy do siebie, rozmawiamy z sobą, wołamy w sobie, nie przerywając zewnętrznego milczenia. W wielkim zamęcie wszystko w nas mówi, usta tylko milczą. Rzeczywistości duszy choć niewidzialne i nieujęte, niemniej są rzeczywistościami.

Pytał się więc, na czem stanął. Rozważał powzięte postanowienie. Wyznał przed sobą, że cokolwiek dotychczas ułożył w duchu, było potwornem, że zostawić wypadki ich biegowi, i opuściwszy ręce, zdać się na boskie zrządzenie, było poprostu okropnem. Pozwolić spełnić się tej pomyłce losów i ludzi, nie przeszkodzić, poprzeć swem milczeniem, nic nie czynić, a czynić wszystko — to ostatni stopień niegodziwości obłudnej, to zbrodnia podła, nikczemna, skryta, podstępna, ohydna.

Po raz pierwszy od ośmiu lat nieszczęśliwy ten człowiek uczuł gorzki smak złej myśli i złego czynu.

I splunął z obrzydzeniem.

Badał się znowu. Zapytał surowo, co rozumiał mówiąc, że celu swego dosięgnął. Powiedział sobie, że w istocie życie ma cel. Ale jaki cel? Czy ukrywać swoje nazwisko? oszukać policję? Więc dla tak błahej rzeczy robił wszystko, co dotychczas uczynił? Nie miałże innego celu, który jest rzeczywiście wielkim i prawdziwym? Zbawić nie osobę, ale duszę swoją, stać się uczciwym i dobrym, być sprawiedliwym:— nie jestże to, i jedynie to, czego zawsze pragnął, co mu biskup zalecił? Zamknąć drzwi za swą przeszłością. Ależ ich nie zamknął, wielki Boże! Otworzył je postępkiem haniebnym, stawał się znowu złodziejem, najniegodziwszym ze złodziejów, kradł innemu jego byt, jego życie, spokój, miejsce pod słońcem! Stawał się mordercą, zabijał, zabijał moralnie niewinnego

człowieka, zadawał mu tę straszną śmierć żyjącą, tę śmierć pod gołem niebem, którą zowią galerami! Przeciwnie, wydać się, ocalić człowieka, jęczącego pod ciosem złowrogiego błędu, wrócić do swego nazwiska, z obowiązku stać się galernikiem, Janem Valjean; to byłoby rzeczywistem dokonaniem zmartwychwstania, to na zawsze zamknęłoby piekło, z którego wychodził! Napozór wpadnie w to piekło, a rzeczywiście z niego wyjdzie. Tak mu czynić należy; nic dobrego dotychczas nie uczynił, jeżeli tego nie uczyni: całe jego życie było bezużyteczne, cała pokuta straconą. Dość byłoby zapytać: na co to wszystko?

Czuł, że biskup stał przed nim, tem obecniejszy, że umarły, i patrzył nań surowo; czuł, że mer Madeleine w oczach świętego kapłana był obmierzłym, a galernik stałby się czystym i podziwu godnym; że ludzie widzą maskę, ale biskup patrzy w oblicze, że ludzie widzieli jego życie, ale biskup patrzył w sumienie. Należało więc udać się do Arras, oswobodzić mniemanego Jana Valjean, denuncjować prawdziwego! Niestety! Była to największa z ofiar, najboleśniejsze zwycięztwo, ostatni a konieczny krok do przebycia. O losie okrutny! Nie mógł zostać świętym w oczach Boga, nie stawszy się sromotnym zbrodniarzem w oczach ludzi.

— Więc — rzekł — obierzmy tę drogę, spełnijmy naszą powinność, ocalmy owego człowieka.

Te słowa wyrzekł donośnie, nie zważając, że mówi głośno.

Wziął się do książek, sprawdził rachunki i uporządkował. Rzucił w ogień paczkę rewersów od niezamożnych kramarzy, napisał list i zapieczętował; na kopercie, gdyby kto był w tej chwili w jego pokoju, przeczytałby adres: *Do pana Lafitte bankiera, ulica Artois w Paryżu.*

Wyjął z biórka pugilares, zawierający kilka biletów bankowych i paszport, za którym jeździł w tym roku na wybory.

Ktoby go widział spełniającego te różne czynności, wśród tak głębokich rozmyślań, aniby się domyślił, co się w nim działo. Czasem poruszył ustami, lub podniósł głowę i utkwił wzrok w jaki punkt na ścianie, jakby tam właśnie widział to, co chciał wyjaśnić lub wypytać.

Napisawszy list, włożył go do kieszeni wraz z pugilaresem i znowu zaczął chodzić.

Marzenia jego nieustannie krążyły około jednego przedmiotu. Widział jasno swój obowiązek, napisany ognistemi głoskami, które, błyszcząc przed jego oczyma, zmieniały miejsce z kierunkiem spojrzenia: *Idź! wydaj się! denuncjuj!*

Podobnie widział przed sobą w oddzielnych kształtach dwie myśli, które dotychczas były podwójnem prawidłem jego życia: ukryć swoje nazwisko, uświętobliwić duszę. Po raz pierwszy ukazały się one zupełnie oddzielnie i wyraźnie widział ich różnicę. Poznawał, że jedna z nich jest koniecznie dobra, kiedy druga mogła stać się złą; że jedna jest poświęceniem, a druga interesem osobistym; że jedna mówiła: *bliźni*, a druga — *ja*; że jedna pochodziła od światła, druga z nocy.

Walczyły z sobą i widział tę walkę. Zwolna w miarę, jak zagłębiał się w dumaniach, rosły przed oczyma jego duszy; nakoniec przybrały kolosalne rozmiary; zdawało mu się, że widzi wewnątrz siebie, w tej nieskończoności, o której jśmy przed chwilą mówili, wśród ciemności i blasków, walczącą boginię z olbrzymką.

Był przerażony, ale mu się zdało, że myśl dobra zwycięża.

Czuł, że zbliża się do drugiej stanowczej chwili dla swego sumienia i losów, że biskup napiętnował pierwszą fazę jego życia, a ów Champmathieu drugą. Po wielkiem przesileniu, wielka próba.

Wszelako gorączka na chwilę uśmierzona, wracała. Tysiące myśli snuły się po głowie, ale wszystkie umacniały go w postanowieniu.

Raz powiedział sobie, że może zbyt gorąco bierze do serca tę sprawę, że bądź co bądź ten Champmathieu nie zasługiwał na poswięcenie, był złodziejem.

I odpowiedział: — Jeżeli ten człowiek w istocie ukradł kilka jabłek, posiedzi za to miesiąc w więzieniu. Krótki areszt, to nie galery. Kto wie zresztą? czy dowiedziono, że ukradł? Ciąży na nim nazwisko Jana Valjean, i uwalnia sędziów od żądania dowodów. Wszakże prokuratorowie królewscy zwykle nie inaczej postępują. Mają go za złodzieja, bo wiedzą, że był galernikiem.

Przyszła mu jeszcze myśl, że gdy sam się oskarży, uwzględnią może heroizm jego postępku, jego siedmioletnie uczciwe życie, usługi świadczone krajowi, i uwolnią.

Przypuszczenie to jednak wkrótce znikło i uśmiechnął się z goryczą, pomyślawszy, że ukradzenie Gerwazkowi czterdzieści su znaczyło recydywę, że wytoczonoby z pewnością tę sprawę i według wyraźnego brzmienia kodeksu karnego skazanyby został na całe życie do galer.

Porzucił wszystkie złudzenia, coraz bardziej odrywał się od ziemi, szukając pociechy i siły gdzieindziej. Powiedział sobie, że należy spełnić obowiązek, że może nie być nieszczęśliwszym spełniając swą powinność, niż gdyby uniknął jej spełnienia, że gdyby dopuścił zgubę owego Champmathieu, gdyby pozostał w M. — nad M. — jego poważanie, dobra sława, piękne uczynki, popularność, cnoty zaprawione byłyby zbrodnią: jakąż przyjemność sprawiłyby mu święte czyny, zmieszane z taką ohydą? Kiedy, przeciwnie, spełniając ofiarę, te galery, ten pręgież, obróża na

szyi, zielona czapka, ta praca nieustanna i nieubłagana sromota, łączyłyby się z myślą niebiańską!

Nakoniec powiedział sobie, że taka była konieczność, że losy tak chciały, że nie w jego było mocy zmienić wyroki Najwyższego, że w każdym razie należało wybrać: albo cnotę powierzchowną z wewnętrzną ohydą, lub świątobliwość wewnętrzną z pozorną sromotą.

Poruszając tyle ponurych myśli, nie stracił odwagi, ale znużył umysł. Mimowolnie zaczął myśleć o czem innem, o rzeczach obojętnych.

Tętna biły mu gwałtownie w skroniach. Ciągle się przechadzał tam i napowrót. Północ wybiła na zegarze kościoła parafjalnego, potem na ratuszu. Liczył uderzenia obydwóch zegarów i porównywał dźwięki dzwonów. I zaraz sobie przypomniał, że przed kilku dniami widział w handlu żelaztwa stary dzwon do sprzedania, na którym wyryte było nazwisko: *Antoni Albin de Romainville.*

Uczuł zimno, zapalił ogień na kominie. Nie przyszło mu na myśl zamknąć okna.

Wpadł w odrętwienie. Po wielkidm dopiero wysileniu zdołał przypomnieć sobie, o czem myślał przed północą.

— A prawda! — rzekł — postanowiłem denuncjować się.

I nagle przyszła mu na myśl Fantina.

— Ach! — zawołał — a ta biedna kobieta?

Nastąpiło nowe przesilenie.

Fantina ukazała się nagle w jego dumaniach, jak promień niespodziewanej światłości. Wszystko dokoła niego zdawało się przybierać inną postać i zawołał:

— Ależ tak! dotychczas myślałem tylko o sobie, o własnem dobru! Czy przemilczę, czy wyjawię moje nazwisko, — czy ukryję mą osobę, czy zbawię mą duszę, czy będę godnym wzgardy a szanowanym urzędnikiem, lub galernikiem czci pozbawionym a czcigodnym, zawsze to ja i tylko ja! Ależ mój Boże, toć to

samolubstwo: tylko różne formy samolubstwa, ale zawsze samolubstwo! Gdybym nieco pomyślał o drugich? Najpierwszą świętością jest myśleć o drugich. Zobaczmy, rozważmy! Usuńmy moje ja, zniszczmy je, zapomnijmy o niem: to cóż będzie z tej sprawy? —Jeżeli się zadenuncjuję, biorą mię, wypuszczają owego Champmathieu, wsadzają mię znowu na galery; bardzo dobrze, cóż dalej? Co tutaj się stanie? A! tutaj jest kraj, miasto, fabyki, przemysł, robotnicy, mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci — tyle biedaków! Wszystko to dźwignąłem z nędzy i dziś daję im utrzymanie; gdziekolwiek dymi się komin, ja położyłem drzew na ognisko i mięsa do garnka, stworzyłem pomyślność, ruch handlowy, kredyt. Cóż tu było wprzód, nimem przybył? Jam dźwignął, ożywił, użyźnił, zbogacił całą okolicę; mnie zabraknie, duszy zabraknie. Usunę się, wszystko zamrze. — A ta kobieta, co wycierpiała tyle, co mimo upadku ma tyle przymiotów, której nieszczęść byłem mimowolnym sprawcą! A to dziecię, które przyrzekłem matce sprowadzić! Czyliż nie jestem obowiązanym wynagrodzić tej kobiecie złe jej wyrządzone? Jeżeli zniknę, cóż się stanie? Matka umrze, dziecię stanie się igraszką losu. A gdybym się nie denuncjował? No zobaczmy, gdybym się nie denuncjował?

Zadawszy sobie to pytanie, zatrzymał się i przez chwilę zawahał się i zadrżał: ale chwila ta krótko trwała i odpowiedział spokojnie:

— Dobrze, ten człowiek pójdzie na galery, to prawda, ależ do djabła, kradł! Próżno w siebie wmawiam, że nie ukradł: ukradł! Ja pozostaję tutaj i dalej pracuję. Za lat dziesięć zarobię dziesięć miljonów, włożę je w kraj, dla siebie nie potrzebuję, po co mi to? Przecież nie dla siebie pracuję! Pomyślność wszystkich wzrasta, przemysł się ożywia, wywołuje współzawodnictwo, fabryki i huty się mnożą, rodziny, sto rodzin, tysiące rodzin są szczęśliwe, i okolica się zaludnia; powstają sioła z folwarków, folwarki na pustkowiach; nędza znika a za nędzą znikają rozpusta,

nierząd, kradzież, zabójstwo, wszystkie występki, wszystkie zbrodnie! A i ta biedna matka wychowa swoje dziecię! — Cały kraj bogaty i uczciwy! Dalibóg, byłem warjatem, głupcem — zkąd mi się wzięło mówić o denuncjowaniu siebie? Doprawdy, trzeba być uważniejszym i nie postanawiać pospiesznie. Co! że mi się podobało grać rolę wielkiego, szlachetnego! — Melodrama na honor! — Ponieważ myślałem o sobie, tylko, więc dla uwolnienia od kary, może za surowej, lecz w gruncie sprawiedliwej, jakiegoś złodzieja, oczywiście hultaja, mam zgubić kraj cały! biedna kobieta ma zamrzeć w szpitalu! biedne dziecię zdechnąć, jak pies na bruku! Ależ to obmierzłe! Matka nie zobaczy swego dziecięcia, dziecię nie pozna matki! I to wszystko dla starego niegodziwca złodzieja jabłek, który niezawodnie zasłużył na galery za co innego, jeżeli nie za to! Śliczne skrupuły, co ocalają winowajcę a poświęcają niewinnych, co zbawiają starego włóczęgę, który zresztą ledwie kilka lat pożyje i nie wiele będzie nieszczęśliwszym na galerach, jak pod swą nędzną strzechą, a wydają na pastwę całą ludność, matki, kobiety, dzieci! Ta biedna Cozetta ma tylko mnie jednego na świecie i zapewne w tej chwili jęczy zsiniała od zimna w ciupie tych Thenardierów! A i to jakieś łotry niegodziwe! I miałbym zaniedbać obowiązków względem tylu istot biednych! I denuncjować się! Zrobiłbym takie głupstwo niedorzeczne? W najgorszym razie przypuśćmy, że postąpię źle i że sumienie kiedyś mi to wyrzuci; dla dobra bliźnich przyjąć wyrzuty mnie tylko obciążające, przyjąć zły postępek, szkodzący tylko mojej duszy, ależ to poświęcenie, cnota.

Podniósł się i zaczął chodzić. Tym razem zdało mu się, że jest zadowolony.

Djamenty znajdują się tylko w ciemnościach ziemi; prawdy znajdują się tylko w głębinach myśli. Zdawało mu się, że zstąpiwszy w te głębiny, długo po omacku szukając w najgrubszych ciemnościach, na-

koniec wynalazł jeden z tych djamentów, jedną z tych praw i trzymał ją w ręku; olśnił go jej widok.

— Tak — pomyślał — to właśnie! Znalazłem istotną prawdę. Rozwiązałem zagadkę. Trzebaż w końcu trzymać się jednego. Postanowienie powzięte. Co miało się stać, niech się stanie! Nie chwiejmy się już, nie cofajmy. Tego wymaga interes wszystkich, nie mój. Jestem Madeleine i pozostaję. Biada temu, kto jest Janem Valjean! To już nie ja. Nie znam tego człowieka, nie wiem, co za jeden; jeżeli teraz znalazł się jaki Jan Valjean, niech sobie radzi! To mnie nic nie obchodzi! Fatalne to nazwisko buja w ciemnościach, jeśli się zatrzyma i spadnie na czyją głowę, tem gorzej dla niej!

Przejrzał się w lusterku, stojącem na kominku i rzekł:

— Doprawdy! powzięcie postanowienia przyniosło mi ulgę. Teraz zupełnie inaczej wyglądam.

Postąpił kilka kroków i zatrzymał się nagle:

— No! nie trzeba się cofać przed żadnem następstwem powziętego postanowienia. Są jeszcze nici, wiążące mię z tym Janem Valjean. Trzeba je zerwać! W samym tym pokoju znajdą się przedmioty, mogące mię oskarżyć, nieme rzeczy, mogące być świadkami; słowo się rzekło, trzeba je zniszczyć.

Poszukał w kieszeniach, wydobył sakiewkę, otworzył i wyjął kluczyk.

Włożył kluczyk do zamka, którego ledwie widzialna dziurka ginęła w najciemniejszym deseniu obicia ściany. Otworzyła się skrytka, rodzaj szafki w murze. W skrytce tej były tylko łachmany, opończa z niebieskiego płótna, stare spodnie, stary mantelzak i gruby kij sękaty w obu końcach okuty żelazem. Ci, co widzieli Jana Valjean w październiku 1815, gdy przechodził miasto D. — łatwoby poznali wszystkie szczegóły tego nędznego odzienia.

Zachował je podobnie jak srebrne lichtarze, aby mu zawsze przypominały przeszłość. Tylko pozostałość z galer starannie ukrywał, a świeczniki biskupa pozostawił na widoku.

Ukradkiem spojrzał na drzwi, jakby się lękał, by ich kto nie otworzył, chociaż były na zamek zamknięte, potem schwycił odrazu w garść łachmany, kij i mantelzak, i nie spojrzawszy nawet na rzeczy, które lat tyleż z narażeniem się na największe niebezpieczeństwo przechowywał religijnie, rzucił wszystko w ogień.

Zamknął szafkę i podwajając ostrożność zbyteczną teraz, bo szafka była próżną, starannie zasłonił drzwiczki, przysunąwszy ciężką komodę.

Po kilku minutach czerwona łuna oświeciła pokój i mur przeciwka; łachmany płonęły w ogniu, kij syczał i pryskał iskrami na środek pokoju.

Gdy spaliły się szkaradne szmaty z mantelzaka, zabłyszczało coś w popiele. Schyliwszy się, łatwobyś rozpoznał monetę srebrną. Prawdopodobnie była to sztuka czterdziesto susowa, skradziona Sabaudczykowi.

Nie patrzył na ogień i przechadzał się jednostajnym krokiem.

Nagle spojrzenie jego padło na dwa świeczniki srebrne, słabo połyskujące przy blasku ogniska.

— Ba! pomyślał—nie całego Jana Valjean wrzuciłem w ogień: trzeba i to zniszczyć.

Zdjął z kominka dwa świeczniki.

Ogień był dość silny, mógł łatwo je przetopić na sztabę.

Nachylił się ku ognisku i grzał się przez chwilę.

Uczuł błogi wpływ ciepła i rzekł: — Jak miłe ciepło!

Jednym świecznikiem poruszył żarzące się węgle.

W minutę były obydwa w ogniu.

W tej chwili zdało mu się, że słyszy głos, wołający wewnątrz niego: Janie Valjean! Janie Valjean!

Włosy stanęły mu dębem na głowie, miał postać człowieka, przysłuchującego się strasznym rzeczom.

— Tak, dokonaj dokonaj! mówił głos. Dokończ roboty! zniszcz te świeczniki! zniwecz tę pamiątkę! zapomnij biskupa! zapomnij wszystko! zgub Champmathieu! no! to dobrze. Przyklaśnij sobie! Więc ułożone, postanowione, wyrzeczone; ów człowiek, starzec, który nie wie, czego chcą od niego, który może w niczem nie zawinił, niewinny, twoje nazwisko całym jego występkiem, twoje nazwisko ciąży na nim jak zbrodnia, i tego człowieka wzięto za ciebie, potępią go i zakończy dni swoje w sromocie i zgrozie! To dobrze. A ty bądź uczciwym człowiekiem. Pozostań panem merem, pozostań szanownym i szanowanym, zbogacaj miasto, żyw nędzarzy, wychowuj sieroty, żyj szczęśliwy, cnotliwy i podziwiany, i gdy tak rozkoszować się będziesz, tymczasem ktoś inny włoży za ciebie czerwoną opończę, nosić będzie twe imię sromotne i brzękać na galerach twemi kajdanami! Tak, to dobre postanowienie! A, nędzniku!

Pot kroplami ściekał mu z czoła. Obłąkanemi oczami patrzył na świeczniki, a głos wewnętrzny mówił doń jeszcze:

— Janie Valjean! Dokoła ciebie rozlegną się hałaśliwe głosy i błogosławić ci będą, ale jeden głos, którego nikt nie usłyszy, nie przestanie złorzeczyć ci w ciemnościach. Więc słuchaj nikczemniku! wszystkie te błogosławieństwa spadną na ziemię, nie dosięgnąwszy niebios, tylko przekleństwo przedrze się do Boga!

Głos ten, z początku słabo wychodzący z kryjówek sumienia, stopniowo stawał się donioślejszym, strasznym — teraz już słyszał go uszami. Zdawało mu się, że głos wyszedł z niego i mówił przed nim. Ostatnie wyrazy usłyszał tak wyraźnie, że przerażony, obłąkany powiódł oczami po pokoju i zawołał głośno.— Kto tu?

Później dodał, śmiejąc się głupowato:

— Jakżem śmieszny, któżby tu mógł być?

Był jednak ktoś, ale ten ktoś nie należał do istot, które ogląda ludzkie oko.

Postawił świeczniki na kominku.

I znowu rozpoczął przechadzkę jednostajną, posępną, która zakłócała marzenie i rozbudzała uśpionego w nim człowieka.

Przechadzka sprawiała mu ulgę i współcześnie odurzała. Niekiedy się zdaje, że umyślnie w ruchu, zmieniając miejsce, szukamy rady u wszystkiego, co napotkać możemy. Po kilku chwilach nie wiedział już, na czem zatrzymały się jego myśli.

Z równem przerażeniem uciekał teraz od dwóch postanowień, które powziął kolejno. Słuchał natchnienia dwóch myśli i obydwie zdawały się doradzać zgubę. — Co za fatalność! jaki dziwny zbieg okoliczności ów Champmathieu brany za niego! Gubił go ten właśnie wypadek, który Opatrzność zdawała się zsyłać umyślnie dla jego ocalenia.

Chwilami ośmielał się zajrzeć w przyszłość. Wielki Boże! denuncjować się, oddać w ręce sprawiedliwości! Z niewymowną rozpaczą patrzył na wszystko, co mu przyjdzie opuścić i do czego wypadnie powrócić. Więc należy pożegnać się na wieki z życiem spokojnem, uczciwem, czystem, promiennem, z szacunkiem u wszystkich, z poważaniem, ze swobodą. Nie pójdzie już przechadzać się w pole, nie usłyszy śpiewu ptasząt w miesiącach wiosennych, nie będzie dawał jałmużny drobnym dziatkom! Nie uczuje słodyczy zwróconych ku sobie spojrzeń miłości i wdzięczności pełnych! Opuści dom, który sam postawił, opuści ten pokoik! W tej chwili wszystko wydawało mu się miłem, powabnem. Nie będzie czytał w księgach, nie będzie pisał na stoliku z białego drzewa! Stara odźwierna, jedyna jego służąca, nie przyniesie mu rano kawy. Wielki Boże! Zamiast tego, czeka go wieża, obroża na szyję, kaftan czerwony, łańcuch u nogi, utrudzenie, więzienie, posłanie z desek, wszystkie okropności już znane! W jego wieku, po tylu przygodach!

Gdyby przynajmniej był młody! Ale staremu słyszeć grubijańskie słowa od pierwszego lepszego, być rewidowanym przez stróżów więzienia, być bitym przez dozorców, mieć bose nogi w podkutych trzewikach! Co rano i co wieczór wyciągać nogę do młota strażnika, opatrującego kłódkę kajdan; być wystawionym na ciekawość obcych, którym powiedzą: *Oto jest sławny ów Jau Valjean, który był meren w M.—nad M.!* Wieczorem, spocony, znękany ciężką pracą, w zielonej czapce na głowie, wchodzić parami pod batem sierżanta na drabinę galery pływającej! O! co za nędza! Więc losy mogą być równie złośliwe, jak rozumna istota i stać się potworne, jak serca ludzkie?

I zawsze fatalnie wracał do bolesnego dylemmu, tkwiącego na dnie jego marzeń: — Pozostać w raju i stać się szatanem! Wrócić do piekła i stać się aniołem!

Co czynić, wielki Boże! co czynić?

Męczarnia, z której z takim trudem się wydobył, znowu zawzięta, wściekła rzuciła się na niego. W myślach nowy odmęt. Odrętwiały, zmartwiały, obezwładniały jak zwykle bywa, gdy człowieka zdejmie rozpacz. Nazwisko Romainville ciągle mu majaczyło po głowie z dwoma wierszykami piosnki niegdyś słyszanej. Myślał, że Romainville jest laskiem pod Paryżem, gdzie młodzi kochankowie zrywają kwitnące bzy i fijołki.

Chwiał się w duchu, chwiał na nogach. Taczał się jak drobne dziecię, puszczone samopas.

Niekiedy walcząc ze znużeniem, usiłował pochwycić wątek myśli. Poraz ostatni i stanowczo chciał zadać sobie pytania, które go, że tak powiem, wyczerpały zupełnie. Denuncjować się, czy milczeć?— Niczego już nie mógł widzieć wyraźnie. Mgliste postacie wszelkich rozpoczętych rozumowań rozpływały się jak dym, znikając jedne po drugich. Czuł tylko, że cokolwiekby przedsięwziął, koniecznie i nieuchronnie musiało w nim coś umrzeć, że na prawo i na le-

wo czekał go grób, że konał, że albo jego szczęście, lub też jego cnota konały.

Niestety! niepewność, niestanowczość wróciły. Po tylu męczarniach wrócił do tego, od czego był zaczął.

Tak pod brzemieniem ciężkich utrapień łamała się ta dusza nieszczęsna. Ośmnaście wieków temu, mąż boleści, istota tajemnicza, w której uosobiły się wszystkie świętości i wszystkie cierpienia człowieczeństwa, i on także, gdy drzewa oliwne drżały smagane dzikiemi wichry nieskończoności, długo odpychał ręką kielich, który ukazał mu się, przepełniony cieniem, rozlewający ciemności w głębinach gwiazd pełnych.

IV.

Jakie postacie przybiera we śnie cierpienie.

Trzecia po północy wybiła: już pięć godzin tak chodził, prawie bez przerwy, gdy znużony upadł na krzesło.

Zasnął i miał sen.

Sen ten, jak większą część snów, nie był w związku z jego położeniem, wszelako łączył się z niem czemś złowrogiem i bolesnem i pozostawił głębokie wrażenie. Trapiące to widzenie tak go przejęło, że później je opisał. Znaleźliśmy opis w papierach, które po nim pozostały. Przepisujemy go tu dosłownie.

Jakikolwiek był ten sen, historja owej nocy byłaby niezupełną, gdybyśmy go opuścili. Posępna to przygoda schorzałej duszy.

Oto ów sen. Na kopercie stoi napis: *Co mi się śniło owej nocy.*

„Byłem w polu. Smutne pole, rozległe, puste, bez trawy. Ani to był dzień, ani noc.

Przechadzałem się z bratem moim, bratem lat dziecinnych, o którym nigdy nie myślę i którego nawet nie przypominam sobie.

Rozmawiając spotkaliśmy przechodniów. Mówiliśmy o dawnej sąsiadce, która zwykle pracowała przy otwartem oknie od ulicy. Tak rozmawiając, uczuliśmy zimno z powodu otwartego okna.

Na polu nie było drzew.

Ujrzeliśmy przechodzącego około nas człowieka. Był nagi, popielatego koloru i siedział na koniu koloru ziemi. Człowiek nie miał włosów, na obnażonej czaszce widać było jej żyły. W ręku trzymał laseczkę giętką, jak wić a ciężką jak żelazo. Jeździec minął nas, słowa nie wyrzekłszy.

Mój brat rzekł do mnie: — Zejdźmy na boczną ścieżkę.

Weszliśmy na drogę, na której nie było ani krzaczka, ani źdźbła trawy. Wszystko miało barwę ziemi, nawet niebo. Uszedłszy kilka kroków, spostrzegłem, że nie odpowiadano na moje słowa. Obróciłem się, brata już nie było.

Wszedłem do wioski, którą przed sobą widziałem. Zdawało mi się, że powinna się nazywać Romainville (dla czego Romainville?) (1).

Pierwsza ulica była pusta, wszedłem na drugą. Na rogu obu ulic stał człowiek oparty o ścianę. Zapytałem go: co to za kraj, gdzie jestem? Człowiek nie odpowiedział. Zobaczyłem otwarte drzwi domu i wszedłem.

Pierwsza izba była pusta. Wszedłem do drugiej. Za drzwiami tej izby stał człowiek oparty o ścianę. Zapytałem go: czyj ten dom? gdzie jestem? Człowiek nie odpowiedział. Za domem ciągnął się ogród.

Opuściłem dom i wszedłem do ogrodu. Ogród był pusty. Za pierwszem drzewem stał człowiek. Zapytałem go: co to za ogród? gdzie jestem? Człowiek nie odpowiedział.

Błądziłem po wiosce i spostrzegłem, że jestem w mieście. Wszystkie ulice były puste, wszystkie drzwi otwarte. Żadnej istoty żyjącej, ani na ulicach, ani w domach, ani w ogrodach. Ale w tyle każdego

(1) Ten nawias dopisany jest ręką Jana Valjean.

domu, za każdemi drzwiami, za każdem drzewem stał człowiek milczący. Ludzie ci patrzyli, jakem przechodził.

Wyszedłem z miasta i błądziłem po polach.

Po pewnym czasie obróciłem się i ujrzałem za sobą tłum ludu. Poznałem, że to byli owi ludzie, których widziałem w mieście. Mieli dziwne głowy. Nie zdawali się spieszyć, a jednak szli prędzej odemnie. Chód ich nie wydawał żadnego szmeru. Po chwili tłum mię otoczył. Twarze tych ludzi miały kolor ziemi.

Wówczas pierwszy, któregom ujrzał i zapytał, wchodząc do miasta, rzekł do mnie: Dokąd idziesz? Azali nie wiesz, że już oddawna umarłeś?

Otworzyłem usta do odpowiedzi, alem spostrzegł, że już dokoła mnie nie było nikogo.“

Obudził się. Był zdrętwiały od zimna. Chłodny wiatr poranny poruszał na zawiasach otwarte okna. Ogień zagasł, świeca się dopalała. Jeszcze była noc ciemna.

Podniósł się i zbliżył do okna. Na niebie ani jednej gwiazdy.

Z okna widać było podwórko i ulicę. Nagle usłyszał szmer ostry i suchy. Spuścił oczy i ujrzał pod sobą dwie czerwone gwiazdy, których promienie dziwacznie przedłużały się i skracały w cieniu.

Na poły pogrążony w marzeniach sennych rzekł do siebie: Ach! nie ma ich na niebie. Są teraz na ziemi.

Drugi łoskot podobny do pierwszego rozbudził go zupełnie, spojrzał i poznał, że dwie gwiazdy były latarniami powozu. Przy ich świetle ujrzał kształty tego powozu. Był to tilbury, do którego stał zaprzężony biały konik. Ów łoskot, który słyszał, były to uderzenia kopyta końskiego o bruk.

— Co to za powóz?—rzekł.—Co tu robi tak rano?

W tej chwili zapukano do drzwi.

Zadrżał od stóp do głów i zawołał strasznym głosem:

— Ko tam?

Odpowiedziano:

— Ja, panie merze.

Poznał głos starej swej odźwiernej.

— Czego chcecie? — zapytał.

— Panie merze, już piąta godzina.

— Cóż mnie to obchodzi?

— Panie merze, stoi kabrjolet.

— Jaki kabrjolet?

— Tilbury.

— Co za tilbury?

— Czy pan mer nie najął dla siebie tilbury?

— Nie.

— Furman powiada, że przyjechał po pana mera.

— Co za furman?

— Od pana Scaufflaire.

— P. Scaufflaire!

Na to nazwisko zadrżał, jakby błyskawica mignęła mu przed oczyma.

— A tak! — rzekł — p. Scaufflaire!

Gdyby stara odźwierna widziała go w tej chwili, przestrachby ją ogarnął.

Nastało długie milczenie. Bezmyślnie wpatrywał się w płomień świecy, odrywał wosk stopiony około knota i gniótł go w palcach. Stara czekała. Nakoniec odważyła się raz jeszcze odezwać.

— Panie merze, co mam odpowiedzieć?

— Powiedzcie, że dobrze, zaraz zejdę na dół.

V.

Przeszkody w drodze.

Służba pocztowa z Arrass do M. — nad M. — odbywała się wówczas małemi wózkami z czasów cesarstwa. Były to kabrjolety na dwóch kołach, wybite wewnątrz płową skórą, zawieszone na resorach, mające dwa siedzenia, jedno dla woźnicy, drugie dla podróżnego. Z piast wystawały przedłużone osie, dziś jeszcze uzywane w Niemczech, aby trzymać w pewnej odległości inne powozy. Ogromne podłużne pudło z depeszami przymocowane z tyłu kabrjoletu, tworzyło z nim jedną całość. Pudło pomalowane było czarno, kabrjolet żółto.

Te powozy, dziś wcale nieznane, były szpetne, niekształtne, garbate, podobne do drobnych mrówek, ciągnących długie ciężary. Zresztą szły prędko. Poczta z Arras, wyruszająca z miejsca o pierwszej z północy po przejeździe kurjera z Paryża, stawała w M.— nad M.—przed piątą rano.

Tej nocy poczta, wjeżdżająca do M. — nad M.— drogą z Hesdin, zaczepiła na zakręcie o małe tilbury ciągnione przez białego konia, które pędziło w przeciwnym kierunku, powożone przez mężczyznę owiniętego płaszczem. Kabrjolet pocztowy silnie uderzył o koło tilbury. Pocztyljon wołał na mężczyznę, aby

się zatrzymał, ale podróżny nie słuchał i pędził wielkim kłusem.

— Djabelnie mu się coś spieszy!—rzekł pocztyljon.

Człowiek, który tak spieszył, był ten sam, którego przed chwilą widzieliśmy, jak łamał się w konwulsjach, zaiste, godnych politowania.

Dokąd jechał? Sam nie umiałby powiedzieć. Dlaczego się spieszył? nie wiedział. Jechał bez celu. Dokąd? Zapewne do Arras, a może i gdzieindziej. Chwilami czuł to i drżał. Zanurzał się w tę noc jak w przepaść. Coś go pchało, coś przyciągało. Niepodobna opisać, co się w nim działo, ale każdy to zrozumie. Komuż nie zdarzyło się choćby raz w życiu wejść do tej posępnej pieczary nieznanego?

Zresztą nie zdecydował się na nic, niczego nie przedsięwziął, nic nie uczynił. W jego sumieniu nie było żadnego postanowienia. Wszystko w nim bardziej niż kiedy było jeszcze jak w pierwszej chwili.

Dlaczego jechał do Arras?

Powtarzał sobie to, co już powiedział, najmując kabrjolet u Scaufflaira, ze cokolwiek się stanie, nie było nic niestosownego zobaczyć na własne oczy, samemu sądzić o wypadku, — że nawet było to roztropnem, gdyż powinien był wiedzieć, co się działo, bo niczego nie można postanowić, nie widziawszy i nie zbadawszy, — że zdaleka wszystko przesadzamy, że wreszcie, gdy zobaczy tego Champmathieu, zapewne jakiegoś nędznika, z mniejszym wyrzutem sumienia pozwoli mu iść za siebie na galery; że wprawdzie będą tam Javert, Brevet, Chenildieu i Cochepaille, dawni galernicy, którzy go znali, ale z pewnością nie poznają go teraz; ba! co za myśl? że Javert o sto mil był od tego przypuszczenia, że wszystkie domysły skierowane były na owego Champmathieu, a nic nie masz uporczywiej zaślepionego, jak przypuszczenia i domysły: — że więc nie było żadnego niebezpieczeństwa.

Że niewątpliwie była to straszna przygoda, lecz że szczęśliwie z niej wyjdzie, — że zresztą jakkolwiek złowrogim jest los, ma go w swem ręku, jest jego panem. I uczepił się tej myśli.

Zapewne, jeśli mamy wyznać całą prawdę, wolałby był nie jechać do Arras.

Wszelako jechał.

Tak myśląc, zacinał konia, który przebiegał wybornym i pewnym kłusem półtrzeci mili na godzinę.

W miarę jak pędził kabrjolet, czuł w sobie, jakby coś cofało się nazad.

O świcie był na otwartem polu; miasto M.—nad M. — zostało daleko w tyle. Spojrzał na rozwidniający się horyzont, nie widząc patrzył na przesuwające się przed oczami chłodne postacie jutrzenki zimowej. Ranek ma swoje widma jak wieczór. Nie widział ich, ale mimo jego wiedzy, prawie fizycznym wpływem czarne te wizerunki drzew i pagórków złowrogo i posępnie oddziaływały na gwałtowny stan jego duszy.

Ilekroć przejeżdżał około domów, samotnie stojących przy drodze, mówił sobie: a jednak mieszkają tam ludzie, śpiący spokojnie!

Koń bił kopytem, brzęczały dzwonki u chomąta, koła warczały na bruku; miły, jednotonny, przyjemny łoskot, gdy jesteś wesoły, — posępny, gdy cię smutek owładnie.

Rozwidniało zupełnie, gdy przyjechał do Hesdin. Zatrzymał się przed oberżą, by dać wytchnąć koniowi i nasypać mu owsa.

Koń, jak powiedział Scaufflaire był z drobnej rasy bulońskiej, dużej głowy, dużego brzucha, małej szyi, szeroki w piersiach i zadzie, cienki w nogach, silny w stopach; rasa brzydka, ale silna i zdrowa. Poczciwe zwierzę przebiegło pięć mil w dwóch godzinach i nie spotniało nic a nic.

Nie wysiadł z tilbury. Chłopiec usługujący w oberży przyniósł owsa, schylił się i patrzał na lewe koło.

— Czy oddawna pan tak jedzie?—rzekł chłopiec.

Zapytany, nie wychodząc z zadumy, odpowiedział:

— Dlaczego?

— Czy zdaleka pan jedzie?—powtórzył chłopiec.

— Pięć mil ztąd.

— A!

— Dlaczego się dziwisz?

Chłopiec znowu się schylił, milczał przez chwilę, wlepiwszy oczy w koło, potem podniósł głowę i rzekł:

— Może to koło przejechało pięć mil, ale niezawodnie teraz ani ćwierci mili nie ujedzie.

Zeskoczył z tilbury.

— Co mówisz przyjacielu?

— Mówię, że to cud prawdziwy, żeś pan przejechał pięć mil nie zwaliwszy się wraz z koniem w jaki rów na drodze. Niech pan patrzy.

W istocie koło było bardzo uszkodzone. Uderzenie pocztowego powozu złamało dwie szprychy i rozsadziło piastę tak, że lon i kurczaba ledwie się trzymały.

— Przyjacielu — rzekł do chłopca — macie tu kowala?

— Mamy, panie.

— Bądź łaskaw, zawołaj go.

— Jest niedaleko. Hej majstrze Bourgaillard!

Majster Bourgaillard stał na progu przed swojem mieszkaniem. Przyszedł obejrzeć i skrzywił się jak chirurg, patrzący na złamaną nogę.

— Czy możecie mi zaraz naprawić to koło?

— Mogę, panie.

— A jak prędko będzie gotowe?

— Jutro.

— Jutro?

— Jest roboty na cały dzień! Czy panu bardzo pilno?

— Bardzo. Muszę odjechać najdalej za godzinę.

— To być nie może.

— Zapłacę, co zechcecie.

— Niepodobna.

— No! za dwie godziny.

— Niepodobna dziś. Trzeba dać nowe dwie szprychy i piastę. Musi się pan do jutra zatrzymać.

— Nie mogę czekać do jutra. A gdyby zamiast naprawiania dać inne koło?

— Jakto?

— Wszak jesteście kowalem?

— Ma się rozumieć, panie.

— Więc macie koła do sprzedania; odjechałbym natychmiast.

— Dać inne koło?

— A tak.

— Nie mam odpowiedniego koła do pańskiego kabrjoletu. Dwóch kół tak łatwo nie dopasujesz.

— Więc sprzedajcie mi dwa koła.

— Panie, nie wszystkie koła przystają do każdej osi.

— Sprobujcie jednak.

— Napróżno, panie. Mam tylko proste koła od wozów chłopskich. Innych nie robimy.

— A może macie do wynajęcia kabrjolet?

Majster kowal z pierwszego spojrzenia poznał, że tilbury było najęte. Wzruszył ramionami i odparł:

— Ślicznie pan obchodzi się z najętemi kabrjoletami! Choćbym miał, tobym panu nie wynajął.

— Więc sprzedajcie?

— Nie mam.

— Co, żadnego wózka!—wszak widzicie, ze mną nie ma targu.

— Jesteśmy prości wieśniacy; powozów nie mamy. Mam wprawdzie w wozowni stary kocz pewnego mieszczanina, który tylko w święto go używa. Wynająłbym go panu, co mi to szkodzi? ale nie chciałbym, żeby o tem dowiedział się mieszczanin, a przytem to kocz, trzeba zaprządz dwa konie.

— Wezmę pocztowe.

— A dokąd pan jedzie?

— Do Arras.

— I dziś pan chce tam stanąć?

— Ależ tak.

— Biorąc konie pocztowe?

— Czemu nie?

— A czy nie jedno byłoby stanąć w Arras jutro o czwartej rano?

— Nie.

— Bo to widzi pan, biorąc konie na poczcie... Czy pan ma paszport?

— Mam.

— Otóż biorąc konie pocztowe, nie dojedzie pan dziś do Arras. Nie jesteśmy na głównym trakcie. Na stacjach pocztowych niedbale obsługują. Konie są w polu. Zaczęła się orka; trzeba mocnego sprzężaju, więc biorą wszystkie konie, nawet pocztowe. Na każdej stacji poczeka pan trzy lub cztery godziny. A przytem konie idą stępa. Droga nierówna, górzysta.

— Ha, pojadę wierzchem. Odprzężcie konia. Przecież sprzedadzą mi tu siodło?

— Rozumie się, sprzedadzą, ale czy koń przyzwyczajony do siodła?

— Ach prawda! zapomniałem, nie przyzwyczajony.

— Więc...

— Ależ w wiosce znajdzie się koń do wynajęcia?

— Co! żeby jednym tchem szedł aż do Arras?

— A tak.

— Takich koni nie ma w naszej okolicy. Najprzód trzebaby go kupić, bo nikt pana nie zna. Ale czy nająć, czy kupić, ani za pięćset, ani za tysiąc franków go pan nie znajdzie!

— Cóż począć?

— Najlepiej, słowo uczciwego człowieka, zaczekać do jutra, a ja tymczasem naprawię koło. Jutro będzie zapóźno.

— Do licha!

— Wszak jeździ poczta do Arras? Kiedy przejeżdża tędy?

— W nocy. Obydwie poczty przejeżdżają nocą, tam jadąca i wracająca.

— Więc aż cały dzień potrzebujecie na naprawienie tego koła.

— Caluteńki!

— A gdyby wziąść dwóch czeladników?

— Choćby dziesięciu.

— Gdyby postronkami przymocować szprychy?

— Szprychy można, ale do piasty postronki się nie przydadzą. A przytem dzwona są uszkodzone.

— Nie wynajmuje kto powozów w mieście?

— Nie.

— A drugiego kowala nie ma?

Chłopiec z oberży i majster kowal odpowiedzieli współcześnie, potrząsając głową:

— Nie.

Uczuł radość niewymowną.

Oczywiście Opatrzność mu sprzyja. Ona to strzaskała koło tilbury i zatrzymała go w drodze. Nie usłuchał tej pierwszej wskazówki, owszem robił wszystko, żeby jechać dalej; uczciwie i skrupulatnie wyczerpał wszelkie środki; nie zraziło go ani ostra pora roku, ani strudzenie, ani wydatki; nie miał sobie nic do wyrzucenia. Jeżeli nie pojedzie dalej, to już nie jego wina! Nie jego to sprawa, ale widoczne zrządzenie Opatrzności.

Odetchnął. Odetchnął swobodnie, pełną piersią, po raz pierwszy od rozmowy z Javertem. Zdawało mu się, że zwolniały żelazne kleszcze, które mu ściskały serce od dwudziestu godzin.

Zdawało się, że Bóg teraz brał jego stronę i oświadczał się za nim.

Powiedział sobie, że zrobił wszystko, co było w jego mocy i że teraz pozostaje mu tylko powrócić spokojnie do domu.

Gdyby rozmowa jego z kowalem odbyła się w izbie oberży, nie miałaby świadków, niktby jej nie słyszał, wszystkoby się na tem zakończyło i prawdo-

podobnie nie mielibyśmy do opowiedzenia wypadków, o których niżej czytać będziecie; ale rozmawiano na ulicy. Wszelka rozmowa na ulicy nieuchronnie ściąga ciekawych. Zawsze się znajdą ludzie, gotowi brać w niej udział. Kiedy wypytywał kowala, zatrzymało się kilku przechodniów. Posłuchawszy kilka minut, jakiś chłopiec, na którego nikt nie zwracał uwagi, odłączył się od gromady ciekawych i pobiegł.

W chwili gdy podróżny, poradziwszy się w duchu, już zabierał się zawrócić do domu, chłopiec powrócił prowadząc starą kobietę.

— Panie—rzekła kobieta—mój chłopiec mówił, że pan życzy sobie nająć kabrjolet?

Na te proste słowa wyrzeczone przez staruszkę którą chłopiec prowadził, zimny pot wystąpił mu na czoło. Czuł ukazującą się w cieniu za sobą rękę, która go wypuściła, gotową znowu schwycić go za serce.

Odpowiedział:

— Tak, dobra kobieto, chciałbym nająć kabrjolet.

I spiesznie dodał:

— Ale tu nie ma powozów.

— Kto wie — rzekła stara.

— Gdzieżby był? — zapytał kowal.

— U mnie — odpowiedziała staruszka.

Zadrżał. Fatalna dłoń go chwytała.

W istocie staruszka miała w szopie rodzaj karjolki łozowej. Kowal i chłopak z oberży, zmartwieni, że wymykał się im szczodry podróżny, zaprotestowali.

— To szkaradna bryka, osadzona po prostu na osi, bez resorów — siedzenie z desek wisi na rzemieniach, od deszczu nie ma zasłony, koła zardzewiałe, zniszczone, nie dalej pojedzie jak tilbury — prawdziwa arka Noego. Na miejscu pana, nigdybym w nią nie wsiadał i t. d., i t. d.

Wszystko to było prawdą, ale ta bryka, ta arka, ta rzecz jakaś toczyła się na kołach i od biedy mogła się dostać do Arras.

Zapłacił, co żądano, zostawił tilbury u kowala do naprawy, zamierzywszy zabrać go za powrotem, kazał zaprządz białego konia do karjolki, wsiadł i pojechał dalej.

Gdy karjolka ruszyła z miejsca, przyznał się, iż przed chwilą radowała go myśl, że dalej nie pojedzie. Z gniewem rozważał tę radość i wydała mu się niedorzeczną. Dla czego radować się z powrotu? Bądź co bądź, wszakże podróżował dobrowolnie? Nikt go nie przymuszał.

I w istocie, nic się nie stanie, czegoby sam nie chciał.

Wyjeżdżając z Hesdin, usłyszał za sobą głos wołający: niech pan poczeka! Konwulsyjnym ruchem jakby jeszcze zaświecił mu promyk nadziei, zatrzymał konia.

Był to chłopiec staruszki.

— Co takiego?

— Pan mi nic nie dał.

On, co chętnie i łatwo dawał wszystkim, oburzył się jakby na żądanie nadzwyczajne, prawie obmierzłe.

— A ty hultaju! — zawołał — nic nie dostaniesz! Zaciął konia i odjechał dobrym kłusem. W Hesdin zmitrężył dużo czasu, chciał to powetować. Dziarski konik ciągnął za dwóch, ale było to w lutym, pora dżdżysta, złe drogi. Przytem karjolka ciężka, a grunt górzysty. Blizko cztery godziny jechał z Hesdin do Saint-Pol, mil pięć.

W Saint-Pol stanął przed pierwszą spotkaną oberżą i kazał zaprowadzić konia do stajni. Jak obiecał Scaufflairowi, sam stał przy żłobie, gdy koń jadł owies. Marzył smutnie, bezładnie.

Żona oberżysty weszła do stajni.

— Czy pan nie będzie jadł śniadania?

— Prawda — rzekł — mam nawet dobry apetyt.

Poszedł za kobietą twarzy świeżej i wesołej. Zaprowadziła go do izby gościnnej, gdzie były stoły nakryte ceratą.

— Dawajcie żywo — rzekł — pilno mi, muszę zaraz odjechać.

Tłusta dziewczyna flamandka skwapliwie postawiła przed nim talerz, łyżkę, nóż i widelec. Patrzył na dziewczynę zadowolony.

— Tego mi było trzeba, pomyślał. Nie jadłem śniadania.

Podano do stołu. Rzucił się na chleb, ugryzł kawałek, potem zwolna położył chleb na stole i więcej nie ruszył.

Jakiś furman jadł przy drugim stole. Rzekł do niego:

— Dlaczego ich chleb taki gorzki?

Furman Niemiec nie zrozumiał.

Powrócił do oberży po konia.

W godzinę opuścił Saint-Pol i jechał do wioski Tinques, pięć mil odległej od Arras.

O czem myślał w drodze? Co czynił? Jak z rana patrzył na mijające drzewa, na dachy chałup, na pola uprawne, na znikanie krajobrazu, rozrywającego się na każdym zakręcie drogi. Taki widok wystarcza niekiedy duszy, uwalniając od myślenia. Widzieć tysiące przedmiotów poraz pierwszy i poraz ostatni, cóż może być melancholiczniejszego i głębszego! Podróżować — to rodzić się i umierać każdej chwili. W najchaostyczniejszych głębiach swego ducha, może porównywał te zmienne widnokręgi z istnieniem ludzkiem. Cokolwiek żyje, nieustannie ucieka przed nami. Mroki i blaski mięszają się ciągle. Po olśnieniu, zaćmienie; patrzysz, spiesznie wyciągasz rękę, by ująć przedmiot uciekający; każdy wypadek jest zakrętem drogi, aniś się spostrzegł, jak zestarzałeś. Czujesz wstrząśnienia, wszystko jest czarne, dostrzegasz drzwi w cieniu; tu zatrzymał się ponury koń życia, który cię ciągnął. Ktoś zasłoniony i nieznany odprzęga konia w ciemnościach

Zmierzchało, gdy dzieci, wychodzące ze szkoły,

zobaczyły wjeżdżającego do Tinques podróżnego. Prawda, że to były krótkie dnie zimowe.

Nie zatrzymywał się w Tinques. Gdy wyjeżdżał z wioski, dróżnik, sypiący żwir na drodze, podniósł głowę i rzekł:

— A to szkapa zmęczona!

W istocie biedny konik ledwie mógł iść stępa.

— Czy pan jedzie do Arras?—dodał dróżnik.

— Tak.

— Jeżeli tak dalej będzie pan jechał, to nie dojedzie wcześnie.

Zatrzymał konia i zapytał:

— Ile mil jeszcze do Arras?

— Dobrych siedm mil.

— Co znowu?—karta pocztowa znaczy pięć mil i ćwierć.

— A! odparł dróżnik, to pan nie wie, że droga jest w naprawie. Za kwadrans ztąd zobaczy ją pan przerwaną.

— Doprawdy?

— Musi pan zawrócić na lewo, do Carancy, przeprawić się przez rzekę, z Cambley znowu zawrócić na prawo; będzie to droga z Mont-Saint Eloy prowadząca do Arras.

— Noc zapada, zabłąkam się.

— Pan nie zna tych stron?

— Nie.

— A tu same boczne drogi. Chce pan usłuchać mej rady? Pański koń zmęczony; wracaj pan do Tinques. Jest tam dobra austerja. Przenocuje pan i jutro pojedzie do Arras.

— Muszę tam być dziś wieczór.

— To co innego. Więc i tak wróć pan do austerji i weź drugiego konia. Parobczak będzie przewodnikiem.

Usłuchał rady dróżnika, zawrócił i w półgodziny potem przejeżdżał przez to samo miejsce, dobrym kłu-

sem, mając na przyprzążce świeżego konia. Chłopak z oberży, tytułujący się pocztyljonem, siedział na koźle.

Wszelako czuł, że stracił dużo czasu.

Zciemniało zupełnie.

Zjechali z głównego gościńca. Droga stała się nieznośną. Karjolka z jednej kolei wpadała w drugą. Rzekł do pocztyljona:

— Zawsze jedź dobrym kłusem, podwójny tryngield.

— Od silnego trzęsienia złamała się sztelwaga.

— Panie—rzekł pocztyljon—sztelwaga złamana, nie wiem, jak przyprządz konia, droga w nocy niegodziwa; gdybyśmy wrócili do Tinques, moglibyśmy jutro wcześnie stanąć w Arras.

Odpowiedział:—Masz dobry postronek i nóż?

— Mam, panie.

Uciął gałęź i zrobił sztelwagę.

Nowa strata dwudziestu minut; ale pojechali galopem.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Czarne mgły pełzały po wzgórzach, odrywając się jak kłęby dymu. W obłokach bladawe światełka. Wiatr od morza szumiał w czterech stronach widnokręgu, jakby kto sprzęty przestawiał. Tyle przedmiotów drżało w tym potwornym oddechu nocy!

Chłód wskróś go przejmował. Od wczoraj nic nie miał w ustach. Przypomniał sobie inną wycieczkę nocną na wielkiej płaszczyznie w okolicach D.—przed ośmiu laty; zdało mu się, że to było wczoraj.

Wybiła godzina na dzwonnicy gdzieś daleko.

Zapytał chłopca:

— Która godzina?

— Siódma panie, o ósmej będziemy w Arras. Zostało tylko trzy mile.

W tej chwili poraz pierwszy przyszło mu na myśl (dziwił się, dla czego nie wcześniej): — że może daremnie się tylko trudził, że nie wiedział nawet,

o której godzinie rozpocznie się proces, że należało przynajmniej wypytać się o to, że jest dziwactwem puszczać się w drogę, nie wiedząc, czy to przyda się na co. Później tak sobie rachował: pospolicie posiedzenia sądów kryminalnych rozpoczynają się o dziewiątej rano;—ta sprawa nie mogła trwać długo;—kradzież jabłek prędko odsądzą;—dalej tylko sprawa tożsamości osoby, cztery lub pięć zeznań, krótkie mowy adwokatów; — przyjadę, gdy wszystko będzie skończone!

Pocztyljon zacinał konie. Przejechali most, zostawiając za sobą Mont Saint-Eloy.

Noc coraz głębiej zapadała.

VI.

Siostra Symplicja wystawiona na próbę.

Tymczasem Fantina doznawała wielkiej radości. Noc przepędziła jak najgorzej. Straszny kaszel, gorączka się wzmogła; trapiły ją sny dręczące. Rano, gdy przyszedł doktór, bredziła w malignie. Poczciwy lekarz przeraził się i polecił uprzedzić p. Madeleine, żeby przyszedł coprędzej.

Całe rano Fantina smutna, małomówna, zamyślona, robiła fałdy na kołdrze, mrucząc pod nosem, jakby liczyła odległości. Oczy zapadnięte, prawie zagasłe, czasami zapalały się i błyszczały jak gwiazdy. Gdy się zbliża pewna godzina ponura, zda się, że światłość niebios napełnia tych, których ziemskie światło opuszcza.

Ile razy siostra Symplicja zapytała ją o zdrowie, odpowiadała niezmiennie: —Mam się dobrze, ale chciałabym widzieć pana Madeleine.

Kilka miesięcy temu, gdy Fantina straciła ostatni wstyd niewieści i ostatnią radość, była tylko cieniem siebie; teraz wyglądała jak widmo. Choroba fizyczna dopełniła moralnego nieszczęścia. Dwudziestopięcioletnia kobieta miała czoło pomarszczone, obwisłe policzki, ściśnięte nozdrza, zęby obnażone z dziąseł, płeć zczerniałą, wyschłą szyję, wystające kości, wychudłe członki,

siwe włosy zmięszane z jasnemi. Niestety! choroba tak żywo przyspiesza starość!

W południe powrócił doktór, przepisał lekarstwa, zapytał czy p. Madeleine wstępował do infirmerji i potrząsnął głową.

P. Madeleine zwykle o trzeciej po południu przychodził odwiedzić chorą. Punktualność znaczy dobroć, był więc punktualny.

Około wpół do trzeciej Fantina zaczęła się niepokoić. W przeciągu dwudziestu minut z dziesięć razy zapytała zakonnicę: — Siostro, która godzina?

Wybiła trzecia. Za trzeciem uderzeniem Fantina usiadła na łóżku, chociaż zwykle poruszyć się nie mogła, konwulsyjnie załamała ręce wychudłe i zżółkłe i westchnęła głęboko, jakby kamień spadł jej z serca. Obróciła się i patrzyła na drzwi.

Nikt nie wszedł; drzwi się nie otwierały. Nieruchoma, wstrzymując oddech, z kwadrans miała oczy wlepione we drzwi. Na kościele katedralnym wybiło kwadrans na czwartą. Fantina bezsilna padła na poduszki.

Nie rzekła słowa i znowu zaczęła robić fałdy na kołdrze.

Upłynęło pół godziny, potem godzina, nikt nie przychodził; ilekroć zadzwonił zegar, Fantina podnosiła się, patrzyła na drzwi i znowu padała znękana.

Wyraźnie czytano jej myśli, ale nie rzekła słowa, nie żaliła się, nie skarżyła. Tylko kaszel męczył ją okrutnie. Rzekłbyś, spadała na nią jakaś ciemność tajemnicza. Była blada, usta miała zsiniałe. Niekiedy bolesny uśmiech skrzywił jej wargi.

Wybiła piąta. Wówczas siostra usłyszała, jak mówiła z cicha i łagodnie: — Jutro mam umrzeć, źle robi, że dziś nie przychodzi!

I siostrę Symplicję zdziwiła ta nieobecność p. Madeleine.

Tymczasem Fantina patrzyła z łóżka na niebo. Zdawała się szukać i coś przypominać. Nagle zaczęła

śpiewać głosem słabym jak oddech. Zakonnica słuchała i zapamiętała słowa pieśni. Były takie:

Na mieście ogromne zrobimy wydatki
I wiele kupimy z szczodrotą rozrzutną; —
Różowe są róże, a modre bławatki,
Co kocham, jest przy mnie, nie mogę być smutną.

W wzorzystej oponie, z gwiaździstą koroną,
Najświętsza Panienka przyjść do mnie raczyła,
I rzekła z dobrocią; „Oto pod zasłoną
Przynoszę ci dziecię, o któreś prosiła".

Biegnijcie do miasta, biegnijcie sąsiadki,
Po igły, naparstek, po nici i płótno,
Na mieście ogromne poróbcie wydatki
I wiele kupujcie z szczodrotą rozrzutną.

Kolebkę ustawię, pościołkę dam czystą,
Wstążkami przystroję powłoczki, sukienki; —
Chociażby Bóg dał mi swą gwiazdkę złocistą.
Ja wolę me dziecię z rąk Swiętej Panienki.
Pytacie:— „dlakogo potrzebne mi płótno?"
„Dla mego dziecięcia od Marji mej Matki".
Różowe są róże, a modre bławatki,
Co kocham, jest przy mnie, nie mogę być smutną.

—„Upierzcie to płótno".—„Gdzie?"—W rzece nad brzegiem...
I zróbcie sukienkę z wielkiemi fałdami;
Ja na niej wyszycia złocistym dam ściegiem,
Przystroję ją całą wstążkami, kwiatami..."
—„Ach! dziecię nie żyje!... cóż z płótnem się stanie?"—
—„Przykryjcie niem moje śmiertelne posłanie".

Na mieście ogromne zrobimy wydatki,
I wiele kupimy z szczodrotą rozrzutną;—
Różowe są róże, a modre bławatki,
Co kocham, jest przy mnie, nie mogę być smutną.

Była to stara piosnka, śpiewana przy kołyskach, którą Fantina usypiała małą Cozettę; przypomniała ją sobie teraz po pięciu latach. Śpiewała głosem tak smutnym i rozdzierającym, że nawet zakonnica nie mogła się od łez wstrzymać. Siostra, przywykła do najsmutniejszych widowisk, uczuła łzy, zalewające jej źrenice.

Zegar wybił szóstą. Fantina nie zdawała się słyszeć, ani zwracać uwagi na to, co się dokoła niej działo.

Siostra Symplicja wysłała służącą dowiedzieć się od odźwiernej fabryki, czy pan mer powrócił i czy prędko przyjdzie do infirmerji. Dziewczyna wróciła po kilku minutach.

Fantina, zawsze nieruchoma, zdawała się być pogrążoną w dumaniach.

Służąca odpowiedziała po cichu siostrze Symplicji, że p. mer wyjechał przed szóstą rano w małem tilbury odkrytem, mimo pory zimowej; że pojechał sam bez woźnicy, niewiadomo dokąd, że widziano go, jak zawracał na drogę do Arras, a inni zapewniali, że go widzieli na drodze do Paryża. Że odjeżdżając był jak zwykle dobry, łagodny, tylko powiedział odźwiernej, żeby go nie czekała na noc.

Kiedy dwie kobiety tak szeptały, tyłem obrócone do łóżka Fantiny, ta z gorączkową żywością pewnych chorób organicznych uklękła na łóżku, zaciśnięte dwie pięści oparła na poduszce i wysunąwszy głowę za firanki, słuchała. Nagle zawołała:

— Mówicie o p. Madeleine! dlaczego szepczecie pocichu? co się z nim stało? dlaczego nie przychodzi.

Głos jej stał się tak mocny i ostry, że dwie kobiety wzięły go za głos mężczyzny i obróciły się przerażone.

— Odpowiadajcie — wołała Fantina.

Służąca wyjąkała:

— Odźwierna powiedziała mi, że nie może przyjść dzisiaj.

— Moje dziecko — rzekła siostra — uspokój się i połóż.

Fantina, nie zmieniając postawy, odparła głosem doniosłym, groźnym i rozdzierającym:

— Nie może przyjść? dlaczego nie może? Wiecie przyczynę. Szeptałyście o tem przed chwilą. Chcę wiedzieć.

Służąca rzekła do ucha zakonnicy. — Powiedz pani, że jest zajęty w radzie municypalnej.

Siostra Symplicja zlekka zarumieniła się, bo służąca doradzała kłamstwo. Z drugiej strony zdawało się, że prawda, powiedziana chorej, zadałaby cios straszny i zaszkodziła zdrowiu. Rumieniec znikł prędko. Siostra podniosła na Fantinę wzrok spokojny i smutny, i rzekła:

— Pan mer wyjechał.

Fantina wyprostowała się i usiadła na nogach. Oczy jej zabłysły, niewymowna radość promieniała z całej tej zbolałej fizjonomji.

— Wyjechał! — zawołała. — Przywiezie Cozettę! Wyciągnęła ręce ku niebu, twarz przybrała wyraz nie do opisania. Usta jej poruszały się cichą modlitwą.

Gdy przestała modlić się, rzekła: — Siostro, chętnie położę się i zrobię, cokolwiek chcecie; przed chwilą byłam zła, przepraszam cię, siostro, jestem bardzo szczęśliwa. Pan Bóg jest dobry, pan Madeleine jest dobry; wyobraź sobie, siostro, pojechał po moją Cozettę do Montfermeuil.

Fantina położyła się, pomogła zakonnicy poprawić poduszki i ucałowała srebrny krzyżyk, który miała na szyi — podarunek od siostry Symplicji.

— Moje dziecko — rzekła siostra — uspokój się teraz i przestań mówić.

Fantina wilgotnemi rękami ujęła rękę siostry, której sprawiało przykrość, że chora była tak spoconą.

— Pojechał dziś rano do Paryża. Niepotrzebnie nawet jechał na Paryż, bo Montfermeuil leży nieco na lewo, ztąd jadąc. Czy przypomina sobie siostra, co

mówił wczoraj, gdym go pytała o Cozettę: *wkrótce! wkrótce!* Chce mi sprawić niespodziankę. Wie siostra? kazał mi podpisać list, który odda Thenardierom. Nie mogą się sprzeciwić, nieprawdaż? oddadzą Cozettę. Zapłacił im, ile chcieli. Władze nie pozwolą, żeby zatrzymywali dziecko, kiedy są zapłaceni. Siostro, nie mrugaj, że powinnam przestać mówić. Jestem nadzwyczajnie szczęśliwa, mam się dobrze, zupełnie jestem zdrowa, zobaczę Cozettę, już mi się nawet jeść zachciało. Pięć lat upływa, jak jej nie widziałam. O siostro, nie wyobrazisz sobie, jak drogie są dzieci! A potem ona taka miła i grzeczna, zobaczysz! Gdyby siostra wiedziała, jakie ma śliczne paluszki różowe! O będzie miała piękne ręce. Kiedym ją karmiła, miała zabawne rączyny, ot takie! Teraz musiała wyrość. Ma siedem lat, pannica. Nazywam ją Cozettą, ale jej na imię Eufrazja. Powiem coś siostrze; dziś rano patrzyłam na kurz na kominku i coś mi szepnęło, że wkrótce zobaczę Cozettę. Mój Boże! jak to źle, niegodziwie, kilka lat nie widzieć swego dziecka! Trzebaby zastanowić się, że życie nie jest wieczne! O, jak dobrze zrobił pan mer, że pojechał! Na dworze tak zimno! A wziął przynajmniej płaszcz? Jutro przyjedzie, nieprawdaż? To będzie radość! Jutro rano siostra mi przypomni, żebym włożyła czepeczek z koronkami. Montfermeuil to kraj daleki. Niegdyś odbyłam tę drogę piechotą, dla mnie było bardzo daleko. Ale dyliżanse prędko chodzą; jutro przyjedzie z Cozettą. Ile ztąd mil do Montfermeuil?

Siostra nie miała żadnego wyobrażenia o odległościach miejsc, więc odpowiedziała: — Zdaje mi się, że może jutro przyjechać.

— Jutro! jutro!—rzekła Fantina—jutro zobaczę Cozettę! Czy wie droga siostra boża, że już nie jestem chora? Oszalałam z radości. Tańczyłabym, gdyby chciano.

Ktoby ją widział kwadrans temu, nie pojąłby tej przemiany. Była rumiana, mówiła głośno, swobodnie

i naturalnie, cała jej postać się uśmiechała. Chwilami śmiała się, mówiąc pocichu. Radość matki, to prawie dziecinna radość.

— Teraz, kiedy jesteś szczęśliwą—rzekła zakonnica — więc bądź posłuszną i przestań mówić.

Fantina położyła głowę na poduszkę i rzekła półgłosem:—Tak, leż spokojnie, bądź grzeczną, kiedy wkrótce masz ujrzeć swoje dziecko. Siostra Symplicja ma słuszność. Wszyscy tu mają słuszność.

Później, nie ruszając się, nie podnosząc głowy, wodziła dokoła wielkiemi oczami, promieniejącemi radością — i nie wyrzekła już ani słowa.

Siostra Symplicja zasunęła firanki, spodziewając się, że uśnie.

Między siódmą i ósmą przyszedł doktór. Nie słysząc żadnego szmeru, sądził, że Fantina śpi i na palcach zbliżył się do łóżka. Odsłonił firanki i przy świetle nocnej lampy ujrzał zwrócone na siebie wielkie, spokojne oczy Fantiny.

— Panie—rzekła—wszak prawda, że pozwolą jej spać tu przy mnie na małem łóżeczku?

Lekarz myślał, że bredzi w malignie. Fantina dodała:

— Niech pan spojrzy, jak raz będzie miejsce na łóżeczko.

Lekarz odprowadził na ustęp siostrę Symplicję, która objaśniła co zaszło: że p. Madeleine na parę dni odjechał i że zapewne nie należało wyprowadzać z błędu chorej, której się zdaje, że pan mer pojechał do Montfermeuil; kto wie nawet, może chora w istocie odgadła. Lekarz uznał trafność spostrzeżenia.

Zbliżył się do łóżka Fantiny, która mówiła dalej:

— Bo to, widzi pan, rano gdy się obudzi, powiem dzień dobry biednemu kotkowi, a w nocy nie śpię, więc będę nad nią czuwała. Jej spokojny oddech mię uszczęśliwi.

— Podajcie rękę — rzekł doktór.

Wyciągnęła ramię i śmiejąc się, zawołała:

— Ba, prawda! pan nic nie wie! jam zupełnie już wyzdrowiała. Cozetta przyjeżdża jutro.

Lekarz się zdumiał. W istocie była zdrowszą. Oddech swobodny, puls mocniejszy i regularniejszy. Świeże życie nagle ożywiło tę biedną istotę wyczerpaną.

— Panie doktorze — rzekła — czy siostra powiedziała panu, że pan mer pojechał po moje złotko?

Lekarz zalecił spokojność, milczenie i unikanie wszelkich przykrych wzruszeń. Przepisał dekokt z czystej chininy i na przypadek gorączki w nocy, napój chłodzący. Odchodząc, rzekł do siostry: — Doprawdy, ma się lepiej. Jeżeli szczęśliwem zrządzeniem Opatrzności pan mer w istocie przywiezie dziecko jutro, kto wie, bywają przesilenia tak zdumiewające. Zdarzało się nieraz, że wielka radość nagle zatrzymywała choroby, a chociaż słabość pacjentki jest organiczną i bardzo rozwiniętą, któż odgadnie wszystkie tajemnice organizmu ludzkiego! Może ją jeszcze uratujemy.

VII.

Podróżny, przyjechawszy zawczasu, zapewnia sobie odjazd.

Była już ósma w wieczór, gdy karjolka, którą zostawiliśmy na drodze, wjechała w bramę gmachu pocztowego w Arras. Człowiek, któremuśmy towarzyszyli dotychczas, wysiadł, z roztargnieniem odpowiadał na zapytania służby w austerji, odesłał konia przyprzężonego, sam zaprowadził do stajni białego konika, potem wszedł do sali bilardowej na dole, usiadł i wsparł się łokciami na stole. Czternaście godzin trwała podróż, którą spodziewał się odbyć tylko w sześciu. Oddał sobie jednak sprawiedliwość, że to nie jego wina, ale w duchu nie gniewał się na opóźnienie.

Weszła właścicielka austerji.

— Czy pan nocuje? czy podać wieczerzę?

Potrząsnął głową odmownie.

— Stajenny powiada, że koń pański jest bardzo znużony.

Podróżny przerwał milczenie.

— Czy koń nie będzie mógł iść w drogę jutro rano?

— A! panie! najmniej dwa dni musi odpocząć.

— Wszak tu jest poczta? — zapytał.

— Tak, panie.

Gospodyni zaprowadziła go do biura; pokazał

paszport, wypytał, czy nie możnaby tejże nocy powrócić do M.—nad M. powozem pocztowym; miejsce obok pocztyljona w istocie nie było zajęte, zamówił i zapłacił.

— Panie — rzekł urzędnik pocztowy — nie zapomnij pan być tu przed pierwszą po północy, bo poczta nie czeka.

To uczyniwszy, wyszedł z hotelu i zaczął chodzić po mieście.

Nie znał Arras, na ulicach było ciemno, szedł więc na chybi trafi. Zdawało się, że umyślnie nie pyta przechodniów o drogę. Przeszedł most rzeczki Crinchon i zabłąkał się w labiryncie małych uliczek. Jakiś mieszczanin przechodził z latarką. Po pewnem wahaniu, zdecydował się zapytać mieszczanina, spojrzawszy wprzód dokoła, jakby się obawiał, by kto nie usłyszał, co mówi.

— Panie—rzekł—chciej powiedzieć, gdzie są sądy.

— Pan nie tutejszy? — odpowiedział mieszczanin, mężczyzna już podeszłego wieku; chodź pan ze mną. Właśnie idę w tę stronę, to jest w stronę pałacu prefektury. W tej chwili bowiem naprawiają gmach sądowy i tymczasowo trybunały odbywają posiedzenia w prefekturze.

— Czy i posiedzenia w sprawach kryminalnych?

— Ma się rozumieć, panie; widzi pan, dzisiejsza prefektura była przed rewolucją pałacem biskupim. Pan Conzié, który był biskupem w 1782 roku, kazał tam zbudować wielką salę. W tej to sali odbywają się sądy.

Idąc dalej, mieszczanin rzekł:

— Jeżeli chcesz pan widzieć proces, to trochę zapóźno. Zwykle posiedzenia kończą się o szóstej.

Tymczasem weszli na wielki plac i mieszczanin pokazał mu cztery ogromne okna oświecone, na fasadzie obszernego gmachu posępnej miny.

— Dalibóg panie, przychodzisz na czas, jesteś pan szczęśliwy. Te cztery okna to sąd kryminalny.

Są oświecone, więc sprawa nieskończona, widać przeciągnęła się długo i odbywają posiedzenie wieczorne. Pana ta sprawa obchodzi? Czy to proces kryminalny? jesteś pan świadkiem?

Odpowiedział:

— Nie sprowadza mię żadna sprawa, chciałem tylko rozmówić się z jednym adwokatem.

— To co innego—rzekł mieszczanin.—Widzi pan te drzwi, gdzie stoi szyldwach? Wejdź pan prosto na wielkie schody.

Postąpił według wskazówek mieszczanina i w kilka minut później znalazł się w wielkiej sali pełnej ludzi, gromadkami szepczących z adwokatami w togach.

Serce się ściska na widok tych gromadek ludzi, ubranych czarno, szepczących na progu sali sprawiedliwości. Rzadko tam usłyszysz słowa miłosierdzia i politowania. Najczęściej wyrywa się z ust potępienie zawczasu. W oczach rozmarzonego dostrzegacza gromady te wydały się jak posępne ule, w których szemrzące duchy budują wspólnie ponure budynki wszelkiego rodzaju.

Ta sala obszerna i jedną tylko lampą oświecona była dawniej salą gościnną biskupią, a dziś ustępową. Wielkie drzwi, w tej chwili zamknięte, prowadziły do sali posiedzeń sądu kryminalnego.

W sali było tak ciemno, że nie wahał się zaczepić pierwszego z brzegu adwokata.

— Panie—zapytał—jak stoi sprawa?

— Już skończona — rzekł adwokat.

— Skończona!

Słowa te wyrzekł takim tonem, że adwokat się obrócił.

— Przepraszam pana—rzekł—może pan krewny.

— Nie. Nie znam tu nikogo. Winowajca skazany?

— Oczywiście nie mogło być inaczej.

— Do ciężkich robót?...

— Na całe życie.

Zapytał raz jeszcze słabym, ledwie dosłyszanym głosem:

— Więc tożsamość osoby dowiedziona?

— Jaka tożsamość? — odpowiedział adwokat. Nie trzeba było sprawdzać tożsamości. Sprawa prosta: kobieta zabiła swoje dziecko; dzieciobójstwo dowiedzione; sąd przysięgłych skazał ją na całe życie.

— Więc to kobieta? — zapytał.

— A rozumie się, że kobieta. Niezamężna Limosin. O kogo panu chodzi?

— O nikogo, ale kiedy sprawa skończona, dla czegóż świeci się jeszcze w sali?

— Bo przed dwoma godzinami rozpoczęto inną sprawę.

— Jaką?

— O! i ta bardzo prosta. Rodzaj hultaja, recydywisty, galernika, który popełnił kradzież. Zapomniałem nazwisko. Ale ma minę rozbójnika. Za samą tę minę jużbym go posłał na galery.

— Panie — zapytał — czy nie możnaby wejść do sali?

— Wątpię, doprawdy. Tłok niezmierny. Ale posiedzenie jest zawieszone. Niektórzy powychodzili. Gdy rozpocznie się znowu posiedzenie, może pan sprobować.

— Którędy się wchodzi?

— Temi drzwiami.

Adwokat odszedł. W kilku chwilach doznał prawie współcześnie, prawie razem wszystkich możliwych wzruszeń. Obojętne słowa adwokata przeszywały go ostrzem ognistem i kłuły igłami lodu. Dowiedziawszy się, że sprawa nieskończona, odetchnął; nie umiałby jednak powiedzieć, czy uczuł zadowolenie, lub boleść.

Zbliżył się do kilku grup i przysłuchiwał, co mówiono. Uzbierało się wiele spraw i prezydujący wyznaczył na ten dzień dwie sprawy proste i krótkie. Rozpoczęto od dzieciobójstwa, teraz przyszła kolej na galernika, niepoprawnego recydywistę. Miał kraść

jabłka, ale mu tego nie dowiedziono; dowiedzionem jest tylko, że już był na galerach w Tulonie. To właśnie pogorszało jego sprawę. Zresztą skończyły się już badania oskarżonego i zeznania świadków, pozostawały jeszcze obrona adwokata i wnioski prokuratora; nie skończy się to przed północą. Prawdopodobnie człowiek będzie potępiony; prokurator jest bardzo zdolny, nie *chybi* swego oskarżonego; utalentowany chłopak, pisze nawet wiersze.

Woźny stał przy drzwiach, pilnując wejścia do sądu kryminalnego. Zapytał tego woźnego:

— Chciej mi pan powiedzieć, czy prędko drzwi się otworzą?

— Nie otworzą się wcale — odparł woźny.

— Czemu? czyż nie otwierają się z rozpoczęciem posiedzeń? czy zawieszono audjencję?

— Audjencja zaraz się znowu rozpocznie, ale drzwi się nie otworzą.

— Dlaczego?

— Bo sala jest zapełniona.

— Co! ani jednego próżnego miejsca?

— Ani jednego. Drzwi są zamknięte, nikt już wejść nie może.

Woźny dodał po chwili milczenia: — Są wprawdzie dwa lub trzy miejsca za panem prezesem, ale pan prezes wpuszcza tam tylko wysokich urzędników.

To rzekłszy, woźny odwrócił się do niego tyłem.

Odszedł ze spuszczoną głową, minął przedpokój i powolnie zstępował ze schodów, jakby się wahał na każdym kroku. Prawdopodobnie odbywał naradę z sobą samym. Nie skończyła się jeszcze gwałtowna walka, którą wczoraj stoczył; co chwila przechodził nową, straszną zmianę. Zeszedłszy ze schodów, oparł się o poręcz i skrzyżował ręce na piersiach. Nagle rozpiął surdut, wyjął pugilares, wydarł kartkę, dobył ołówek i przy świetle lampy napisał te słowa: *P. Ma-*

deleine, mer M. — *nad M.*; — potem wielkim krokiem przebiegł schody, przedarł się przez tłumy, poszedł prosto do woźnego i oddał mu kartkę, mówiąc rozkazującym tonem: — Oddaj to panu prezesowi.

Woźny wziął papier, rzucił nań ukradkowe spojrzenie i posłuszny odszedł.

VIII.

Wejście dla osób uprzywilejowanych.

Mer z M.—nad M.—ani się domyślał, że był sławnym człowiekiem. Od lat siedmiu rozgłos cnót jego napełnił całą okolicę dolnego Boulonnais, przekroczył granice szczupłego okręgu i przeniknął do dwóch lub trzech departamentów sąsiednich. Oprócz usług, oddanych głównemu miastu, przez rozwinięcie przemysłu czarnych świecidełek, nie było ani jednej ze stu czterdziestu gmin okręgu M. — nad M. — któraby nie zawdzięczała mu czegokolwiek. W potrzebie nawet umiał dopomódz przemysłowi innych okręgów. Tak przy sposobności poparł swym kredytem i funduszami fabrykę tiulów bulońskich, fabrykę tkanin lnianych mechanicznych w Frevert i hydrauliczną fabrykę płócien w Bourber nad Canche. Wszędzie ze czcią wspominano nazwisko p. Madeleine. Arras i Douai zazdrościły mera szczęśliwemu miasteczku M. — nad M.

Radca sądu królewskiego w Douai, który prezydował na tem posiedzeniu sądu kryminalnego w Arras, jak wszyscy, znał to nazwisko głęboko i powszechnie szanowane. Gdy woźny pocichu otworzywszy drzwi, łączące pokój radny z salą posiedzeń, pochylił się na krzesło prezesa i podał mu papier z nazwiskiem p. Madeleine, dodając że *ten pan życzy sobie być obecnym na audjencji*, prezes poruszył się skwa-

pliwie, porwał za pióro, napisał kilka słów u spodu i oddał papier woźnemu, mówiąc: prosić!

Nieszczęśliwy człowiek, którego historję opowiadamy, pozostał przy drzwiach sali w tem samem miejscu i w tej samej postawie, jak go opuścił woźny. Pogrążony w marzeniach słyszał, że mu ktoś mówił: raczy pan z łaski swojej pójść za mną. Był to ten sam woźny, który przed chwilą obrócił się tyłem do niego, a teraz kłaniał się do ziemi. Współcześnie woźny podał mu papier. Rozwinął, a że była blizko lampa, przeczytał:

„Prezes sądu kryminalnego przesyła swoje uszanowanie panu Madeleine.

Zmiął papier w rękach, jakby w tych słowach uczuł jakiś smak dziwny i gorzki.

Poszedł za woźnym.

W kilka minut później był sam w gabinecie ze ścianami, wyłożonemi futrowaniem, ponuro oświeconym dwoma woskowemi świecami, stojącemi na stole, zielonem suknem okrytym. W uszach brzmiały mu jeszcze ostatnie słowa woźnego: „Jest pan w izbie radnej; naciśnie pan tylko klamkę mosiężną i niebawem będzie w sali posiedzeń za krzesłem pana prezesa.“ Te słowa łączyły się w jego myśli z mglistem wspomnieniem wązkich korytarzy i schodów, któremi niedawno przechodził.

Woźny zostawił go samego. Nadeszła chwila uroczysta, ostateczna. Chciał zebrać i skupić swe myśli, lecz nie mógł. Wtedy właśnie, gdy najżywszą czujemy potrzebę przywiązać się do rozdzierających serce rzeczywistości życia, rwą się w mózgu nici myśli. Znajdował się w miejscu, gdzie sędziowie naradzają się i potępiają. Z bezmyślną spokojnością patrzył na tę izbę cichą i straszną, gdzie tyle istnień zdruzgotano, gdzie jego nazwisko miało rozledz się za chwilę i jego losy rozstrzygnąć. Patrzył na ściany, spojrzał na siebie i zdumiał się, że to był ów pokój i że to był on.

Nie jadł od dwudziestu czterech godzin, był cały

zbity od trzęsienia powozu po najgorszej drodze, ale nie czuł niczego; zdało mu się, że zupełnie stracił uczucie.

Zbliżył się do ciemnych ram, wiszących na ścianie, w których za szkłem był własnoręczny list Jana Mikołaja Pache, mera Paryża i ministra, datowany zapewne błędnie 9 czerwca II roku, w którym Pache wysyłał do gminy listę ministrów i deputowanych trzymanych w więzieniu. Ktoby patrzył na niego w tej chwili, byłby pewnym, że ten list szczególniejszą budził w nim ciekawość, bo nie spuszczał zeń oczu i przeczytał go dwa lub trzy razy. Czytał, nie myśląc o treści i nie wiedząc, że czytał. Myślał o Fantinie i Cozecie.

Tak marząc, obrócił się i spojrzenia jego padły na mosiężną klamkę drzwi, oddzielających go od sali posiedzeń. Prawie o nich zapomniał. Spojrzał na klamkę zrazu spokojnie, potem bystro, z obłąkaniem, w końcu z największem przerażeniem. Grube krople potu ściekały mu z włosów na skronie.

Chwilami pasując się z sobą, poruszał ręką, z gestem rozkazującym i buntowniczym razem, jakby chciał mówić: I cóż mię do tego przymusza? Później zawrócił się żywo, postąpił ku drzwiom, któremi wszedł, otworzył je i wyszedł. Dostał się na korytarz długi, wązki, przerywany schodkami i drzwiczkami, pełen zakrętów, tu i owdzie oświecony lampą, jak przy łożu chorych: ten sam korytarz, przez który przechodził do pokoju radnego. Odetchnął, słuchał; żadnego szmeru ani za nim ani przed nim; jął uciekać, jakby go kto gonił.

Ubiegłszy kilkanaście kroków na korytarzu, zatrzymał się i słuchał jeszcze. Taż sama cisza i ciemność dokoła. Tchu mu zabrakło, zachwiał się i oparł o ścianę. Od zimnego muru pot zlodowaciał mu na czole; zadrżał i odstąpił.

Tak stojąc sam, w ciemnościach, drżący z zimna i zapewne z czego innego jeszcze, myślał.

Myślał noc całą, myślał dzień cały — i teraz słyszał tylko wewnątrz siebie głos wołający: Niestety!

Kwadrans tak stał zamyślony. Nakoniec pochylił głowę, ciężko i boleśnie westchnął, opuścił ręce i zawrócił. Szedł powolnie, znękany. Zdawałoby się, że ktoś go schwycił uciekającego i przyprowadzał.

Wszedł do pokoju radnego. Pierwsza rzecz, którą zobaczył, była klamka drzwi. Ta klamka okrągła, gładka, mosiężna, błyszczała przed nim jak straszna gwiazda. Patrzył na nią, jak owca patrzy w oczy tygrysa.

I nie mógł oderwać wzroku od klamki.

Niekiedy postąpił krok naprzód i zbliżył się do drzwi.

Gdyby słuchał, usłyszałby jakiś pomięszany szmer, jakiś hałas w sali sąsiedniej; ale nie słuchał i nie słyszał niczego.

Nagle, sam nie wiedząc jak się to stało, znalazł się przy drzwiach i konwulsyjnie chwycił za klamkę; drzwi się otworzyły.

Był w sali audjencjonalnej.

IX.

Miejsce, gdzie przekonania się tworzą.

Postąpił krok naprzód, machinalnie zamknął drzwi za sobą i stanął patrząc na to, co widział.

Była to sala obszerna, źle oświecona, to pełna wrzawy, to ponurego milczenia, w której wszystkie przybory procesu kryminalnego roztaczały się przed oczyma tłumu z powagą dziecinną i posępną.

W końcu sali, tam gdzie on się znajdował, siedzieli sędziowie w wyszarzanych togach, roztargnieni, ogryzając paznokcie lub drzemiąc; w przeciwnym końcu obszarpana tłuszcza; adwokaci w przeróżnych postawach, żołnierze z miną poczciwą i szorstką; stare futrowania poplamione, sufit brudny, stoły pokryte wyżółkłem suknem zielonem, drzwi poczernione od rąk; na gwoździach wbitych w futrowania, lampy jak w szynkowniach, więcej wydające dymu niż światła; na stołach świece łojowe w lichtarzach mosiężnych; wszędzie ciemno, brzydko, smutnie. Wszystko to jednak przejmowało cię zgrozą i poszanowaniem, bo czułeś tu wielką sprawę ludzką, zwaną prawem i wielką rzecz boską, zwaną sprawiedliwością.

Nikt w tym tłumie nie zwracał na niego uwagi. Wszystkie spojrzenia utkwione były w jeden przedmiot, na ławkę przysuniętą do małych drzwiczek przy ścianie, na lewo od prezesa. Na tej ławce, na którą

padało światło świec kilku, siedział człowiek między dwoma żandarmami.

Tym człowiekiem był oskarżony.

Nie szukał go oczami, zobaczył natychmiast. Oczy jego padły nań odrazu, jakby zawczasu widział, gdzie siedzi ta postać.

Zdało mu się, że ujrzał siebie samego, podstarzałego, nie zupełnie wprawdzie podobnego z twarzy, ale takiej samej postawy, podobnych rysów, z najeżonemi włosami, płową i niespokojną źrenicą, w bluzie, którą miał na sobie, gdy wchodził do D.—z wyrazem nienawiści na twarzy, kryjąc w głębi duszy ohydny skarb strasznych myśli, które przez lat dziewiętnaście starannie zbierał na bruku więziennym.

Drżąc, rzekł do siebie: — O Boże! czyż takim znowu się stanę?

Człowiek ten zdawał się mieć lat około sześćdziesięciu; miał coś w sobie szorstkiego, głupowatego i dzikiego.

Na odgłos otwierających się drzwi, usunięto się, by zrobić miejsce, prezes odwrócił głowę i domyślając się, że wchodzącym był pan mer z M.—nad M.—skłonił mu się uprzejmie. Prokurator, który widział p. Madeleine w M.—nad M.—dokąd nieraz powoływały go obowiązki urzędu, poznał go i także powitał. On ledwie to spostrzegł. Jak urzeczony patrzył przed siebie.

Sędziowie, pisarze, żandarmi, mnóstwo głów okrutnie ciekawych — wszystko to widział już raz przed dwudziestu laty. Te złowrogie rzeczy spotyka znowu: stoją przed nim, ruszają się, żyją; to prawdziwi żandarmi, prawdziwi sędziowie, prawdziwy tłum prawdziwych ludzi z ciała i kości. Stało się; dokoła niego ukazały się i odżyły z całą straszną rzeczywistością potworne postacie przeszłości.

Wszystko czychało nań, jak przepaść otwarta. Zgroza go przejęła, zamknął oczy i zawołał w najskrytszych głębiach swej duszy: nigdy!

Dziwnie tragiczną igraszką losów, przywodzącą go do szaleństwa, drugi on sam stał przed nim. Wszyscy nazywali sądzonego Janem Valjean!

Niesłychany miał widok przed oczami: był na przedstawieniu najokropniejszej sceny ze swego życia, granem przez własne widmo.

Wszystko jak dawniej: taż sama złowroga wystawa, ta sama godzina nocna, prawie te same twarze sędziów, żołnierzy i widzów. Tylko nad głową prezesa wisiał krucyfiks, którego nie było w trybunałach wówczas, gdy go potępiono. Kiedy go sądzono, Bóg był nieobecnym.

W tyle za nim stało krzesło, padł na nie, przerażony myślą, że mogą go widzieć. Usiadłszy, skrył twarz za stos aktów, leżących na stole sędziów i mógł widzieć, nie będąc widzianym. Powoli oprzytomniał i przyszedł do siebie. Tyle już był spokojny, że mógł słuchać.

P. Bamatabois był w liczbie sędziów przysięgłych.

Szukał Javerta, ale go nie zobaczył. Stół pisarza zasłaniał świadków. A przytem jakeśmy mówili, sala była źle oświeconą.

Właśnie gdy wchodził, adwokat oskarżonego skończył obronę. Sprawa trwała od trzech godzin i publiczność słuchała jej z wytężoną uwagą. Od trzech godzin w oczach ciekawego tłumu, uginał się pod brzemieniem strasznego prawdopodobieństwa człowiek nieznajomy, jakiś nędznik nadzwyczajnie głupi albo przebiegły. Był włóczęgą, którego schwytano na polu, niosącego gałęź z dojrzałemi jabłkami, złamaną w ogrodzie Pierrona. Co za jeden? Zarządzono śledztwo, przesłuchano świadków, wszyscy zeznali jednomyślnie i wyświeciła się prawda z procesu. Stało w oskarżeniu: — Trzymamy w ręku nietylko złodzieja owoców, włóczęgę, trzymamy nadto bandytę, zbiegłego z miejsca, dokąd był delegowany, dawnego galernika, najniebezpieczniejszego zbrodniarza, złoczyńcę

nazwiskiem Jan Valjean, którego sprawiedliwość oddawna poszukuje, który przed ośmiu laty opuściwszy galery tulońskie, dopuścił się na gościńcu rozboju na osobie chłopca Sabaudczyka imieniem Gerwazek, zbrodni przewidzianej w art. 383 kodeksu karnego, którą poszukiwać będziemy później, gdy tożsamość osoby sądownie udowodnioną zostanie. Teraz popełnił nową kradzież. Jest to więc recydywa. Ukarzcie go za nowy fakt, później się osądzi dawniejszy. — W obec takiego oskarżenia i jednomyślności świadków, oskarżony nie tak się bronił, jak raczej okazywał wielkie zdziwienie. To machał rękami i gestykulował przeczac oskarżeniu, to gapił się na sufit. Mówił z trudnością, odpowiadał zakłopotany, ale od stóp do głów całą postacią swoją zaprzeczał. Był idjotą w obec rozumów, dokoła niego ustawionych w szyku bojowym i wydawał się zupełnie obcym w tem napastniczem towarzystwie. A jednak chodziło o najgroźniejszą przyszłość; prawdopodobieństwo co chwila zdawało się większe, tłum ciekawych z większą niż on obawą czekał nieszczęsnego wyroku, zawieszonego nad jego głową. Przewidywano nawet karę śmierci zamiast galer, gdyby dowiedziona została tożsamość osoby i sprawa Gerwazka zakończyła się później nowem potępieniem. Co był za jeden ten człowiek? Co znaczyła jego obojętność? Byłaż to chytrość czy niedołęstwo? Czy aż nadto dobrze rozumiał swoje położenie, lub też nic zgoła go nie pojmował? Takie pytania zadawali sobie widzowie i jak się zdaje, takie wątpliwości różniły opinje sędziów przysięgłych. W procesie tym było i to, co przeraża i to, co zaciekawia; dramat był nietylko ponury, ale nadto ciemny i zawikłany.

Adwokat nieźle bronił owym stylem prowincjonalnym, oddawna będącym znamieniem wymowy sądowej, która niegdyś właściwa adwokatom zarówno Paryża, jak lada lichej mieściny, dziś stała się wymową klasyczną i wyłącznie używaną przez mówców urzędowych, którym przystoi krasomówstwo poważne

i majestatyczne. W tym stylu mąż zowie się *małżonkiem*, żona *małżonką*, Paryż *ogniskiem sztuk i cywilizacji*, król *monarchą*, ksiądz biskup *świętym arcykapłanem*, prokurator *wymownym tłumaczem pomsty sprawiedliwości*, obrony *głosami przed chwilą słyszanemi*, wiek Ludwika XIV *wielkiem stuleciem*, teatr *świątynią Melpomeny*, rodzina panująca *dostojną krwią naszych królów*, koncert *uroczystością muzykalną*, jenerał dowodzący załogą w departamencie *znakomitym wojownikiem, który i t. d.*; alumni seminarjum *młodocianymi lewitami*, błędy przypisywane dziennikom *fałszem sączącym truciznę w kolumny tych organów* i t. d. i t. d.

Otóż adwokat rozpoczął mowę od wyłuszczenia sprawy kradzieży jabłek, co w pięknym stylu rzecz nie lada trudności; ale sam wielki Bossuet zmuszony był raz podczas mowy pogrzebowej wspomnieć o kurze, a świetnie wybrnął z kłopotu. Adwokat utrzymywał, że kradzież jabłek materjalnie nie była dowiedzioną. Nikt nie widział, żeby jego klijent, którego jako obrońca nie przestawał nazywać Champmathieu, przeskoczył mur i złamał gałęź. Wprawdzie schwytano go z gałęzią w ręku, ale mówił, że ją podjął z ziemi. Przeciwnego dowodu nie miano. Nie ulegało wątpliwości, że gałęź była odłamaną z jabłoni i wyniesiona z ogrodu przed złodzieja, który później przestraszony rzucił ją na ziemię. Nic jednak nie dowodziło, że tym złodziejem był Champmathieu. Pozostawał jedyny zarzut: że był dawniej galernikiem. Adwokat nie przeczył, że na nieszczęście rzecz zdawała się dowiedzioną, oskarżony mieszkał w Faverolles, był tam ogrodniczkiem, nazwisko Champmathieu mogło początkowo brzmieć Jan Mathieu, to prawda; wreszcie czterech świadków bez wahania zeznało, że ów Champ Mathieu był galernikiem Janem Valjean; przeciw tym wskazówkom i świadectwom adwokat mógł tylko postawić zaprzeczenie swego klijenta, przeczenie niestety interesowne; ale przypuszczając nawet, że był galernikiem Janem Valjean, czyż to

dowodziło, że kradł jabłka? Prosty domysł, bez dowodu. Wprawdzie obrońca w dobrej wierze przyznać musiał, że oskarżony używał, „złego systemu obrony.“ Uporczywie przeczył wszystkiemu i kradzieży i swej przeszłości na galerach. Niewątpliwie lepiej byłoby przyznać się do ostatniego punktu: toby mu zjednało pobłażanie sędziów: sam adwokat tak mu doradzał, ale oskarżony uporczywie sprzeciwiał się, sądząc zapewne, że wszystko ocali, nie przyznając się do niczego. Był to błąd, ale czyż nie należało uwzględnić ograniczonego jego rozumu? Człowiek ten widocznie jest idjotą. Długoletnie nieszczęścia na galerach, długa nędza po wyjściu z galer ogłupiła go i t. d.; źle się bronił, ale to nie jest dostateczną przyczyną do potępienia. Co do sprawy z Gerwazkiem, adwokat jej nie dotykał, gdyż nie należała do procesu. W końcu adwokat błagał prześwietny sąd, aby zastosował do niego karę policyjną za opuszczenie miejsca wyznaczonego na mieszkanie, zamiast strasznej kary, spadającej na galernika recydywistę.

Prokurator odpowiedział na obronę. Jak zwykle wszyscy prokuratorowie był gwałtowny i kwiecisty.

Powinszował obrońcy jego „uczciwości“ i zręcznie z niej skorzystał. Wszystkich ustępstw adwokata użył jako broni przeciw oskarżonemu. Adwokat zdawał się zgadzać, że oskarżony był Janem Valjean. Prokurator uważał już to za fakt niezawodny. Człowiek ten był więc Janem Valjean. To już zaprzeczeniu nie ulegało. Tu, używając zręcznej figury retorycznej, od szczegółu przechodząc do ogółu, od pojedyńczego faktu do źródeł występków, prokurator piorunował przeciw niemoralności szkoły romantycznej, powstającej wówczas pod nazwą *Szkoły szatańskiej*, którą ją ochrzciły krytyki *Gazety codziennej* i *Oriflammy* i nie bez wielkiego prawdopodobieństwa przypisał wpływowi nowej literatury szkaradny występek Champ-

Mathieu'go, a raczej Jana Valjean. Wyczerpawszy te uwagi, przeszedł do samego Jana Valjean.

Kto był Jan Valjean? Tu jego opis: potwór, którego wyzionęły piekła i t. d. Wzór tego rodzaju opisów znajduje się w opowiadaniu Therameny, które mało użyteczne dla sztuki dramatycznej, codziennie świadczy wielkie usługi wymowie sądowej. Słuchacze i sędziowie „zadrżeli.“ Dokonawszy opisu, prokurator mówił dalej, używając krasomówskiego zwrotu, który nazajutrz miał do najwyższego stopnia obudzić entuzjazm Dziennika prefektury: I taki to człowiek i t. d. i t. d. włóczęga, żebrak, bez sposobu utrzymania i t. d. i t. d., przeszłem życiem wdrożony w występki, nie poprawiony pobytem na galerach, jak tego dowodzi zbrodnia, popełniona na Gerwazku i t. d., taki to człowiek, ujęty na gorącym uczynku kradzieży o kilka kroków od przeskoczonego muru, z przedmiotem skradzionym w ręku, przeczy przeskoczeniu muru, przeczy wszystkiemu, wypiera się aż do swego nazwiska, aż do tożsamości osoby! Oprócz tysiąca innych dowodów, których tu nie przytaczamy, poznają go czterej świadkowie: Javert, nieskazitelny inspektor policji Javert i trzej dawni towarzysze sromoty, galernicy: Brevet, Chenildieu i Cochepaille. Cóż mówi przeciw tej piorunującej jednomyślności? Przeczy. O zatwardziałości niesłychana! Panowie przysięgli wymierzcie sprawiedliwość i t. d. i t. d.

Gdy tak prawił prokurater, oskarżony słuchał, otworzywszy gębę, ze zdziwieniem i pewnym podziwem. Oczywiście zdumiewało go, że człowiek może tak wspaniale mówić. Niekiedy słysząc najenergiczniejsze ustępy wniosków prokuratora, gdy jego wymowa wzbierała potokiem hańbiących przymiotników i jak nawałnica zalewała oskarżonego — kiwał zwolna głową, protestując smutnie i milcząco. Dwa czy trzy razy bliżej stojący widzowie słyszeli, jak rzekł półgłosem: — Otóż na co mi wyszło, żem nie zapytał się pana Baloup!—Prokurator zwrócił uwagę sędziów przysięgłych na tę bezmyślną

postawę, widocznie wyrachowaną, która świadczyła nie o niedołęztwie, lecz o przebiegłości, podstępie, chytrości i wprawie w oszukiwaniu sprawiedliwości, w całem świetle ukazującym „głęboką przewrotność“ tego człowieka. Zakończył zastrzeżeniem sprawy Gerwazka i żądaniem surowego wyroku.

Chodziło jak na teraz o skazanie na dożywotnie galery.

Podniósł się obrońca, powiedział kilka grzeczności panu prokuratorowi, chwalił jego „cudowną mowę“ i odpowiedział jak mógł, ale widocznie słabnął, czując, że nie ma na czem wesprzeć obrony.

X.

Zawsze się zapiera.

Zbliżała się chwila zamknięcia obrad. Prezes kazał oskarżonemu powstać i według zwyczaju zapytał: — Czy masz co dodać do swojej obrony?

Człowiek stojąc trzymał w rękach obrzydliwą czapkę i nie zdawał się nawet słyszeć.

Prezes powtórzył zapytanie.

Tym razem człowiek usłyszał. Zdało się, że zrozumiał. Zrobił poruszenie jak ze snu zbudzony, powiódł dokoła oczami, spojrzał na publiczność, na żandarmów, swego adwokata, sędziów, prezesa, wsparł ogromne pięści na krawędzi kratki przed jego ławą będącej, spojrzał raz jeszcze i nagle utkwiwszy wzrok w prokuratora, zaczął mówić. Mowa jego była jakby wybuchem wulkanu. Zdawało się, że wyrazy te gwałtowne, niezgodne i bezładne, biły się z sobą, aby razem wydostać z piersi. I mówił: — Dodam to. Byłem kołodziejem w Paryżu, powiem nawet, że to było u pana Baloup. Ciężki to zarobek rzemiosło kołodzieja: pracujesz cały dzień pod gołem niebem, pod szopą u dobrych majstrów, nigdy w zamkniętych warsztatach, bo widzicie panowie, potrzeba dużo miejsca. W zimie tak marzniesz, że musisz machać rękami by się rozgrzać, ale majstrowie i na to nie pozwalają mówiąc, że traci się czas drogi. Ciężka rzecz obrabiać żelazo, gdy woda marznie na bruku.

Człek prędko się zużywa. Młody wiekiem robisz się stary w tej pracy. Masz lat czterdzieści, jużeś do niczego. A ja miałem pięćdziesiąt trzy i jeszcze pracowałem. A potem, jacy złośliwi ci, robotnicy! Kiedyś już nie młody, wyśmiewają cię nazywając starym kanarkiem, starym osłem! Zarabiałem ledwie trzydzieści su dziennie, majstrzy korzystając z mego wieku, płacili mi jak najmniej. Prócz tego miałem córkę, która prała bieliznę w rzece. I ona trochę zarabiała; we dwoje jakoś się żyło. I jej praca ciężka wielce! Cały dzień bebłać w balji podkasana, na deszczu, na śniegu, na wichrze smagającym w oczy; choć marznie, pierz, nie pytaj; wiele osób mało ma bielizny i czeka na nią; jeśli nie wypierzesz na czas, stracisz praktykę. Deski źle spojone, woda zewsząd ciecze; spódnice ci zalewa; przemakasz do nitki. Pracowała także w pralni Dzieci Czerwonych, gdzie wodę sprowadzają rurami i płuczą chusty w miednicy. Pralnia jest zamknięta, więc nie tak zimno. Ale używają ługu do moczenia chust, a to strasznie wyżera oczy. Powracała o siódmej wieczór i wcześnie się spać kładła, tak była zmęczona. Mąż ją bił. Umarła. Nie byliśmy szczęśliwi. Poczciwa córka nie znała, co zabawa, spokojna jak trusia. Pamiętam tłusty czwartek i ostatki; kładła się spać o ósmej wieczór. Oto cała prawda. Zapytajcie, kogo chcecie. Ba! tom głupi! a kogo się zapytacie? Paryż to otchłań. Któżby tam znał ojca Champmathieu? Ale wspomniałem o panu Baloup. Zapytajcie pana Baloup. A teraz, nie wiem już, czego chcecie.

Człowiek zamilkł i nie siadał. Wszystko to wypowiedział donośnie, prędko, głosem ostrym, ochrypłym, surowym z jakąś szczerotą gniewną i dziką. Raz przerwał mowę, kłaniając się komuś w tłumie. Niby z czkawką wyrywały mu się słowa, którym towarzyszyły gesty drwala, robiącego kloce. Gdy skończył, publiczność śmiała się do rozpuku. Kiedy na nią spojrzał i spostrzegł ten śmiech ogólny, nie zrozumiał niczego i śmiał się także.

Ponure widowisko.

Prezes, człek rozważny i życzliwy zabrał głos:

— Przypomniał panom sędziom przysięgłym, że majster Baloup, pryncypał, u którego oskarżony miał służyć, był napróżno wzywany na świadka. Zbankrutował i nie można go było znaleść. Później obracając się do oskarżonego, wezwał go, aby uważnie słuchał, co mu powie i dodał:—Powinieneś się dobrze zastanowić nad swojem położeniem. Ważne podejrzenia ciążą na tobie i mogą mieć najzgubniejsze następstwa. Oskarżony, we własnym interesie twoim wzywam cię, wytłumacz się jasno w tych dwóch rzeczach: — Najprzód, czyś przeskoczył lub nie przeskoczył mur ogrodu Pierron, czyś złamał gałęź i ukradł jabłka, to jest, czyś popełnił kradzież gwałtowną? Powtóre, tak czy nie, jesteś uwolnionym galernikiem Janem Valjean?

Oskarżony potrząsnął głową pojętnie jak człowiek, który dobrze zrozumiał i wie, co ma odpowiedzieć. Otworzył gębę, obrócił się do prezesa i rzekł:

— Najprzód . . .

Potem spojrzał na swą czapkę, na sufit i zamilkł.

— Oskarżony — odezwał się tonem surowym prokurator — zważaj, co czynisz. Nie odpowiadasz wcale na zapytanie. Pomięszanie twoje cię potępia. Widocznie się nie nazywasz Champmathieu, jesteś galernikiem Janem Valjean, ukrytym naprzód pod nazwiskiem Jana Mathieu, po matce; byłeś w Owernji, urodziłeś się w Faverolles, gdzie byłeś ogrodniczkiem. Oczywiście ukradłeś jabłka w ogrodzie Pierron, przeskoczywszy mur. Panowie przysięgli osądzą.

Oskarżony usiadł, ale gdy prokurator skończył, porwał się z siedzenia i zawołał:

— Jesteś pan bardzo złośliwy, mój panie! To chciałem powiedzieć, ale mi nie przyszło od razu na myśl. Niczego nie ukradłem, należę do ludzi, którzy nie każdego dnia jedzą. Szedłem z Ailly, właśnie było po ulewie, całe pole było żółte, nie widziałeś źdźbła tra-

wki na drodze, znalazłem na ziemi gałęź odłamaną z jabłkami, podniosłem ją nie wiedząc, że mię za to spotka nieszczęście. Od trzech miesięcy włóczą mię po więzieniach i sądach. Dalibóg nie wiem, co gadać; świadczą przeciw mnie, mówią: odpowiadaj! Żandarm, poczciwe człeczysko, trąca mię łokciem i szepcze: Ależ odpowiedz cokolwiek. Nie umiem się tłumaczyć, nie jestem piśmienny, nie uczyłem się, jestem biedny człowiek. Źle bardzo, że tego panowie nie wiedzą. Nie kradłem, podjąłem z ziemi, co leżało. Mówicie Jan Valjean. Jan Mathieu! Nie znam tych ludzi. Muszą to być wieśniacy. Ja pracowałem u pana Baloup na bulwarze szpitalnym. Nazywam się Champmathieu. Bardzoście przenikliwi odgadując, gdzie się urodziłem. Ja bo tego nie wiem. Nie wszyscy mają domy do przyjścia na świat. Byłoby to zbyt wygodne. Zdaje mi się, że mój ojciec i moja matka tułali się po drogach; więcej nie wiem. Gdym był dzieckiem, zwano mię Mały, teraz nazywają mię Stary. Oto moje imiona chrzestne. Wybierajcie, które się wam spodoba. Byłem w Owernji; byłem i w Faverolles. Więc cóż! to nie można być w Owernji lub w Faverolles i nie być na galerach? Powiadam wam, że nie kradłem i że jestem ojciec Champmathieu. Byłem u pana Baloup, u niego mieszkałem. Nudzicie mię nakoniec swojemi bzdurstwami! Nie rozumiem, dlaczego takeście się uwzięli na mnie?

Prokurator stał podczas tej mowy i gdy oskarżony umilkł, obrócił się do prezesa.

— Panie prezesie, w obec tak zagmatwanych, ale bardzo zręcznych zaprzeczeń oskarżonego, który widocznie chce uchodzić za idjotę, ale mu się to nie uda, uprzedzamy go o tem—żądamy, abyś pan i prześwietny sąd raczyli powołać świadków, skazanych Brevet, Cochepaille i Chenildieu, oraz inspektora policji Javerta i raz jeszcze wezwać ich do oświadczenia się co do tożsamości oskarżonego z galernikiem Janem Valjean.

— Zwrócę uwagę pana prokuratora, odpowiedział prezes, że inspektor policji Javert, którego obowiązki powoływały do głównego miasta sąsiedniego okręgu, bezzwłocznie po złożeniu zeznania opuścił audjencję i miasto. Upoważniliśmy go do tego za zgodą pana prokuratora i obrońcy oskarżonego.

— To prawda, panie prezesie — odparł prokurator. W nieobecności inspektora Javert, czuję się w obowiązku przypomnieć panom przysięgłym, co powiedział w tem tu miejscu przed kilkoma godzinami. Javert jest człowiek szanowany, surowością i ścisłością wykonywania służby przynosi zaszczyt urzędowi swemu, podrzędnemu wprawdzie ale wielkiej wagi. Oto są słowa jego zeznania: „Nie potrzebuję domysłów moralnych i dowodów materjalnych, zadających fałsz przeczeniom oskarżonego. Poznaję go doskonale. Człowiek ten nie nazywa się Champmathieu; to dawny galernik niebezpieczny i straszny, nazwiskiem Jan Valjean. Po wysiedzeniu kary, uwolniono go z wielkim żalem. Siedmnaście lat na galerach za kradzież gwałtowną. Pięć czy sześć razy usiłował uciec. Oprócz kradzieży u Gerwazka i w ogrodzie Pierron, mam podejrzenie, że okradł jego wysokość nieboszczyka biskupa w D. — Często go widywałem, będąc pomocnikiem nadzorcy więzień w Tulonie. Powtarzam, poznaję go doskonale.“

To oświadczenie tak dobitne sprawiło wielkie wrażenie na przysięgłych i publiczności. Prokurator nalegał, aby w nieobecności Javerta przywołano trzech świadków: Breveta, Chenildieu i Cochepaille i zapytano ich uroczyście.

Prezes wydał rozkaz woźnemu i wkrótce otworzyły się drzwi od izby świadków. Woźny w towarzystwie żandarma, gotowego dać czynną pomoc, wprowadził skazanego Breveta. Zawieszono posiedzenie; wszystkich serca, jak jednego człowieka gwałtownie zabiły.

Były galernik Brevet miał na sobie opończę wpół czarną wpół szarą, jaką noszą w domach kary i poprawy. Miał lat około sześćdziesięciu i wyglądał na negocjanta podszytego hultajem. Taka spółka czasami się zdarza. W więzieniu, do którego się dostał za nowe łotrowstwa, był pewnym rodzajem stróża. Nadzorcy mawiali o nim: — Stara się być użytecznym. Kapelani chwalili jego pobożność. Nie należy zapominać, że się to działo za Restauracji.

— Brevet — rzekł prezes — odsiedziałeś karę zniesławiającą i nie możesz złożyć przysięgi.

Brevet spuścił oczy.

— Wszelako — mówił prezes — nawet w człowieku potępionym przez prawo, jeśli miłosierdzie boskie dozwoli, zostaje uczucie honoru i słuszności. Do tego to uczucia odwołuję się w tej stanowczej godzinie. Jeżeli masz je, jak się spodziemam, więc zastanów się, nim odpowiesz, rozważ, że jedno twe słowo może zgubić człowieka, a z drugiej strony może oświecić sprawiedliwość. Chwila jest uroczystą, jeszcze masz czas odwołać zeznanie, jeśli sądzisz, żeś się omylił. Oskarżony, powstań. Brevet przypatrz się dobrze oskarżonemu, zbierz swe wspomnienia i sumiennie powiedz, czy i teraz poznajesz, że ten człowiek był dawnym towarzyszem twoim w więzieniu, Janem Valjean?

Brevet spojrzał na oskarżonego, potem obrócił się do sądu i rzekł.

— Tak panie prezesie. Ja pierwszy go poznałem i obstaję przy swojem. Człowiek ten jest Jan Valjean, który wszedł do Tulonu 1796 r. a wyszedł 1815. Ja rokiem później opuściłem galery. Dziś wygląda na niedołęgę — widać zniedołężniał z laty, bo na galerach był chytry poznaję go stanowczo.

— Usiądź—rzekł prezes. Oskarżony stój jeszcze.

Wprowadzono Chenildieu, galernika skazanego na całe życie, co poznawałeś po czerwonej opończy i zielonej czapce. Odsiadywał karę w Tulonie, zkąd

go przywieźli dla tej sprawy. Był to człowiek niskiego wzrostu, około lat pięćdziesięciu, żywy, pomarszczony, szczupły, wyżółkły, bezczelny, gorączkowy; wszystkie jego członki i cała osoba wyrażały chorowitą niemoc, a spojrzenie siłę niezmierną. Towarzysze galernicy przezwali go Je-nie Dieu.

Prezes powtórzył słowa powiedziane do Breveta. W chwili, gdy mu przypominał, że infamja odejmowała mu prawo składania przysięgi, Chenildieu podniósł głowę i zuchwale spojrzał na widzów. Prezes wezwał go, by zebrał swe wspomnienia i zapytał jak Breveta, czy i teraz poznaje oskarżonego.

Chenildieu roześmiał się na całe gardło.

— Do djabła! czy go poznaję! przez pięć lat byliśmy przykuci do jednego łańcucha. Dąsasz się, mój stary!

— Idź usiądź — rzekł prezes.

Woźny przyprowadził Cochepailla. Równie skazany na całe życie i ubrany czerwono jak Chenildieu. Cochepaille był wieśniakiem w Lourdes i półniedźwiedziem w Perynejach. Pasał bydło w górach i z pastucha stał się rozbójnikiem. Cochepaille był równie dzikim jak oskarżony, a zdawał się jeszcze głupszym. Był to jeden z tych nieszczęśliwych ludzi, których natura rodzi na dzikie zwierzęta, a społeczeństwo wykształca na galerników.

Prezes starał się go poruszyć kilku patetycznemi i poważnemi słowy i zapytał jak drugich, czy i teraz bez wahania poznaje człowieka, stojącego przed nim.

— To Jan Valjean—rzekł Cochepaille. Ten sam, którego nazywano Janem-Windą, taki był mocny.

Za każdem twierdzeniem tych trzech ludzi widocznie z dobrą wiarą czynionem, rozlegał się między widzami szmer złej wróżby dla oskarżonego; szmer ten wzrastał i przedłużał się po każdem powtórzeniu zeznania. Oskarżony słuchał ich ze zdumieniem, które według aktu oskarżenia było jego głównym środkiem

obrony. Po pierwszem zeznaniu, żandarmi przy nim stojący słyszeli, jak mruczał pod nosem: A co? już jeden! Po drugiem rzekł nieco głośniej z miną prawie zadowoloną: Dobry! Za trzecim zawołał: Sławne!

Prezes go zapytał:

— Oskarżony, czy słyszałeś? Co mówisz na to?

Odpowiedział:

— Mówię że — sławne!

Wszczęła się wrzawa między publicznością i prawie między sędziami. Oczywiście człowiek był zgubiony.

— Woźni — rzekł prezes — przywróćcie spokojność. Zamykam posiedzenie.

W tej chwili zrobił się ruch tuż obok prezesa i usłyszano głos wołający:

— Brevet, Chenildieu i Cochepaille! spójrzcie w tę stronę.

Serce się ścisnęło wszystkim, którzy ten głos usłyszeli, tak był żałośny i straszny. Obrócono oczy w stronę, zkąd wychodził. Jakiś człowiek, siedzący między uprzywilejowanymi widzami w tyle sędziów, powstał, pchnął drzwiczki kratek, oddzielających trybunał od sali posiedzeń i wyszedł na środek. Prezes, prokurator, p. Bamatabois i ze dwudziestu innych poznali go i zawołali razem:

— Pan Madeleine!

XI.

Champmathieu coraz bardziej zdziwiony.

On to był w istocie. Lampa ze stołu pisarza oświecała twarz jego. Trzymał kapelusz w ręku, żadnego nieładu w ubraniu, surdut starannie zapięty pod szyję. Był bardzo blady i drżał nieznacznie. Jego włosy szpakowate jeszcze, gdy przyjechał do Arras, teraz zupełnie zbielały. Osiwiał przez godzinę pobytu w tem miejscu.

Podniosły się wszystkie głowy, wrażenie było nie do opisania. Przez chwilę malowało się na wszystkich twarzach wahanie i niepewność. Głos był tak przenikający, człowiek, który go wyrzekł, tak spokojny, że z początku nie rozumiano, co to znaczy. Pytano, kto zawołał. Nie chciano wierzyć, żeby człowiek tak spokojny mógł tak straszny krzyk wydać.

Niepewność trwała kilka sekund. Nim prezes i prokurator wyrzekli słowo, nim poruszyli się żandarmi i woźni, człowiek, którego wszyscy jeszcze w tej chwili nazywali panem Madeleine, zbliżył się do świadków Chochepaille, Brevet i Chenildieu.

— Nie poznajecie mię? — rzekł.

Wszyscy trzej zdumieni milczeli i tylko skinieniem głowy wyrażali, że go nie poznają. Chochepaille wylękły powstał i salutował go po wojskowemu. P. Ma-

deleine obrócił się do prezesa i sędziów przysięgłych, i rzekł łagodnie:

— Panowie przysięgli, każcie uwolnić oskarżonego. Panie prezesie, każ mię aresztować. Nie on, lecz ja jestem człowiekiem, którego szukacie. *Jestem Janem Valjean.*

Powstrzymano oddech: po pierwszem wzruszeniu zdumienia, nastało milczenie grobowe. Wszyscy uczuli tę grozę religijną, która zdejmuje tłumy, gdy coś wielkiego się spełnia.

Powoli twarz prezesa przybrała wyraz współczucia i smutku, mrugnął na prokuratora i szepnął coś z radcami asesorami. Później powstał i obracając się do publiczności, zapytał tonem, który wszyscy zrozumieli.

— Czy nie ma tu lekarza?

Prokurator zabrał głos:

— Panowie przysięgli, dziwny i niespodziewany wypadek, przerywający audjencję, budzi w nas, zarówno jak w was uczucia, których wyrażać nie widzimy potrzeby. Wszyscy znacie, przynajmniej z rozgłosu, szanownego pana Madeleine, mera M.—nad M. Jeżeli między publicznością jest lekarz, przyłączam się do prośby pana prezesa i wzywam, aby dał pomoc lekarską panu Madeleine i odprowadził go do domu.

P. Madeleine nie dał dokończyć prokuratorowi i przerwał tonem łagodnym lecz pełnym powagi. Oto są jego słowa; przytaczamy je dosłownie, jak były spisane zaraz po audjencji przez jednego ze świadków tej sceny, jak brzmią jeszcze w uszach tych, co je słyszeli przed czterdziestu laty:

— Dziękuję panu, panie prokuratorze, ale nie jestem warjatem. Zaraz to pan poznasz. O mało nie popełniliście wielkiego błędu: wypuście na wolność tego człowieka; wypełniam obowiązek, ja jestem tym nieszczęśliwym skazanym. Ja tu jeden widzę jasno i powiadam istotną prawdę. Na to, co czynię

w tej chwili, patrzy Bóg w Niebiesiech i to mi wystarcza. Możecie mię uwięzić, ponieważ tu jestem. A jednak robiłem, jak mogłem najlepiej. Ukryłem się pod innem nazwiskiem, zostałem bogatym, zostałem merem; chciałem wrócić do ludzi uczciwych. Widać, że to być nie może. Zresztą, wielu rzeczy powiedzieć nie mogę, nie będę opowiadał mego życia: kiedyś dowiedzą się o niem. Okradłem księdza biskupa, to prawda, okradłem Gerwazka i to prawda. Słusznie wam powiedziano, że Jan Valjean był niebezpiecznym nędznikiem. Ale może nie cała wina na niego spada. Słuchajcie, panowie sędziowie. Człowiek tak poniżony jak ja, nie powinien czynić wyrzutów Opatrzności, ani dawać rad społeczeństwu, ale zważcie, że niesława, z której wydobyć się chciałem, jest rzeczą szkodliwą. Galery tworzą galernika. Skorzystajcie z tego, jeśli chcecie. Przed pójściem do galer byłem biednym chłopem, nierozgarniętym, rodzajem idjoty; galery mię zmieniły. Z głupiego stałem się złym, z kloca—rozpaloną głownią. Później ocaliły mię pobłażanie i dobroć, jak surowość zgubiła. Ale przepraszam, panowie tego nie zrozumiecie. W mieszkaniu mojem znajdziecie na kominku w popiele sztukę czterdziestosusową, którą przed siedmiu laty skradłem Gerwazkowi. Nie mam nic więcej do dodania. Uwięźcie mię. Mój Boże! pan prokurator porusza głową i zda się mówić:—P. Madeleine oszalał. Nie wierzycie mi. Rzecz smutna. Przynajmniej nie potępiajcież tego człowieka! Co! i ci mię nie poznają! Chciałbym, żeby tu był Javert. O, tenby mię poznał!

Niepodobna wyrazić, ile było łagodnej i przejmującej melancholji w głosie, którym te słowa były wymówione.

Obrócił się do trzech galerników i rzekł:

— Nie poznajecie mnie, ale ja was poznaję! Brevet! przypomnijno sobie?...

Umilknął, zawahał się chwilę i dodał:

—. Czy przypominasz sobie wełniane szelki w kratki, któreś nosił na galerach?

Brevet wstrząsnął się ze zdumienia i wodził po nim przerażonym wzrokiem. On mówił dalej:

— Chenildieu, który się sam przezwałeś Je-nie Dieu, masz całe prawe ramię mocno spalone, boś jednego dnia przyłożył je do piecyka z rozżarzonemi węglami, aby zniszczyć trzy litery T. F. P., które mimo to zawsze widać. Odpowiedz, prawdaż to?

— Prawda — rzekł Chenildieu.

Obrócił się do Cochepailla:

— Cochepaille, masz przy łokciu lewej ręki wypalone prochem litery niebieskie. Jest to data wylądowania cesarza w Cannes 1 marca 1815 roku. Odwiń rękaw.

Cochepaille odwinął rękaw, wszystkie spojrzenia zwróciły się na jego obnażony łokieć. Żandarm przybliżył lampę; data była wyrytą.

Nieszczęśliwy człowiek obrócił się ku widzom i sędziom z uśmiechem, na który patrząc, serce się krajało. Był to uśmiech tryumfu i uśmiech rozpaczy.

— Widzicie — rzekł — że jestem Janem Valjean.

W zgromadzeniu tem nie było już ani sędziów, ani oskarżycieli, ani żandarmów! Były tylko wzruszone serca i oczy w jeden przedmiot utkwione. Każdy zapomniał o roli, jaką miał odegrać; prokurator zapomniał, że jest tu, by żądać wymiaru sprawiedliwości, prezes by prezydować, obrońca by bronić. Rzecz zdumiewająca: nie zadano żadnego zapytania, nie wmieszała się żadna władza. Taka jest właściwość szczytnych widowisk, że porywają wszystkie dusze i ze świadków czynią widzów. Nikt może nie zdawał sobie sprawy z tego, co doświadczał; nikt bezwątpienia nie powiedziałby, że zajaśniało wielkie światło, ale wszyscy czuli się w duchu olśnionymi.

Oczywiście miano przed sobą Jana Valjean. To biło w oczy. Ukazanie się tego człowieka dostateczne było do rozjaśnienia sprawy tak ciemnej przed chwilą. Nie potrzebując już żadnego objaśnienia, wszyscy obecni, jakby ich przeniknęło objawienie elektryczne, pojęli natychmiast, jednym rzutem oka, tę prostą a wspaniałą historję człowieka, który się oddawał, by inny człowiek nie był zamiast niego potępionym. Szczegóły, wahania, drobne możliwe opory, ginęły w tym wielkim, światła pełnym fakcie.

Wrażenie takie przeminęło prędko, ale w tej chwili było nieprzeparte.

— Nie chcę dłużej przerywać audjencji — mówił dalej Jan Valjean. Odchodzę, kiedy mię nie aresztują. Mam jeszcze wiele spraw do załatwienia. Pan prokurator wie, kim jestem, dokąd się udaję, każe mię uwięzić, kiedy zechce.

I szedł ku drzwiom wchodowym. Żaden głos się nie odezwał, żadna ręka nie wyciągnęła, by go zatrzymać. Wszyscy ustępowali mu z drogi. Miał w tej chwili coś boskiego w sobie: tłum rozstępował się przed nim, ulegając niewytłumaczonemu urokowi; oddalił się wolnym krokiem. Nie dowiedziano się nigdy, kto otworzył drzwi, ale jest pewnem, że drzwi przed nim otworzyły się narozcież. Doszedłszy do nich, obrócił się i rzekł:

— Panie prokuratorze, jestem do pańskiego rozporządzenia.

Potem dodał, obracając się do widzów.

— Wy wszyscy, którzy tu jesteście, macie mię za godnego politowania, nieprawdaż? Boże mój! gdy pomyślę, czem przed chwilą stać się mogłem, uważam się za godnego zazdrości. Wszelako stokroćbym wolał, aby nic z tego wszystkiego się nie stało.

Wyszedł, drzwi zamknęły się za nim podobnie, jak się otworzyły, bo dokonywający wielkich czy-

nów, pewni być mogą, że im zawsze ktoś z tłumu usłuży.

W godzinę niespełna potem, wyrok sędziów przysięgłych uwolnił od wszelkiej winy oskarżonego Champmathieu. Champmathieu, bezwłocznie puszczony na wolność, odchodził zdumiony, niczego nie pojmując z całego tego widzenia i pewny, że wszyscy zwarjowali.

KSIĘGA ÓSMA.

ZAPŁATA.

I.

W jakiem zwierciadle p. Madeleine widzi swe włosy.

Switało. Fantina przepędziła noc bezsenną, w gorączce, zresztą pełną widzeń szczęśliwych; nad ranem zasnęła. Czuwająca przy niej siostra Symplicja skorzystała ze snu, by przygotować nowy dekokt z chininy. Zacna siostra od kilku minut zajęta była w laboratorjum infirmerji, pochylona wpatrując się zblizka we flaszeczki i proszki, bo światło jutrzenki słabo jeszcze oświecało,—gdy nagle obróciła głowę i z cicha krzyknęła przestraszona. Stał przed nią p. Madeleine; wszedł do pokoju na palcach.

— Ach to pan, panie merze! — zawołała.

Odpowiedział zniżonym głosem:

— Jakże się ma ta biedna kobieta?

— W tej chwili nieźle. Byłyśmy tak niespokojne o pana!

Opowiedziała mu, co zaszło, że Fantina wczoraj była bardzo chorą, że teraz ma się lepiej, gdyż jej się zdaje, że pan mer pojechał po jej dziecię do Montfermeuil. Siostra nie śmiała wypytywać pana mera, ale poznała z jego fizjonomji, że nie ztamtąd przybywał.

— Bardzo dobrze—rzekł—dziękuję pani, żeś jej nie wywiodła z błędu.

— Ale teraz — mówiła dalej siostra — gdy ujrzy pana mera bez dziecięcia, co jej powiemy?

— Bóg nas natchnie — rzekł.

— A przecież nie będzie można skłamać — szepnęła półgłosem siostra.

Rozwidniało w pokoju. Światło dzienne padło na twarz p. Madeleine. Siostra przypadkiem podniosła oczy.

— A mój Boże! — zawołała — co się panu stało? masz włosy zupełnie białe!

— Białe! — powtórzył.

Siostra Symplicja nie miała zwierciadła; poszukała w pudełku i wyjęła lusterko, którego używał lekarz dla przekonania się, że chory umarł i już nie oddycha. P. Madeleine wziął lusterko, przejrzał się i rzekł:

— Prawda!

Wymówił to obojętnie, jakby o czem innem myślał.

Siostrę mróz przejął, jak gdyby w tem wszystkiem przeczuwała coś nadzwyczajnego.

Zapytał:

— Mogę ją widzieć?

— Czy pan mer nie sprowadzi jej dziecka? — ośmieliła się zapytać siostra.

— Niewątpliwie, ale na to potrzeba najmniej dwóch lub trzech dni.

— Gdyby teraz nie zobaczyła pana mera, odparła bojaźliwie siostra, nie wiedziałaby, że pan mer powrócił; łatwiej byłoby zalecić jej cierpliwość, a gdy przywiozą dziecko, oczywiście będzie pewną, że pan mer je przywiózł. Uniknie się tym sposobem kłamstwa.

P. Madeleine zamyślił się i rzekł po chwili ze spokojną powagą:

— Nie, siostro, muszę ją widzieć. Kto wie, może mi pilno.

Zakonnica nie zdawała się zwracać uwagi na to „kto wie“, nadające jakieś tajemnicze i osobliwsze zna-

czenie słowom pana mera. Odpowiedziała z uszanowaniem i spuszczając oczy:

— W takim razie pan mer może wejść, ale ona śpi.

Zwrócił uwagę, że drzwi się źle zamykają i że skrzypienie może rozbudzić chorą, wszedł do pokoju Fantiny, zbliżył się do łóżka i odsłonił firanki. Spała. Oddech jej był ciężki, nierówny, właściwy tego rodzaju chorobom, rozdzierający serce matek, które w nocy czuwają przy dziecku śpiącem a zawczasu na śmierć skazanem. Oddech ten wszakże prawie nie zakłócał niewymownej pogody rozlanej na całej twarzy i przemieniającej ją we śnie. Bladość jej stała się białością, policzki krasił rumieniec. Długie jasne rzęsy, jedyna piękność pozostała z jej dziewictwa i młodości, drgały, chociaż zamknięte i spuszczone. Cała jej postać poruszała się, jakby roztwierały się skrzydła gotowe ją unieść; czułeś, że się ruszają, ale ich widać nie było. Patrząc na nią, anibyś przypuścił, że masz przed oczyma chorą bez nadziei. Podobniejszą była raczej do mającej odlecieć, niż do mającej umrzeć.

Gdy ręka zbliża się, by kwiat zerwać, gałęź drży i zdaje się zarazem usuwać i poddawać. Ciało ludzkie ma coś z tego drżenia, kiedy zbliża się chwila, gdy tajemnicze palce śmierci mają uszczknąć duszę.

P. Madeleine stał czas pewien nieruchomy przy łóżku, patrząc to na chorą, to na krucyfiks, podobnie jak przed dwoma miesiącami, kiedy po raz pierwszy widział ją w tem schronieniu; ona spała, on modlił się; tylko teraz po dwóch miesiącach ona miała włosy posiwiałe, a on zupełnie białe.

Siostra nie weszła z nim. Stał przy łóżku z palcem na ustach, jakby komu w sali nakazywał milczenie.

Otworzyła oczy, ujrzała go i rzekła spokojnie z uśmiechem: — A Cozetta?

II.

Fantina szczęśliwa.

Ani się zdziwiła, ani uradowała: była uosobioną radością. To proste zapytanie: — A Cozetta? uczyniła z tak głęboką wiarą, z taką pewnością, z tak zupełnym brakiem niepokoju i powątpiewania, że nie wiedział, co odpowiedzieć. Mówiła dalej:

— Wiedziałam, że pan jesteś, spałam, ale widziałam pana mera. Oddawna już pana widzę i śledziłam oczami noc całą. Byłeś pan uwieńczony glorją, otaczały cię wszystkie postacie niebieskie.

Podniósł oczy na krucyfiks.

— Ale — dodała — powiedzże pan, gdzie jest Cozetta? Czemu jej nie położyliście na łóżku, abym ją zobaczyła, gdy się obudzę?

Bez myśli odpowiedział coś, czego sobie nigdy później przypomnieć nie mógł.

Szczęściem zawiadomiony przez siostrę lekarz przyszedł w pomoc panu Madeleine.

— Moje dziecko — rzekł lekarz — uspokój się. Twoja córka jest tutaj.

Oczy Fantiny rozjaśniły się i zalały światłością twarz całą. Złożyła ręce jak do modlitwy, wyrażającej wszystko, co może być najgwałtowniejszego i najłagodniejszego zarazem.

— O! — zawołała — przynieście mi ją!

Tkliwe złudzenie matki. Cozetta zawsze była dla niej małem dzieckiem, które się przynosi na rękach.

— Jeszcze nie teraz — odparł, lekarz — w tej chwili nie można. Masz trochę gorączki. Widok dziecka wzruszyłby cię i zaszkodził. Trzeba najprzód cię uleczyć.

Przerwała mu, wybuchając gniewem:

— Ależ jestem uleczona! powiadam panu, że jestem uleczona. Nie głupi ten doktór! Koniecznie muszę widzieć moje dziecko!

— A co — rzekł doktór — wszak się unosisz gniewem? Dopóki tak będziesz postępować, nie pozwolę ci zobaczyć dziecka. Nie dość je widzieć, trzeba żyć dla niego. Jak będziesz rozsądną, sam je przyprowadzę.

Biedna matka spuściła głowę.

— Panie doktorze, przepraszam, bardzo pana przepraszam. Dawniej nigdybym tak nie powiedziała jak teraz, ale tyle przeszłam nieszczęść, że już czasami nie wiem, co mówię. Pojmuję, obawiasz się pan wzruszenia, będę czekała tak długo, jak pan każe, ale przysięgam panu, że nie zaszkodziłby mi widok córki. Widzę ją, od wczoraj wieczór nie spuszczam jej z oczu. Wiesz pan, że gdyby mi ją teraz przyniesiono, mówiłabym do niej jaknajspokojniej. Tak, niezawodnie. Bardzo naturalnie, że mam ochotę widzieć moje dziecko, po które umyślnie jeżdżono do Montfermeuil; ale się wcale nie gniewam. Wiem dobrze, że będę szczęśliwą. Całą noc widziałam białe rzeczy i osoby do mnie się uśmiechające. Kiedy pan doktór zechce, przyniesie mi Cozettę. Nie mam już gorączki, bo jestem uleczona. Czuję, że mię już nic nie boli; ale postąpię tak, jakbym była chorą i ani pisnę, żeby się przypodobać pannom tutejszym. Gdy się przekonają, że jestem spokojna, powiedzą: trzeba jej oddać dziecko.

P. Madeleine usiadł na krześle przy łóżku. Obróciła się ku niemu, widocznie usiłując okazać się spokojną i „grzeczną“, jak mawiała osłabiona chorobą,

która zbliża ludzi do dziecinnego wieku; spodziewała się, że gdy ją zobaczą spokojną, przyprowadzą Cozettę. Wszelako powściągając się, nie mogła się powstrzymać od zadania tysiąca zapytań panu Madeleine.

— Czy szczęśliwie pan odbył podróż, panie merze? O, jaki pan dobry, że po nią jeździł! Powiedz mi pan przynajmniej, jak wygląda? Czy nie znużyła jej podróż! Niestety! pewnie mnie nie pozna! Oddawna mię zapomniała, biedny robaczek! Bo to dzieci jak ptaszki, nie mają pamięci. Dziś to widzą, jutro owo i nie myślą o niczem. A czy miała świeżą bieliznę? Ci Thenardierzy czy schludnie ją odziewali? Jak ją karmili? O, ilem wycierpiała, żebyś pan wiedział! Dopominali się wszystkiego odemnie, gdym była w takiej nędzy! Ale teraz to przeszło! Jestem szczęśliwa, uradowana! O, jakżebym pragnęła ją ujrzeć! Panie merze, jakże, czy ładna? Prawda, że piękna moja córka? Musiało być panu bardzo zimno w dyliżansie? Czyby nie można przyprowadzić jej choćby na chwileczkę? Zabranoby ją zaraz! Powiedz pan! wszak jesteś tu panem, chciej rozkazać!

Wziął ją za rękę: — Cozetta jest piękną — rzekł. Cozetta ma się dobrze, wkrótce ją zobaczycie, ale trzeba się uspokoić. Mówicie zbyt żywo, wyciągacie rękę z pod kołdry, a to sprawia kaszel.

W istocie Fantina kaszlała, krztusząc się prawie za każdem słowem.

Spokojnie wysłuchała napomnienia, lękając się zbyt żywą skargą narazić życzliwość i stracić zaufanie, które ku sobie obudziła, i zaczęła mówić o rzeczach obojętnych.

— Nieprawdaż, że to wcale ładne miejsce Montfermeuil? W lecie przyjeżdżają tam na spacer. Czy Thenardierom dobrze się powodzi? Mało kto jeździ tamtędy. Ich austerja to jakaś garkuchnia.

P. Madeleine ciągle trzymał ją za rękę i z trwogą na nią patrzył; widocznie przyszedł z zamiarem powiedzenia jej czegoś ważnego, ale teraz się zawa-

hał. Po skończonej wizycie lekarz odszedł. Siostra Symplicja sama przy nich została.

Po chwili milczenia Fantina zawołała nagle:

— Słyszę ją! mój Boże, słyszę ją!

Wyciągnęła ręce, jakby zalecając milczenie, wstrzymała oddech i słuchała zachwycona.

Jakieś dziecko bawiło się na podrówku, zapewne odźwiernej lub której robotnicy. Przypadki takie zdarzają się niekiedy, niby biorąc udział w tajemniczem przedstawieniu na scenie złowrogich wydarzeń. Mała dziewczynka biegała tu i owdzie, śmiejąc się i śpiewając głośno. Niestety! jakże często igraszki dziecinne łączą się z najsmutniejszemi wypadkami! Tę to dziewczynkę śpiewającą słyszała Fantina.

— O — mówiła dalej — to Cozetta, poznaję jej głos.

Dziecię oddaliło się, głos zamilkł. Fantina słuchała jeszcze, potem twarz jej zachmurzyła się i p. Madeleine słyszał, jak szepnęła półgłosem: — Niegodziwy lekarz, nie pozwala mi widzieć córki. Ten człowiek ma bardzo złą minę.

Wkrótce jednak wróciły wesołe myśli. I znowu mówiła do siebie, wsprałszy głowę na poduszce: — O, będziemy szczęśliwi! Najprzód dostaniem mały ogródek! p. Madeleine nam obiecał. Moja córka będzie się bawić w ogródku. Pewnie już zna abecadło, ja ją nauczę sylabizować. Będzie gonić motyle na trawniku. A ja nie spuszczę jej z oczu. Później przystąpi do pierwszej komunji. Prawda! kiedy przystąpi do pierwszej komunji?

Jęła rachować na palcach.

— ...Jeden, dwa, trzy, cztery... ma siedm lat. Za pięć lat. Włożę na nią białą zasłonę, pończoszki ażurowe, będzie wyglądać jak słuszna osoba. O moja dobra siostro, nieprawdaż, jaka ja głupia, już myślę o pierwszej komunji mojej córki.

I zaczęła się śmiać.

Puścił rękę Fantiny. Słuchał jak gwarzenia, niby wiatru wiejącego, ze spuszczoną głową, pogrążony w bezdennych dumaniach. Nagle przestała mówić, machinalnie podniósł głowę i spojrzał. Fantina była straszną.

Nie mówiła już, nie oddychała, na wpół podniosła się na pościeli, wychudłe ramię ukazało się z pod koszuli; jej twarz przed chwilą promienna, trupio zbladła, zdawała się na coś strasznego przed sobą w przeciwnym końcu sali patrzeć wielkiemi przerażonemi oczami.

— Boże mój—zawołał. Co ci jest, Fantino?

Nie odpowiedziała. wzrok jej tkwił ciągle na tym samym przedmiocie; jedną ręką poruszyła jego ramię, a drugą dawała znak, by spojrzał za siebie.

Obrócił się i zobaczył Javerta.

III.

Javert zadowolony.

Opowiedzmy, co zaszło.

Biło w pół do pierwszej po północy, gdy p. Madeleine opuścił salę posiedzeń sądu kryminalnego w Arras. Wrócił do austerjr w sam czas, by odjechać dyliżansem, w którym, jak sobie przypominacie, zamówił miejsce. Przed szóstą rano przyjechał do M.—nad M.—, oddał na poczcie list do pana Lafitte i poszedł do infirmerji odwiedzić Fantinę.

Tymczasem zaledwie opuścił salę audjencjonalną sądu kryminalnego, prokurator, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zabrał głos, ubolewał nad szaleństwem szanownego mera M.—nad—M.; oświadczył, że ten dziwaczny wypadek, który się później wyjaśni, w niczem nie zmienia jego przekonań i żądał na teraz potępienia Champmathieu, oczywiście prawdziwego Jana Valjean. Upór prokuratora w widocznej był sprzeczności z ogólną opinją publiczności, sądu i sędziów przysięgłych. Obrońca z łatwością zbił wnioski prokuratora, twierdząc, że zeznania p. Madeleine, to jest prawdziwego Jana Valjean, przemieniły zupełnie postać sprawy i że oskarżony był w istocie niewinnym. Zakończył cytacją nie nową o pomyłkach sądowych i t. d. i t. d.; prezes, streszczając przebieg procesu, stanął po

stronie obrońcy i w kilka minut później sąd przysięgłych uwolnił oskarżonego Champmathieu.

Ale prokuratorowi potrzebny był Jan Valjean i nie mając już Champmathieu'go, chwycił się Madeleine'a.

Bezzwłocznie po uwolnieniu Champmathieu'go, prokurator zamknął się w pokoju radnym z prezesem. Naradzali się „nad potrzebą ujęcia osoby p. mera M. nad M." Prokurator napisał ten frazes na nocie swego raportu do prokuratora jeneralnego. Gdy minęło pierwsze wzruszenie, prezes nie bardzo się opierał. Sprawiedliwość musiała być wymierzoną. A przytem, jeśli mamy całą prawdę wyznać, prezes był człowiekiem dobrym i dość rozumnym, lecz zarazem zapalonym rojalistą, raziło go wielce, że mer M.—nad M.— mówiąc o wylądowaniu w Cannes, powiedział: *Cesarz* a nie *Bounaparte*.

Wyprawiono więc rozkaz areszsowania. Prokurator wysłał go przez umyślnego kurjera, polecając wykonanie inspektorowi policji Javertowi.

Wiemy, że Javert powrócił do M.— nad M.— zaraz po złożeniu zeznania.

Javert wstawał z łóżka, gdy kurjer wręczył mu rozkaz uwięzienia i dostawienia p. Madelaine.

Kurjer, człek rozgarnięty, należał sam do policji i w kilku słowach objaśnił Javerta o tem, co zaszło w Arras. Rozkaz aresztowania brzmiał, jak następuje: „Inspektor Javert uwięzi osobę Imci p. Madeleine, mera M.— nad M.—, w którym na audjencji dzisiejszej poznano uwolnionego galernika Jana Valjean".

Ktoby nie znał Javerta i zobaczył go w chwili, gdy wszedł do przedpokoju infirmerji, wcaleby się nie domyślił tego, co zaszło i powiedziałby, że ma minę najpospolitszą w świecie. Był zimny, spokojny, szpakowate włosy gładko zaczesane na skroniach; wszedł na schody zwolna, jak zwykle. Znający go jednak bliżej, zadrżałby, przypatrzywszy mu się z uwagą.

Sprzączka jego halsztucha, zamiast leżeć na karku, przesunęła się pod lewe ucho; był to znak niesłychanego wzburzenia.

Javert regularny jak doskonały zegarek, nie rozumiał zaniedbania ani w obowiązkach, ani w mundurze; surowy dla zbrodniarzy, był także nieubłagany dla guzików swego surduda.

Żeby źle zapiąć sprzączkę halsztucha, doznać musiał wielkiego wzruszenia, któreby nazwać można wewnętrznem trzęsieniem ziemi

Wszedł spokojnie, wziąwszy po drodze z odwachu kaprala i czterech żołnierzy; pozostawił ich na podwórku i zapytał o pokój Fantiny odźwiernę, która nie powzięła żadnej nieufności, przyzwyczajoną będąc do widoku ludzi zbrojnych, pytających o pana mera.

Stanąwszy pod drzwiami pokoju Fantiny, Javert zakręcił kluczem, zlekka, jak doglądający chorych, lub szpieg, otworzył drzwi i wszedł.

Właściwie mówiąc nie wszedł. Stanął we drzwiach na pół otwartych w kapeluszu na głowie, lewa ręka w surducie zapiętym pod szyję. W zaciśniętej pięści można było widzieć ołowianą gałkę ogromnej trzciny w tyle ukrytej.

Tak stał minutę i nikt nie spostrzegł jego obecności. Nagle Fantina podniosła oczy, zobaczyła go i pokazała panu Madeleine.

W chwili, gdy spojrzenie p. Madeleine spotkało wzrok Javerta, Javert milczący, nieruchomy, był strasznym. Żadne uczucie ludzkie nie może być tak strasznem, jak pewien rodzaj radości.

Był to wzrok szatana, co schwytał potępieńca.

Pewność, że nakoniec trzyma w ręku Jana Valjean, wyraziła na jego twarzy wszystko, cokolwiek miał w duszy. Wzburzone jej dna męty wystąpiły na powierzchnię. Upokorzenie, że trochę zgubił ślady

i pomylił się na Champmatieu, ustąpiła miejsca zadowolonej dumie, że od razu tak dobrze odgadł i przez tak długi czas miał trafny instynkt. Zadowolenie Javerta wyraziło się w postawie wszechwładnej. Jego wązkie czoło lśniło się potwornym tryumfem. Miałeś przed oczami całą wystawę zgrozy, jaką obudzić może postać zadowolona.

Javert w tej chwili był w siódmem niebie. Jasno, nie zdając sobie sprawy, ale wiedziony poczuciem swej ważności i powodzenia, wyobrażał sobie, że on, Javert, uosabia sprawiedliwość, światło i prawdę w ich boskim urzędzie tępienia złego. Miał za sobą, dokoła siebie w nieskończonej głębi, władzę, słuszność, osądzoną sprawę, sumienie legalne, pomstę publiczną, wszystkie gwiazdy; bronił porządku, dobywał piorunów z prawa, mścił się za krzywdy społeczeństwa i niósł pomoc sprawiedliwości; zdawało mu się, że go glorja otacza. Jego zwycięstwo miało jeszcze w sobie coś bojowego i wyzywającego; butny, wyniosły, jaśniejący potęgą, roztaczał w błękitach nadludzką bydlęcość srogiego archanioła; straszny cień czynności, którą spełniał, uwidoczniał w jego zaciśniętej pięści blady połysk miecza społecznego. Szczęśliwy i oburzony deptał nogami zbrodnię, zepsucie, bunt, zatracenie, piekło; promieniał, wytępiał, uśmiechał się: była niezaprzeczona wielkość w tym potwornym świętym Michale.

Javert straszny, nie miał w sobie nic nikczemnego.

Prawość, szczerota, otwartość, przekonanie i poczucie obowiązku źle skierowane mogą stać się ohydnemi, ale przy całej ohydzie, nie przestają być wielkie; ich majestat, właściwy sumieniu ludzkiemu, trwa pomimo okropności: są to cnoty, których jedyną wadą, że poszły drogą błędną. Nieubłagana radość uczciwego fanatyka, wśród najsroższego okrucień-

stwa, zachowuje jakąś ponurą jasność poszanowania godną. Ani się domyślał Javert, że w swem okropnem szczęściu był godzien litości, jak każdy ciemny prostak tryumfujący. Nic dotkliwiej raniącego i straszniejszego nad tę twarz, na której malowało się wszystko, cokolwiek być może najgorszego w dobrem.

IV.

Władza odzyskuje swoje prawa.

Fantina nie widziała Javerta od dnia, w którym p. Madeleine wyrwał ją ze szponów tego człowieka. Chorobliwa jej myśl nie zdawała sobie sprawy z niczego, ale nie wątpiła, że po nią przychodził. Nie mogąc znieść widoku tej strasznej postaci, czuła, że zamiera; ukryła twarz w dłoniach i zawołała boleśnie:

— Ocal mię, panie Madeleine.

Jan Valjean — odtąd inaczej go nazywać nie będziemy — powstał i rzekł do Fantiny łagodnie i spokojnie:

— Nie obawiaj się niczego. Nie po ciebie on przychodzi.

Potem obrócił się do Javerta i dodał:

— Wiem, po co pan przychodzisz.

Javert odpowiedział:

— No, żywo!

Słowa te wyrzekł jakimś akcentem dzikiego zwierza, wściekłym; był to ryk — nie głos ludzki.

Nie postąpił sobie według zwyczaju; nie wyłuszczył powodu przyjścia, nie wspomniał o rozkazie aresztowania. Dla niego Jan Valjean był wojownikiem tajemniczym i nieujętym, atletą piekielnym, z którym pasował się od lat pięciu, nie mogąc go powalić. To aresztowanie nie było początkiem, lecz końcem. Powiedział więc tylko: No, żywo!

Tak mówiąc, nie postąpił kroku, rzucił tylko na Jana Valjean spojrzenie niby hak, którym zwykł był gwałtownie ciągnąć ku sobie nędzników.

Takie to spojrzenie padło przed dwoma miesiącami na Fantinę i przeniknęło ją do szpiku kości.

Na krzyk Javerta, Fantina otworzyła oczy. Ale pan mer był obecny, czegóż miała się lękać?

Javert postąpił na środek pokoju i zawołał:

— No pójdziesz ty?

Nieszczęśliwa obejrzała się dokoła. Nie było nikogo prócz zakonnicy i pana mera. Do kogo stosowało się to obmierzłe tykanie? Oczywiście do niej. Zadrżała.

Wówczas ujrzała rzecz niesłychaną, tak niesłychaną, że nic podobnego nie widziała w najposępniejszych gorączkowych widzeniach.

Ujrzała, jak policjant Javert chwycił za kołnierz pana mera, widziała, że pan mer spuścił głowę. Zdało się jej, że świat się wali.

W istocie Javert wziął Jana Valjean za kołnierz.

— Panie merze! — wołała Fantina.

Javert parsknął śmiechem strasznym, pokazującym wszystkie zęby obnażone z dziąseł.

— Nie ma tu już pana mera!

Jan Valjean nie usiłował uwolnić się od ręki, trzymającej go za kołnierz i rzekł:

— Javert...

Javert przerwał.

— Nazywaj mię panem inspektorem.

— Panie, — rzekł Jan Valjean, chciałbym powiedzieć ci słówko na osobności.

— Głośno! mów głośno! — odpowiedział Javert— do mnie mówi się tylko głośno!

Jan Valjean mówił dalej zniżonym głosem:

— Mam do pana prośbę...

— Powiadam ci, mów głośno.

— Kiedy to pan tylko masz usłyszeć....

— Co mię to obchodzi? nie słucham!

Jan Valjean obrócił się ku niemu i rzekł prędko po cichu:

— Dozwól mi trzech dni tylko! Trzech dni, bym mógł sprowadzić dziecię tej nieszczęśliwej kobiety! Zapłacę, ile zechcesz! Możesz mi towarzyszyć, jeśli ci się spodoba.

— Kpisz, czy co!—zawołał Javert.—Patrzajcie go! Nie myślałem, żeś taki głupi! Chcesz, abym ci dał trzy dni czasu do ucieczki! Powiadasz, że pójdziesz po dziecko tej Fantiny! Ach! wyborne! doskonałe!

Fantinę przejął dreszcz śmiertelny.

— Po moje dziecko! — zawołała — po moje dziecko. Więc jej tu nie ma! Siostro, odpowiedz, gdzie Cozetta! Chcę widzieć moje dziecię! panie Madeleine! panie merze!

Javert tupnął nogą.

— Teraz ta znowu! Będziesz ty milczała, hultajko! Przeklęty kraj, gdzie galernicy są urzędnikami, a nierządnice pielęgnowane jak hrabiny! No! ale to się zmieni; czas bo wielki!

Bystro spojrzał na Fantinę i dodał, chwytając garścią za chustkę, koszulę i kołnierz surduta Jana Valjean:

— Powiadam ci, że nie ma już pana Madeleine, ani pana mera. Jest tylko złodziej, rozbójnik, galernik nazwiskiem Jan Valjean; jego trzymam w ręku: rozumiesz ty mnie?

Fantina zerwała się na łóżku i wsparłszy na poręczy wychudłemi rękami, patrzyła kolejno na Jana Valjean, na Javerta i zakonnicę; otworzyła usta, jakby chciała mówić; chrap konania wydarł jej się z gardła, zęby zazgrzytały, konwulsyjnie wyciągnęła ramiona i otworzyła dłonie, niby ratując kogoś, co tonie, potem osłabiona nagle padła na poduszki.

Głowa uderzyła o krawędź łóżka i opadła na pierś, usta pozostały otwarte, oczy otwarte i zagasłe.

Umarła.

Jan Valjean położył rękę na ręce Javerta, który go trzymał za szyję, otworzył ją, jakby rączynę dziecięcia i rzekł do Javerta:

— Zabiłeś tę kobietę.

— Czy skończymy raz! — wołał wściekły Javert — nie po to przyszedłem, by słuchać banialuków. Nie traćmy czasu; straż jest na dole, ruszajmy zaraz, albo kajdanki na ręce i nogi!

W kącie pokoju stało stare łóżko żelazne w dość złym stanie, na którem spoczywały siostry, gdy czuwały w nocy, Jan Valjean postąpił ku temu łóżku, rozebrał je w mgnieniu oka, ujął w pięść główny pręt i spojrzał na Javerta. Javert cofnął się ku drzwiom.

Jan Valjean, trzymając sztabę żelazną w dłoni, szedł zwolna do łoża Fantiny. Stanąwszy przy niem, obrócił się i rzekł ledwie dosłyszanym głosem:

— Nie radzę ci przeszkadzać mi teraz.

To pewna, że Javert drżał, jak listek.

Przyszło mu na myśl wyjść i zawołać wartę, ale Jan Valjean mógł skorzystać z tej chwili i uciec. Pozostał więc, porwał kij za cieńszy koniec i oparł się o ramę drzwi, nie spuszczając z oczów Jana Valjean.

Jan Valjean wsparł łokieć na krawędzi łóżka, czoło opuścił na dłoń i patrzył na Fantinę nieruchomą i rozciągniętą. Tak pogrążony w zadumie, milczący, widocznie nie myślał o żadnej rzeczy tego świata. Na jego twarzy i w całej postawie malowała się litość niewysłowiona. Pomarzywszy chwilę, pochylił się ku Fantinie i mówił do niej po cichu.

Co mówił? Co mógł powiedzieć człowiek, wyrzutek społeczeństwa do kobiety umarłej? Jakie były te słowa? Nikt na ziemi ich nie słyszał. Czy usłyszała zmarła? Są rozczulające złudzenia, kto wie? może szczytne rzeczywistości! To jedno nie ulega wątpliwości, że siostra Symplicja, jedyny świadek tego, co się działo, często opowiadała, że w chwili, gdy Jan Valjean mówił do ucha Fantiny, widziała wyraźnie wykwitający

cudowny uśmiech na jej bladych ustach i zamglonych powiekach, pełnych zdumienia grobu.

Jan Valjean ujął w obie ręce głowę Fantiny i jak matka swe dziecię, ułożył ją na poduszce, potem zawiązał tasiemkę u jej koszuli i wsunął włosy pod czepek. To uczyniwszy, zamknął jej powieki.

Twarz Fantiny wydała się dziwnie jaśniejącą w tej chwili.

Śmierć — to wnijście do wielkiej światłości.

Ręka Fantiny była zwieszona za łóżko. Jan Valjean ukląkł, podniósł ją ostrożnie i pocałował.

Potem powstał i obracając się do Javerta, rzekł:

— Teraz służę panu.

V.

Grób przyzwoity.

Javert zamknął Jana Valjean w więzieniu miejskiem.

Aresztowanie p. Madeleine sprawiło w M.—nad M.—wielkie wrażenie, albo lepiej mówiąc — nadzwyczajne wzruszenie. Ze smutkiem atoli wyznać musimy, że na to jedno słówko: *był galernikiem*, wszyscy prawie go opuścili. W przeciągu niespełna dwóch godzin zapomniano wszystko, cokolwiek dobrego uczynił, w oczach miejskiej gawiedzi był tylko galernikiem. To prawda, że nie znano jeszcze szczegółów wypadku w Arras. Przez cały dzień słyszałeś we wszystkich dzielnicach miasta rozmowy tego rodzaju:

— Wiesz pani? To uwolniony galernik! — Kto taki? — Mer. — Ba! p. Madeleine? — A tak. — Doprawdy? — Nie nazywa się Madeleine; ma jakieś okropne nazwisko Bejean, Bojean, Boujean. — A mój Boże! — Aresztowany! Siedzi w więzieniu miejskiem, dopóki go nie przeniosą. — Dopóki go nie przeniosą! Więc go gdzieindziej przeniosą! Dokąd? — Stawią go przed sądem za kradzież gwałtowną dawniej popełnioną. — Wiesz, żem się domyślała. Zanadto był dobry, nazbyt doskonały, nazbyt słodki. Nie przyjął

orderu, dawał pieniądze małym hultajom, których spotkał na drodze. Zawsze mi na myśl przychodziło, że kryje się pod tem jakaś zła historja.

Mianowicie „w salonach“ gadano w tym duchu.

Pewna stara dama, prenumeratorka dziennika *Biała chorągiew*, zrobiła tę głęboką uwagę, której przeniknąć niepodobna:

— Wcale mię to nie smuci. Będzie to nauką dla Buonapartystów!

Tak znikło w M.—nad M.—widmo, które się zwało p. Madeleine. Tylko trzy, lub cztery osoby pozostały wierne jego pamięci, Do tej liczby należała stara jego odźwierna.

Wieczorem tego dnia zacna staruszka siedziała w swej stancyjce przerażona, rozmyślając smutnie. Fabryka cały dzień była zamkniętą, brama zasunięta ryglami, a ulica pusta. W domu były tylko dwie zakonnice: siostra Perpetua i siostra Symplicja, czuwająca przy ciele Fantiny.

Gdy zbliżyła się godzina, w której p. Madeleine zwykle powracał do domu, poczciwa odźwierna machinalnie się podniosła, wzięła klucz z szafki i świecę, którą mu podawała, gdy wszedł na górę do siebie; klucz zawiesiła na gwoździu i postawiła z brzegu świecę, jakby go oczekiwała. Później usiadła na krześle i zamyśliła się smutnie. Biedna staruszka uczyniła wszystko to bezwiednie.

Upłynęło blisko dwie godziny, gdy rozbudziła się z marzenia i zawołała: Chryste Panie! zawiesiłam klucz na gwoździu!

W tej chwili otworzyło się okienko stancji, wsunęła się ręka przez otwór, wzięła klucz, świecę i zapaliła ją u łojówki obok stojącej.

Odźwierna podniosła oczy, otworzyła usta, krzyk zamarł jej w gardle.

Poznała tę rękę, to ramię, ten rękaw surduta.

Był to p. Madeleine.

Przez kilka sekund nie mogła wyrzec słowa, *odrętwiała*, jak mówiła później, opowiadając swoją przygodę.

— Mój Boże, panie merze,—zawołała nakoniec, myślałam, że pan jesteś...

Zatrzymała się, koniec frazesu byłby nie poszanował początku. Jan Valjean zawsze w jej oczach był panem merem.

Dokończył za nią:

— W więzieniu, tak. Wyłamałem kratę w oknie, skoczyłem z dachu i jestem tutaj. Idę do mojego pokoju, poproście do mnie siostrę Symplicję. Zapewne jest przy tej biednej kobiecie.

Staruszka z pośpiechem wykonała rozkaz.

Nie zalecał jej bynajmniej milczenia, był najpewniejszym, że lepiej niż on dochowa tajemnicy.

Nigdy nie dowiedziano się, jakim sposobem wszedł na podwórko, nie otwierając bramy. Miał wprawdzie zawsze przy sobie klucz do małych drzwi bocznych, ale zapewne zrewidowano go w więzieniu i odebrano wszystko. Rzecz ta nie została wyjaśnioną.

Wszedł na schody, prowadzące do jego pokoju. Stanąwszy na górze, postawił lichtarz na ostatnim stopniu schodów, otworzył drzwi, poszedł na palcach zamknąć okno i okiennice, potem powrócił po świecę i wszedł do pokoju.

Ostrożność konieczna: przypominamy, że z ulicy można było widzieć jego okno.

Obejrzał się dokoła, spojrzał na stół, na krzesło, na łóżko, od trzech dni nie rozbierane. Nie było śladu nieporządku onegdajszej nocy. Odźwierna „uprzątnęła“ w pokoju. Tylko wyjęła z popiołu i położyła na stole dwie skówki kija i sztukę czterdziesto susową poczerniałą od ognia.

Wziął arkusz papieru i napisał na nim: „*Oto dwie skówki mego kija i sztuka czterdziesto-susowa skradziona Gerwazkowi, o którym mówiłem w sądzie kryminalnym*“ i położył pieniądz i dwa kawałki żelaza, tak, by wcho-

dzącego do pokoju wzrok najprzód padał na te przedmioty. Wyjął z szafy starą koszulę, podarł ją na kawałki i zawinął w nie dwa świeczniki srebrne. Zresztą ani się spieszył, ani był wzruszony. Okręcając płótnem świeczniki biskupa, zajadał chleb czarny, który prawdopodobnie zabrał, uciekając z więzienia. Przekonano się o tem później z okruszyn chleba, znalezionych na posadzce, gdy sąd nakazał rewizję w mieszkaniu.

Zastukano dwa razy do drzwi.

— Proszę wejść — rzekł.

Była to siostra Symplicja.

Siostra Symplicja blada, z czerwonemi oczami, trzymała lichtarz w drżącej ręce. Gwałtowne przewroty losów mają tę właściwość, że choćbyśmy byli najdoskonalsi, lub zupełnie wyziębieni, wyciągają nam z wnętrzności naturę ludzką i zmuszają okazać ją zewnętrznie. Po wzruszeniach dnia tego, zakonnica stała się znowu kobietą. Płakała i drżała.

Jan Valjean napisał kilka słów na papierze, który podał zakonnicy, mówiąc: — Moja siostro, oddasz to pani księdzu proboszczowi.

— Może siostra przeczytać — rzekł.

Czatała: „Proszę księdza proboszcza czuwać nad tem, co pozostawiam. Należy zapłacić koszta mego procesu i sprawić pogrzeb kobiecie dziś zmarłej. Reszta na biednych.“

Siostra chciała mówić, ale wyszeptała kilka wyrazów niezrozumiałych. Nakoniec zdobyła się na te słowa:

— Czy pan mer nie chce zobaczyć raz jeszcze tej biednej nieszczęśliwej.

— Nie — odpowiedział — poszukują mię, mogliby aresztować w jej pokoju, toby zakłóciło jej spokojność.

Ledwie domówił tych słów, gdy wszczął się wielki hałas na schodach. Usłyszano kroki kilku osób wchodzących i starą odźwiernę, krzyczącą jak mogła najgłośniej. — Przysięgam panu, że nikt tu cały dzień

nie wchodził, ani wieczór, że na krok nie odchodziłam odedrzwi!

Jakiś mężczyzna odpowiedział:

— A jednak jest światło w pokoju.

Poznali głos Javerta.

Rozkład izby był taki, że drzwi otwierając się, zasłaniały róg muru na prawo. Jan Valjean zgasił świecę i ukrył się w rogu. Siostra Symplicja uklękła przy stole.

Drzwi się otworzyły. Wszedł Jawert.

Słyszano szepty wielu ludzi i opór odźwiernej na korytarzu. Zakonnica nie podniosła oczu: modliła się. Świeca stojąca na kominku słabo oświecała pokój.

Javert zobaczył siostrę i zatrzymał się zdumiony.

Przypominamy, że gruntem charakteru Javerta, jego żywiołem i duszą prawie, była cześć dla wszelkiej władzy, część bezwzględna, nie przypuszczająca zarzutów i ograniczeń. Ma się rozumieć, władzę kościelną uważał za najpierwszą ze wszystkich, był pobożny, formalista i nieugięty w tym względzie, jak we wszystkich innych. W jego oczach kapłan był duchem nieomylnym, zakonnica istotą nie grzeszącą. Były to dusze zamurowane dla tego świata, z jedynemi drzwiami, otwierającemi się tylko dla wypuszczenia prawdy.

Zobaczywszy siostrę, już chciał się cofnąć. Ale drugi obowiązek gwałtownie popychał go naprzód. Zdecydował się pozostać i przynajmniej zadać pytanie.

Miał przed sobą siostrę Symplicję, która nigdy w życiu nie skłamała. Wiedział to Javert i osobliwie ją szanował z tego powodu.

— Siostro — rzekł — czy jesteś pani sama w tym pokoju?

Nastała straszna chwila, podczas której biedna odźwierna mało nie zemdlała.

Siostra podniosła oczy i odpowiedziała:

— Tak.

— Więc — mówił dalej Javert — raczy siostra wybaczyć moją natrętność, obowiązek mi nakazuje zapytać raz jeszcze, czyś pani nie widziała tego wieczora człowieka, który uciekł i poszukiwany jest, tego Jana Valjean, nie widziałaś go pani.

Siostra odpowiedziała: Nie.

Skłamała. Skłamała dwa razy raz poraz, bez wahania, z pośpiechem poświęcenia.

— Przepraszam — rzekł Jawert i odszedł, kłaniając się nizko.

O święta dziewico, od wielu już lat nie należysz do tego świata; połączyłaś się w wiekuistej światłości z siostrami dziewicami i aniołami braćmi; oby to kłamstwo policzono ci w Niebiesiech!

Twierdzenie siostry było dla Javerta czemś tak stanowczem, że nawet nie zwrócił uwagi na dymiący się knot świecy woskowej, zagaszonej na stole.

W godzinę później przechodził lasem jakiś mężczyzna, szybko oddalający się od M.— nad M. w stronę Paryża. Mężczyzną tym był Jan Valjean. Z zeznania dwóch czy trzech furmanów, którzy go spotkali na drodze, pokazuje się, że niósł zawiniątko i miał na sobie bluzę. Zkąd wziął bluzę, nigdy się nie dowiedziano. Przed kilku dniami umarł w infirmerji fabrycznej pewien stary wyrobnik i została po nim tylko bluza. Może to była ta sama.

Jeszcze słówko o Fantinie.

Wszyscy mamy wspólną matkę, ziemię. Wrócono Fantinę tej matce.

Proboszcz sądził, że uczyni dobrze i zapewne dobrze uczynił, zachowując w pozostałości po Janie Valjean jaknajwięcej pieniędzy dla ubogich. Bo zresztą o co chodziło? o galernika i nierządnicę. Kazał więc jaknajskromniej pochować Fantinę, to jest wrzucić do wspólnego dołu.

Pogrzebano ciało Fantiny w bezpłatnym kącie cmentarza, przeznaczonym dla wszystkich i dla nikogo, gdzie wrzucają biedaków. Szczęściem, Bóg umie odszukać duszę. Wrzucono Fantinę w ciemności między pierwsze lepsze kości; w grobie uległa sprosnemu pomięszaniu popiołów. Wrzucono ją do publicznego dołu! Grób podobny był do jej łoża boleści.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Druk W. Dunina, Warszawa, Nowy Świat 35.

TREŚĆ TOMU II.

Część pierwsza.

FANTINA.

KSIĘGA PIĄTA.

Spadek.

I	Historja postępu w wyrabianiu szkieł czarnych.	7
II	Madeleine	9
III	Sumy złożone u Lafitta	13
IV	Pan Madeleine w żałobie	17
V	Blade światełka na widnokręgu	20
VI	Ojciec Fauchelevent.	26
VII	Fauchelevent zostaje ogrodnikiem w Paryżu. .	30
VIII	Pani Wikturnia wydaje trzydzieści franków na moralność	32
IX	Powodzenie pani Wikturnji	36
X	Dalszy ciąg powodzenia.	39
XI	Christus nos liberavit	45
XII	Jak pan Bamatabois czas zabija.	47
XIII	Rozwiązanie niektórych kwestji policji municypalnej	50

KSIĘGA SZÓSTA.

Javert.

I	Początek spoczynku.	63
II	Jakim sposobem Jean może stać się Champ . .	68

KSIĘGA SIÓDMA.

Sprawa Champathieu.

I	Siostra Symplicja	81
II	Przenikliwość majstra Scaufflaire	85
III	Burza pod czaszką	90
IV	Jakie postacie przybiera we śnie cierpienie	111
V	Przeszkody w drodze	115
VI	Siostra Symplicja wystawiona na próbę	128
VII	Podróżny, przyjechawszy zawczasu, zapewnia sobie odjazd	136
VIII	Wejście dla osób uprzywilejowanych	142
IX	Miejsce, gdzie przekonania się tworzą	146
X	Zawsze się zapiera	154
XI	Champmathieu coraz bardziej zdziwiony	162

KSIĘGA ÓSMA.

Zapłata.

I	W jakiem zwierciadle p. Madeleine widzi swe włosy	171
II	Fantina szczęśliwa	174
III	Javert zadowolony	179
IV	Władza odzyskuje swoje prawa	184
V	Grób przyzwoity	189

BIBLIOTEKA NARODOWA

19.III.62
8243
80.

Antykw. Kaminski, Kraków
106.63.

80

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
43149
A
1-2
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002734566